



Kuchny domowe

NASZA-KSIEGARNIA



PODANIA I LEGENDY POLSKIE

zebrała

HANNA KOSTYRKO

drzeworyty

ZBIGNIEWA RYCHLICKIEGO

NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA 1986



NIE TAK PRĘDKO BAŚŃ SIĘ BAJE,
JAK SIĘ PRĘDKO DZIWI TEN STAJE...

W krainę dziwów, w krainę za górami, za lasami, na latających dywanach i siwkach złotogrzywkach przenosi nas baśń — marzenie...

Od najdawniejszych czasów człowiek marzył i snuł baśnie. Baśnie, legendy były zawsze krainą, gdzie można było uciec od smutku i udręki życia. Pogrążony w niedoli człowiek oczekiwał cudownej pomocy: głodny wyobrażał sobie zaczarowany stoliczek, na którym na słowa zaklęcia zjawiają się najpyszniejsze potrawy, uciemiężony niewolnik pragnął uciec na dywanie latającym, bity i poniewierany szukał ratunku w kijach-samobijach, które pomagały mu się zemścić na silniejszych i potężniejszych prześladowcach.

W baśniach i legendach dobry człowiek nigdy nie jest samotny ani opuszczony: wróżki i czarodzieje opiekują się sierotami, a święci i aniołowie wędrują po świecie spełniając życzenia, nagradzając dobrych, a karząc złych.

Wśród postaci fantastycznych spotykamy i diabły; ale diabeł nie jest tu straszny. Jest najczęściej głupi i zabawny, daje się przechytrzyć mądrym człowiekowi, którego próbował oszukać. W ten sposób człowiek zwyciężał zło, które wyobrażał sobie w postaci diabła.

I aniołowie — z kolei uosobienie dobroci — występują czasem w żartobliwych sytuacjach, jak choćby anioł z „Legendy o Podhalu”.

Bo cudowne rzeczy dzieją się nie zawsze w tajemniczej dalekiej krainie za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, ale i na bliskiej ojczystej ziemi.

W znanym podaniu dzielny Krak, który zwyciężył smoka, zamieszkał w zamku na Wawelu, krasnoludki czuwały nad skarbami w polskich górach, syrena z dalekich mórz pokochała Wisłę, a śpiący rycerze Bolesława Chrobrego oczekiwali w tatrzańskich grotach na znak wzywający do walki o wyzwolenie ojczyzny...

Tak więc baśń, legenda i podanie — powstając w owych czasach, kiedy o szczęśliwej odmianie losu można było tylko marzyć — stworzyły cudowną, daleką krainę, gdzie ludziom pomagają wróżki i aniołowie, a dobro zwycięża zło.

Czy jednak, gdy ludzie będą żyli w szczęściu i sprawiedliwości nie tylko w baśni, ale i we własnym społeczeństwie — czy wtedy zniknie baśń i marzenie? Czy człowiek syty, odziany, wolny, panujący nad przyrodą, zdobywca innych planet niczego nie zapragnie? Zawsze chyba będzie marzył o wiecznej młodości i nieśmiertelności i tęsknił za nową, wielką przygodą...

S. W.

PODANIE O LECHU



A WNO już, bardzo dawno, może z tysiąc lat temu, trzech braci, Lech, Czech i Rus, rozeszło się w trzy strony świata, aby założyć sobie nowe państwa.

Lech udał się na północ. Szedł długo przez wielkie, nieprzebyte puszcze, które okrywały wówczas naszą ziemię, przedzierał się przez gąszcze, przebywał moczary, kierując się jedynie słońcem lub biegiem wód, aż wyszedł na równinę nad brzegami Warty. Zachwycony pięknnością kraju, żyznością ziemi, obfitością ryb i zwierzyny, postanowił tu się zatrzymać i gród* sobie zbudować [...]

Kiedy w puszczy z rozkazu Lecha ścinano drzewa na budowę grodu, znaleziono całe gniazdo białych orłów. Lech wziął to za dobrą wróżbę i białego orła obrał sobie za znak wojenny, a gród, który zbudował, nazwał Gniezdem.

CECYLIA NIEWIADOMSKA

*OBJAŚNIENIA WYRAZÓW OZNACZONYCH GWIAZDJKĄ ZNAJDUJĄ SIĘ NA KOŃCU KSIĄŻKI

PODANIE O POPIELU



W DZIEDALEKO od Gniezna, nad jeziorem Gopłem, wznosił się gród Kruszwica. Tam mieszkał książę Popiel, jeden z następców Lecha, i rządził krajem groźnie i surowo. Chciał większej władzy, niż mieli jego poprzednicy. Chciał rządzić sam, nie pytając nikogo o radę. Żona Niemka opowiadała mu nieraz, że tak rządzą książęta w Niemczech.

A w Polsce z dawna był obyczaj, że książę w ważniejszych sprawach zwoływał na radę starszych kmieci, czyli gospodarzy, właścicieli ziemi. Taka rada, z kmieci złożona, nazywała się wiecem.

Popiel nie chciał zwoływać wieców, a kmiecie rozgniewani o to nie chcieli z nim chodzić na wojnę, odmawiali mu posłuszeństwa.

Popiel się obawiał, że z tego zatargu skorzystają jego stryjowie: połączą się z kmieciami i odbiorą mu władzę. Zaprosił więc stryjów na ucztę, żona przyprawiła trucizną miód i wino i otruła wszystkich.

Trupy wrzucono do Gopła.

Zbrodnia jednak została prędko ukarana. Z ciał potopionych stryjów wylęły się tysiące myszy i wyruszyły wszystkie do Kruszwicy, prosto na dwór zbrodniarza.

Przerażony Popiel, nie umiejąc walczyć z takim nieprzyjacielem, ratował się ucieczką i z całą rodziną szukał schronienia w murowanej wieży, wznoszącej się pośród jeziora na wyspie. Lecz myszy popłynęły za nim, dopadły go na wieży i zagryzły.

CECYLIA NIEWIADOMSKA



ODCZAS rządów Popieła niedaleko Kruszwicy miał własną zagrodę zamożny kmieć, Piast kołodziej*. Szanowali i kochali go sąsiedzi, bo chętny był do rady i pomocy, uczynny dla każdego, mądry i gospodarny.

Oprócz chaty i roli miał dużą pasiekę, która dostarczała mu miodu i wosku. Zarabiał także kołodziejstwem, więc pracy miał niemało, lecz i dostatek wszystkiego. Dobra żona Rzepicha pomagała mu w gospodarstwie, a wesołe i zdrowe dzieci stanowiły szczęście rodziców.

Poeta polski Niemcewicz, który przed stu laty prawie w pięknych śpiewach historycznych opisał sławnych ludzi i ważniejsze wypadki z naszych dziejów, tak o tym kmieciu mówił:

*Pośród Kruszwicy spokojnych wieśniaków
Był Piast, co bogów i ludzi miłował.
Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty,
Za Gopłem małą pasiekę posiadał,
Cienił lepiankę jawór* wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.*

Właśnie podczas sporów z Popielem o wiece skończył lat siedem najstarszy syn Piasta. Była to dla rodziny bardzo ważna uroczystość, gdyż chłopiec z rąk matki przechodził pod opiekę ojca. W dniu urodzin dziecka obchodzono tak zwane postrzyżyny, to jest ojciec po raz pierwszy obcinał synowi długie włosy, nadawał mu imię i wzywał dla niego błogosławieństwa przodków.

Na ten obrządek spraszano sąsiadów i ugaszczano ich hojnie, aby upamiętnić dla nich to zdarzenie i zapewnić dziecku ich życzliwość. Toteż Piast i Rzepicha zawczasu przygotowali dostateczny zapas mięsa i pieczywa, miodu i owoców leśnych. Uprzątnięto chatę, przystrojono zielenią, zastawiono obficie stoły.

Właśnie sproszeni goście zasiedli za stołem, kiedy w progu stanęli nie znani nikomu podróżni. Byli to dwaj młodzieńcy o jasnych i pogodnych twarzach; zakurzone ich szaty świadczyły wyraźnie, że daleką przebyli drogę — prosili o wypoczynek. Byli przed ksiązęcym dworem, ale ich tam nie wpuszczono, może znajdą gościnność pod wieśniaczą strzechą.

Gościnność i w pogańskiej Polsce była najświętszym prawem, obowiązkiem. Gość w dom — Bóg w dom — mówi stare przysłowie, a maluje ono wiernie, co czuł i myślał każdy.

Z radością też powitał Piast przybyłych, podał im wody, aby obmyli się z kurzu, i posadził za stołem, prosząc, aby jedli.

Tymczasem rozpoczęły się obrzędy.

Matka przyprowadziła biało ubranego chłopca, w płóciennej koszuli, z rozczesanymi długimi włosami, i powiodła go przed ojca.

Chłopak padł mu do nóg, a Piast go podniósł, uściskał, pokropił wodą ze źródła i ujawszy nożyce, przystrzygł mu włosy nad czołem.

Oddał potem nożyce najstarszemu z gości, ten uciął znowu długi pukiel i tak kolejną co starsi krewni i sąsiedzi strzygli po trochu włosy wkoło głowy dziecka.

Kobiety je zbierały, aby zakopać w ziemię.

Wtedy podnieśli się obcy podróżni, a jeden z nich przemówił:

— Pozwólcie i nam, bracia, pobłogosławić chłopca w imię naszego Boga.

I zrobiwszy znak krzyża, dodał:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego chrzczę cię, Ziemowicie. Niech błogosławieństwo Boże będzie z tobą, nad domem twoim i dziećmi twoimi.

Obecni słuchali tego ze zdziwieniem, wzruszeni i pełni wdzięczności. Błogosławieństwo Boże jest przecież największym darem.

Imię Ziemowita podobało się też wszystkim, Piast dziękował serdecznie.

Rozpoczęły się teraz pieśni obrzędowe. Matka przyniosła wieniec ze świeżych ziół upleciony i włożyła postrzyżonemu synowi na głowę, ojciec wziął go za rękę i powiódł na święte miejsce na cmentarzu, aby modlitwą uczcić duchy dziadków i zostawić ofiary na ich grobach.

Przez drogę śpiewano pieśni, groby polano mlekiem, poustawiano na nich misy z jadłem.

Kiedy wrócono na koniec do domu, spostrzeżono, że obcy młodzieńcy zniknęli. Kiedy odeszli, nikt nie zauważył, nikt nie wiedział, w którą stronę się udali. Musieli być to ludzie święci, gdyż zostawili święty dar bogów: błogosławieństwo.

Rozeszli się na koniec goście, ale nazajutrz wrócili z wieściami, że kmiecie się zbierają, aby obrać innego księcia; Popiela nikt słuchać nie chce.

Ze wszystkich stron schodziły się liczne gromady, jedni szli pieszo, inni jechali na wozach, tamci znów konno, a nikt zagrody Piasta nie ominął. Każdy rad był usłyszeć jego mądre słowa i pokrzepić siły za gościnnym stołem. W Kruszwicy bardzo prędko głód zaczął dokuczać: okolica nie mogła wyżywić tylu ludzi, wielkich zapasów nikt z sobą nie przywiózł, a to, co było, nie wystarczało dla wszystkich.

Gościnni kołodziej witał, podejmował, lecz w duszy rosła mu troska i trwoga: skądże dla tylu stanie? I co począć, skoro zabraknie żywności?

Z niepokojem pyta żony, co ma jeszcze w spiżarni. Biegnie Rzepicha zaraz do komory, ale po chwili wraca i opowiada z największym zdziwieniem, że zapasów nic nie ubywa, wszystkie statki pełne jedzenia, jak były.

Cieszy się Piast i dziwi, dziękuje bogom za ten dar ich łaski i śmieiej zaprasza, częstuje.

— Dobry z ciebie gospodarz — chwalą ze zdziwieniem goście — kiedy wystarczysz na takie gromady.

— Nie moja w tym zasługa — tłumaczy się wieśniak. — Boża to wola i błogosławieństwo: świętych snadź ludzi ugościłem w chacie, bo odtąd nie ubywa mi zapasów.

Zdumieli się wszyscy, spojrzeli na siebie.

— A jakiegoż nam szukać księcia, jeśli nie takiego, któremu bogowie sami błogosławią! Nad Piastem boska ręka i opieka, Piast szczęśliwie nami rządzić będzie.

I zasiadł Piast kołodziej na tronie w Kruszwicy.

*Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
Świetną koronę uwieńczył swe skronie,
A wdzięczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
Rozkazał pług swój postawić przy tronie.*

CECYLIA NIEWIADOMSKA



ISŁO biała, matko biała, czemu mętne wody twoje?

Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich łyzy padają? Lud u brzegu ręce łamie, ręce łamie i ratunku woła, a ratunku nie ma...

Smok w pieczarze siadł pod górą, co zobaczy, to pochłonie, co pochwyci, to pożera. Kiedy z głodu ryczy wściekły, cała góra drży od ryku. Kiedy syty dyszy w jamie, oddech powietrze zaraża... Noc i dzień spoczynku nie ma — pola puste, lud ucieka, zwierz do lasu goni z trwogą... Trzody wypenił i ludzi, dławi niewiasty i dzieci, a nigdy pastwy niesyty, ciągle ryczy, ciągle dyszy.

— Czymże zgładzić żmiję, smoka? Miecz mu skóry nie przebiję, pałka czaszki nie roztrzaska, gardła mu nie zduszą dłonie i piorun go nie zabije, i woda go nie pochłonie, i ziemia go nie przykryje.

Krak na grodzie smutny siedzi, myśli, дума, brodę zwija, podparł się i patrzy w ziemię. „Jak mam pożyc* tego smoka, jak potworę tę umorzyć?“ Myśli miesiąc, myśli drugi, smok żre ludzi, myśli trzeci, a smok ryczy... Rady! rady! Płacze, ręce załamuje. — Jak mam pożyc tego smoka, jak potworę tę umorzyć?

Siedem razy miesiąc rośnie, siedem razy się roztapia, aż Krak Skubę wołać każe.

— Skubo, człecze, rób, coć rzekę: zabij wołu, owcę zabij, wnętrzności wyrzuć do wody, a smoły weźmij gorącej, a siarki nabierz palącej, a węgla nabierz czerwonych. Wypchaj ścierwo siarką, smołą, podrzuć je pod smoczą jamę, kiedy żmij* zaryczy z głodu. Smok niech ogień ten pochłonie, niech mu wnętrzności przepali. Niech pęknie dzika potwora.

Poszedł Skuba i tak czyni, jako mądry król rozkazał. Zabił wołu, owcę zabił, nadział siarką, węglem, smołą, do pieczary je przywleka.

Gdy smok wyje z głodu wściekły i głodną paszczę otwiera: — Naści strawę, żmiju-smoczce! — Połyka straszna paszczęka, ryknie, aż drży góra cała i gród z stołbami* się chwieje. W smoku palą się wnętrzności, trzewia ogień mu wyżera. I z jamy głowę wywleka, leci do Wisły i żłopie. Żłopie, aż się nadał cały i rycząc rozpukł, i zdycha.

Wtem Krak z mieczem idzie z grodu, łeb żmii strasznej ucina, na żerdź go wtyka wysoko.

— Patrzaj, narodzie mój miły, że się tve męki skończyły.

Ptacy niosą wieść wesolą, wiatry polami z nią biega, niech rolnik wychodzi z pługiem, niech pastuch bydło wyżenie, niech dzieci idą na łąki — nie ma już smoka na ziemi.

Nad smoczą jamą na górze gród się kamienny podnosi, tam Krak króluje spokojny, na cztery strony spoziera, cztery zwojował narody. A broda rośnie mu siwa i już mu piersi zakrywa, już i do kolan mu sięga. A kiedy dotknie się ziemi, król wie, że umrzeć mu pora. Ni się weseli, ni smuci, że swe królestwo porzuci, dwu synów ma już u boku i córkę Wandę ma jedną. Broda dorosła już ziemi.

— Przyszła już na mnie godzina; weźcie królestwo na dwoje. Siostrze dać królewskie wiano i życie w braterskiej zgodzie. Płacz po swym ojcu, narodzie! — Naród zapłakał i ciało niesie na górę Lasotę, na stosie go posadzili, tryznę* z obiatą* sprawili, popioły Kraka zebrali, każdy wziął po garści ziemi, szli i sypali, dopóki mogiła w górę nie wzrosła.

Kraj na pół bracia dzielili, poczną panować Krak z Lechem. I Krak ma ziemi połowę, i Lech połowę ma ziemi. Lech patrzy na brata z trwogą: „starszy mi kark zgniecie nogą“.

— Jedźmy do lasu na łowy, bracie, na zwierza dzikiego, jedźmy razem w puszcze ciemną... będziemy gonić jelenie, będziemy zabijać niedźwiedzie.

Siedli na koń, siostra z wieży prosi:

— Nie jedźcie na łowy — krucy dziś rano krakali i sen miałam w nocy krwawy. Weźcie czeladź, weźcie z sobą, zwierz jest dziki, las jest czarny.

A Krak śmieje się i rzecze:

— Zwierz i las niestraszny dla nas.

Aż w puszcze ciemną wjechali — wtem młodszy staje i rzecze:

— Tutaj ci, bracie, umierać, ja całe państwo zagarnę. — Rzekł i młotem w skroń mu ciska, aż krew szkarłatna wytryska i Krak na ziemię upada. Co tu czynić z ciałem brata? Z ziemi wilcy je wygrzebią, po trupie poznają ludzie. Mieczem go rąbie na ćwierci, tnie go na drobne kawały i na rozstajach je grzebie. Piaskiem białym przysypuje, nogami ubija ziemię. Księżyc i gwiazdy patrzyły, puszcza ich widziała ciemna; księżyc, gwiazdy nie wydały, puszczy nikt nie słuchał głosu.

Jedzie na gród Lech i płacze, suknię rozdarł, ręce łamie.

— Biada mi — oto zwierz srogi brata zagryzł w ciemnym lesie. Krew widzicie na mej szacie, bom go bronił nadaremno.

Lech wziął po nim ziemię całą i sam panował na grodzie. Na rozstajach, kędy ciało białym piaskiem przysypane, jasne lilije wyrosły, kwitną i z wiatrem bujają, wiatrom jęcząc powiadają:

— Tutaj jest Kraka mogiła, ręka brata go zabiła.

Ludzie idą nocą, drogą, dziwne głosy słyszą z trwogą, wiatr odwiewa Kraka ciało. Na zamek niosą je ludzie, starszyzna na gród się zbiera. Niechaj ten, co zabił brata, idzie z ziemi na kraj świata, kędy oczy go poniosą.

Wanda została jedyna, która bogom ślubowała.

— Ona będzie nam królową.

— Jak mam być królową waszą, kiedym bogom ślubowała, że męża nie będę miała?...

Wanda morza, Wanda ziemi, Wanda powietrza królowa, naród śpiewa i wykrzyka:

— Córka Kraka niech panuje!

Na granicy, na rubieży* Niemiec siedzi jak lis w jamie, wieść do niego szybka bieży: dziewczka siedzi na stolicy, wianek ma miasto korney, kądziel miasto miecza trzyma, męża nie chce, pana nie ma!

Rytgar kupy zbiera zbrojne, na bezbronny kraj, na wojnę. I stanęli na granicy, i śle posły do dziewczicy.

— Mężem twoim chcę być, Wando, lub tve ziemie ogniem, mieczem przejdziem, spalim i wysieczem.

Już pola wojsko zalewa i las oszczepów się jeży, świecą tarcze, chrzęszczą bronie. Przyszły posły, Wanda staje.

— Ślubowałam bogom wiarę, męża nigdy mieć nie będę. Chcecie wojny? Wojsko sprawię, niech rozstrzyga bitwa krwawa.

Posły poszły, wojska płyną, pola, góry wnet obsiadły. Wanda z mieczem, skronie w wianku, przodem jedzie, twarzą świeci. Patrzaj, Niemcze, licz swe siły. Pojrzał Rytgar, kędy były, ani śladu, ani słyhu, pierzchło wojsko w lasy, góry. Sam się został Rytgar srogi. Losy swoje klnie i bogi, miecza dobył, pierś przeszywa, królujże, Wando szczęśliwa! Zwycięska wraca królowa... I na gród swój naród woła. Wyszła z wianuszkiem u czoła, w sukni białej, z kwiatkiem w dłoni.

— Pozdrawiam was, cni ojcowie. Przyszła na mnie ma godzina, życiem bogom ślubowała, na raz oddam im je całe, niż o rękę bić się mają ci, co ziemi pożądata. Wiedźcie mnie do Wisły brzega, nad głębinę, nad wir wielki. — Rzekła i w Wisłę się rzuca. Naród płacze swej królowej, cały się zbiega do ciała i sypie pani mogiłę, i pieśń o niej wieczną śpiewa.

Bóg wam zdrowie niechaj daje — a pieśń przy mnie niech zostaje...

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

WIANO ŚWIĘTEJ KINGI



OLEŚLAW Wstydlivy[...] został panującym w szóstym roku swojego życia, a panowie rządzili za niego. Wyrósł z niego człeczyna cichy, spokojny, obyczajny, ale prawie na zakonnika, a nie na wojownika i księcia. Za żonę

wybrali mu Kingę, córkę króla węgierskiego, także panienkę cichą, spokojną i pobożną. Więc pojechali posłowie polscy na Węgry, prosić króla ojca o oną dziewczeczkę.

Król węgierski przyjął ich bardzo dobrze, bo Polaków szanował, jako naród mężny. Otóż chciał pokazać przed naszymi posłami, jako jest bardzo bogaty; kazał ze skarbca znieść dużo złota i srebra i sypać na wiano królewnej. Kinga zaś mówi ojcu:

— Ojczy mój, na co dajesz Polakom złoto i srebro: mają go oni za dosyć, a gdy zabraknie, to go sobie poszukają z orężem na wojnie. Dajże im to, czego nie mają, żeby sobie zapamiętali szczodrość króla węgierskiego.

— Cóż im mam dać? — pyta król zdziwiony.

— Soli, ojczy mój, bo w ich kraju nie ma ani bryłeczki i tutaj przyjeżdżają kupować. Podaruj im jedną górę solną, a ja ją zabiorę z sobą na wiano do Polski.

Roześmiał się król na tę mowę dziewczeczki i powiada:

— Weź sobie, którą chcesz.

Tedy królowa poszła ku kopalniom, a zdjawszy pierścień z rękawinowy rzuciła go w głęboką otchłań, gdzie sól dobywano.

Panowie polscy przywieźli swemu księciu oblubienicę, a gdy się odbyło wesele na krakowskim zamku, Kinga rzecze do swego męża:

— Kochany mężu, jedźmy szukać pierścienia, któryś mi przysłał do Węgier.

Jechali oboje do miasteczka Wieliczki i tam wśród rynku Kinga kazała bić głęboką studnię. Długo kopali górnicy, aż nareszcie trafili na opokę i rzekną królowej:

— Oto już dalej kopać nie można, bo szczyry kamień — a Kinga rzecze:

— Odbijcie kawał tego kamienia, niechaj go oglądam!

Więc odbili i wyciągnęli, a jeden z nich, przyjrząwszy się po dniu, zawoła:

— O królowo! Toć nie kamień, ale szczyra sól!

— Rozbij tę bryłę! — rozkazuje królowa.

Więc rozbili, a z onej bryły, ze środka, wypadł błyszczący pierścień królowej, który wrzuciła w kopalnię węgierską. Otóż to takie było wiano świętej Kingi, które do dziś dnia z bogaca Polskę.

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC



ORAZ chłodniej i ciemniej, deszcz padał dzień cały, więc i drogi rozmiękły, wreszcie słońce zaszło i noc nastąpiła, żadnym nie rozjaśniona światłem. Do małej ubogiej chaty, w końcu wioski, ktoś zapukał. Gospodarz drzwi otworzył, a do izby wszedł żebrak, z kijem w rękę i workiem płóciennym na plecach, mokry i zabłocony.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków.

— Przenocujcie mię, gospodarzu, strudzony jestem bardzo, z drogi idę.

Kmieć pokiwał głową i westchnął.

— Juści ostańcie, kiedy nie macie schronienia. Na dworze ciemno i mokro; wygodnie wam tutaj nie będzie, bo chata mała, dzieci siedmioro, a obok w drugiej izbie chora żona. Ale z serca was proszę: czym chata bogata.

Podróżny musiał być bardzo zmęczony, bo zaraz usiadł i patrzył dokoła po ubogiej izbie. Wieśniak przyniósł mu chleba, miodu, mleka trochę, posłał świeżego siana i znów po coś wyszedł; ale za chwilę wrócił, niosąc małe dziecko na rękę.

— Bóg mi dał ósme — rzekł pokazując je ubogiemu.

Dziad popatrzał na dziecko i rzekł do wieśniaka:

— Ono wam przyniesie szczęście, zobaczycie. Zatrzymajcie się ze chrztem jutro do południa, a przyślę wam chrzestnego ojca, bardzo dobrego człowieka.

Kmieć zgodził się zaczekać. Zasiedli za stołem, obcy rozpytywał ciekawie o wszystko: co słyhać we wsi, co ludziom dokucza, czego im brak najbardziej, jak można by zaradzić złemu.

Wreszcie spać się pokładli.

Nazajutrz ubogi wcześniej zniknął z chaty, ale kmieć do południa czekał na ojca chrzestnego. Aż tutaj od Krakowa jadą piękne kolasy i dworzanie na koniach, a wszyscy zatrzymują się przed biedną chatą. Wieśniak oczom nie wierzy; wtem z pierwszej karocy wysiada pan wspaniały, bogato ubrany, a zupełnie podobny do biedaka, którego wczoraj przyjął tak gościnnie. Był to sam król Kazimierz, zwany Królem Chłopów.

— Podzieliłeś się wczoraj ze mną chlebem i chatą, ja ci dziś do chrztu syna trzymać będę; siadaj z dzieckiem do pojazdu.

Chłop nie wiedział, co z sobą robić: i nie śmiał, i szczęśliwy był okrutnie, i nie umiał dziękować tak dobremu panu.

Król posadził go obok siebie i pojechali do kościoła.

Ale nie na tym koniec. Poznawszy potrzeby ludu, Kazimierz starał się im zaradzić, pomóc, osłonić go przed uciskiem, wymierzyć sprawiedliwość, dać ulgę w pracy a możność zarobku.

Bo rozumiał doskonale ten król chłopów, że kraj dopiero wtedy będzie bogaty, potężny, kiedy lud w nim będzie zamożny i szczęśliwy. Dlatego zwiedzał chaty w ubogim przebraniu; chciał własnymi oczyma widzieć dolę wieśniaka, poznać prawdę, aby wiedział, co robić.

Naturalnie, że nie zapomniał i o gościnnym kumie: chrzestnego syna wychował na księdza. Był to mąż bardzo uczony, nazywał się Kazimierz Trzaska.

CECYLIA NIEWIADOMSKA

STOPKA KRÓLOWEJ JADWIGI



KRAKOWIE budują świątynię.

Królowa Jadwiga wielkie dała skarby, aby piękny kościół wystawić Bogu w stolicy. Sama często przychodzi spojrzeć na robotę dzielnych murarzy. Słońko jasno świeci, robota idzie zwawo. Jeden z robotników podśpiewuje, inny coś wesołego opowiada. Snadź im dobrze na sercu.

Ale nie wszyscy tak są radośni. Oto jeden z nich, choć pracuje pilnie, od rana słówka nie rzekł, smutny, nie słucha wesołych rozmów, często wzdycha, a nawet łzę ukradkiem ociera.

Nikt tego nie widzi.

Wtem robotnik, stojący wysoko na rusztowaniu, zawołał:

— Królowa, pani Jadwiga, idzie!

Stuknęły raźniej młotki, zadzwoniły kielnie, rozjaśniły się twarze murarzy.

— Królowa, pani nasza, idzie. Dalej, chłopcy, do roboty! — wołali wesoło.

Niebawem ukazała się Jadwiga królowa.

Witała uśmiechem łaskawym pracowników, oglądała roboty.

Dojrzała smutnego człowieka; nachylony ociosywał pilnie kamień, nie zważał, co się wkoło dzieje.

Podeszła doń królowa Jadwiga.

— Co wam dolega, przyjacielu? — zapytała łagodnie. — Czy was kto skrzywdził? Czy choroba dolega? — bo bladzi i wynędzniali jesteście.

Murarz otarł szybko łzy płynące z oczu.

— Nikt mnie nie skrzywdził, Miłościwa Pani, i zdrow jestem. Żona moja ciężko zachorowała, moja pomoc i opiekunka dzieciaków naszych leży w niemocy... Jeszczem nie zarobił tyle, by jej lekarstwo kupić, by jej ulżyć.

I łzy ciężkie spływały po strapionej twarzy murarza.

Królowa postawiła nogę na leżącym obok kamieniu, odjęła piękną, złotą klamrę od swego sandała.

— Weźmij to — rzekła — idź zaraz, kup, co potrzeba chorej i dziatkom twoim. Nie smuć się. Bóg cię pocieszy.

I poszła królowa Jadwiga na Zamek, a robotnik pobiegł do domu uradowany wielce.

Gdy wrócił do pracy, był wesół jak inni.

Chwycił swój młot, przystąpił do kamienia, by kończyć robotę.

Patrzy!... Oto na kamieniu stopa ludzka odcisnięta jak w glinie! Stopa nieduża.

Woła innych — patrzą i dziwią się, skąd ten znak. Kto go zrobił w twardej skale...

— To stopa królowej Jadwigi! — zawołali. — Ona na tym kamieniu nogę wsparła, odpinając klamrę, by pocieszyć ubogiego, by pomóc chorej.

I wzięli kamień, wmurowali w ścianę świątyni. I mówili między sobą:

— Tak, tak — kamienie miękna, gdy ich dotknie nasza Królowa [...]

STEFANIA M. POSADZOWA

WIEŻE KOŚCIOŁA MARIACKIEGO W KRAKOWIE



DUMĄ patrzyli krakowianie, jak w Rynku rosła wspaniała świątynia, którą poświęcili czci Najświętszej Marii Panny.

Działo się to za czasów Bolesława Wstydliwego, gdy Iwo Odrowąż był biskupem krakowskim. Wznosiły się w górę potężne mury, zamykały łukami wysokie a smukłe okna, zawisło na wysokości śmiałe sklepienie wsparte na sześciu kolumnach, a ciężkie mury wieżyc dźwigały się i dźwigały codziennie wyżej i budziły nadzieję, że wierzchołkami chyba obłoków dosięgną.

Bogaci mieszczanie chcieli mieć świątynię, jakiej jeszcze żadne miasto nie wzniosło dotąd, więc nie żalowali pieniędzy i starań, a wystawienie dwóch wież przy kościele, które miały być chlubą miasta, oddali dwom sławnym budowniczym, braciom rodzonym.

Wystawili oni już niejedną kościół, niejedną zamek książęcy w dalekim świecie, ale tu dopiero, w Krakowie, mieli pokazać, co

umieją w swojej sztuce, tutaj mieli się okryć sławą nieśmiertelną. Toteż jeden drugiego chciał prześcignąć w robocie, jeden od drugiego chciał postawić wieżę wyższą, cudowniejszą.

Krakowianie cieszyli się tym współzawodnictwem braci budowniczych; wszak kościół stanie w mieście Krakowie, wszak to dla nich, dla ich dzieci, wnuków i prawnuków buduje się świątynia olbrzymia, wspaniała nad podziw.

Brat starszy budował wieżę południową. Założył fundamenta szersze i mocniejsze, więc cieszył się, że wystawi wieżę wyższą aniżeli brat jego młodszy i większą od niego okryje się chwałą. Spozrzegł brat młodszy, co się stało, ale już za późno; mury wieżyc dźwigały się wysoko i rosły wciąż, rosły szybko ku górze.

Niepokój ogarnął go z początku, później złość na siebie, na robotników, potem rozpacz za utraconą sławą, wreszcie nienawiść do brata starszego za to, że ten będzie mógł wspanialszą wieżę postawić, że okaże się zdolniejszym budowniczym przed światem.

Widzieli podmajstrzy, widzieli robotnicy, że budowniczy młodszy martwi się czymś, ale nie wiedzieli, co mu dolega, bo wstydził się przyznać do tego. Zaciskał tylko usta, mizerniał, bladł, zeżółkł narzeczcie; oczy przedtem wesołe, bystre, przed siebie śmiało patrzące spuszczał w dół, nikomu w oczy nie spozrzał. W duszy knuł coś niedobrego.

A wieże rosły i rosły, bo robota wrzała na budowie.

A serca mieszczan radowały się, że piękna świątynia już na ukończeniu.

Aż tu jednego dnia rozeszła się wieść dziwna po mieście: starszy budowniczy zginął. Już od kilku dni nie pokazywał się na budowie, w domu go nie ma, szukano go i wypytywano o niego u tych wszystkich, z którymi miał liczne sprawy budowlane, ale nikt nie umiał powiedzieć, co się stało z budowniczym starszym. Jedni mówili, że poszedł do wapienników dopilnować przysposobienia wapna, inni opowiadali, że musiał iść do cegielń, aby przyśpieszyć wypalanie cegieł, inni wreszcie widzieli go, gdy jechał do lasów wybierać belki do budowy.

Czekano na próżno; budowniczy starszy nie wracał — stanęła robota około wieży południowej.

Mieszczanie zaniepokoił się poważnie. Któż ukończy budowę zaczęłą? Młodszy budowniczy pracuje około wieży północnej. Równie zdolnego budowniczego, jak zaginiony, nie było. Nawet planów dalszej budowy wieży nie można było odszukać.

W tym strapieniu przyszedł mieszczanom z pomocą brat młodszy. Poradził, aby budowę południowej wieży już ukończyć, wskazał, co jeszcze należy zrobić, zakreślił plan wykończenia, a sam prowadził dalej budowę swoją.

Wieżę południową nakryto wnet dachem, a północna dźwigała się jeszcze w górę, smukła, kształtna, piękna jak młoda dziewczyna. Nakryto ją wysokim dachem, z wieńcem wieżyczek nad czołem, ozdobiono złotą koroną, aby już z daleka można było poznać, że kościół ten poświęcony jest czci Królowej Niebios Marii — i budowę wreszcie zakończono.

Piękność wieży okazywała się coraz wyraźniej, gdy rozbierano rusztowania. Zachwytu było co niemiara; zachwycał się lud pięknnością wieży, zachwycał się biskup, zachwycał się książę. Wszyscy wychwalali budowniczego, podziwiali jego zdolności, głosili jego sławę.

Tylko sam budowniczy nie cieszył się dziełem własnym. Od czasu utraty brata nie zaznał chwili spokoju. Zmizerniał, schudł i przyczerniał; sen go odbiegł. Ludzi unikał, zamykał się sam ze swymi myślami. Czyżby za bratem tak rozpaczał? Różni różnie mówili. Byli tacy, którzy opowiadali, jak nocami w zamkniętej izbie sam ze sobą rozmawiał, krzyczał, jakby kogoś chciał wyrzucić, jak gdyby przed kimś usprawiedliwiał się. Zauważono, że budowniczy bywa często tak zamyślony, iż nie słyszy, co do niego mówią, iż często toczy błędnym wzrokiem, często patrzy tak dziko, że człowieka mrowie przechodzi. Oczywiście, jakąś straszną tajemnicę chował w sercu. Zaczęto się go bać, zaczęto go unikać.

Zbliżał się czas poświęcenia kościoła. Przygotowania czyniono wielkie, zebrało się moc ludu z bliska i z daleka.

Rano, zanim się jeszcze zaczęły uroczystości kościelne, a Rynek przed kościołem zapełnił już tłum ludu, na wyższej wieży w oknie zjawiał się jej budowniczy. Wnet go spostrzeżono, pokazywano go sobie palcami i zaczęto wołać na cześć jego słowa pochwały. Dał znak ręką, że chce mówić, a gdy się tłum uciszył, z początku cicho, potem coraz głośniej jął opowiadać, jak pragnął sławy wielkiej, sławy bezmiernej, która by imieniem jego napełniła świat cały od końca do końca, która by nie przebrzmiała do końca świata. A oto brat starszy chciał mu wydrzeć tę sławę, chciał wybudować przy kościele wieżę wyższą, wspanialszą. I byłby ją postawił. Ale serce młodszego napełniło się zawiścią tak straszną, że postanowił usunąć brata rodzzonego z drogi do sławy. Oto gdy po pracy wyszli za miasto wieczorem, aby się przejść, rzucił się brat młodszy na starszego w miejscu odludnym i przebił go nożem, a ciało zepchnął do Wisły.

Przerażony lud słuchał w milczeniu tego wyznania, patrzył, jak budowniczy wyciągnął nóż długi i potrząsał nim w ręce — nóż, na którym krew brata zaledwie przyschła.

Zabójca mówił dalej, jak po zbrodni dokonanej nie mógł zaznać spokoju ni we dnie, ni w nocy; sumienie zasłaniało sławę, myśl o strasznej zbrodni dokonanej na bracie ściga go wszędzie.

— Niechaj się więc skończy to nędzne życie! — krzyknął, wbił w pierś własną ten sam nóż, którym zabił brata, i z okna wieży rzucił się na Rynek.

Okrzyk przerażenia rozległ się wśród tłumu. Pośpieszono na miejsce wypadku. Budowniczy zboczony krwią leżał martwy na ziemi.

Taki był koniec historii budowy wieży Mariackiego kościoła w Krakowie; a historię tę opowiadają do dnia dzisiejszego, pokazując nóż, zawieszony na odrzwiach bramy w Sukiennicach naprzeciw kościoła — nóż, którym brat zabił brata, a następnie odebrał sobie życie.

SEWERYN UDZIELA



AMIENICA stojąca w Rynku na rogu ulicy Szczepańskiej nazywa się Krzysztoforami, bo tam na froncie miał być umieszczony kamienny posąg świętego Krzysztofa. Jest to kamienica bardzo stara, krążą też o niej różne cudowne podania.

Pod kamienicą znajdują się obszerne sklepione piwnice, które, jak mówią, mają się ciągnąć pod Rynkiem aż do kościoła Mariackiego.

Razu jednego kucharka miała zarznąć koguta, ale ten wyrwał się jej z rąk, uciekł i wpadł przez otwarte drzwi do piwnicy. Kucharka za nim. Z piwnicy do piwnicy uciekał kogut, kucharka goniła go, wreszcie gdzieś się jej zatracił. Nie mogąc go znaleźć i złapać, chciała powrócić do kuchni, ale wśród tych piwnic zabłądziła.

Wtem niespodziewanie pokazał się jej kogut z rogami na głowie. Przerażona, poznała, że to był diabeł. Kogut odezwał się ludzkim głosem:

— Za to, żeś mi darowała życie, dam ci tyle pieniędzy, ile uniesiesz.

I do fartucha nasypał jej złota i srebra dosyć, pokazał drogę do powrotu i nakazał, aby się poza siebie nie oglądnęła.

Kucharka biegła szybko, wpadła na schody i już miała wyjść z piwnicy, gdy na ostatnim stopniu będąc, ciekawa, odwróciła się. Wtem

nagle drzwi zatrzęsnęły się z wielkim hukiem i przycięły jej piętę. Za karę tej ciekawości wszystkie otrzymane pieniądze zamieniły się w śmieci.

Opowiadają także, że w tych piwnicach siedzi bazyliszek. Ma to być taki potwór o głowie koguta, a ciele gada. Zaś wzrok ma taki, że na kogo spojrzy, wzrokiem tym go zabija.

Gdyby kto był tak odważny, opowiadają, i poszedł do tych piwnic trzymając lustro przed sobą, to bazyliszek, zobaczywszy się w lustrze, zabiłby się sam własnym wzrokiem. A wtedy można by było zdobyć wielkie skarby, których on pilnuje.

SEWERYN UDZIELA



WARDOWSKI był dobry szlachcic, bo po mieczu i kądzieli*. Chciał mieć więcej rozumu, niż mają drudzy poczciwi ludzie, i znaleźć na śmierć lekarstwo, bo nie chciało mu się umrzeć. W starej księdze raz wyczytał, jak diabła przywołać można, o północnej przeto dobie cicho wychodzi z Krakowa, kędy leczył w całym mieście, i przybywszy na Podgórze zaczął biesa głośno wzywać. Stał prędko zawezwany; jak w one czasy bywało, zawarli z sobą umowę. Na kolanach zaraz diabeł napisał długi cyrograf, który własną krwią Twardowski, wyciśniętą z serdecznego palca, podpisał.

Między wielu warunkami był ten główny: że dopóty ni do ciała, ni do duszy czart żadnego prawa nie ma, dopóki Twardowskiego w Rzymie nie ułapi.

Na mocy tej to umowy diabłu, jako swemu słudze, rozkazał naprzód, by z całej Polski srebro zaniósł w jedno miejsce i piaskiem dobrze przysypał. Wskazał mu Olkusz; posłuszny służka dopełnił rozkazu wydanego i z tego srebra powstała sławna kopalnia srebra w Olkusz.

Drugą rzecz kazał: do Pieskowej Skały by przyniósł skałę wysoką,

przewrócił na dół najcieńszym końcem, ażeby tak wiecznie stała. Posłuszny giermek*, jako pan kazał, postawił skałę, co dotąd stoi i zwie się Skałą Sokolą.

Wszystko, co jeno zażądał żywnie, miał na swoje zawołanie; jeździł na malowanym koniu, latał w powietrzu bez skrzydeł, w daleką drogę siadał na koguta i prędzej biegał niż konno; pływał po Wiśle ze swoją kochanką, wstecz wody bez wiosła i żagli, a jak szkło wziął do ręki, zapalał wioski na sto mil odległe.

Upodobawszy jedną pannę chciał się ożenić; ale panna chowała we flaszcze robaka i pod tym warunkiem obiecywała oddać temu rękę, kto zgadnie, co to za robak.

Twardowski, w ciemię nie bity, przebrał się w dziada łachmany i przyszedł do ładnej panny. Pyta go zaraz, ukazując z dala flaszkę:

*Co to za zwierzę, robak czy wąż?
Kto to odgadnie, będzie mój mąż.*

A Twardowski odrzekł na to:

— To jest pszczołka, mościwa panno!

Zgadł w istocie i wnet się ożenił.

Pani Twardowska na Rynku Krakowa ulepiła z gliny domek, w nim przedawała garnki i misy. Twardowski za bogatego przebrany pana, przejeżdżając z licznym dworem, tłuc je zawsze czeladzi kazał. A kiedy żona ze złości wyklinała w pień, co żyje, on siedząc w pięknej kolasie śmiał się szczerze i wesoło.

Złota miał zawsze by piasku; bo co chciał, to diabeł znosił. Kiedy długo dokazuje, raz był zaszedł w bór ciemnisty bez narzędzi czarnoksiężskich. Zaczął dumać zamyślony; nagle napada go diabeł i żąda, aby niezwłocznie udał się prosto do Rzymu.

Rozgniewany czarnoksiężnik mocą swojego zaklęcia zmusił biesa do ucieczki; zgrzytając kłami ze złości, wyrzywa sosnę z korzeniami i tak silnie Twardowskiego uderza po nogach obu, że jedną zgruchotał całą. Od onej doby był kulawy i zwany odtąd powszechnie kuternogą.



W ostatku sprzykrzywszy sobie zły duch, czekając dość długo na duszę czarnoksiężnika, przybiera postać dworzana i jak biegłego lekarza zaprasza niby do swojego pana, że potrzebuje pomocy. Twardowski za posłańcem śpieszy do pobliskiej wioski nie wiedząc, że w niej się gospoda nazywała Rzymem.

Skoro tylko próg przestąpił onego mieszkania, mnóstwo kruków, sów, puchaczy osiadło dach cały i wrzaskliwymi głose wypełniło powietrze. Twardowski od razu poznał, co go może tutaj spotkać, więc z kołyski dziecię małe, świeżo dopiero ochrzczone, porywa drżący na ręce, zaczyna piastować, gdy w własnej postaci wpada diabeł do izby.

Chociaż był pięknie ubrany — miał kapelusz trójgraniasty, frak niemiecki, z długą na brzuch kamizelką, spodnie krótkie i obcisłe, a trzewiki ze sprzączkami i wstążkami, wszyscy go poznali zaraz, bo wyglądały rogi spod kapelusza, pazury z trzewika i harcap* z tyłu.

Już chciał porwać Twardowskiego, gdy spostrzegł wielką przeszkodę, bo małe dziecię na ręku, do którego nie miał prawa. Ale bies wnet znalazł sposób; przystąpił do czarnoksiężnika i rzecze:

— Jesteś dobry szlachcic: zatem *verbum nobile debet esse stabile**.

Twardowski, widząc, że nie może złamać szlacheckiego słowa, złożył w kołyskę dziecię, a wraz ze swym towarzyszem wylecieli wprost kominem.

Zawrzało stado radośnie sów, wron, kruków i puchaczy. Lecą wyżej, coraz wyżej. Twardowski nie stracił ducha; spojrzę na dół — widzi ziemię, a tak wysoko poleciał, że wsie widzi takie małe jak komary, miasta duże jakby muchy, a sam Kraków by dwa pająki razem.

Żal mu szczerę serce ścisnął; tam zostawił wszystko drogie, co polubił i ukochał; a więc podleciawszy wyżej, gdzie ni sęp, ni orzeł Karpat skrzydłem wiatru nie poruszył, gdzie zaledwo okiem sięgnął, z zmordowanej piersi silnie dobędzie ostatku głosu i zanuci pieśń pobożną.

Była to jedna z kantyczek*, które dawniej w swej młodości, kiedy nie znał żadnych czarów, duszę jeszcze miał niewinną, ułożył na cześć Marii i śpiewał zawsze codziennie.

Głos jego niknie w powietrzu, choć śpiewa z serca serdecznie, ale pasterze górale, co pod nim na górach paśli, zdziwieni podnieśli głowy, chcąc wiedzieć, skąd pieśń nabożna słowa im z chmurą przynosi. Głos jego bowiem nie poszedł w górę, ale przyległ do tej ziemi, by zbudował ludzkie dusze.

Skończył pieśń całą, zdziwiony wielce patrzy, że w górę nie leci wyżej, że zawisł w miejscu. Spojrzy dokoła — już towarzysza nie widzi swojej podróży; głos jeno mocny nad sobą słyszy, co zagrzmiał w sinawej chmurze:

— Zostaniesz do dnia sądnego, zawieszony tak jak teraz!

Jak zawisł w miejscu, dotychczas buja, a choć mu słowa w ustach zamarły, choć głosu jego nikt nie dosłyszcy, starcy, co dawne pamiętają czasy, gdy miesiąc w pełni zabłyśnie, przed niewielu jeszcze laty wskazywali czarną plamkę jako ciało Twardowskiego, zawieszone do dnia sądu.

KAZIMIERZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI

JAK MAGIK Z KRAKOWA NABRAŁ ŚLĄSKIEGO ZBÓJNIKA



DYBY nawet ktoś nie wierzył, że imć pan Michał Sędziwój zna sekret fabrykacji złota, to jednak prawdy coś w tym być musiało, bo miał go zawsze w bród. Dbał o to król polski Zygmunt III Waza, skoro pozwolił alchemikowi w osobnej izbie na Wawelu urządzić sobie pracownię. Smażył tam Sędziwój dniem i nocą różne metale szlachetne, wytapiał je w dziwacznych tyglach i retortach. Mówili ludziska, że to kuchnia czarnoksiężska, a Sędziwój widno z ciemnymi mocami w zмовie.

Niejednego ciekawość paliła podpatrzeć, co też mistrz wawelski w swej ciemnicy za czary wyprawia, ale rozkaz królewski srogo zakazywał progu komnaty przestąpić. Tylko jedno pacholę nieroztropne raz o północy podkradło się pod pracownię czarnoksiężnika, ale uciekło w trwodze przeokropnej, jakby je sam Czarny gonił. A co widziało,

nikomu powiedzieć nie chciało, jeno się przysięgało na zbawienie duszy, że póki życia więcej Pana Boga kusić nie będzie. Odtąd nikt na Zamku wawelskim nie odważył się zakłócać spokoju tajemnych badań pana Sędziwoja.

Nieraz wyjeżdżał w dalekie kraje i wracał przystojnie obładowany. Co tam przywoził w sakwach i tobołkach, nikt nie wiedział dokładnie, tedy gadki biegały po Krakowie rozmaite. Jedni mówili: złoto i perły, drudzy, że rudy kruszców, jakich u nas nie masz. Trzecia zaś gadka godziła wszystkich. Złoto iście i perły, ale zaklęciem czarnoksięskim i magicznym zażegnaniem w czas wymówionym w kruszec błahy zmienione! I tak dwoistą miał postać imć pan Michał Sędziwój. W oczach króla i uczonych wawelskich biegły do zadziwu alchemista, uskuteczniający trudne, innym niedostępne stopy i połączenia metalów w ogniu, w oczach gminu czarnoksiężnik, którego sam diasek wyposażył w moc tajemną, oddając mu na usługi całą sforę duchów ciemnych niższego rzędu!

Jak było naprawdę, nie mamy czasu dochodzić, bo śpieszno nam za Sędziwojem, który wybrał się w podróż do Czech po rozmaite potrzebne do tyglów kruszce, jakich ziemia krakowska nie rodziła. Pojechał, nabył, czego mu trzeba było, i wracał do domu. Przez lasy przyodrzańskie, raciborskie wypadła mu droga. Bardzo niebezpieczna: bo nie tylko bagniska i grzęzawy nieprzebyte, ale groza dwóch srogich zbójników, którzy tam mieli kryjówki. Czarny Piotr zwał się jeden, Czarny Paw było drugiemu.

Nie obawiał się przecie zbójców Sędziwój, bo i kto by się tam łakomił na starzyka kruchego, który, kolebiąc się wolno na lichej szkapinie, żadnych nie wioził dostatków, jeno — śmiech wyznać — jakieś margle*, krzemienie i piargi pieprzowatego koloru. A zresztą skądże by wiedzieli?

Czy liście na drzewach miały uszy, czy sroki na płocie zdradziły sekret, dość że Czarny Piotr i Czarny Paw w czas doszli dnia i godziny. Łatwa to sprawa była i bez czarów w raciborskiej ziemi, która od furmanów wędrownych, od żaków szkolnych miała wszystkie nowiny krakowskie. Ledwo kichnął pan rektor rano w Akademii Ja-

giellońskiej, a wieczorem mu w Nysie i Raciborzu wołali w odpowiedzi skolarze: Pomaga Bóg, Magnificencjo, na zdrowiu i urzędzie! O Sędziwoju wiedzieli lepiej niż on sam nawet, co się tam smaży w jego tyglach! I o tym, że diabłu duszę zapisał. I że do Czech pojechał. Czarny Piotr z Czarnym Pawem już poprzód ugodzili się po połowie, a przez którego dziedzinę przejedzie, ten go oprawić* powinien. Dychawiczna szkapina Sędziwoja wybrała drożynę wiodącą w kraj Czarnego Pawa. I nie minęła zdrowaśka jedna, a już pacholę zbójnika obkoczyli Sędziwoja.

— Spójrz w wodę na mą urodę! — wołał skurczony wiekiem połamaniec, lecz nie pomogło. Innego wykończyliby od razu na szaro, jego mieli przykaz dostawić żywcem! I wnet wielki stół dębowy w jaskini zapełnił się stertą kamieni alchemika.

— Ty pewnie myślisz, łajdaku — wrzeszczał dziki zbój — że joch prawdy nie zna? Co to jest, gadaj!

— Widzicie przecie sami, kamienie i rudy czeskie do prac moich przydatne...

Zatrząskał się w pięści ze złości Czarny Paw.

— Kłamiesz! To złoto, brylanty i perły przez ciebie w kamień zonaczone*! Tak długo będziesz w lochu gnił, póki ich nie odczarujesz i z nami się nie podzielisz!

— Bodajże cię sucha jodła zgniotła! — lamentował magik niešťczesny, w lochu na chlebie suchym i wodzie szczyrej siedzący. Bo i tak się spóźnił. Na święta chciał być w domu, tu masz Wielki Tydzień za pasem, a jemu w tej jamie wilgotnej kichy marsza tatarskiego wygrywają już trzeci dzień. Narobił hałasu i kazał się duchem prowadzić przed oblicze herszta, któremu usmarkane sopte zwisały aż do gęby.

— Namyśliłem się — powiada Sędziwój — już prawdę powiem. Jestem czarownikiem, a złoto moje zakłete. Ale teraz nie pora, by je odkląć.

— Nie pora? A to po jakiemu, ty zdechlino zdechlińska?

— Nie mam mocy nad duchami. Wielki Tydzień się zaczyna za tydzień. Nie słuchają mnie w tym czasie.

— Nie słuchają cię? No to schrońcie go z powrotem do lochu!

— Nie słuchają, ale będą słuchać — mówił jakby do siebie Sędziwój.

— Po jakiemu będą? Co mi tu szklisz, ty świńska świnió, pieronie zapieronowany.

— Bo to, wicie, tak przyjdzie: najpierw żółty poniedziałek, potem modry wtorek i krzywa za nim środa, i zielony czwartek...

— ... i biała sobota na koniec. Toćże wiem sam! Nie szklisz, bo...

— ... bo niech jeno skończy się ten czarny tydzień i dzwony z Rzymu powrócą i znowu zadzwonią, to i moja władza powróci!

— I odczarujesz złotko!

— Odczaruję. Lecz pod warunkiem, że do tego czasu będę miał jadła i napitku w bród.

— Zgoda. Ale musisz mi tu przysiąc na siedem upiorów nocnych, że słowa dotrzymasz.

— Przysięgnę.

Powstawszy wymawiał zbójca uroczyście, a Sędziwój powtarzał za nim:

— Przysięgam na siedem upiorów nocnych, które niechta mnie dręczą przez siedem nocy z rzędu, a w ósmą noc niech mi krew żywą wypiją do kropli, jeśli kamieni w złotko nie zamienię!

Odtąd używał Sędziwój lepiej niż u siebie w domu. Do zamczystej, ale widnej komnaty znosił mu Czarny Paw najsmakowitsze kąski i napitki, rybki sztucznie wędzone, małmazyje i różne migdały niebieskie.

Potem wyprawił pod jakimś pozorem swych kompanów, aby się nie dzielić z nimi złotym skarbem, i czekał oskomliwie pierwszych dzwonów wielkanocnych.

Wstał wreszcie uśmiechnięty słonecznie ranek Wielkiej Niedzieli. Czarny Paw przydźwigał sam wory z kamieniami. Zadychał się, spocił, ale rad był.

— Teraz musisz — rozkazywał gromko Sędziwój — zaprowadzić mnie w takie miejsce, skąd najlepiej słychać dzwony kościelne z Raciborza.

Podsunęli się cichcem na polankę na skraju lasu. Magik zaczął wykreślać tajemnicze koła na murawie. Pośrodku największego koła ustawił Czarnego Pawa, kazał mu połknąć duszkiem siedem szpilek z jodłowego drzewa i mruczał przy tym jakieś niezrozumiałe, egipskie zaklęcia. Na koniec odmówił paciorek na wspak. I słuchał pilnie. Obaj słuchali. Nareszcie nadpłynął z daleka po powietrznej fali pierwszy metaliczny odgłos. Gdy tylko przebrzmiał i w ciszy utonął — stała się rzecz nigdy niesłychana. Nie było już na murawie zgrzybiałego starucha. Przedzierzgnął się w oka mgnieniu w młodzieńca. Ten szumny chłopak do cudu skinął dłonią i wraz szare kamieniska zmieniły się w kosztowne, od kwiatów piękniejsze klejnoty! Aż ryknął chrapliwie Czarny Paw ujrzawszy tyle brylantów, pereł i złocistości. Wyciągnął po nie rękę łakomie, wtem — huknął grom, ziemia się otworzyła i pożarła go na wieki wraz z całym zbójceckim plemieniem...

Imć pan Sędziwój, przywrócony swej zwykłej postaci, odszukał swój wóz i konika wiernego i pociągnął w dalszą drogę.

STANISŁAW WASYLEWSKI



O J C O W I E, gdzie z obu stron doliny wartkiego Prądnika wznoszą się stromo nagie skały, możny pan Kasztelan wybudował sobie na szczycie zamek i zapragnął połączyć go mostem powietrznym z wysoką, prawie pionową przeciwległą górą. Wzywał wszystkich majstrów, co się na takiej robocie znali, obiecywał masy złota, ale daremnie, nikt nie chciał się podjąć tak trudnej budowy.

Aż przyszedł raz do Ojcowia młody murarz i kiedy mu pan opowiedział, czego chce, zapalił się tak do projektu, że podjął się go wykonać.

Wyobraził sobie, jak pięknie most zawiśnie w powietrzu między skałami, nad bystrą rzeką górską radośnie szemrzącą, i wziął się raźnie do dzieła. Nie jadł, nie spał, tylko myślał, rysował, obliczał, ale coraz większy go strach ogarniał, że nie wykona zamiaru, coraz więcej spostrzegał trudności. Wstyd mu było króla, wstyd samego siebie; nieraz aż łzy żalu i wściekłości dusił na myśl, że będzie musiał ustąpić przed trudnościami. „Choćby z diabła pomocą, a postawić most muszę” — rzekł wreszcie sam do siebie. A choć wypowiedział to bardziej myślą niż słowy, kusy usłyszał. I już go masz: w czarnym fraku, zręcznie

przykrywającym ogon, w krótkich spodenkach, pantoflach i w peruce, aby mu rogów znać nie było; zjawia się przed murarzem, kłania się kapeluszem i doprasza się do spółki.

Murarz poznał diabła, ale tak zawziął się do roboty, że już na nic nie zważał. Zaczynają rozprawiać o moście, grzeczny jegomość z daleka zatraćca, że na tę i tamtą trudność znajdzie radę, ale chciałby mieć jakąś korzyść ze spółki.

— Czego chcesz? — pyta murarz.

— E, niewiele, na małym przestanę. Gdy most ukończymy, zabiorę sobie pierwszą istotę żyjącą, która po nim przejdzie.

— Zgoda! — zawołał murarz, niewiele myśląc o warunkach, bo aż się palił do roboty.

Jak z bicza trząsał, stanął most, doskonale zbudowany, a murarz napatrzeć mu się nie może, ręce zaciera z radości. Tymczasem kusy usiadł w dolinie nad Prądnikiem i czeka na murarza, który musiał przejść po moście, aby się samemu przekonać o jego dobroci i innym moc jego pokazać. Niecierpliwie rwał się sam do tego i byłby zapomniał o warunku spółki, ale na szczęście przeżegnał się i westchnął z wdzięczności do Boga, aż tu słyszy, jakby nad sobą, głos: „Daj pokój, nie idź!“ Dopiero przypomniał sobie wszystko i złapawszy świnię, która się nawinęła, na most ją wpędził z wielkim śmiechem i uciechą. A diabeł na widok świni, idącej po moście przodem, straszonym się gniewem zapalił. Wzniósł się znad Prądnika, rogiem w most od spodu uderzył, dziurę w nim wybił, biedne zwierzę porwał za nogi i rzucił z wściekłością w dolinę, aż mózg się rozprysnął.

Murarz dziurę chciał naprawić, ale daremnie. Wszystko, czym ją zapychał, waliło się w przepaść, gdy tylko nogę postawił. Całe szczęście, że był ostrożny i nie szedł śmiało, lecz kroku próbował, boby go kusy dostał był w swe szpony. Aż w końcu murarz naprawy zaniechał i w moście została się dziura. Dziwowali się jej ludzie, zjeżdżający się zewsząd, aby most oglądać, i stąd powstało przysłowie: „Potrzebny jak dziura w moście“.



A R D Z O starzy ludzie opowiadali zawsze, że w ruinach zamku w Tęczynie ukryte są skarby. — Ho, ho — powiadali — skarby to są tak ogromne, że gdyby je kto znalazł, to do końca życia by mu wystarczyło na wszelki dostatek. Próbowali więc różni śmiałkowie odnaleźć drogę do podziemi, w których te drogocенności miały być schowane, ale nikt nie ośmielił się wejść bodaj do pierwszej piwnicy. Aż wreszcie, jak powiadają starzy ludzie, znalazł się jeden taki chłopak, który sobie powiedział, że niczego się nie boi, a skarby odnajdzie. I wybrał się do ruin zamkowych.

Noc była wtedy księżycowa, jasna, droga do zamku w Tęczynie łatwa do znalezienia. Chłopiec szedł śmiało i wcale, a wcale się nie bał. Gdy stanął przy wejściu do ruin, zdumiał się ogromnie. Wejście było przystrojone, jakby na jego przybycie, schody wiodące do piwnic wyłożone pięknym czerwonym sukniem, zatknięte w ścianach łuczywa oświetlały mu drogę. Zszedł więc szybko w dół i znalazł się w pierwszej piwnicy.

Było tam pełno cennych szat i drogich sprzętów, a na straży stały trzy duże czarne psy. Warczały groźnie i zdawało się, że lada chwila rzucą się na śmiałka. Ale chłopiec nie zląkł się psów. Zawołał na nie, podszedł bliżej, pogłaskał po ogromnych łbach i psy łasząc się przypadły mu do nóg. Chłopiec rozejrzył się po tej pierwszej piwnicy, ale zaraz spostrzegł, że przez nią przejść można do następnej.

Poszedł więc dalej po czerwonym suknie, którym wysłana była droga przez podziemia, i wszedł do drugiej piwnicy. Pięknie tu było, bo wszystko lśniło od srebra. W beczkach i skrzyniach lśniły srebrne pieniądze, wokoło leżały drogie srebrne naczynia, a na straży tych skarbów stały warcząc trzy ogromne psy, dużo większe od tych, które były w pierwszej piwnicy. I tym razem chłopiec nie uląkł się ich. Śmiało wyciągnął rękę, pogłaskał je i po chwili wszystkie trzy psy łąsiły się pokornie do niego. Rozejrzał się chłopiec wśród srebrzystych skarbów i dostrzegł, że w głębi piwnicy znajdują się wrota, za którymi wiodła wyłożona czerwonym sukniem droga przez podziemia.

Pełen otuchy chłopiec powędrował po czerwonym suknie w głąb tęczynskich podziemi i stanął wreszcie na progu trzeciej piwnicy. Aż oczy przesłonił, taki blask bił od znajdującego się tam złota. Trzy jeszcze większe psy warczały groźnie, a głos ich był tak potężny, że przypominał grzmot wodospadu. Roześmiał się chłopak, psy warczące pogłaskał i szedł po czerwonym suknie, bo droga wiodła jeszcze dalej — do czwartej podziemnej komnaty.

Kiedy wreszcie stanął na jej progu, oczom swym nie chciał wierzyć. Nigdy w życiu nie śniło mu się nawet podobne bogactwo. W piwnicy jasno było jak w słoneczny dzień, takim blaskiem świeciły rozsypane wokoło drogocenne kamienie. Mieniły się tęczowymi blaskami, przepiękne, różnobarwne. Chłopiec zrozumiał, że dotarł do najgłębszej piwnicy tęczynskiego zamku, że oto znalazł skarby, o których opowiadali ludzie z okolicy. Już miał się schylić, aby wziąć garść drogocennych kamieni, gdy naraz zobaczył tuż przy swoich nogach pełzającego węża. I tak się tego węża przestraszył, że aż krzyknął. A zaledwie krzyknął, zgasły wszystkie klejnoty, wokoło zrobiło się ciemno i strasznie, nie było już jasnego światła ani drogi wysłanej czerwonym sukniem. Chłopiec po omacku, z trudem odnalazł drogę do wyjścia, ale już nigdzie w żadnej piwnicy nie było skarbów. Były to bowiem skarby, które mógł zdobyć tylko ten, kto nie znał strachu.

I już od tego czasu nikt i nigdy nie szukał skarbów w ruinach tęczynskiego zamku.

MARIA KRÜGER



1

R Z Y B Y S Ł A W, stary i dzielny żołnierz, wśród nieszczęść i ofiar dla kraju postradał cały swój majątek, składający się z kilku pięknych wsi, w proszowskiej ziemi położonych. Z całego dziedzictwa pozostał mu tylko stary drewniany dworek tulący swą ubożuchną strzechę u stóp wyniosłej góry. Ale Przybysław mężnie znosił utratę majątności, żył samotnie, dzieląc swój czas między uprawę maleńkiego ogródka a staranne pielęgnowanie jedyne go swego przyjaciela — konia Białonóżki. Za dni młodości, kiedy Przybysław posiadał wielki majątek, liczną służbę, zbiegało się wtedy do niego liczne grono przyjaciół podzielać z nim rycerskie zabawy. Przybysław chętnie wszystkich przyjmował, a liczne stado pięknych jego koni zawsze było na usługi znajomych.

Z czasem, gdy wojenne wyprawy wyczerpały majątek Przybysława, a nieszczęścia krajowe pozbawiły go reszty fortuny, odlecieli słudzy, rozpierzchli się przyjaciele i z wszystkiego pozostał tylko wierny koń bojowy, który przeżył ze swoim panem niejedno niebezpieczeństwo. Szlachetne to zwierzę piękną swoją kształtów, składnością ruchów, wielkim nad podziw rozumem i przywiązaniem do pana — zadziwiało wszystkich. Nieraz więc prawdziwi amatorowie koni odwiedzali Przybysława w jego samotni i ofiarowywali znakomite sumy za pięknego rumaka — sumy, za które można by było parę folwarków z korzyścią nabyć. Ale Przybysław odrzucał wszystkie ofiary, posta-

nowiwszy nie rozłączać się aż do śmierci ze swoim, jak go słusznie nazywał, jedynym przyjacielem.

Pieścił go też i pielęgnował Przybysław najczulej. Wystawił dla Białonóżki czyściutką i ciepłą stajenkę u stóp góry i sam mu dawał owsa i czystej krynicznej wody. Koń przywiązał się do niego i chodził za nim jak pies. Bywało, Przybysław wyjdzie na wysoką górę, co się nad jego dworkiem wznosi, i zagra na rogu dawną pieśń wojenną — a jużci Białonóżka wybiega rżąc radośnie ze stajni i obcesem bieży na górę do swego ukochanego pana.

Pomiędzy kupcami dobijającymi się o kupno tego pięknego konia najgorliwszym był pewien węgierski magnat, który, zasłyszawszy o sławie Przybysławowego rumaka, przybył umyślnie aż w te strony. Koń podobał mu się nad wszelki wyraz i magnat wielkie ofiarowywał Przybysławowi sumy, ale rozumie się bezskutecznie, dzielny bowiem ten wojownik ani słyszeć o sprzedaży bojowego przyjaciela nie chciał.

Chytry Węgier, widząc, że prostą drogą nie osiągnie zamierzonego celu, a pałając żądzą posiadania rumaka, chwycił się niegodnego podstępku. Zwabił więc Przybysława na rycerską ucztę i w starym miodzie zadał mu usypiające krople, a korzystając ze snu wojownika, wprowadził z sobą do Węgier dzielnego Białonóżkę. Rumak opierał się gwałtowi z całych sił, ale wędzidło i ostroga przemogły — i smutny koń w obce zawleczony został strony.

Możemy sobie wystawić rozpacz biednego Przybysława, gdy się ze snu obudził i nie znalazł swego ukochanego przyjaciela. Pragnął on zrazu pędzić na Węgry, lecz gdzież ubogiemu upominać się u bogacza o swą własność, i to w cudzym kraju. Zesmutniały więc i strapiiony, zdał jednak na wolę bożą swoje zmartwienie, przyjmując je jako jedną jeszcze próbę w ciągu żywota zesłaną. Modlił się tylko i oczekiwał już samotny śmierci.

Na rozległych równinach nad Sawą, pośród bogatych pastwisk, tęskni Białonóżka do swego starego pana, do łąk proszowskich. Ani przymilenia węgierskich jeźdźców, ani swobodne bujanie po stepach

nie może z pamięci biednego konia wyrugować pieszczot żołnierza, czystego owsa i źródlanej wody. Często Białonóżka w najweselszym pląsie stada smutnie staje, zwiesi łeb i jakby duma o dalekiej stronie i dalekim panu.

Sława dzielnego rumaka nie była urojona. Przyciągał on pięknoscią kształtów, bystrością oka, szykownością nie tylko oko ludzkie, ale wywierał i na inne konie wpływ szczególny. Wkrótce też w tabunie wszystkie ustąpiły mu pierwszeństwa i on został przewodnikiem. Czasami tabun rozhuka się na szerokim stepie, a na czele buja Białonóżka; ale wnet, gdy on zarży, konie zbierają się posłusznie w gromadę i tam dążą, gdzie pędzi przewodnik. Wszystko to budziło niemały podziw w ludziach.

Tak minęło dwa lata.

Jednej czerwcowej nocy... spoczywało stado końskie wśród obszernej równiny, bardziej ku Karpatom podanej. Dozorujący czikosi zasnęli snem spokojnym, bo i czegoż mieliby czuwać, gdy stadu przewodzi Białonóżka. Cóż mu się złego stać może?! Ale Białonóżka dziś tęskni dzień cały, z lekka szczypie trawkę na bogatym pastwisku i jakby rozumne stworzenie czeka nocy. Gwiazdy prześlicznie wypłynęły na szafir nieba i księżyc lekko ozłocił wysokie Karpat szczyty. Białonóżka lekko zarżał i stado zbiegło się do niego. On obiegł tabun wokół i runął na jego czele w drogę. Popędził na północ do ojczyzny, a za nim reszta stada.

Kędy suną się konie, dziwią się ludzie niepomąłu temu zjawisku; ale któż je wstrzyma w drodze? Roztrąca, roztratują i dalej pobiegą — a na czele Białonóżka pędzi i rży coraz radośniej, bo coraz bliżej ojczyściej strony.

W proszowskiej ziemi wiosna roztacza swoje powaby. Łąki pokrywają się kwiecistym kobiercem, wody spływają wartko ku morzu, pracowite pszczołki kręcą się około swojej roboty, a bocian klekocze wesoło na drzewie. Wszystko to dawniej radowało skołatane serce Przybysława. Ale dziś, gdy ostatniego, prawdziwie wiernego utracił

przyjaciela, cóż go to może obchodzić. Więc smutny i zadumany wyjdzie z nałogu na wysoką górę i tam szepcząc pacierze duma o tym, co minęło, a zapewne nie wróci: o utraconej ojcowiznie, spustoszonych przez wrogów włościach, o rozpierzchnych przyjaciółach, aż i na koniec o swoim Białonóżce. Ciężko się na piersi robi starcowi, więc wzdycha.

A tymczasem słońce jasną swą głowę kładzie do zachodu i czerwonymi promieniami, jak morzem rubinów, zalewa całą okolicę. Starzec wpatrzył się suchym okiem w tę konającą pochodnię dnia i zamyslił głęboko, nie zważał więc na coraz to bliższy tętent, który dudnił po drodze. Nareszcie słońce ostatkiem promieni musnęło wyniosłą górę, a u stóp jej stanęło stado, a na jego czele dzielny Białonóżka.

Poczuł piękny rumak ojczystą zagrodę i obecność pana... więc zarży radośnie. Dosłyszał to Przybysław, ale nie wierzy swoim uszom, aż tu i Białonóżka w pędzie staje przed nim. Zerwał się starzec, przeciera oczy wątpiąc, czy śpi, czy czuwa. Lecz tak... Białonóżka... a za nim stado pięknych rumaków. Objął więc stary żołnierz wiernego konia za szyję i uściskał serdecznie szlachetnego przyjaciela. A Białonóżka rżał i grzebał kopytem radośnie.

Zbogacony przybyciem stada Przybysław odzyskał swą ojcowiznę, przyjaciół i znajomych — a na podziękowanie Bogu i pamiątkę tego zdarzenia kościół wystawił na wysokiej górze, która nazwę Koniuszej przybrała.

Tak więc miłość nawet bezrozumne zwierzęta podbija!

ADAM WIŚLICKI



S I E D E M dni Pan Bóg stworzył świat, a potem stwarzał różne kraje ze wszystkim, co było potrzeba. Właśnie utworzył był kraj węgierski, dolinę żyzną, przeciętą rzekami; a gdy trafiły się zbocza, to chylił je ku południowi, by na nich wino rość mogło. Za czym zbliżył się ku stronie, gdzie miała być Polska. Postanowił ją jeszcze bogatszą uczynić przez to, że różne na jej obszarze umyślił założyć ziemie.

Właśnie kiedy zaczął Podhale budować, przechodzący мимо anioł zawołał: „Szczęść Boże!” Pan Bóg uśmiechnął się: miał bowiem w myśli obraz przebogatego Podhala. Ośmielony stróż niebios zbliżył się ku Panu Bogu i przyzierał chwilę jego pracy. A widząc, że to wcale nie taka trudna sztuka, zapragnął sam popróbować.

— Odpocznij — rzecze — Panie mój, a ja przez ten czas za Ciebie się potrudzę.

— Żebyś to mógł dać radę!

— Nie dam rady? — uniósł się anioł w honorze. — Zezwól, Panie, a ujrzysz, że nie gorsze potrafię zbudować kraje niż te, co spod Twojej wykwitły ręki.

Stwórca świata uśmiechnął się na to pobłaźliwie.

— Jeżeli chcesz koniecznie (umiłowanemu aniołowi czegoś by w dobroci ojcowskiego serca nie ustąpił?), jeżeli chcesz koniecznie

spróbować, to możesz kończyć tę ziemię tu oto, którą zacząłem budować. (Sądził Pan, że co dobrze zaczęte, to nie tak łatwo zepsuć). A ja tymczasem przejdę dalej.

I przeszedł Pan Bóg w stronę ku północy, aby nowe tam ziemie ukształtować. Miało to być Proszowskie i Sandomierskie. Niedługo to wcale trwało (bo cóż dla Boga trudnego?), jak był z ziemiami tymi dwiema gotów. Zawołał tedy do anioła:

— Jużś skończył swą pracę?

— Już! — odkrzyknął anioł.

— To chodź, przypatrz się moim ziemiom.

Anioł przyleciał na skrzydłach i już z góry wykrzyknął: „Ach!” — bo też było się czemu dziwić.

Ziemia proszowska jak dywan wzorzysty, rozkoszna, barwna równina, przetykana kępami sadów, ruczajami. Sandomierska, wyższa nieco, pofalowana w doliny i wzgórza, chyliła się łagodnie ku słońcu południa i zdawała się grzać w jego promieniach. Wstęga Wisły szeroko zataczała błękitne półkola pomiędzy złotymi wzniesieniami. Bo gdzie okiem rzucić, tak w Proszowskie, jak i Sandomierskie, wszędy widne były, na wzgórzach i w dolinach, złote łany pszenicy. Mogło wydawać się patrzącemu, że pożłota prawdziwa ze słońca na dwie te ziemie spada. Widać Pan Bóg chciał je szczególnie szcudrze obdarzyć.

Kiedy anioł dość się już temu nadziwował, rzecze Pan Bóg:

— A teraz zobaczymy twoje Podhale.

Anioł, dumny ze swego dzieła, cieszył się już naprzód pochwałą Boską i wyprzedzał Pana krokiem niecierpliwym. Skoro stanęli na miejscu, Pan Bóg aż oczy przetaił, przestraszony, nie mogąc uwierzyć temu, co ujrzał.

— Coś ty tu porobił? — zakrzyknął.

Anioł sam się też zdumiał i strwożył wielce. Co innego bowiem zastał, niż pozostawił.

Przystępując do pracy, wyobraził był sobie, że nic lepszego ziemi dać nie może jak dużo, dużo ciepła. Przeto zebrał niesłychaną ilość kamieni, głazów i skał, spiętrzył je w wysokie góry aż ku niebu, ziemią

z lekka jeno przyprószywszy, w tym przekonaniu, że gdy je tak ku słońcu wysoko wydzwignie, to gorąco samo wszystko sprawi i kraj żyznością zakwitnie.

Aliści pod ten czas, kiedy w Sandomierskiem bawił, przyszła ulewa okrutna, strugi wody splukały ziemię ze skał, zniosły ją na dół wyrwami potoków. Oczom teraz ukazały się groźne, spiętrzone ściany skalne, o nagich, w niebo wystających szczytach, o żlebach* czarnych i przepaściach, wyżej kosodrzewiną zmarniałą, a dołem ciemnią smrekową odziane, dzikością surową tchnące, no, jednym słowem, Tatry. A zaś na niższych stokach i pogórzach, gdzie woda nie zdołała ziemi splukać, ścieliły się tylko mchem zarosłe, pustynne hale lub zieleńiły się tu i ówdzie płaty lichego owsa.

— Coś ty za myśl miał — zobaczywszy to wszystko rzekł do anioła Pan Bóg — żeś tak tę ziemię ukształcił?

— Chciałem ją, Panie, podnieść tak wysoko — tłumaczył się strapiiony anioł — żeby więcej ciepła słonecznego dla niej uzyskać.

— A przez to właśnie chłód jej sprowadziłeś. Ten nawet licheski owiesek, co na niej rodzić się może, zanim podoba dojrzeć, mróz zentnie. Tak, tak — zadumał się nad Podhalem Pan Bóg — będzie to przez twój nierozum kraj chłodu i głodu. Już się to nie da odrobić.

— Nie trap się, Panie — przystąpił z otuchą anioł. — Ja temu jeszcze zaradzę. Pozwól mi tylko, żebym tu ludzi utworzył, zobaczysz, jak sprawią te łąki marne, jak pokryją zbocza skalne uprawną rolę.

— Co to, to już nie! — rozgniewał się Pan Bóg. — Chcesz się bawić, to możesz iść Sandomierzan albo też Proszowian stwarzać, którym przygotowałem kraj żyzny, bogaty. Ale górala pozostaw już mnie.

I sam Pan Bóg wydumał tedy górala: o rosłej, śmigłej postawie, o nogach jak ze stali, o oczach bystrych, orłowych, o umyśle lotnym, przedsiębiorczym, o zaciętości niezwyklej, energii i sprycie — aby mógł na tej biednej aniołowej ziemi dać sobie radę.



JAK POWSTAŁY KARPATY

D A W N Y C H, praprapradawnych czasach najbliższym sąsiadem ziemi krakowskiej było Królestwo Olbrzymów. Mieszkańcy tego kraju nie byli olbrzymami, ale rządziło nimi siedemdziesięciu siedmiu wielkoludów. Na ich czele stał król, który był największym wielkoludem. Tych siedemdziesięciu siedmiu olbrzymów miało niezwykłą moc. Jeśli który z nich powiedział słowo „tak“, to natychmiast wyrastała z ziemi wielka skała, a jeśli wymówił słowo „nie“, w tej samej chwili otwierała się głęboka przepaść. Taki to już był dziwny i zaczarowany kraj. Był to też kraj pełen dostatku, bogaty. Ale kiedyś, gdy zebrała się wielka królewska rada siedemdziesięciu siedmiu olbrzymów, jeden z nich poddał myśl, aby powiększyć królestwo.

— Zagarnijmy ziemię krakowską — rzekł.

Król skinął głową przyzwalająco i tylko jeszcze zapytał resztę panów z rady o zgodę. A wówczas wszyscy oni odpowiedzieli jedno-głośnie:

— Tak!

Ledwie zaś wypowiedzieli to słowo, siedemdziesiąt siedem gór z ogromnym hukiem wydobyło się z ziemi. A tak były wysokie, że szczyty ich ginęły w obłokach.

W tejże samej chwili owi panowie rada, z królem na czele, za to, że chcieli zabrać cudzy kraj, utracili swoją czarodziejską moc.

Zniknął i zamek królewski, a zasiadający w radzie olbrzymi w okamgnieniu zaczęli się kurczyć. Ciała ich jęły pokrywać się łuską. Nie minęło wiele czasu, gdy z całej rady olbrzymów zostało tylko kłębowisko wężów na szarej, skalistej ziemi. Jedynie król jaśniał pośród nich srebrną łuską i diamentowym czubem.

Niewielkie było teraz jego wężowe królestwo — rozciągać się miało tylko tak daleko, jak daleko sięgnąć mógł wzrokiem, aby dojrzeć krzątających się przy pracy na polu ludzi i rozróżnić, którzy z nich mają na sobie szare, a którzy białe gunie.

Wszystko to wydarzyło się przed wieloma wiekami. A potem całe królestwo wężowe porosło lasem smreków i zmieniło się w nieprzebytą puszcę, która po dzień dzisiejszy przetrwała. Nad ową zaś puszcza ciemniejszą, słowem olbrzymów z głębi ziemi wydobyte, szczyty górskie, nazwane później Karpatami. Powiadają też ludzie, że onże srebrnołuski król wężów usiłuje z trudem wielkim wczołgać się na te szczyty, aby patrząc z góry na swe królestwo, jak największą jego połąć wzrokiem ogarnąć i przez to jak najrozleglejszym je uczynić. A zaś na wierchach, przez które wężowy król się przesunął, żadna drzewina nigdy nie urośnie, tylko skały lśnią jego srebrzysto-diamentowym śladem.

MARIA KRÜGER



I D Z I C I E te skały a turnice! Hań!
Nie było tego drzewiej*, a jeno wszędy
zboża się złociły — owies po pas, a pszenica to juści taka, że chłopa
w niej byś nie uwidział. Lasy były też nieprzeniknione, jako i teraz. Hej!

Tu, gdzie te kamieniska a piargi*, przemieszkiwał w czasach sta-
rodawnych wielmożny pan, wojewoda czy hetman, a zwał się: Morski.

Majątki ogromne miał, pola i bory, a wszystkie te dobytki prze-
znaczył dla córki, którą, że była jedyniaca, sierdziście miłował.

— Kocham cię też — powiedział do niej — i jakie są skarby na
świecie, nic one dla mnie przy tobie nie znaczą. Uczynię wszystko
dla ciebie, dziewczko moja, ale na jedną rzecz to juści bym nigdy nie
zezwoił: nie pójdziesz za człowieka obcego rodu, choćby i sam ksiązę
albo i król był, a jeno za swojaka.

Tak jej, tej córce swojej, powiedział pan Morski. Hej!

A wiecie, o granicę, o miedzę siedział na swym gnieździe węg-
gierski ksiązę albo i król, który, ujrzawszy raz przepiękną córkę pana
Morskiego, upodobał se w niej do znaku* i sumitował się, jako że
bez niej żadną miarą żyć już nie może i za żonę mieć ją musi.

Słał ci też posły za posłami, ale pan Morski twardą duszę miał.

— Daremne — powiada — zabiegi i wszelkie starania, bo jak kto kraj swój umiłował, to tego, co mu jest najdroższym, obcej ziemi nie odda. — Tak mówił. Hej!

Co się nie zdarzyło: wybuchła wielka wojna.

Nie wiedzieć — Tatarzy czy Niemce najechali kraj, palili a kradli, ludzi na pal wbijali, jak kto hyrny* był, a ulec im nie chciał, albo pędzili w jasyr, w niewolę.

Trzeba się było wojewodzie pokwapić, chmarę narodu zebrać, uzbroić w kolczugi a miecze, pancerze żelazne dać i z nimi ruszyć na wroga, ażeby czuł, iż są ludzie rycerni na świecie, którzy swej ziemi bronić udzierzą. Hej!

Tak też uczynił, jako że rad był i mocen dopomóc ojczyźnie, a córkę, iżby węgierskiego gagatka oko za nią nie mierziło, zamknął w klasztorze.

Zasię na odjezdnym wielkim przekleństwem jej zagroził, jeśliby dla przestrogi ojcowskiej posłuch zatraciła.

A on ci cudzoziemski pan korale i różne klejnoty dziewce przekazował, srebrne zamczyska i złociste komnaty zbudować przyrzekał, a czarownice-cyganichy takie rzucały na nią uroki, że córka pana Morskiego wolę rodzica podeptała i na ucieczkę z klasztoru zezwoliła.

Sam ów książę po nią przybył, na mnicha się przeobraził, do wrót klasztornych zapukał i o schronisko poprosił.

A kiedy wszystko w klasztorze posnęło, a czarownice nieczystymi zamówieniami psy do milczenia zmusiły, książę pannę uprowadził, zaraz się z nią ożenił i w pałacu koralowym, między złoto a drogie kamienie, osadził.

Było im wespół bardzo dobrze. Żyli w szczęściu dzień za dniem, rok za rokiem; siedmioro dzieci mieli, a wszystkie jak anioły.

Że zaś rodzic z wyprawy wojennej nie wracał, a wieści szły po okolicy, iż zginął, tak księżna, o przekleństwie zapomniawszy, żadnemu frasunkowi przystępu do swej duszy nie przyznała, jeno w pieszczotach z dziećmi będąc, po łąkach kwiecistych, niby sarna, biegać i tańczyć lubiła.

A pod wieczór wróżki przeróżnymi gadkami i opowieściami do słodkich snów tę szczęśliwą księżnę tulily. Sny-ć były przesłodkie, ale nie wieczne. Hej!

Bo wiecie, jednego razu, jako że Panjezusowi wiadomo, co robić, a wszelkie nieposłuszeństwo i zdrada ukarane być muszą, wojewoda w wielkiej sławie w dziedzinę swoją zawitał i o córkę przepytywać począł.

O mało-ć mu serce z bólu nie pękło, gdy mu słudzy a domownicy koralowy pokazali pałac. W bisiorach i klejnotach, w perłach i złocistych zausznicach, jakich nasi nie widzieli nawet w Budzinie* czy Kieżmarku*, wyszła córka naprzeciw niemu, aby go pozdrowić i szczęśliwością swoją się pochwalić.

Ale on, stary Morski, jako że się dochował — mówię wam — nie królowny Wandy, jeno plemienia, co sobie umiłowalo obcego człowieka, zagrał, niby surmą wojenną, strasznym gniewem: przeżegnał się i nogą tupnął z taką mocą i potęgą, że zamek koralowy w proch a gruz się w te tropy rozsypał. Hej!

I wraz przeraźliwym a obiecany zagrzmiał przekleństwem, niby ta skała, kiedy się z Koziego albo z Buczynowych oberwie i w przepaść z hukiem a trzaskiem runie, że niech się też wszystko w kamień obróci, łany, grody i cały dobytek cudzoziemca. Hej!

A kiedy córka wywiodła mu i dzieci, iżby zapalczywość jego przebłagały, on na to nie miał żadnego baczenia, tylko jeszcze gwałtowniejszym zaszumiął poświstem, nijak ten halny wichr, co bory kosi niby trawę i, pohamować się nie mogący, powiedział:

— Ni ty moja córka, ni to wnuki Morskiego! Rozpłyn się w własnych łzach, a dzieci twe niech się w nich potopią!

Tak ją przeklął ten starzec. I wszystko od razu w kamień się obróciło.

Wyrosły te góry — i Żabie, i Rysy, i Mięguszowiecki, i Cubrzyna, i Wrota, i Miedziane, i wszystkie te, co je widzicie naokoło.

A ta haw! turnica, co się nazywa Mnich, powstała przez to, że ów węgierski książę, przerażony, za mnicha się przebrał, jak ongi, kiedy u wrótni klasztornych dziewczki się dopukiwał, i uciec

chciał, ale przekleństwo miało kroki bardziej wartkie i drogę mu zastąpiło.

Widzący to, pani do wróżek w strasznej rozpaczycy o pomoc szła, ale te niczego uradzić nie mogły, jeno każda, po jednym dziecku porwawszy, uciekać poczęła.

Ale kamienie rosły, że przejścia już żadnego nie było. Wróżki z onymi dzieciętami siadły i pewnej śmierci czekały.

Nic naokrag nie usłysznales, tylko jęki, płacz i żalowanie, że ginąc z żalości. Dzieci matki nawoływały, a onać, nadbiegłszy, płakała z nimi i płakała, jak ta Siklawica*, co z szumem spływa ku Roztokom.

I, wiecie, z tych łez zrobiło się siedem stawów, a rosły tak, że się one niewiniątka w nich potopiły — w każdym stawie jedno dziecko leży.

A księżna, chcąc uciec przed rosnącą tą wodą, schroniła się na wielką turnię, na Rysy, i tu oczy do cna wypłakała.

Jedno z nich spłynęło z wierchu — wiecie, tym żlebem, gdzie teraz zalega śnieg wieczysty, i utworzyło staw, który, że powstał z oka córki Morskiego, od tych czasów Morskim Okiem się zowie.

W żalu nieopisanym księżna wszystkie swe skarby i klejnoty w jezioro rzuciła, bo już jej były na nic. Ludzie je pono wyłowili, te skarby, ino że im szczęścia nie przyniosły.

A potem, gdy już na świecie nie było nic, tylko góry i wody, sama się w jednym z tych stawów, które tu widzicie, rozplynęła.

Czarna jest woda w nim, bo pani w czarnej żalobie na śmierć szła.

Słychać ci tu nieraz jęki i narzekania, ale dla duszy tej znikąd ratunku nie ma, zaś kto by się nad nią litował, od razu w zaspach śnieżystych zginie na wieki. Hej!

JAN KASPROWICZ



A Z S T U D E N T szedł ze szkół na wakacje do domu. Przechodząc przez wielki las, zabłądził i noc go tam zaskoczyła; nie mógł się w żaden sposób z tego boru wydostać. Wlazł wreszcie na wysokie drzewo i patrzył na wszystkie strony, czy końca lasu nie ujrzy. Spostrzegł w oddaleniu światelko, rzucił czapkę w tym kierunku, ażeby drogi nie zmylić, a zlazłszy z drzewa, poszedł za czapką i trafił do małej chatki. W oknie błyskało światelko i student wędrowny obaczył siedzącą w chacie staruszkę. Otworzył drzwi, wszedł do izdebki, a stara go zapytała.

— Coś ty za jeden i czego tu chcesz?

— Szedłem do domu ze szkół i zbłądziłem w lesie; proszę was, matko, przyjmijcie mnie na nocleg do waszej chatki. Nazywam się Janosik.

— Nie mogę ja ciebie przyjąć na nocleg — odrzekła stara — bo jak przyjdzie starsza moja siostra, to cię z pewnością zabije.

Poznał z tych słów staruszki, że trafił do mieszkania czarownic; nie uląkł się jednak i odpowiedział:

— Niech się już co chce dzieje, nie odejdę stąd, jestem zmęczony i muszę tu przenocować.

Widząc czarownica, że nie ma z nim rady, zawołała młodzieńca do wieczerzy, a gdy zjedli oboje, schowała go za piecem. Wkrótce wleciała oknem na miotle starsza siostra, zaczęła nosem kręcić i zawołała:

— Ej! Musi tu być gdzieś człowiek schowany w chacie?

— A co! Wychodź, Janosik! — wykrzyknęła młodsza. Musiał więc rad nierad wyjść z ukrycia.

— Siadaj ze mną do wieczerzy — powiedziała starsza czarownica; on zasiadł z nią do stołu, a gdy zjedli, stara rzekła:

— A teraz ruszaj stąd, jeżeli ci życie miłe; bo jak powróci najstarsza nasza siostra, zabije cię niezawodnie.

A on i teraz się nie zatrwożył.

— Nie pójdę nigdzie i tu nocować będę — odparł i za piec odszedł.

Przyleciała trzecia siostra, najstarsza, i zaraz zawołała tak samo jak i średnia:

— Oj! Gdzieś tu człowiek musi być schowany?

Znowu musiał Janosik wyjść ze swej kryjówki; zaprosiła go najstarsza czarownica na wieczerzę, a gdy zjadłszy spać się położył, one wszystkie trzy naradzać się zaczęły, co z nim zrobić? Ale chłopak nie spał, udawał tylko i słyszał wszystko, co mówiły.

— Położmy mu węgiel gorejący na żywe ciało — powiedziała jedna z sióstr — jeżeli ból zniesie i nie przebudzi się, to będzie z niego człek wytrzymały.

Jak rzekły, tak uczyniły: położyły mu na żywym ciele węgiel rozpalony; on się nie poruszył, ból znosił w milczeniu, póki węgiel nie zgasł. Czarownice wówczas powiedziały:

— Będzie z niego człek dzielny i wytrwały; warto, żeby został zbrojnikiem. Musimy go oporządzić jak należy do tego rzemiosła.

— Ja mu dam ciupagę — rzekła jedna.

— A ja koszulę — mówiła druga.

— A ja pas — dodała trzecia.

Z dalszej rozmowy czarownic dowiedział się Janosik, że na tej ciupadze, jak się uniesie, trzy mile przeskoczy, a w koszuli i pasie mieć będzie nadzwyczajną siłę. Najstarsza czarownica, co koszulę mu

zyć miała, z wieczora zaraz zasiała na nią konopie — a na rano już i koszula była gotowa. Gdy wstał Janosik, trzy siostry oddały mu te dary, mówiąc:

— Nie będziesz ty uczonym ani księdzem, ino zbójnikiem. Oto masz ciupagę; jak się na niej uniesiesz, to trzy mile przeskoczysz; ona cię obroni od wszelkiego niebezpieczeństwa. W tej koszuli i pasie będziesz miał znów siłę nadzwyczajną. Ale żebyś był zbójnikiem nad wszystkimi zbójnikami, musisz najpierw własnego ojca zrabować.

Odszedł Janosik, zabierając ze sobą ten strój nowy, nie wziął go jednak na siebie, tylko schował w zawiniątko, a w mundurze swoim studenckim przybył do ojcowskiej chaty. Smutny był i zamyślony przez dzień cały; wieczorem ojciec powiedział, że się wybiera nazajutrz na kiermasz* i bierze z sobą sto pięćdziesiąt złotych reńskich, bo woły kupić potrzebuje.

— Ej! Nie idźcie, tatusiu — rzekł mu Janosik — żeby was zbóje nie zrabowali.

— Oho! — odparł ojciec. — Może byś ty się dał zbójom zrabować; ja się ich nie boję.

— Zobaczymy — szepnął Janosik.

Ojciec poszedł, a on w kilka godzin później ubrał się w swój mundur zbójcki, od czarownic otrzymany; siadł na ciupagę, w lot ojca dogonił, zaszedł mu drogę w lesie, ciupagą o ziemię stuknął i zapytał:

— Gdzie idziesz?

— Po woły — odrzekł stary, a ledwo mówić mógł ze strachu.

— Dawaj pieniądze! — krzyknął, a stary w tej chwili mu je oddał.

— Czy wszystkie? — spytał Janosik.

— Wszystkie — odpowiedział ojciec — nawet na drogę nie będę miał ani grosza.

Więc dał mu Janosik parę groszy na drogę i w las umknął z pieniędzmi — potem znów na swojej ciupadze w lot do domu powrócił; ojciec przywłókł się ledwo wieczorem. Nie poznał on rodzonego syna

w zbójckim mundurze; w chacie zastał go znów ubranego po studencku, siedzącego spokojnie, jakby nigdzie nie wychodził. Rzekł więc do niego z żałością wielką:

— Dobrześ ty mówił, synu; szkoda, że cię nie słuchał.

— A cóż to się wam przytrafiło, tatusiu?

— Oj, to mi się przytrafiło, że zbójnik jakiś zaskoczył mię w lesie, pieniądze zabrał: parę groszy mi tylko zostawił na drogę.

— Widzicie, tatusiu, mówiłem wam, żebyście nie szli, bo was zrabują, i tak się stało. A czyście się przypatrzyli owemu zbójnikowi? Czybyście go poznali?

— O, poznałbym od razu; taką miał na sobie straszną koszulę i pas okropny, a w ręku ciupagę ogromną.

Janosik ukrył się w komorze, wziął na siebie mundur swój zbójnicki, wszedł na powrót do izby i zapytał ojca:

— A czy ten zbójnik nie tak czasem wyglądał?

— Ach! Tak samo! — zawołał stary.

On się roześmiał, oddał ojcu pieniądze, a potem powiedział:

— Już ja nie będę uczonym ani księdzem, do szkół nie powrócę, ino na zbója pójdę. Bywajcie zdrowi, tatusiu!

I ruszył w góry. Dobrał sobie wkrótce pomocników i towarzyszy; miał pod sobą dwunastu zbójników — a chociaż żaden Janosikowi dorównać nie mógł, wszyscy jednakże musieli się czymś nadzwyczajnym odznaczyć, ażeby on ich przyjął pod swoją komendę. Każdemu kazał wprzód próby odbywać i różnych sztuk dokazywać w swojej obecności.

Jeden na przykład podskakiwał do wierzchołka wysokiej jodły i ścinał go szablą albo z pistoletu odstrzeliwał. Drugi łamał w ręku pnie drzew najgrubszych, trzeci kruszył w garści najtwardsze kamienie. Janosik sam to wszystko robił z łatwością; nieraz dla zabawki, jak skoczył, ręką chwycił wierzchołek największego smreka. Są jeszcze w niektórych chatkach obrazki na szkle malowane, przedstawiające te nadzwyczajne sztuki [...] Stałe mieszkanie obrał on sobie w Liptowie; tam w lesie ukrywał się ze swoją bandą i w okolicy na zbójckie wyprawy się puszczał.



Janosik rabował tylko bogaczy, ubogim nigdy krzywdy żadnej nie czynił, przeciwnie, wspomagał ich często i hojnie pieniądze rozdawał. Jeżeli spotkał górala, co szedł na kiermasz, a mało miał pieniędzy, to mu dodał. Raz czterysta reńskich dał biedakowi na kupienie wołów, że zaś tak drogie bydła nie było, więc najlepsze woły kupił i jeszcze mu 100 reńskich zostało. To znów obaczywszy staruszkę bosą, dał jej pieniądze, aby sobie buty kupiła; lecz srodze się rozgniewał, gdy tego przez skąpstwo nie zrobiła i z kiermaszu znów boso wracała. Tak okropnie jej wygrażał, że stara o mało nie umarła ze strachu i byłaby wołała danych pieniędzy się wyrzec.

Raz posłał do pewnego bogatego pana, zapowiadając, że przyjdzie do niego na obiad z dwunastoma swoimi kamratami, więc żeby wszystko dla nich przygotowano. Pan odpowiedział, że bardzo dobrze, czekać będzie Janosika i towarzyszy jego z obiadem. A tymczasem kazał zwołać z całej wsi swojej, a nawet z okolicznych wiosek najsilniejszych ludzi, uzbroił ich w kije i tak czekali, sądząc, że łatwo Janosika pokonają. Nie wiedział ów pan o jego czarodziejskiej sile, o koszuli, o pasie i ciupadze, darowanych przez trzy czarownice.

Jak tylko nadszedł Janosik, zaraz spostrzegł, jaka zdrada przeciw niemu była uknuta; ale poradził sobie: wywinął tylko ciupagę i połowa napastników padła na ziemię. Potem chwycił wozy i bryczki, przez pałac przerzucił, przebiegał na drugą stronę i chwycił w lot. Dużo napędziwszy strachu, zabrał panu, co miał pieniędzy w domu, i odszedł do lasu.

Doszły na koniec te sprawki Janosika aż do uszu cesarza we Wiedniu: mieszkańcy Liptowa ciągle na niego zanosili skargi, więc cesarz wysłał cały pułk żołnierzy, aby go schwytali. Nie ukrywał się Janosik przed nimi, lecz śmiało stanął ze swoją ciupagą naprzeciw żołnierzom uzbrojonych w broń palną. Oni strzelali, a on kule chwycił w powietrzu i na nich ciskał, bo czarodziejska koszula nie dopuszczała kul do niego. Potem wypuścił ciupagę, wołając tylko:

— Ciupaga, bij!

Ciupaga tak biła i rąbała na wszystkie strony, że pułk żołnierzy uciekł w końcu w popłochu.

Innym razem zdrajca jakiś zaszedł Janosika w chwili, gdy klęcząc pacierze odmawiał. Stanąwszy z tyłu, strzelił zdrajca do niego, bo nie wiedział, że on się kul nie obawia. Gdy jednak kula nie dosięgła go i odskoczyła, strzelił raz drugi — a gdy i tym razem odskoczyła, zdrajca przestraszony uciekać zaczął, lecz Janosik tymczasem ukończył pacierze, dogonił go i zabił.

Raz cesarz z drugim królem wydali sobie wojnę i w końcu na tym stanęło, że dwaj rycerze, z obu stron wybrani, mieli się potykać w pojedynku i trzy wojny rozstrzygnąć. Posłał tedy cesarz po Janosika, aby po jego stronie stawał. Przybył do Liptowa pułk huzarów: pięknego konia dla niego przyprowadzili, szukali go wszędzie, pytali, gdzie Janosik mieszka, a ludzie im pokazali, że w lesie. Poszli do lasu, spotkali samego Janosika, ale go nie poznali — i znów pytają, gdzie mieszka. On chwycił drzewo, wyrwał je z korzeniami, pokazał i powiedział, że to jest jego mieszkanie. Domyślili się, że to on sam stoi przed nimi, opowiedzieli, czego żąda od niego cesarz, i podali mu konia.

Ale on nie chciał konno jechać, rzekł im tylko:

— Ja tam prędzej będę od was!

I w rzeczy samej, w trzy dni po nich wyruszył na swojej ciupadze, a już go na miejscu zastali, gdy przybyli, i zaraz prowadzili do cesarza. Chciano mu dać zbroję żelazną i pancerz, szablę i wierzchowca pięknego przygotowano — lecz on nic z tego wszystkiego nie chciał; ciupagę wziął do ręki i szedł pieszo naprzód, a za nim cesarz z całym wojskiem. Tak przyszli na plac boju, gdzie czekał nieprzyjaciel, i rycerz, co miał stanąć do pojedynku z Janosikiem, wystąpił naprzód. Był on cały zakuty w żelazo i siedział na dzielnym rumaku. Gdy obaczył przeciwnika idącego pieszo naprzeciw niemu, chciał go zaraz zastrzelić z pistoletu lub ciąć szablą; ale Janosik chwycił tylko konia za nogę i noga mu w rękę została, a rycerz, obalony na ziemię, nie mógł już dalej walczyć.

Chciał cesarz zabrać z sobą Janosika, ale on nie miał ochoty iść: powiedział tylko, że już swoje zrobił, a teraz wraca do domu, i skoczył na ciupadze do Liptowa, gdzie mu było najlepiej.

Ale Liptacy sprzysięgli się na niego i w końcu też go zgubili. Wiedzieli, że Janosik ma siłę nadzwyczajną i starali się dojść, skąd ona pochodziła. Udało im się w końcu przekupić kobietę, do której on czasem przychodził ze swoimi kamratami i ucztę wyprawiał. Gdy raz był trochę podchmielony, chytra ta kobieta zaczęła się go rozpytywać, wyciągać na słówka, aż w końcu powiedział jej, że tę siłę czarodziejską daje mu koszula, pas i ciupaga, dary trzech sióstr czarownic.

Tego tylko potrzeba było mieszkańcom Liptowa; zaczęli się w domu tej kobiety i gdy Janosik przyszedł znowu ucztę wyprawiać, a uczęstowawszy się trochę zanadto, spać się położył, oni mu ciupagę wykradli i zamknęli tak daleko, że ją od niego dziesięć drzwi dzieliło. Potem rzucili się na śpiącego, porozcinali na nim pas i koszulę, ściągnęli jedno i drugie; zaraz też Janosik wielką swą siłę utracił. Mogli go związać, zaprowadzić do więzienia, zrobić z nim wszystko, co chcieli. Ciupaga ruszyła się wprawdzie na pomoc Janosikowi i ośmioro drzwi przebiła, lecz w dziewiątych ugrzęzła.

Sędziowie skazali na śmierć Janosika i wyrok wykonali jak najspieszniej, a gdy z Wiednia od cesarza nadeszło ułaskawienie, już było za późno. Cesarz nie darował tego mieszkańcom Liptowa: za to, że powiesili Janosika, który mu oddał taką usługę w owym pojedynku, nałożył na nich wielki podatek do dzisiejszego dnia opłacany.

Tak Janosik przez kobietę skończył!

ZOFIA URBANOWSKA
(wg A. Stopki)

PRZEZ CO SIĘ ŚWIĘCI DOSTALI NA KĘPĘ



BYŁO DWÓCH chłopów i mieszkali przy wodzie, jeden z jednej strony, a drugi z drugiej; ten, co był na prawo, nazywał się Kuba Jamrozik, a ten, co na lewo — Wawrzek Bieńkowski. A to było gdzieś koło Białego Dunajca.

Ci chłopci mieli grunta koło wody, naprzeciw siebie. Kiedy wody szły na wiosnę, to albo jednemu urwało, a drugiemu przyczyniło, albo temu urwało, a drugiemu darowało.

Miał każdy z tych dwóch gazdów po świętym, zrobionym z drzewa. Kuba miał świętego Antoniego, a Wawrzek świętego Jacka.

Kiedy woda szła, powódź od Tatr, oba się modlili. Jamrozik prosił: „He, święty Antoni, urwijże też Wawrzkowi, a mnie przyczyn!...” A Bieńkowski zaś wołał: „Święty Jacku, śliczny, piękny, gdyby też Kubie ubyło, a mnie przyrosło!...”

Przyszedł taki rok, że i Kubie, i Wawrzkowi urwało.

Idzie Kuba ku świętemu Antoniemu, co na półce stał: „Cóż Ty robisz?” — pyta się.

A Wawrzek to samo w swoim domu do świętego Jacka.

Poszli po radę, obaj wraz, do starego pustelnika, co w lesie niedaleko mieszkał.

Pustelnik pokiwał głową i powiada im:

— Moi ludzie, święci też muszą uważać, żeby do kłopotu pomiędzy sobą nie przyszli. Jeden drugiemu na złość nie chce zrobić. Chybaby musieli w pośrodku rzeki stać, żeby sprawiedliwie wodę dzielili.

— Hy — powiada Jamrozik — to nietrudno. Jest tam kępa na samym środku.

— No to ich tam wynieśmy — powiada Bieńkowski.

— Nawet im będzie weselej, bo będą razem.

Wynieśli świętych i postawili pod daszkiem, żeby na nich nie lało.

— No i jak było?

— Jako było? Sprawiedliwie święci dzielili: zanim Kuba i Wawrzek pomarli, każdemu do równości po półtora morga gruntu wody urwały.

— No wiecie! Co święty rozum, to święty!

— Zjdyć to! Nie biadkał już żaden, przychwalali sobie, jak im ten pustelnik dobrze poradził. Dziś jakieś tamy biją, wodę uczą, żeby wiedziała, jako ma iść, a dawniej chłop umiał sobie i ze świętymi sam poradzić, i Pan Bóg go nie opuścił...

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

JAK SOBANEK
PŁANETNIKA
GOŚCIŁ



IESZKA Ł ongiś w Zakopanem gazda, zwali go Sobanek. Lubili go wszyscy, bo majster był zdatny do każdej roboty i muzykant nie byle jaki. A chatę miał opodal młyna, tuż nad potokiem. Wyszedł więc któregoś dnia ten Sobanek na przyzbę, na Gładkie spogląda i widzi, że chmura ogromniasta, czarna zawisła od tej strony na niebie i gradem zaczyna sypać, wielkim jak gołębie jaja. A wśród tego gradu chłopaczysko jakieś nieznajome przed chatą stoi. Nie wiadomo, skąd się wziął. Z gołą głową, boso, w portkach tylko i w serdaku. Trzęsie się z zimna i zębami szczęka. Ulitował się nad nim Sobanek.

— Pójdźże, nieboraku — powiada — ogrzejesz się w chacie.

Przy kominie go sadza, drew dorzuca, żeby cieplej było. Ale chociaż ogień na kominie coraz większy i w izbie coraz cieplej, chłopaczysko zamiast schnąć, coraz bardziej zmoczony siedzi. Strugi wody przez całą izbę płyną. Pomiarkował coś Sobanek, cap! chłopaka za kark i za próg go wypchnął. Chłopak zatoczył się i do potoku, co przy chacie szemrał, wpadł aż po pas. A ledwie wpadł, to roześmiał się, aż mu białe zęby błysnęły, i gada:

— Wiecie, Sobanku? Strasznie mi teraz dobrze, tyle żebym co podjadł.

— To siedź, kiedy ci dobrze — mówi Sobanek. Do chaty skoczył, wyniósł placka owsianego kawał i bryndzy baryłkę.

Zjadł to wszystko do ostatniego okruszka onże dziwny chłopak i pyta:

— A dałbyś jeszcze? Ja ci się za to odwdzięczę.

Dał mu więc Sobanek jeszcze i bryndzy, i mleka słodkiego garnuszek. I odtąd go żywił, a ten cudak tylko w potoku siedział, śmiał się na całe gardło z byle czego i pogodę przepowiadał. Jak powiedział, że będzie deszcz albo mgła, albo że krupy gradowe się posypią, to nigdy nie skłamał. I Sobanek już wiedział, że to jest płanetnik — to znaczy taki, co deszczem, śniegiem i chmurami rządzi. Czasem to Sobanek chwalił sobie tego dziwnego gościa, ale czasem to już i cierpliwość tracił, bo chłopaczysko i różne figle płatał — a to koło młyńskie zatrzymał, a to dziewczuchy wodą oblał.

Aż kiedyś w nocy obudził się Sobanek i widzi, że drzwi się do chaty otwierają i płanetnik wchodzi. Skrada się po cichu i skórę świńską, co na ławie leżała, zabiera. Nic Sobanek na to nie powiedział, tylko wychodzi za nim popatrzeć, co z tego będzie. A płanetnik siadł na skale, nogi sobie skórą ową owinął i bretnalem*, co go z podcienia wyciągnął, kierpce* sobie szyje.

I tak gada:

— Świeć, miesięczku, świeć, abym sobie piękne kierpce wyszykował.

— Ejże — odezwie się naraz Sobanek — a kto ci dał skórę na te kierpce?

— Nie gniewajcie się, gazdo. Potrzebne mi są, bo w drogę się wybieram. Już mnie moi wołają. A za waszą gościnę postaram się wam odwdzińczyć.

Nazajutrz zaczął padać śnieg. A płanetnik posmutniał, jeść nie chciał, tylko coraz ku Orawicy spoglądał.

Potem zaś na Walcocki Wierch zaczął iść. A Sobanek za nim. Kiedy zaś już na samym szczycie byli, to płanetnik zaczął w kółko

chodzić coraz to prędzej i prędzej, aż wreszcie mgła gęsta zasnuła góry i zabrała go.

Niedługo jednak było tej mgły. Rozeszła się, słońce znów się pokazało i przez dwa tygodnie całymi dniami świeciło ludziom na pościechę. Aż wreszcie któregoś dnia, w samo południe, gdzieś nad Szafarami zaczęło grzmieć. Wiatr zaczął dąć i czarna chmura nadeszła od Poronina. A grzmiało, a huczało, aż strach! Sobanek na skałę wyszedł, głowę zadarł i dalej wołać do płanetnika:

— Zabieraj się z tą chmurą z powrotem! Idź, skądś przyszedł, pomnij na gościnę moją!

— Kiedy nie mogę, bo wiatr mnie pędzi! — odezwał się z góry płanetnik.

— A coś obiecał? Nad hale* zawróć, kiedy inaczej nie możesz. Tylko ludziom szkody nie rób!

Zakotłowała się chmura, nad Giewontem się okręciła i zawróciła — hen na hale. Ulewa wtedy była, jakiej ludzie najstarsi nie pamiętali. Oberwał się wtedy Skupniów Uplaz i aż Pięć Stawów Polskich z tej ulewy powstało — ale Zakopane ocalało. A to wszystko dlatego, że płanetnik Sobankowi za gościnę chciał się odwdzięczyć.

MARIA KRÜGER

O ŚPIĄCYCH RYCERZACH W TATRACH



RZE WĘDROWAŁEM w życiu wiele świata, góry widziałem niebotyczne, pokryte nie tającymi nigdy lodami, widywałem rzeki tak szerokie, że trzeba całej niemal godziny, aby łodzią przepłynąć z jednego brzegu na drugi, siadywałem po dolinach tak cudnych, że ziemia wydawała mi się rajem, patrzyłem na tęcze, które tworzą się w rozbitej na drobne pyły fali ogromnych wodospadów, a przecież tęsknota moja nigdzie nie znajdowała takiego ukojenia jak w naszych Tatrach.

Urok posiadają niewypowiedziany te nagie, granitowe szczyty, te ciemne lasy świerkowe, od wieków ludzką nie tknięte siekierą, te kępy kosodrzewiny, rosnące na zielonych upłazach*, te szumne, głośne siklawice, czyli potoki, po stromych spadające głazach, te turnie*, w przedziwne poszarpane kształty, te bujne trawy, te stada pasące się latem po halach, ci bacowie i juhasi, to jest pasterze i pastuszkowie, strzegący owiec po murawach lub pod wieczór spędzający je do ogrodzisk.

Słońce tu świeci promieniściej, wichry szaleją potężniej, mgły przelewają się kłębamii tak potwornymi, że zda się nieraz, jakoby chciały te wszystkie góry naokoło przygniść, zmiażdżyć wilgotnym ciężarem.

A przy tym pełno tu jest opowieści, których człowiek rad by słu-chał bez końca, tak są piękne i tak głęboką myśl nieraz ukrywają w sobie. Zapewne nie ja sam, lecz także wielu innych wędrowców po górach lubi najbardziej Dolinę Kościeliską.

Przed laty zawitawszy do niej po raz pierwszy, stanąłem na mo-ście, rzuconym przez potok, i przyglądałem się rycerzowi wykutemu w szarej skale. W szyszaku na głowie, ze skrzydłami u ramion, z mie-czem w ręku, pochylił się ten kamienny bohater i śpi.

Zadumawszy się nad tą postacią, anim spostrzegł, kiedy za mną stanął długowłosy, osiwiaty góral i rzekł:

— Przypatrujcie się, panie, tej postaci, a pewno nie wiecie, co oznacza. Wykuli ją tu na pamiątkę, że w tych skaliskach, w wielkiej by kościół pieczarze, uśpione leży wojsko. Podobno polskie, a przy-wędrowało tu od Krakowa czy gdzieś od Poznania i Gniezna. Prze-wodził mu król znamienity, przesławny; od naszych dziadów i pra-dziadów mamy wieści, że nazywał się Chrobry. Za naszej pamięci nikt tego wojska tu nie ujrzął, bośmy jeszcze niegodni, lecz przed wiekami był tu we wsi Kościeliskach czy też w Zakopanem mały chłopaczek, który na lato wyganiał stado ojcowskie do tej doliny na pastwisko. Owce szczypały sobie trawę, pilnował ich biały, piękny pies owczarski, a chłopiec, że był zręczny i niesłaby, wspinał się po tych skałach, zrywał szarotki i dzwonki, czasem i korzeń goryczkowy, dobry na leki, spod ziemi wygrzebał, przeróżne też napotykał jas-kinie, do których przed nim nikt jeszcze nie dotarł.

Pewnego razu zabłąkał się w ustronń nieznaną, niedostępną, w stra-sznie czarne urwiska, oślizłe od wody śniegowej, strzelające ku niebu spośród gęstwi kosodrzewiny, siwych świerków, drobnych żwirów i takich złomów kamienistych, że i sto koni nie ruszyłoby ich z miejsca. Rozejrzał się naokoło. Wszędy pustoszą; ani śladu ścieżynki, którą przed chwilą przebył. Z początku przeraził się, ale po chwili pomyślał:

„Kiedym tu doszedł, to i wrócę, jak nie tą, to inną drogą“.

I aby dodać sobie odwagi, a może i z uciechy, że z tej wyżyny ujrzał całą dolinę, wartkim przeciętą potokiem, a poza nią wszczepił i wzdłuż wszystkie niemal szczyty, jakie są w Tatrach, huknął na góry, na lasy, huknął raz i drugi. Odezwało mu się echo. Huknął po raz trzeci i skamieniał. Zdało mu się, że słyszy organy, które jakby grały wewnątrz turni. Bywał nieraz w kościele w niedalekim Chochołowie albo i w Czarnym Dunajcu — w Zakopanem świątynia Boża wówczas jeszcze nie istniała — ale równie potężnej muzyki nigdy jeszcze nie zasłyszał. Mury rozwaliby się od takiego głosu; chyba na dziesięciu albo na stu zagrano mu organach.

W tej samej chwili rozstały się gładne ściany, z przeraźliwym rozwarły się trzaskiem i łomotem i przed oczami pastuszka niewidziane wyrosło zjawisko: olbrzym cały zakuty w zbroję, z szyszakiem na głowie, ze skrzydłami u ramion, z ogromnym, prostym, szerokim mieczem w dłoni. Stał ten rycerz w słońcu, jak w złocie, i zawołał:

„Kto ośmiela się budzić nas ze snu wiekowego? Czy nadszedł już czas?“

Ale chłopiec, oniemiały z przerażenia, odpowiedzi żadnej dać nie mógł, bo też i pytania tego jeszcze nie rozumiał. Rycerz zaś, spostrzegłszy jego przestach, powiada:

„Nie lękaj się, nic złego ci nie uczynię, bom nie zbójnik, tylko wojownik, który krew przelewał za ojczyznę, a potem razem z towarzyszami przyszedł w te skały na sen wiekowy, aby się zbudzić do życia, gdy ludzie staną się tak dobrzy jak ty — bo widzę, żeś jest dobry — gdy nabiorą takiej wiary i mądrości, że już nie będą mogli znieść jarzma, co ich gniecie. A gdy do tego dojdzie, wówczas zjawi się taki drugi chłopaczek jak ty, wybrany z tysiąca albo miliona, bo musi być najgodniejszy, zapuka do bramy złocistej i wielkim zawoła głosem:

»Wstańcie, rycerze, ze snu wiekowego, wstańcie i spłyńcie w doliny pomiędzy ludzi, którzy stali się już dobrzy i mądrzy i wielką mają wiarę, a pod panowaniem złego żadnym sposobem żyć już nie chcą dłużej! Wstańcie, rycerze skrzydlaci, podobni do aniołów z nieba!«

My to usłyszymy i uwierzemy, gdyż skłamać — on nie skłamię! Rumaki nasze zeprzemy ostrogami i z dobytym mieczem w dłoni popędzimy w świat jak wichur, jak burza.

Zerwie się naokoło szum ogromny. Świerki jak rżysko łamać się będą pod kopytami naszych wierzchowców; wielkie głazy polecą ze szczytów jak drobne kamyki. Potoki i jeziora podniosą się ze swych łożysk i lejów, mgły się zakłębią tak, że świata spod nich widać nie będzie. Całe niebo i ziemia zatrzęsie się od grzmotów; błyskawice krzyżować się będą jak miecze ongi zastępów niebieskich, co walczyły z szatanami, pioruny walić będą bez ustanku, przestrach pójdzie po wszystkim, co żyje, lecz potem nastanie spokój. Gromy ucichną, potoki i jeziora ułożą się w błękity, mgły w srebrną przemienią się rosę, błyszczącą na trawach i kwiatach, i iglicach drzew świerkowych, złote na niebie zajaśnieje słońce, a ludzie, zbawieni z niewoli, pieśni radosne zaśpiewają i dziękować będą niebiosom za cudowne zwycięstwo”.

Tak mówił rycerz. A pastuszek słuchał tego jakby dziwa: upadł przed nim na kolana i rzecze:

„Udam się między ludzi, pójdę choćby na krańce świata i obwieszczę im, com słyszał. A chciałbym też zdobyć taką wiarę i taką mądrość, iżbym ich mógł tej wielkiej wiary i tej wielkiej mądrości potrzebnej do wyzwolenia nauczyć”.

Podniósł go wojownik z ziemi i rzekł:

„Dostąpisz jeszcze tej łaski, że zobaczysz nas wszystkich razem, abyś do ludzi, braci swojej, zawołał: »Wierzcie mi, bracia moi, bom zbrojnych mężów tych na własne widział oczy«”.

I z tymi słowy powiódł go do jaskini napełnionej światłością. A jaskinia była tak rozległa, że kilka godzin nie wystarczy, aby ją przejść, stokroć obszerniejsza niż ona grota w Kobylim Wierchu na Spiżu, pod Białą. Ściany powyżłabiane w najdziwniejsze kształty, ni to kwiaty, ni to drzewa, ni to ściekające fale, ni to figury przecudne. Z góry zwieszały się jakby w kamień obrócone złotogłowia, co to ich pełno rośnie w Tatrach, albo paprocie przeróżne i inne zioła; z ziemi wyrastały żółtawe, przejrzyste niby alabaster*, gładne pnie jakby jakichś świerków odartych z gałęzi, a tak dźwięczące, że kiedy rycerz,

co wędrował z pastuszkim, dotknął się ich przypadkowo, to po całej jaskini rozległo się najgłośniejsze brzmienie organów.

Przebyli kilka krużganków, natrafili na kaplice, na ołtarze ze złocistego gładu, na skamieniałe wodotryski, na błękitne jeziora i stawy, a w niektórych miejscach jakby na nagrobki rozrzucone po cmentarzystku, aż wreszcie wkroczyli do sali tak wielkiej, że jej okiem nie wymierzysz.

I tutaj ów pastuszek, już ośmielony, ujrzał przed sobą obraz, jakiego ani przedtem, ani potem nigdy w życiu nie oglądał. Nieprzeliczone rzędy rycerzy w hełmach i zbrojach pozłocistych, ze skrzydłami u ramion, z szerokimi mieczami w ręku, na pięknych siedziały rumakach, przyodzianych kosztownymi kobiercami i skórami z lampartów, lwów i tygrysów. Na łbach konie te miały pęki białych piór, a podkowy ze złota.

Na widok rycerza-wartownika przeszło drżenie po szeregach, konie zaparskały, a ona zbrojna husaria poprawiła się na siodłach wysadzanych turkusami, nie odezwał się jednak żaden głos, tylko wszyscy, z wodzem królewskim na czele, pytające w przybyłych wlepili spojrzenie. A gdy rycerz krótkie rzucił hasło: „Jeszcze nie!“, od razu bojowe hufy te skamieniały: przytulone do karków końskich na nowo zasnęły i śpią tak od wieków.

Zasię z chłopaczkiem stało się tak:

Rycerz, nim zasnął, kazał mu tą samą drogą wrócić na świat. „Nigdy już tutaj — powiedział — nie będziesz, miejsca tego nie szukaj, bo go nie znajdziesz“.

Z trzaskiem zawarła się za pastuszkim złocista brama, zapadła się od razu w ziemię, skały się spoiły, owinięte kosodrzewiną i świerkami, i błyszcząły na nich dalej szarotki i dzwonki.

Zeszedłszy ku stadu, które pasło się, strzeżone przez pięknego, białego psa owczarka, pastuszek przemyślał nad tym, co widział i słyszał, i naprzód wiadomość o wszystkim dał ojcu, że musi iść pomiędzy ludzi i uczyć ich wielkiej wiary i wielkiej mądrości, aby wszystko spełniło się, tak jak mu rycerz o tej świętej godzinie wyzwolenia wyprorokował. A ten, ponieważ dobry człowiek był, powiada: „Snadź

jesteś w łaskach u Boga, boś na własne oczy oglądał i na własne uszy postłyszał, co my tylko ze starodawnej znamy opowieści. Ale jakże ty ludzi będziesz uczył wielkiej wiary i wielkiej mądrości, kiedyś sam tego nieświadomy? Do szkół pójdiesz, oświecenia nabierzesz, a potem głosić będziesz tę cudną prawdę“.

I tak było.

Pastuszek wyrósł na mędrca, a że dla siebie nic nie pragnął, jeno chciał żyć dla drugich, udał się w świat, w miasta i wioski, i naprawiał ludzi. Siły jednak za mało posiadał, a życie za krótkie, iżby wszystkiego dokonał. Poszły za nim tysiące i pójdą jeszcze tysiące, ale póki wszyscy do ostatniego człowieka nie przejmą się jego nauką, nie spełni się proroctwo o śpiącym wojsku. Myśmy dotąd jeszcze niegodni; nie wiemy na pewno, w której skale cud ten się mieści, lecz mamy nadzieję i ufność, że już niedługo mądrość i wiara w wyzwolenie po świecie się rozkrzewi i że wtedy natchnie Bóg takiego chłopaczka jak tamten, że chłopaczek ten znajdzie ową jaskinię, do bramy złocistej zapuka i będzie mógł śpiącym rycerzom słowo powiedzieć niekłamliwie:

„Już czas!“

JAN KASPROWICZ

O PANU JEZUSIE I ZBÓJNIKACH



Z E D Ł R A Z Pan Jezus ze świętym Piotrem przez las i spotkali ich zbójnicy. To było gdzieś w górach na Liptowie czy gdzieś indziej.

— Niech będzie pochwalony — powiada Pan Jezus i ukłonił się kapeluszem.

— Niechże będzie na wieki wieków. Amen — powiada harnaś zbójcki, herszt.

— Dokąd idziecie?

Chciał Pan Jezus coś rzec, ale mu święty Piotr nie dał, tylko prędko mówi:

— Po prośbie.

Że to niby po prośbie, wiecie, szli.

A to dlatego, bo widział torby, a łakomy był, jako to z biednego stanu, choć i święty.

Przypatrzył się obu harnaś dobrze i powiada:

— Pójdźcie z nami.

I obrócił się do swoich towarzyszy i mówi:

— Ten stary będzie dobry torbę nosić i drwa rąbać, a ten młody ogień kłaść i posługiwać koło jadła.

I pyta się:

— Idziecie?

Skrobnął się święty Piotr za uchem, bo poznał, że to zbójnicy, broń mieli, flinty, ciupagi, nie rzecz* mu się wydawało, jako świętemu, że zbójnikami chodzić, a jeszcze z Panem Jezusem wraz. Ale się tam za dużo za uchem nie skrobał, bo się bał, i patrzy na Pana Jezusa: co będzie?

A Pan Jezus kiwnął głową i powiada:

— Dobrze.

Strasznie się to dziwne świętemu Piotrowi zdało, ale się sprzeciwić nie śmiał. Jedno się zbójników bał, drugie Pana Jezusa słuchać musiał.

Zaraz mu torbę na plecy przypięli, a Pan Jezus tylko sakwę z chlebem dostał. Mało mieli jeść, bo z daleka szli.

Idą.

Uszli kęs drogi, gorąco piekło, polegali zbójnikowie w cieniu i popali się.

Mówi święty Piotr do Pana Jezusa:

— Uciekajmy, bo jeszcze do kłopotu przy nich przyjdziemy!

Ale Pan Jezus kiwnął głową, że nie.

Kiedy się zbójnicy pobudzili, idą dalej. A było tych zbójników trzech.

Ku wieczorowi poczęło brakować jedzenia. Bo tam i Pan Jezus co nieco zjadł, a święty Piotr sobie nie żałował. Jeść się wszystkim chciało, że aż marli od głodu idący.

A tu patrzą — leży pod drzewem stary człowiek.

— Cóż ci to? — pyta się harnaś.

— Głodny jestem — powiada ten stary.

I ten zbójnik dał mu swój kawałek chleba ostatni, co go jeszcze schowany miał.

Idą dalej, przez pola, począł bić grad z lodem, a zimno przyszło takie, że strach!

Patrzą: dziecko małe w polu płacze.

— O cóż płaczesz? — pyta się drugi zbójnik.

— Zimno mi.

I ten drugi zbójnik zdjął ze siebie kożuch i odział to dziecko i w koszuli tylko został, aż go trzęsło.

Idą znowu dalej, patrzą: dom gore. Dzieci płaczą, wołają: „Mamo! Mamo!”

I trzeci z tych zbójników skoczył w ogień i wyniósł dzieciom matkę spośród płomienia, aż włosy osmędził.

Poszli dalej i zaszli do jednej karczmy przenocować. A tam ich karczmarka poznała i posłała odkaz* do wójta. Przyleciał wójt z przysiężnymi i z ludźmi i tych zbójników powiązali. A z nimi i Pana Jezusa ze świętym Piotrem.

Wyprowadzili ich z karczmy, zawiedli ku spichlerzowi gromadzkiemu i tam ich zawarli.

Święty Piotr wziął płakać i mówi po cichu do Pana Jezusa:

— No, nie mówiłem Ci, Panie Jezu, że jeszcze przy tych hun-cwotach do kłopotu przyjdziemy? No to my już w nim. Cóż teraz będzie?

A Pan Jezus nie mówi nic, tylko palcem po ziemi pisał. Na drugi dzień rano wójt i przysiężni tych zbójników i Pana Jezusa ze świętym Piotrem do miasta na wozie zawieźli. Do sądu.

Obstąpili ich żandarmi w sądzie, hajducy węgierscy, i powiedli do sądowej sali, a tam za stołem siedzieli sędziowie.

Było ich tak samo, jak i tych zbójników, trzech.

— Wyście kradli? — pyta się najstarszy sędzia.

— My.

— Wyście podpalali?

— My.

— Wyście zabijali?

— My.

A o Pana Jezusa i świętego Piotra się nie pytał, bo ci zbójnicy zaraz powiedzieli, że ich tylko po drodze ze sobą wzięli i że musieli z nimi iść chcąc nie chcąc.

— Co im sądzić? — pyta się najstarszy sędzia sędziemu po prawej ręce.

A ten niewiele myśląc powiada:

— Śmierć.

— Co im sądzić? — pyta się najstarszy sędzia sędziego po lewej ręce.

— Śmierć.

— Wy trzej będziecie wisieć — powiada najstarszy sędzia do zbójników — a wy dwaj możecie iść do domu — obrócił się do Pana Jezusa i świętego Piotra.

Święty Piotr się zaraz z ławy porwał, iść gotowy, ale Pan Jezus się schylił i po podłodze palcem pisał.

— Cóż piszesz? — spytał się Go główny sędzia. A oni nie poznali nic, że to Pan Jezus, ani ci sędziowie, ani nikt inny.

— Piszę wasz wyrok — powiada Pan Jezus.

— Jakoż to nasz wyrok sędziowski po kurzu po podłodze palcem piszesz?!

A Pan Jezus dźwignął głowę i rzekł:

— Coś wczoraj wieczór zrobił?

Zbladł ten sędzia, aż zbieła na twarzy, a Pan Jezus powiada:

— Głodnegoś kijem od drzwi twoich odegnał.

Pojrzeli na niego dwaj koledzy i wszyscy w izbie, a Pan Jezus się do tego po prawej ręce odzywa:

— Coś wczoraj wieczór zrobił?

Zbladł ten sędzia, aż zbieła na twarzy, a Pan Jezus powiada:

— Dzieckoś małe bił, aż krwią opłynęło.

Pojrzał na niego jego kolega i wszyscy w izbie, a Pan Jezus obrócił się do tego po lewej ręce i mówi:

— Coś wczoraj wieczór zrobił?

Zbladł ten sędzia, aż zbieła na twarzy, a Pan Jezus powiada:

— Matkęś własną z domu wygnał.

Pojrzeli na niego wszyscy w izbie.

I stało się cicho w izbie sądowej, że aż muchy brzęczenie było słychać.

A Pan Jezus wtedy stanął na nogi i obrócił się ku świętemu Piotrowi i powiada:

— Pójdźmy stąd.

I światło mu ponad głową zagorzało, a ci zbójnicy pierwsi Go poznali, że jest Pan Jezus, i padli na kolana wołając:

— Panie Jezu, Ojcie świata, pobłogosław nas!

I Pan Jezus krzyż nad nimi uczynił, a oni się zamienili w trzy drzewa jabłonne.

Potem zaraz z świętym Piotrem zniknął.

I zrozumieli ludzie, że tu Bóg był, i zburzyli ten sądowy dom, aby w nim nikt już więcej po Panu Jezusie nie sądził, a przed jabłonnymi drzewami postawili krzyż i on do dziś tam stoi.

A tych trzech sędziów wygnali z miasta.

Tak bywało dawniej — ale teraz ani zbójników nie masz, ani Pan Jezus po świecie nie chodzi.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER



Z E D Ł Pan Jezus ze świętym Piotrem po ziemi jako biedni dziadkowie i dostali od pewnej gospodyni podpłomyk. Szli dalej, Pan Jezus naprzód, a święty Piotr za nim, ścieżką wśród lasu. Świętemu Piotrowi zachciało się spróbować tego placka, lecz nie śmiał Pana Jezusa prosić o to. Wziął ułamał kawałek placka i zaczął gryźć po kryjomu, bo myślał, że Pan Jezus nie będzie wiedział o tym. Wtedy Chrystus, chcąc go przekonać, że jest wszytkowiedzący, nie oglądając się zawołał:
— Piotrze!

Aby natychmiast odpowiedzieć i nie zdradzić się z łakomstwem, wypluł święty Piotr pogryziony placek z ust i rzekł czym prędzej:
— Słucham, Panie!

Pan Jezus coś mu powiedział, a potem szli dalej w milczeniu. Wtedy święty Piotr ułamał znowu kawałek placka i począł go gryźć, mniemając, że go zje bez wiedzy Chrystusa. Pan Jezus, nie oglądając się wcale, zawołał powtórnie:
— Piotrze!

Święty Piotr wypluł natychmiast pogryziony placek z ust swoich i odezwał się:

— Słucham, Panie!

I tym razem powiedział mu coś Chrystus, i dalej wędrowali ścieżką wśród lasu.

Za trzecim razem wyjął święty Piotr kawałek placka z torby, ale jakże był niezadowolony, gdy Chrystus znowu się odezwał, skoro tylko święty włożył do ust placek. A skoro i teraz wypłuł pogryziony placek, którego nie miał jeszcze czasu przełknąć, wtedy Chrystus odwrócił się i rzekł:

— Zgrzeszyłeś, Piotrze, bo myślałeś, że ja nie wiem wszystkiego.

Święty Piotr upadł do nóg Panu i błagał o przebaczenie. Jezus mu grzech odpuścił, żeby zaś wypłuty chleb nie zmarniał bez pożytku, zamienił go w grzyby.

SEWERYN UDZIELA

JAK DUNAJEC POPLYNAŁ



A W N O, bardzo dawno temu rozlewało się na ziemi podhalańskiej między Pieninami wielkie jezioro. W owych czasach ludzie zwali taką rozlewną wodę dunajcem, ale ten dunajec to był dunaj nad dunaje. Zuchwały i chciwy. Jakby ludziom zazdrościł ziemi, jakby nie chciał, aby nawet na najmniejszym poletku siali zboże albo żeby trawy trochę urosło dla owiec. Każdy skrawek ziemi zaraz ten dunaj zabrał i swoimi falami pokrył. Taki był.

Najwięcej chyba szkody wyrządził kmieciowi, co go Dobkiem zwali. A to łąka wodą podmokła, a to ścięte zboże fale uniosły. I tak już bieda dokuczyła Dobkowi, że sam nie wiedział, co począć, czym nakarmić dzieci, które w chacie popłakiwały z głodu.

Aż tu kiedyś patrzy Dobek — nad brzegiem dunaju orszak jedzie na koniach. Jacyś rycerze. Na przedzie widać najważniejszy z nich, w zbroi, co się tak w słońcu srebrzy, że aż oczy razi. Zagapił się Dobek, a ludzie zbiegli się i szepcą, że to sam król Bolesław, co go Chrobrym zwa.

Król zaś podjechał bliżej do kmieci i pyta, jak im się w tej dolinie żyje.

— Jak się żyje, królu nasz miłościwy? — pokłonił się Dobek. — Ano, dunaj pola nam zabiera, ziemię zalewa.



— Jakże to — powiada król — kiedy ciasno między górami dunajowi, to mu drogę na świat otwórzcie, a pójdzie precz od was.

I kazał król ludziom, aby młotów i toporów się jęli i przez Pienińskie Góry wąwóz przerąbali.

Posłuszni królewskiemu słowu zabrali się ludzie z Podhala do roboty. Ale nie szło im — ani rusz skałom nie mogli dać rady. Skały stały mocno, nienaruszone.

Doszły o tym wieści do króla i znów przyjechał zobaczyć, co się nad dunajem dzieje, bo był pełen troski o swój lud. Przyjechał na siwym koniu, w srebrzystej zbroi, w której przeglądało się słońce.

— Jakże to? — pyta. — Wąwozu onego dla dunaju nie zdołaliście przebić?

Pokłonili się ludzie, a Dobek znów za całą gromadę mówi, że ani rusz kamienia i skały przebić nie mogą. I pokazuje królowi poszczerbione topory i młoty, które porozbijały się o skały.

— Zaleje nas ten dunaj, królu miłościwy. Rady na niego nie ma.

Spochmurniał król, wąsa sumiastego podkręcił, na koniu się obrócił i po Pieninach, co wysoko się w niebo wznosiły, popatrzał. A potem miecza swego ogromnego dobył, w strzemionach się uniósł i mieczem w Pieniny uderzył.

Zagrzmiało, zahuczało od tego uderzenia jak od pioruna. Echo się poniosło po górach ogromne, tak że ludzie, którzy po drugiej stronie gór mieszkali, aż pochowali się ze strachu. A tymczasem Pieniny od tego królewskiego uderzenia rozpękły się i jak wrota otwały. Przez te zaś wrota zaraz dunaj cały odpłynął hen daleko wąskim wąwozem — i rzeką się stał niewielką, wartką i wesołą, którą po dziś dzień Dunajcem zowią.

Odpływając, pola po sobie zostawił, które przedtem wodą były zalane. Żyzne teraz były i do siewu dobre, darował je więc król Dobkowi i innym kmieciom, aby je zaorali i zasiali złotym zbożem. Na chleb dla ludzi.

MARIA KRÜGER

HISTORIA O PANU PIOTRZE WYDŹDZE I O GÓRACH ŻŁOTA



A W N O już, bardzo dawno temu — bo historię, którą wam opowiadać będę, opisał kronikarz Długosz*, w XV wieku żyjący — dawno więc bardzo mieszkał w górach, które zowią się Pieniny, rycerz Piotr Wydźga [...]

Był on bardzo dumny i bardzo chciwy bogactw i zaszczytów. „Chociażby duszę sprzedać, byle skarby posiadać — mówił nieraz. — Jak będą skarby, to będą i dostojęstwa, a czyż szlachcic Wydźga, herbu Janina (bo taki był jego klejnot rodowy), nie ma prawa sięgać po najpierwsze w kraju urzędy?”

Tak dumiał pan Wydźga. Tymczasem jednak skarbczyk jego, w starym lamusie ukryty i dębowymi drzwiami zaopatrzony, stale prawie był próżny. Okolica, w której mieszkał, uboga w zboże; na górach ledwie nędzny owies się rodzi. Korzystnych wojennych wypraw nie było dawno; jedynym bogactwem trocha rudy żelaznej, którą na dymarkach* przetapiano, a w kuźnicach przekuwano na narzędzia, niezbędne rolnikowi i rzemieślnikowi. Ale dochód stąd mały. W owych czasach górnictwo było bardzo rozpowszechnione: każdy miał prawo kopać góry na swoją rękę, zysków więc kuźnice przynosiły niewiele.

— Co mi tam żelazo! — mówił nieraz ze wzdardą dumny szlachcic. — Gdyby tak złoto znaleźć, złoto kopać, na worach złota leżeć, wtedy zobaczono by, co Piotr Wydźga znaczy!

I ta myśl odkrycia złota w Pieninach nie dawała mu spokoju. A o złocie, znajdowanym u nas, słyszał nieraz.

Były podania, że za dawnych czasów kopano je w różnych stronach kraju.

Stary górnik widział raz ducha gór, którego [...] skarbnikiem zowią, wskazującego, gdzie skarbów szukać trzeba.

Miało to być pod Kielcami. Ale Długosz wspomina, że i w innych miejscach natrafiano na żyły drogiego kruszcu. Dość że Piotr Wydźga, opanowany chciwością, żył tylko myślą, jak osiąść ukryte bogactwa, przeczuwał je, chociaż odnaleźć nie umiał.

I bezwiednie tracił tymczasem skarb najdroższy: młodość, zdrowie i wesołość. Inni się bawili, kochali, zdobywali wiedzę, sławę; on żył jak pustelnik, błędząc nocami wśród gór, zły i zdziwiony, obcy ludziom i unikany przez nich, samotny, bezdomny prawie.

Stare szlacheckie gniazdo Janinów niszczało, nie podtrzymywane starannością właściciela.

Pan Piotr obojętnie patrzył na walące się ściany ojcowskiego domu. Pod pozorem polowania błędził dniami i nocami po puszczech obrastających Pieniny i groza przejmuje pomyśleć, ile wrażeń bić musiało o tę duszę, nim z szlachetnego rolnika przekuło ją na taką zapamiętałą, złota chciwą naturę.

Ale Bóg na ukaranie grzesznych pożądań człowieka daje mu czasem ich spełnienie.

Tak się stało i z Piotrem.

Jakie czary zaklął, jakie potęgi wywołał, tego nikt nie wie i nie dowie się zapewne; dość że wśród przepaści i czeluści górskich, rozkopywanych potajemnie przez niego, błysnął mu nareszcie upragniony metal — złoto!

Złoto przeklęte, przyczyna tylu zbrodni, tylu niesprawiedliwości i tylu łez [...]

Posiadł więc to, czego pragnął. Ale jak wydobyć ukryte w łonie ziemi skarby? Własnymi siłami nie podoła zadaniu. Musi zabrać wszystko, do ostatniego okrucza, do najmniejszej odrobiny... Ale przed kim się zwierzyć? Komu zaufać? Kogo dopuścić do współnictwa w tajemniczej pracy?

Dopiero teraz poznał, jak był samotny: on uciekał od ludzi, oni też od niego odwykli; a kiedy zapotrzebował ich pomocy, nie było nikogo; nawet słudzy, zniechęceni ponurą gwałtownością pana, rozeszli się po świecie. Zresztą nie zaufałyby nikomu z tutejszych: mógł zdradzić tajemnicę i jak sępy na padłą zwierzynę zbiegliby się okoliczni górnicy szarpać łono gór, wydzierać bogactwa, do których on jeden ma prawo. Kupił je młodością, szczęściem, wszystkimi uciechami życia.

Zapłacił drogo, chciał korzystać.

Pojechał na Śląsk, bo wiedział, że tam byli górnicy, po większej części Niemcy; Niemców mniej się bał.

— Szwabskiego języka nie rozumieją tutejsi — mówił sobie — nie zdradzą więc tajemnicy. Zresztą wieść ich będę takimi szlakami, w takich osadzę lochach, że drogi do świata nie znajdą.

Sam rozumiał niemiecką mowę, bo dużo za młodych lat przebywał między ziemczalym krakowskim mieszczaństwem. Dogadzało mu to teraz. Boczny drożynami wymknął się niepostrzeżenie za góry i wkrótce potem kuli już obcy przybysze ziemi skarby.

A przybysze ci byli jacyś wpółdzicy, może zidiociali biedą, wybierani widocznie starannie, aby łatwiej się dali powodować. Starszy tylko między nimi, do którego przewodnictwo w robotach należało, na rozumniejszego od innych wyglądał. Za młodu u Krzyżaków służył, wydobywając dla nich bursztyn, potem przeniósł się na Śląsk, a teraz, zwabiony obietnicami Wydźgi, kierował kopalnią złota w Pieninach. Z nim to porozumiewał się pan Piotr, jemu obiecywał szalone zyski, byle nikogo do tajemnicy nie przypuszczać, póki nie wybiorą wszystkich skarbów, do ostatniego okrucza, do najmniejszej odrobiny. Niemiec zawierzył Wydźdze. Chciwy także, duszą i ciałem zaprzedał się szlachcicowi. Kopano dzień i noc, mordowano biednych,

ogłupiałych robotników pracą nad siły, aby prędzej, aby dobyć jak najwięcej.

— Ale co potem? — powiedział sobie raz Wydźga.

I niepokój zaczął go dręczyć na nowo.

Bo jak użyć złota, którego przybywało coraz więcej? Przychodziła mu myśl zawiezienia złota królowi i okupienia sobie za to pierwszych w kraju godności. Ale jeśli król powie, że złoto z gór jest własnością narodu, cóż wtedy zrobi? Albo, co jeszcze możliwsza, jeśli, jak legenda herbowa Habdanków* opiewa, rzuci złoto do złota, a od syna szlachtetnej rycerskiej rodziny zażąda szlachtetnych rycerskich czynów, jako praw do zasługi, i nie zechce za kruszec frymarczyć godnościami, to cóż wtedy zrobi?

Więc znów, jak szalony, rwał siwiejące włosy, szukał myśli zbawczej; ale Bóg daje natchnienie sercom czystym i ścigającym prawdę, a ludziom, jak Wydźga, zaprzędanym podłej namiętności, podszeptuje rady duch złego, szatan chciwości i zguby.

Niemiec sztygar dał tę radę; on znał tylko jedno źródło potęgi: dla niego symbolem siły, władzy nad światem, mądrości — było gniazdo Krzyżackie. Mnichy mogły wywyższać i strącać; oni, niby pokorni, a tacy wszechmocni, potrafiliby godnie wynagrodzić Wydźgę za posiadane skarby. I tak olśnił myślą swą pana Piotra, że ten postanowił, nie czekając dłużej, wieźć drogi kruszec do Malbarga. Nie pamiętał o tym, że dawał złoto w rękę Niemcom, że za to złoto, z naszych gór wydarte, zakupią mnichy broń na nasze karki.

Odtąd nie kopano już wcale. Za to po Pienińskiej puszczy rozległy się echa siekier: rąbano stare jodły; robotnicy niemieccy budowali z nich wielką tratwę na Dunajcu i skrzynie, w których miano przewozić skarby. Pracowali chętnie, uradowani myślą, że kończy się ich niedola, że pozwolą im wrócić na Śląsk do swoich, od których niebacznici i złudzeni lekkomyślnie odeszli.

Cieszył się i dozorca Niemiec. On jeden wiedział, że do Malbarga płynąć mają; on jeden mógł, w przybliżeniu obliczyć udział w zdobyczy, toteż przyśpieszał robotę. Kończono ją. Dwa dni dzieliły ich od upragnionej podróży... nie, od śmierci!

Od śmierci! Bo Wydźga znów dręczył się troską.

W górach zostało dużo, bardzo dużo złota. On je wydrze, nie daruje, ale potem, gdy wróci, wydrze do ostatniego okrucha, do najmniejszej odrobiny. Tylko jak nadał uchować tajemnicę skarbu? Do-
tąd strzegł jej, ale w podróży czyż uchroni Niemców od zetknięcia się z rodakami? Czyż nie zdradzą go przy pierwszej sposobności?

I znów chodził pijany szalonymi myślami, szarpany niepokojem. A skrzynie już na tratwie: fala rwie statek, przymocowany do brzegu. Dunajec bystro płynie. Dość było zerwać sznury, a prom pójdzie za wodą, aby kawałek drogi odpłynąć; tam w dolinie znajdzie najmitów, oszuka ich, powie, że w skrzyniach wiezie żelazo, opłaci hojnie. O, on będzie bardzo hojny dla tych biednych ludzi... przecież to Polacy, kiedy ci to Niemcy, przebrzydły naród, wróg kraju.

Tak okłamywał siebie pan Wydźga, a dusza jego pobladła, podlała, aż na dnie cuchnącego plugastwa, bo taką była ona od chwili opanowania skarbu, wylągł się gad zbrodni. I szlachcic polski, potomek dla rycerzy, jak zbój, jak łotr podstępny, wymordował współników tajemnej pracy.

Wymordował i krwią ofiar naznaczył miejsca w górach, gdzie reszta skarbów zostać miała, a sam odciął linę tratwy i popłynął w dół rzeki.

Popłynął, znalazł najmitów; wymknął się szczęśliwie krakowskim celnikom, zaręczając, że wiezie żelazo. Mocny statek pruł modre fale Wisły, jak wprzód żeglował po Dunajcu. Tak minęli stary Sandomierz ze wspaniałymi murami zamku; legł tam niegdyś dziad Wydźgi broniąc grodu od Tatarów. Płynął dalej pan Piotr pod Zawichostem; aż po brzeg rzeki rozłożyło się tu pobojuwisko Leszkowe. Potem dotarli do Solca, gdzie na sądy z Piotrowinem zasiadał Bolesław Śmiały. Dreszcz przeszedł mordercę na to wspomnienie: może i jego ofiary zmartwychwstaną i przed króla go wezwą?

On i tak widzi ich ciągle... ponure, groźne — widzi w dzień i w nocy, nie ma godziny spokoju, nie pojmując, jakim sposobem innych te mary piekielne nie straszą.

Ale wokoło cisza. Tratwa płynie równo po wiślanej fali. Wydźga coraz niespokojniejszy, im bliżej celu.

Co mu też dadzą krzyżackie mnichy za złoto, opłacone krwią i własnej duszy zatrata?

Dali wzgardę i zdradę, zapłacili zwykłą swą monetą. Schlebiał komtur krzyżacki dumnemu szlachcicowi, obiecywał posłuchanie u wielkiego mistrza, tytuły, zaszczyty, nawet jakieś udzielne niemieckie księstwko — obiecywał i łudził, póki skrzynie złota nie przeniosły się do olbrzymich malborskich lochów, do tych sławnych piwnic, arcydzieł budowniczej sztuki, co w wielkie, do palmy podobne, zbiegając się sklepienie, na jednym słupie podtrzymują cały zamek.

A opasłe Krzyżaki śmiały się, strzegąc bramy od wariata, bo wariatem był chyba ten szalony człowiek, który, przywiózłszy żelazo na sprzedaż i otrzymawszy za nie zapłatę, śmiał się dopominać o jakieś skarby, o złoto, którego nikt nie widział; własni jego flisacy świadczyli, że z gór przywieźli żelazo.

Pohańbiony, oszukany, pijany gniewem i grozą rosnących z każdą chwilą wyrzutów sumienia, wrócił Wydźga do kraju. Ale nie dowlókł się już w Pieniny; na próżno czekały go tam złotodajne pieczary, krwią zabitych ofiar poznaczone. Legł zmożony chorobą, a bardziej jeszcze walką wewnętrzną. Ubogi domek rolnika dał mu przytułek. Zdradził swoich dla mienia. Za jego pieniądze, za złoto, z gór polskich wydarte, na polskie karki ukują miecze i może po nitce dojdą do kłębka, zabiorą skarby, pozostałe w Pieninach.

Piotr Wydźga odkrył miejscowemu staroście tajemnicę złotodajnych kopalni, uczył, jak je odszukać mają, ale szatan, któremu duszę zaprzedał, zmylił wskazówki. Zbrodnia nie mogła przynieść pożytku, bo przekleństwem złego jest, że jedno złe drugie za sobą sprowadza.

ZOFIA BUKOWIECKA

CZERWONY KIJASZEK



KIEDY Szwedzi pustoszyli nasz kraj, zaszli także i do Rudnika. Tutaj wszystko palili. Chłopów i dziatowinę mordowali, a kobiety i dziewczuchy zabierali ze sobą. Polscy żołnierze nie dawali Szwedom spokoju. W tej zawierusze wielu z naszych było nieszczęśliwych i bez Szwedów.

W Rudniku Szwedzi zrabowali cały zamek, wszystkich pozabijali, została tylko jedna urodziwa panienska, która kochanka swojego wysłała na wojnę. Szwedzi zabrali i tę dziewczynę, pędząc ją przed sobą na wpół nagą i bosą. Biedaczka, nie zwyczajna takiego losu, jak mogła, tak szła wiele mil lasami. Kiedy nadeszła noc, starszy oficer kazał ją przywieść do siebie. Panienska nie opierała się i przyszła, ale kiedy Szwed jej dotknął, od razu padł nieżywy. Wszyscy żołnierze przestraszyli się i uciekli.

Tymczasem nieszczęsna dziewczyna szła wśród nocy ciemnej i szła, aż zaszła do gęstego lasu, gdzie spotkała człowieka całutkiego obrośniętego siwymi włosami. Opowiedziała mu o wszystkich swoich przygodach, a on jej poradził, aby zabrała od niego czerwony kijaszek, który przyda się jej w każdym przytrafunku.

Pięknie pożegnała starego i ruszyła w drogę. Ledwo uszła kilka staję, a tu chmara Szwedów już, już miała dopaść dziewczyny. Ale

ona fajt-majt czerwonym kijaszkiem, a tu wielka góra oddzieliła ją od żołdaków.

Spokojnie szła dalej, a tu jakieś wojsko dziwaczne poczęło strzelać do niej. Ona znowuż fajt-majt czerwonym kijaszkiem, a wszystkim wojakom fuzje powylatywały z garści.

Ledwo przebyła kawałek drogi, pojawili się znowuż Kozacy z pikami i chcieli ją przebić. Ona fajt-majt czerwonym kijaszkiem, a oto rzeka zalała Kozaków.

Spojrzała przed siebie i widzi, że jakiś żołnierz płynie ku niej rzeką. Już chciała wydobyć kijaszek, a tymczasem żołnierzysko pokazał jej swoją magierkę rogatą, tę samą, którą mu niegdyś wystroiła. Poznała swojego kochanka, odfajtnęła, odmajtnęła czerwonym kijaszkiem i już rzeki nie było, a chłopiec ulubiony chwycił ją za szyję.

Długo się potem kochali, on przywiózł z wojny wielkie majątki, kupili sobie wieś i żyli szczęśliwie.

WIERZCHOWSKI



PRZED jakim lat półtysiąckiem albo więcej, w tym miejscu gdzie dzisiaj miasteczko Iłża, na przestrzeni mil kilkunastu wokoło rosły okrutne bory, przez dzikiego zwierza zamieszkane. Wielkie bory roiły się różnorodnym ptactwem, a w olbrzymich sosnach pszczoły i szerszenie liczne miały siedlisko. Gdziekolwiek tylko były zielone polanki, a na nich w ciemnych budach, z gałęzi splecionych i mchem pokrytych, na zimę zaś murawą udarniowanych — mieszkali mazarze (smolarze) i węglarze, którzy w strony dalekie maż, dziegieć i węgle rozwozili.

Były tu i góry wysokie, wąwozami skalistymi porozdzielane. Na jednej z gór takich stara a zła bardzo królowa wielki zamek z kamieni zbudować sobie kazała. Tysiące ludzi przez lata całe na górę tę kamienie, wapno i piasek, stopy belek z dębu i modrzewiu wciągały. A że wody blisko nie było, więc królowa kopać studnię na górze rozkazała. Na samym cyplu góry, w twardej opoce wybijali majstrowie ową studnię. Już na tysiące łokci w głąb ziemię i kamienie wybrali,

a do wody dostać się nie mogli. Wtedy królowa kazała ten loch wielki obmurować wysokim murem okrągłym, obok niego zamek budować, a pod zamkiem — wielkie lochy i piwnice. Wszystko to grubymi murami i żelaznymi bramami otoczyć kazała, aby dostępu tam nikt nie miał.

Ludziska do tych robót z daleka sprowadzeni aż się za głowę brali z dziwowiska; na co królowej starej i brzydkiej tyle budowli różnych przydać się może? A wkrótce wszystko się wyjaśniło, gdy wozy ciężkie dniem i nocą do zamku zajeżdżać zaczęły. Moc narodu, co jakoś nie po naszymu gadali, skrzynie różne i sprzęty złociste do izb znosili, a całe wory złota i srebra do piwnic i do lochów zsypywali. Nazjeżdżała się też kupa różnych państwa w złocistych karetach i z nimi cała kapela. Stara królowa wciąż hulala i balowała, z gośćmi swoimi spijając wina i miody słodkie, zjadając potrawy zamorskie, a kapela grzmiała od wieczora do świtu, aż ją o mile słychać było. Ćma żołnierstwa w żelaznej zbroi, z dzidami i mieczami na murach i przy bramie wartę utrzymywała.

Dni i tygodnie upływały w zamku na zabawach, a po lasach naród biedny w swoich chatach dymnych przymierał głodem.

A jednak do ludu tego, oddanego ciężkiej pracy, dochodziły wieści z zamku, że stara królowa po śmierci króla-męża, nie mogąc żyć zgo-dnie z synem, a jeszcze bardziej z młodą prześliczną urody synową, schroniła się do leśnej puszczy, aby żyć tu spokojnie, pędząc czas na modlitwie i na dobrych uczynkach.

Inne jednak życie pędziła zła królowa w wybudowanej przez siebie pustelni, boć kościoła ani kaplicy w niej nie było; rozmyślała natomiast, jakim by sposobem pozbyć się znienawidzonej synowej, która choć nie z rodu królewskiego pochodziła, ale młody król tak ją ukochał, że za małżonkę pojął, na co królowa matka zgodzić się nie chciała. Postanowiła więc zgładzić ze świata synową i w tym celu wielkiego czarnoksiężnika na radę wezwała.

W jakiś czas potem list do syna wysłała, prosząc, aby z żoną do jej pustelni przyjechał, bo czuje się chora i tęskno jej bez ukochanych dzieci.

Młody król miał bardzo miękkie serce, młoda królowa była istnym aniołem. Więc zapomnieli dawnych uraz i do matki zajęchali. Na przyjazd dzieci ucichły w zamku dźwięki muzyki i goście się niby gdzieś rozjechali, a królowa-matka, gronem niewiast wiekowych otoczona, czule młodą parę witała, prosząc, aby dni kilka u niej pogościli.

Wnet jednak przybył goniec, wzywający króla do stolicy. A królowa-matka tak serdecznie, ze łzami błagała, aby w ostateczności choć synowa ukochana przy niej pozostała, że król, nie podejrzewając zdrady, zgodził się na to i sam do stolicy powrócił.

Tego tylko zła królowa oczekiwała. Natychmiast po odjeździe króla synowę swoją w białą kaczkę zamieniła, do studni bezwodnej wrzuciła i mur nad studnią zasklepić kazała. Ponieważ kaczuszka wyfrunąć ze studni nie mogła, więc opuściła się na dno tego lochu straszego i tam gorąco modlić się i rzewnie płakać zaczęła. Łzy nieszczęśliwej rozmyły opokę podziemną i bystrym potokiem aż na powierzchnię wybiegły, tworząc u podnóża góry zamkowej strumień wartki a przezroczysty, na który — prądem łez własnych uniesiona — biedna kaczuszka z lochu podziemnego wypłynęła. Na białej szyjce kaczkę obrączka złota jaśniała. Była to obrączka ślubna, z którą młoda królowa nigdy się nie rozstawała.

Modlitwa i łzy niewinnie prześladowanej królowej-kaczki snadź przez Boga były przyjęte. Nad strumieniem z jej łez powstałym zjawił się Anioł Boży, który jednym skinieniem przywrócił kaczcze postać pierwotną i poszybował z nią na białych skrzydłach wprost do stolicy, gdzie na łonie stęsknionego króla złożył skarb jego ukochany.

Królowa matka ze straszną złością na wszystko to z okna patrzyła. Nagle w kaczkę czarną się zamieniła i — z żelazną obrączką na szyi — za dziesiąte morze uciekła. Zerwała się straszna burza z grzmotami i piorunami. Grom za gromem uderzał w mury olbrzymiego zamczyska, wyganiając stamtąd pozostałych gości i służbę; wszyscy oni w postaci kruków, wron i nietoperzy z wielkim krakaniem i piskiem za czarną kaczką, starą królową, powędrowali i wkrótce w cieniach chmur i nocy zniknęli.

Z zamczyska tylko gruzy pozostały i jedna wielka okrągła baszta, otaczająca loch, do którego młoda królowa była wtrącona. Rzeczkę, która i teraz jeszcze z podnóża góry zamkowej wycieka, ludzie, co w owe czasy żyli, nazwali „Jej łza“ na pamiątkę, że z łez młodej królowej powstała, a z czasem dopiero na nazwę Iłza przerobili.

MARIAN KUCZ

PODANIE O WIŚLE



ZAMIERZCHŁYCH czasach żył potężny król nazwiskiem Beskid, wraz z swą małżonką Boraną, władczynią lasów i zwierząt. Gdy Beskid umarł, Borana osiedliła się na najwyższej górze i wychowała troje dzieci: dwie śliczne córki, Czarnochę i Białkę, opiekunki wód, i syna Lana, który miał nad łąkami i polami panować. Gdy Borana uczuła się bliską śmierci, zaleciła córkom rozprowadzić wody po świecie, a synowi — pozakładać łąki i pola uprawne. Posłuszne dzieci wypełniły wolę matki. Lan użyźnił ziemię i zasiewał pola urodzajnym zbożem; Czarnocha, zapłakawszy, po łagodnej pochyłości zeszła w dolinę po stronie południowej, żywa zaś i wesoła Białka pobiegła ku północy nie zważając na skały i przepaści, i w dolinie — ku wielkiej radości — spotkała się z siostrą, Czarnochą. Odtąd postanowiły nigdy się nie rozłączać i razem postępować dalej, ale daleko nie zaszły, bo niejaki Czantor z braćmi swoimi zastąpił im drogę i zamknął w dolinie.

Siostry były tam szczęśliwe, bo Czantor zasłaniał je od zimnych wiatrów i gorących promieni słońca; za to w podzięce zraszały stoki gór, które niebawem pokryły się pięknymi lasami, pełnymi traw i kwiecia.

Aż raz matka-ziemia kazała rozstąpić się górom i wypuścić wody. Czantor musiał być posłusznym, lecz obawiał się puścić siostry na

nieznane drogi i dlatego wysłał tylko jedną falę, aby wywiedziała się o drodze. Siostry zrobiły wieniec z kwiatów nadbrzeżnych i, ozdobivszy falę wysłaną, żegnały ją serdecznie.

Pierwsza ta fala, zwana *Wyszła*, czyli Wisła, wypłynąwszy z gór ulubionych, już się chciała do sióstr wrócić, ale spostrzegłszy góry krakowskie, ku nim podążyła i radośnie przez nie została przyjęta. Później odwiedziła strony sandomierskie, warszawskie, płockie, wrocławskie, toruńskie, a wypłynąwszy z ziemi chełmińskiej, pobięła do morza.

Za tą pierwszą falą wysyłają siostry coraz to inne fale, które płyną zawsze tą samą drogą. A stało się to wtedy, gdy słońce podniosło się najwyżej i najbujniej zakwitły kwiaty.

Odtąd na pamiątkę tego zdarzenia dziewczęta wzdłuż całego brzegu Wisły obchodzą wianki w przeddzień św. Jana, puszczając po wodzie wieńce z kwiatów. Odtąd także wodę, przepływającą po dolinie, do której zeszła Czarnocha, nazywają Wisłą Czarną, a siostrę jej — Białą. Góra, gdzie przebywała Borana, zowie się Baranią, a tam gdzie mieszkał Czantor, Czantoria; lud mieszkający między górami — góralami, a lud w dolinach — Lanami, Lachami lub Polanami.

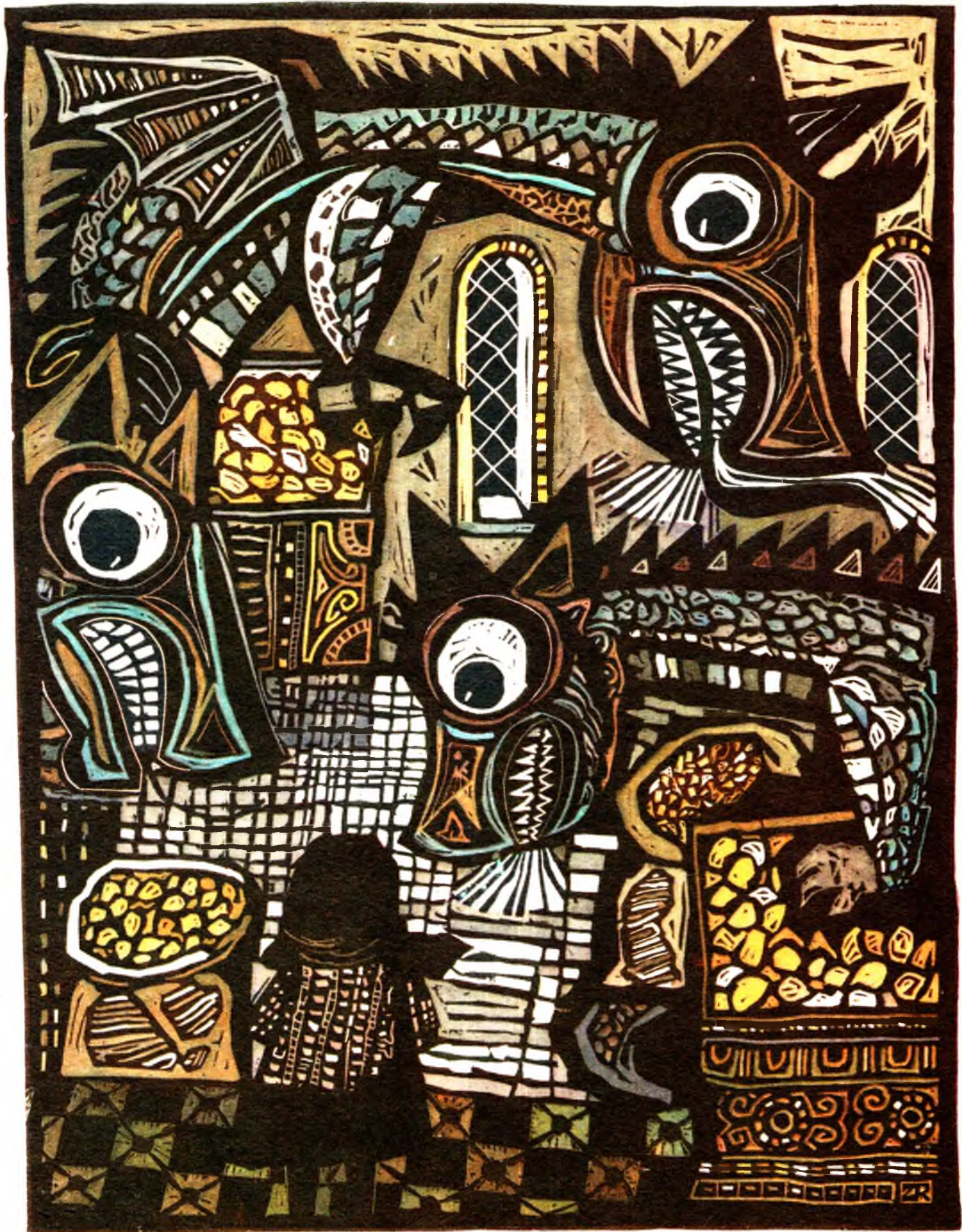
JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA
JADWIGA WARNKÓWNA

BAŚŃ O GRODZIE LODOWEJ



WAD RZEKĄ Rabą, między Mszaną Dolną a Myślenicami, wznosi się stroma, porośnięta lasem góra Strzebel. Jest w niej grota zwana Lodową, gdyż przez rok cały, zarówno w zimie, jak i w lecie — lód w niej leży nigdy nie topniejący. Posłuchajcie, co bajali o niej sto lat temu starzy ludzie we wsi Lubień, leżącej u stóp Strzebla.

Pasterka Kasia pasła na Strzeblu bydło. Stale musiała uważać na to, aby zwierzęta nie zagubiły się w lesie i nie wleciały przypadkiem do głębokiej jamy, na której dnie widać było grubą tafłę lodową... Pewnego razu, gdy położyła się na trawie i z twarzą zwróconą ku niebu liczyła chmurki przepływające nad górą, usłyszała dolatujący z lasu żałosny ryk swego ulubionego byczka. Nie zauważyła, kiedy odłączył się od stada i zniknął w lesie. Pełna obawy wstała i czym prędzej pobiegła w kierunku, z którego dolatywał ją głos. Gdy znalazła się w pobliżu groty, ponownie usłyszała jego ryk, dochodzący tym razem jakby spod ziemi. Była już pewna, że byczek wpadł do jaskini, i nie namyślając się zeskoczyła na dno jamy. Znalazła w ziemi otwór i śmiało się weń wśliznęła. Ogarnął ją mrok i chłód. Posuwała się w ciemności, dotykając wyciągniętymi na boki rękoma ścian, jakby z lodu wykutych. Po chwili rozjaśniło się nieco, a gdy Kasia przestąpiła szeroki próg, znalazła się w dużej, jasno oświetlonej izbie o ścianach wyłożonych złotem, srebrem i drogimi kamieniami. Pod jedną



z nich stały cztery wielkie skrzynie, wypełnione do samego wierzchu złotymi dukatami. Na trzech skrzyniach siedziały trzy okropne smoki, toczące groźnie krwawymi oczami, wielkimi jak talerze... Na czwartej siedział poszukiwany byczek, umieszczony tu przez diabłów, pilnujących tego zbójckiego skarbu... Trzy diabły siedzące wokół diamentowego stołu powstały na widok Kasi i zapytały, czego tu szuka... Dziewczynka drżącym głosem odparła, że szuka byczka, który wpadł do grotu.

Na to jeden z diabłów roześmiał się głośno, a za jego przykładem poszli pozostali; nawet smoki rechotały ze śmiechu, bijąc ogonami po skrzyniach...

— Byczka swojego musisz nam zostawić — powiedział wreszcie diabeł do Kasi. — Już ci go nie oddamy, potrzebny jest do pilnowania skrzyni ze zbójckimi pieniędzmi... Ale żebyś nie była pokrzywdzona, zapłacimy ci dobrze za niego.

Mówiąc to zaczerpnął złotych pieniędzy z jednej skrzyni i rzucił na diamentowy stół. Uczyniwszy tak trzykrotnie, ułożył na stole trzy różnej wielkości kupki złota.

— Bierz, którą chcesz — powiedział do Kasi — i zmykaj stąd. Ale pamiętaj, że jeżeli na czas nie przeskoczysz progu tej komnaty, zostaniesz tu z nami na zawsze...

Kasia była rezolutną dziewczyną. Zaraz sobie pomyślała, że trzeba wybrać najmniejszą kupkę złota, by nie było ciężko skakać z nią przez próg. Zdziwiło ją tylko, że pieniądze były jakby krwią ludzką zwalane. Diabeł wyjaśnił, że są to skarby zebrane niegdyś przez zbójców, którzy w lasach mieszkali i rabowali przejeżdżających drogą kupców i podróżnych. Kasia drżącą ręką wysypała złoto do fartucha, spojrzała smutno na byczka, który siedział na czwartej skrzyni, dygnęła grzecznie diabłom i obróciwszy się, podeszła do szerokiego progu. Serce mocno jej biło, gdy spojrzała na przeszkodę. Ale cóż było robić... Odbiła się zgrabnie od ziemi i skoczyła...

W tej sekundzie diabli zatrzasnęli za nią potężne drzwi, ale spóźnili się, gdyż dziewczynka była już za progiem. Ciężka brama przycięła jej tylko koniec pięty.

Kasia szczęśliwie wydostała się na ziemię, wróciła do wsi i opowiedziała wszystkim o dziwnej przygodzie...

Przychodzi dziś na Strzebel wielu turystów. Niektórzy z nich, wiedzeni ciekawością, zagląдают do Lodowej Groty, ale nic nie widzą prócz lodu, a raczej stwardniałego, złodowaciałego śniegu. Drzwi do diamentowej groty zatrzasnęły się na wieki i znaleźć ich nie można.

I ja tam byłem, i ja szukałem wejścia do komnaty z czterema skrzyniami złota, ale nic nie znalazłem, więc usiadłem przy biurku i napisałem to opowiadanie.

STANISŁAW PAGACZEWSKI

ILE BABIA GÓRA MA WIERZCHOŁKÓW



POLSCE na Babiej Górze jest moc wierszków, co ich żaden nie mógł porachować. A tam straszyło. Jakby tam był kto na noc został, tak go zamordowało.

Posłali dwanaście studentów, że ich oni muszą zrachować, a jak ich nie zrachują, że karę dostaną.

Szli, aż tam przyszli i chodzili przez dzień a rachowali. Ale nie mogli porachować. Ścignęła ich noc i oni tam musieli zanoć. Ale tam nie było chałupy. Oni se nakładli w lesie ogień i pozlegali kole niego nogami ku ogniu, a głowami od ognia. Każdy se głowe płaszczem owinął, co nie było żadnemu głowy widać.

Jak przyszło o północy, przyszła potwora, kiera straszyła. Oni wszyscy spali, jeny jeden nie. Potwora się dziwowała na to koło kole tego ognia i powiadała:

— Jach jest potwora, ale tu jeszcze większa potwora, bo same nogi, a głowy żadnej. Boch już przeszła trzydzieści dwa wierszki, a jeszcze takowej drugiej potwory nie naszła.

I poszła precz.

Rano, jak powstawali, pytał się ich ten, co nie spał, jeśli wiedzą, wiele jest wierszków. Oni prawili, że nie. On prawił, że on już wie, że trzydzieści dwa, bo potworę wysłuchał, kiera ich za jeszcze większą potworę uznała. Bo że już przeszła trzydzieści dwa wierszki, a jeszcze takowej nie naszła.

I oni już mieli porachowane to, co żaden porachować nie mógł. I szli z radością do domu.

To było dziwne tym, co ich tam posłali, że ich tak chnet porachowali.

LUCJAN MALINOWSKI

STUDNIA TRZECH BRACI



EŚLI będziecie kiedyś w Cieszynie, to pójźcie koniecznie na ulicę Trzech Braci i obejrzyjcie Bracką Studnię. Studnia jest okryta ozdobnym spiczastym daszkiem, wspartym na wysmukłych kolumnienkach. Jest to bardzo stara studnia, starsza od miasta Cieszyna. Starzy ludzie tak o niej opowiadają:

Dawno, bardzo dawno temu, na miejscu gdzie teraz stoi Cieszyn, była wielka puszcza.

Pewnego razu przyjechali do tej ogromnej, dzikiej puszczy trzej bracia: Lech, Czech i Rus.

— Jeszcześmy tu nie byli — powiedział Lech.

— I wygląda na to, że nie był tu przed nami żaden człowiek — dodał Czech.

— No, to może byśmy sobie zapolowali ! — zawołał ochoczo Rus.

Nie trzeba było braciom tego dwa razy powtarzać, bo wszyscy trzej przepadali za łowami. Puścili cwałem swoje śmigłe konie i dalej w las ! Przez krótki czas jechali razem, ale że w tej okolicy na zwierzy- nie nie zbywało, Lech już po paru chwilach ujrzał wspaniałego jelenia, Czech — wielkiego dzika, a Rus — olbrzymiego, brunatnego nie-

dźwiedzia. No i każdy z braci pognał za swoją zwierzyną: Lech na północ, Czech na południe, a Rus na wschód.

Trudna to była gonitwa. Jeleń zapuścił się w grzęzawiska, przez które koń Lechowy brnął z wielkim trudem, zapadając po kolana, a czasem aż po brzuch w lepkie błoto.

Niedźwiedź zaszył się w kolczastą gęstwinię malin i jeżyn, o które Rusowy koń boleśnie podrapał sobie boki.

Dzik popędził w stronę jarów i rozpadlin, przed którymi Czechowy rumak zatrzymał się chrapiąc ze strachu.

Ale trzech bracia nie zważali na przeszkody. Popędzali swoje konie, bo koniecznie chcieli dopaść upatrzonej zwierzyny. Jak długo trwała ta gonitwa, nie wiem, bo nie było przy tym wypadku ani mnie, ani mego dziadka, ani nawet prapradziadka. Ale wydaje mi się, że Lech, Czech i Rus musieli bardzo długo pędzić za jeleniem, dzikiem i niedźwiedziem. I podobno wcale ich nie dogonili.

Wreszcie zrobił się wieczór. I na pewno zaczął zapadać zmrok, bo zmrok zawsze zapadał, nawet tysiąc lat temu. Dopiero wtedy każdy z braci zaczął rozglądać się za pozostałymi dwoma. Bo każdy był w innej stronie puszczy — jeden na północy, drugi na południu, trzeci na wschodzie. I każdy był zupełnie sam. Zaczęli więc wołać: Hop! Hop! i trąbić na myśliwskich rogach. I tak się szukali aż do rana. A wokół nich puszcza ryczała, kwiczała, kumkała i piszczała głosami wszystkich dzikich zwierząt, jakie w niej mieszkały. I wydaje mi się, że trzem braciom wcale nie było przyjemnie.

Dopiero nad ranem, kiedy w puszczy jest najciszej, bracia usłyszeli głosy rogów. I tak po głosie myśliwskich rogów trafili do siebie. I spotkali się przy czystym, puszczańskim źródle.

— Ach, Czechu, Rusie, jak się cieszę, że was odnalazłem! — zawołał Lech.

— Ach, kochany Lechu, i ja się bardzo cieszę! — zawołał Czech.

— A ja to niby się nie cieszę? — huknął Rus radośnie.

Tak się cieszyli, tak się cieszyli, że na pamiątkę tej radości założyli gród i nazwali go Cieszynem.

ŻABI PACHOŁ



MYŚLIŁ raz Skarbnik Fontana pochodzić między górnikami, by przypatrzeć się dobrze, jak im się wiedzie w robocie. Przybrał postać żaby i przysiadł w jamce pod zmurszałym stojakiem w bocznym chodniku*.

Poranna zmiana zjechała właśnie do pracy. Ze swego ukrycia dostrzegł Fontana przechodzących z lampami górników.

Pogadywali do siebie z cicha, ten i ów zakaszłał, inny szedł w zamysleniu ku przodkowi*.

Praca górnika niemałego wymaga rozmysłu i uwagi niemałej.

Wiedział o tym Fontana. Wiedział również, że nie wszystkim górnikom jednakowo wiedzie się w kopalni.

Jednemu to wszystko sprzyja: i sztygar* mu przyjacielem, i węgiel sypie* tak bogato, jakby go matka-ziemia dla tego właśnie wybrańca przeznaczyła; a kiedy przyjdzie do wypłaty, to i grosza weźmie on sporo.

Wesół wraca potem do domu, a śpiewa sobie po drodze i kilofem wywija. Takiego i kupiec, i karczmarz rad przywita, a karczmareczka śmieje się do niego i do pełna szklanicę nalewa.

Inny przez dzień cały nie szczędzi trudu, a ledwie na kęsek chleba bez omasty zarobi. Mocuje się z oporną skałą, a urobi tyle, co drugi przez pół dniówki.

I sztygar takiego łaje, i koledzy złośliwym słówkiem zadrasną. Niewesoły chodzi taki człowiek i nierad z ludźmi przestaje. Troską się karmi aby i żalnością.

Takim to opuszczonym górnikom umyślił dopomóc Fontana.

Gromada ludzi, która najwcześniej do kopalni zjechała, przeszła już, w chodniku objazdowym uczyniło się pusto i cicho.

Fontana wyskoczył ze swej jamki i właśnie zamierzał pójść w ślad za ludźmi, aby się przypatrzeć ich robocie z bliska a niepostrzeżenie, gdy wtem z mroku wynurzyła się nowa gromada: młodzi, weseli chłopcy.

Bystrymi oczami dostrzegli zaraz żabę, która już wrócić do kryjówek nie zdążyła.

— Pierona*! Ale to ci szykowny górnik dzisiaj z nami na dół zjechał! — zawołał krępy, rumiany chłopak wskazując na żabę towarzyszom.

— Kaś to podział karbidka*? — pytał inny żabę, a w oczach czarnych jak tarki zapaliły mu się wesołe iskry.

— Hanys, leć na przewozowy, niech ta paranaście wozów więcej przycisną, bo dziś fedrunek* pójdzie, aż będzie grzmiało! — wołał trzeci młodzik.

— Ty się nie śmieję — rzucił ktoś z boku — bo jak się ten żabi pachol ozeźli, to cię tak kopnie, że się nie pozbierasz!

— Ja go prędzej kopnę! — krzyknął zaczepiony i już, już chciał uderzyć żabę.

Wtem zza gromady rozswawolonych młodzieńców wysunął się człowiek starszy, z bladą, szczupłą twarzą.

— Ostawcie gadzina* — rzekł półgłosem — przeca wam ona nic nie winna!

Młodzieniaszek, który chciał kopnąć żabę, obejrzał się i zastanowił.

Zapanowała na krótko cisza.

Górnik podszedł do żaby, zdjął z głowy skórzany hełm i włożył ją do niego troskliwie, bacząc, by nie uczynić jej krzywdy.

Gwar wybuchł nagle na nowo, we wrzawie zmieszanych głosów, śmiechów i przekpinek trudno było rozróżnić pojedyncze słowa.

Młodzi zataczali się od śmiechu, klepali się po plecach i poszturchiwali nawzajem w migotliwym blasku karbidek.

— Żabi pachole! — posłyszał górnik.

— Żabi pachole zjechał dzisiaj na dół!

— Cha! Cha! Cha! I jakież to będzie robił ten mizerok?!

Górnik nie odrzekł nic na te okrzyki. Przyśpieszył tylko kroku. Kiedy zaś przyszedł na przodek, zdjął kapotę, rozłożył ją na spągu* i posadził na niej troskliwie żabę. Zawiesił karbidkę, wydobył z kieszeni kromkę chleba i kilka zielonych cebul.

Przysiadł na kłocu opodal i zaczął spieszenie spożywać swe ubogie śniadanie, którego nie zdążył zjeść w domu.

Żaba siedziała spokojnie i nie spuszczała z górnika swych wypukłych oczu.

— Naści, pojedz trochę! — rzekł chłop i podrobił żabie nieco okruszyn. Była głodna i zjadła wszystko.

— No! — rzekł wtedy górnik. — Teraz siedź sobie cicho na kapocie, żabi pachole, a ja się biorę do roboty, bo już wielki czas!

Żaba uniosła głowę i uważnie rozejrzała się dokoła.

I nagle kilku skokami znalazła się przy górniku.

— Cóż to? — zaśmiał się człowiek. — I tobie się chce roboty?

— A tak! — rzekła na to żaba ludzkim głosem. — Ino przódziej powiedz mi, jakież ci to idzie? Sypie węgiel czy nie?

Górnik zadziwił się na to, opuścił świder i chwilę stał nieruchomo, dech wstrzymując w piersi.

Żaba wskazała łapką na wgłębienie w ociosie* i zapytała:

— Tu będziesz wiertał?

— Tu — rzekł górnik, czując już teraz więcej ciekawości niż lęku — ino mi się jakoś nie wiedzie... Sam nie wiem, czemu... Co odstrzele*, to się kamienie sypią. Bieda w mym domu gości i nie odchodzi. Niewiele biorę wypłaty.

— To wiesz co? Ja ci pokażę, gdzie masz wiercić.

Posłuchał górnik rady i zaraz za pierwszym odstrzałem wszystko

się w jego pracy odmieniło. Węgiel sypał bogato, czysty, bez jednej bryły kamienia.

Raz, drugi i trzeci ukazała mu żaba jeszcze, gdzie ma zakładać otwory strzałowe, a potem rzekła:

— Nocą pracować tu będę ja, zgódź się, a tak ci urobek* do rana pomnożę, jak nigdy jeszcze w tej kopalni nie bywało... No co, zgoda?

— Zgoda, żabi pachole, ale płatę weźmiemy po połowie, jako między dobrymi kamratami* przystoi...

Ugodzili się górnik z żabą.

Cieszył się chłop, cieszył, że takiego zyskał towarzysza!

Wszyscy zaś dziwili się w kopalni jego powodzeniu, a Fontana, ciągle się kryjąc pod żabią postacią, nie widziany przez innych górników co dzień pokazywał, gdzie wiercić otwory strzałowe i jak zakładać ładunki. Nocą zaś pracował sam i pomnażał urobek.

Tak przemijały dni, aż przyszła wypłata.

Poszedł górnik sam po pieniądze, a Fontana czekał na niego ukryty w dołku pod stojakiem, by kto go z ludzi nie dojrzał i nie ukrzywdził.

Czekał i czekał, a przez cały czas wypukłymi oczami po skale wodził i nad jeszcze lepszą robotą przemyśliwał.

Wrócił górnik, rad z wypłaty i wesół.

— No, żabo! — zawołał. — Teraz podzielimy pieniądze!

Rozesłał swoją kopertę na spągu, sam siadł na kłocu i wytrząsnął z kabzy srebrne monety; obok nich posadził żabę.

— To dla ciebie, a to dla mnie! — powtarzał rozkładając pieniądze na równe kupki. Było tego, było, aż na końcu została jedna tylko moneta. Był to nowiutki pieniądz i pięknie błyszczał.

— To dla ciebie, kamracie! Bier a ciep* do kabzy!

— Dzięki ci — odrzekł żabi pachol i począł przenosić srebro do swej jamki pod zmurszałym stojakiem, bacząc, by nikt z ludzi tego nie spostrzegł.

Kiedy już wszystko przeniósł i schował, a po wierzchu przysypał miałem, wrócił do górnika i rzekł:

— Rad bym cię teraz nawiedził doma, człowieku! Niech twa kobieta dobrą wieczerzę uwarzy, kołaczy i żymlów* napiecze, gości sprosi, a wtedy wszyscy pospołu się zabawimy, jako zwyczajnie po dobrej wypłacie bywa!

— Dobrze — odpowiedział górnik. — Przychodź jutro w gościnę, a wieczerzę uwarzymy jak się patrzy!

Żaba oddaliła się powoli i przysiadła w swej jamce, na srebrnych monetach przysypanych miałem.

Na drugi dzień właśnie wypadła niedziela.

W domu górnika pięknie posprzątano, sproszone gości i nagotowano wiele smacznego jadła, tak by dla wszystkich starczyło. W komorze na półkach ułożyła gospodyni kołacze i strucle, a obok rumiane bułki.

Górnik sam doglądał przygotowań do wieczerzy, a kiedy już stół nakryto i przysunięto ławy, wziął małą skrzynkę, postawił ją na ławie tuż przed nakryciem dla najważniejszego gościa i jeszcze po wierzchu przykrył pasiakiem.

— Po co stawiasz ta skrzynka, kumie? — zapytał go starzyk*-sąsiad, który najpierwszy przybył w gościnę.

Gospodyni, dzieci i jeszcze dwaj bracia górnika obstąpili go kołem i także, zdziwieni, gadali:

— To przeca jest do śmiechu, takie siedzisko szykować dla gościa! Coś ty, chłopie!

— Bier no ta skrzynka i pasiak, a ciep do komory!

— Któż tak siednie za stołem?

— Jakiegoś to cudaka zaprosił na wieczerza?

— Dziwno, i tyła!

Zrozumiał górnik, że czas uprzedzić wszystkich, kogo to na wieczerzę zaprosił, przeto rzekł:

— Kiej się tak dziwujecie i wiedzieć chcecie, kogom zaprosił w gościna, to wam powiem: przyjdzie tu dzisiaj żaba, taka zielona żaba, a wieczerzać z nami będzie.

— Żaba! — załamała ręce gospodyni. — Jakoż to jest możebne, by z ludźmi wieczerzała?

— Żaba! Żaba! — wołały dzieci. — A czy lubi ona kołaczki?

— Żaba to dziwny gość! Niewidziany... — pokiwał głową starzyk-sąsiad. — Ale tak myślę, żeś ją przecie nie bez przyczyny do chaty zaprosił, co?

— Tak, kumie. Dziwna to żaba. Naszedłem ją w kopalni, na dole, nie wiedzieć, skąd się tam wzięła, gadzina! Młodzi wtedy na dół zjechali i dojrawszy żabę, dalej przekpiwać a krzyżeć. Już tam jeden się na nią zamierzał, kiedym przyszoł i ją zabrał. Potem była przy mnie i ludzką mową gadała. Ukazała mi, jako mam wiertać, gdzie ładunek zakładać — węgiel sypał za każdym odstrzałem, a żaba nocą mi jeszcze urobek pomnażała. Tak oto, widzicie, do pieniędzy teraz za jej pomocą przyszedłem. Sama mi rzekła, że mię doma nawiedzi, godzi się więc ją ugościć przy stole.

— Oo! Kiej tak, to niech skrzynka na ławie ostanie! — rzekła gospodyni, a starzyk-sąsiad dodał:

— Niech ta żaba siednie z nami, a poje do syta!

Ledwie rzekł te słowa, a żaba już na progu siedzi i mile wszystkich pozdrowia.

Rozstąpili się ludzie, a górnik ujął ją ostrożnie i posadził przy stole, na skrzyneczce przykrytej pasiakiem.

Rozsiadła się żaba wygodnie i wraz ze wszystkimi wieczerzać poczęła.

To piwa upiła z orzechowej łupiny, to ze spodeczka wzięła okruszynę kołacza, to pochleptała polewki z miseczki, a wszystko chwaliła, że smaczne, jak rzadko bywa.

Cieszyła się gospodyni i jeszcze jej miodu kilka kropel usączyła z dzbanuszką.

Żaba poczęła jej dziękować i bardziej jeszcze chwalić potrawy. A kiedy tak się gościła i wieczerzała z ludźmi pospołu, do chaty przyszedł ostatni gość, górnik, jak i gospodarz, ale człowiek gwałtowny i zabijaka, znany w okolicy, który rad do kielicha zaglądał.

Kiedy zobaczył żabę siedzącą wraz z ludźmi przy stole, śmiać się począł z gospodarza i przekpiwać, niepomny grzeczności i przyjaźni dla swego kamrata.

— A toś sobie sprosił kompana! Ino terazki jeszcze wieprza z chlewu za stołem posadzić! Ooo! To będzie do pary ze żabą, albo-li jeszcze capa tu przykludzić* z obory! Chachachacha!...

— Cichoj no! Sameś jako cap, skoro tak wargujesz* w cudzym domu! — zawołał na niego starzyk-kum.

— Coś to rzekł, stary pieronie?! — krzyknął zabijaka, z całej siły zamachnął się ręką i zrzucił z ławy skrzyneczkę, na której siedziała żaba.

Pogasty naraz lampy, a w izbie coś stuknęło o podłogę i zabrzęczało.

Krzyknęły dzieci, a wszyscy w ciemności porwali się ze swych miejsc, potrącając naczynia na stole.

Gospodarz szybko zapalił karbidkę, a gdy pojaśniało znów w izbie, poczęto szukać żaby. Zagłądano pod stół i pod skrzynię, wołano, lecz nigdzie jej nie było.

Zmartwił się górnik niemało, że w jego domu gościa miłego tak obrażono, i z żalem wielkim popatrzył na niewstydnika, który owego zła był przyczyną.

Pozbierał z podłogi noże i łyżki, zrzucone ze stołu w zamęcie, i podniósł skrzynkę, którą pustą ustawił dla żaby na ławie. Kiedy jednakże obrócił skrzyneczkę w rękę, wieko uniosło się samo, a na podłogę wysypały się z brzękiem srebrne monety, niby mieniąca się struga, i ułożyły w sporą górkę tuż u nóg zdumionego górnika.

Pochylił lampę, a wtedy na wierzchu owej górkki srebra zobaczył ten sam nowiutki błyszczący pieniądz, który dostał mu się przy wypłacie, a który przy podziale, jako ostatni, ofiarował żabie.

— Aaach! Co to? Co to? Skąd te pieniądze! — słyhać było w izbie.

— Dała je nam żaba — rzekł na to górnik. — Ino to wam powiem, że to wcale nie była żaba! Był to sam Skarbnik Fontana, który przybrał żabią postać i tak nas obdarował. A ty, szturmierzu* niewstydnny — zwrócił się do zabijaki — obraziłeś skarbnika! Bacz tedy dobrze, by ci teraz na dole nie odplacił!

KORNELIA DOBKIEWICZOWA

PODANIE O SKARBNIKU



YŁ RAZ młody chłopak, który przyszedł do dąbrowieckiej kopalni. Na początek dali mu taką robotę, że ładował węgiel na wózki i byłby pewnie ładował do sądnego dnia, bo obcemu niełatwo o lepszy zarobek, aż Skarbnik upodobał go sobie i jak nie stanie raz przed nim i nie powie: „Chodź ze mną“, a był ubrany jako zwyczajny sztygar i chłopak myślał se, że to sztygar, tak i poszedł za nim. A Skarbnik pyta dalej: „Masz olej w lampce?“ „Mam“. „A chleb masz?“ „Mam“. „To chodź, pokażę ci kopalnię“. Doszli do nowego numeru, a tu ściana rozstępuje się i weszli w sam środek pokładu węgla, a Skarbnik pokazywał chłopcu, gdzie węgiel najgrubszy, gdzie jaka woda, a chłopak myślał, że dzień cały chodzi, bo mu oleju i chleba starczyło. Nareszcie Skarbnik wyprowadził chłopca na podszybie i dał mu kartkę ze swoim podpisem, jako mu na górze mają wypłacić za cały czas, co on był pod ziemią, ale przykazał też, aby nie ważył się nigdy do kopalni wracać.

Kiedy chłopak na górze kartkę oddał, zaczęto po księgach szukać, kiedy taki a taki robotnik jest zapisany, i ledwie znaleźli, że to było przed rokiem. Okrutnie się wtedy dziwowali i nie wierzyli chłopcu, ale jak zaczął im rozpowiadać, tak i zmiarkowali, że to rzetelny Skarb-

nika podpis, i za cały rok chłopcu wypłacili, a i sami skorzystali, dowiedziawszy się, gdzie czego szukać pod ziemią.

Pół roku wytrzymał chłopiec bez kopalni, jako mu Skarbnik nakazał, ale potem tak go bez węgla cniło, że nie wytrzymał i poszedł. Ale ino co się spuścił, a tu w szybie maleńki kamyczek w samą głowę go trafił i zabił na miejscu. Tak ukarał Skarbnik nieposłuszeństwo swej woli.

JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA
JADWIGA WARNKÓWNA

MIEDZIANA LAMPA



A ZEGARZE kościelnym wybiła północ. Ponad miasteczkiem śląskim świecił księżyc, wokół niego tysiąc gwiazd migotało na niebie to zielonym, to błękitnym, to żółtym światłem. Na cichych ulicach leżał śnieg, nie widać było zapóźnionych przechodniów, tylko bure i łaciate koty przemykały do piwnic na nocne łowy.

— Bam... bam... bam... — bił zegar nad uśpionym miasteczkiem, a uderzenia jego liczyło chore dziecko, które nie mogło usnąć, choć przy jego łóżku czuwał troskliwie dziadek, otulał kołdrą, poprawiał poduszki i podawał wodę z malinowym sokiem.

— Śpij, Pietrek, śpij! — mówił stary. — Słyszysz? Przecież to północ bije...

Chłopiec popłakiwał jednak i niespokojnie poruszał się na łóżku. Nie mógł spać.

Wtedy to właśnie księżyc zaświecił prosto w okno izdebki i zaśnił pięknie na świeżo wyczyszczonej wielkiej lampie z miedzi, wiszącej na gwoździu u drzwi. Tę lampę podarował kiedyś dziadkowi nad-sztygar*.

Dziecko spojrzało zaciekawione. Lampę znało, bo przecież dziadek co dzień zabierał ją ze sobą na kopalnię. Ale w świetle księżycy lampa wydawała się chłopcu inna, większa, wspanialsza, taka właśnie,

jaką mieć powinien górnik z baśni, nie zwyczajny dziadek, Paweł Duda.

— Starzyku! — rzekł. — Postawcie waszą lampę na stole! Nie pali się ona przecież, a tak się świeci cała od miesiąca! Aż dziw patrzeć, jak się odmieniła...

Paweł Duda ustawił lampę na wprost okna, by światło księżycy jeszcze mocniej się w niej odbijało.

— Masz oto, Pietrek... Dziwuj się...

W świetle księżycy lampa przemieniła się i wypiękniała. Stała się jeszcze okazalsza, aniżeli bywa zwykle wielka miedziana blenda*, którą na dole w kopalni nosi ze sobą sztygar.

Wpatrzył się w nią staruszek i jakby wrósł oczami, a księżyc sączył przez okno coraz to piękniejszą, coraz hojniejszą poświatę ze srebra.

Wtedy przypomniał sobie Paweł Duda dziwne zdarzenie, dawne, sprzed ćwierci wieku chyba. Działo się to w kopalni, kiedy Paweł pracował na dole jako maszynista i prowadził lokomotywkę ciągnącą wózki z węglem. W zdarzeniu owym występowała również lampa. Wielka, wspaniała, miedziana, jaką tylko dojrzeć można w mroku kopalni.

Umyślił teraz opowiedzieć to zdarzenie choremu wnuczкови. Może chłopiec zasłucha się i zaśnie?...

— No, Pietrek — rzekł — legnij se wygodnie, a słuchaj dobrze, co ci powiem. Jak się zaciekawisz a uspokoisz, to i senność prędzej przyjdzie.

— A o czym będziecie rozprawiać, starzyku? — spytało żywo dziecko.

Chłopiec pochwycił starego za rękę i przyciągnął do siebie.

Paweł Duda usiadł na brzegu łóżka.

— Obaczysz, Pietruś, obaczysz — łagodnie powiedział do malca. — Ino dobrze słuchaj... Młody byłem i jeszcze na naszej „Barbarze“ na dole byłem maszynistą. W chodniku przewozowym mieliśmy już wtedy szyny, a po nich lokomotywka moja przez całą zmianę to ciągnęła za sobą pełne wozy pod szyb, to znowu próżne popychała przed

sobą, do miejsca, gdzie ładowacze szybko wrzucali do nich węgiel. Rad byłem tej robocie, lubili mnie kamraci, bo i o wozy się starałem, i zważałem pilnie, by jakiego wypadku nie było. Jadę raz chodnikiem, a była to nocna zmiana. Wozy chroboczą, maszynka* moja zgrzyta kołami i gada po swojemu: Pyk... pyk... pyk... Dokoła mrok, jak to zwyczajnie w kopalni, że o dziesięć kroków widać tylko światło lampy, nie zaś samego nadchodzącego górnika.

Baczę tedy pilnie na szyny i jadę.

Wtem jakiś górnik wyskakuje na tory i kiwa lampą, abym przystanął.

Lampa to zaś była wielka, miedziana i dawała tak silne światło, że m drgnął i zaniewidział na chwilę. Wydało mi się, że ktoś bryznął mi do oczu strumieniem ognia. Poraziła mnie światłość niezwykajna, jakby ta od miesiąca, która teraz w izbie się srebrzy.

Przystanąłem. Zgrzytnęły koła, zahurkotały wozy.

Wyskoczyłem co szybciej na tory; pilno mi było zobaczyć owego górnika z lampą miedzianą i zapytać go, po co on na mnie kiwa.

Przeszedłem wszystkie wozy, bom je właśnie próżne odprowadzał ładowaczom do przodka, patrzę — nie ma nikogo. Wołam — nikt nie odpowiada.

Cisza taka i ćma dokoła, jakby ludziska gdzieś się przede mną umyślnie pokryli.

Nie ulękę się lada czego i to wiem, że bojaźń górnikowi nie przystoi. Ale wtedy mróz mi przebiegł po plecach. A nuż spoza drewnianych stojaków błysnie na mnie zielonym okiem Skarbnik?

A nuż naprzeciw mnie wystąpi teraz korowód cieni, owych ludzi, co to ich zasypało kiedyś w tym chodniku, nim ułożono w nim szyny? Nie znaleźli ich towarzysze i tak już pół wieku śpią tu snem nieprze-
spanym...

Otrząsnąłem się z lęku i raz jeszcze spojrzałem po torach.

Za wozami nie było nikogo.

— Tfu! Dziwna rzecz! Przeciem dziś gorzały nie pił! — gadałem sam do siebie i splunąłem na stronę, bom w ustach poczuł jakąś gorycz obmierzłą.

Wsiadłem znów do maszynki i ruszyłem naprzód, by na czas dostawić wozy do przodka.

Zazgrzytały znowu po szynach koła, maszynka gadać poczęła zwyczajnie — szu... szuu... i ujechała nie więcej niż dwadzieścia kroków.

Spozieram na tory, aż tu górnik znów z ciemności wybiega, staje na torze i lampą miedzianą na mnie kiwa. Znów poraziło mnie światło aż do bólu, alem przetaił oczyska palcami i co rychlej wyskoczyłem na spąg, by tego górnika dopaść...

„Czego chce? Kto zaś jest? Możem zawczas przystanął?” — huczało w mej głowie.

Przeszedłem wszystkie wozy. Dochodzę do ostatniego... Nie! I teraz nie ma nikogo! Dokoła cichutko, choćby nocą w kościele.

Rozgniewałem się mocno, zerwałem czapkę i cisnąłem na tory.

— No, terozki, choćby was tu i dziesięciu wyskoczyło ku mnie, to jadę, pierońskie ciarachy*! — wrzasnąłem głośno.

Nikt mi jednakże nie odpowiedział.

Ruszyłem znowu.

I po raz trzeci ów górnik wyskoczył nagle na tory i jeszcze silniej, jeszcze prędzej zaczął dawać mi znaki miedzianą lampą! Światło jej lało się strumieniem na wozy i na mnie, ze srebrnego stało się zielone, potem żółtożółte, wreszcie buchnęło niby czerwony płomień z wielkiego ogniska. Wydało mi się, że się tłą na mnie łachy. Gorąco zapierało dech... W ustach zaschło.

— Teraz się nie dam tobie mamić, ty marcho oszkliwa! — mruknąłem przez zęby. — Teraz jadę! Słyszysz, pieronie? Jaadę!...

— Drr... drr... chrup... chrup... — zagadały wozy.

— Szszu... szszu... szszu... — odpowiedziała im maszynka.

Jechałem prosto przed siebie, oślepiiony blaskiem miedzianej lampy, zgrzany i spotniały od dziwnego żaru, który szedł od niej. Jechałem nie bacząc, że przede mną stoi człowiek.

Nagle światło zgasło i tylko nikłe lampy mojej maszynki oświetlały tor... i w tej chwili posłyszałem krzyk, straszny, bolesny krzyk przejechanego człowieka.

— Boże! Com uczynił! Com uczynił! — szeptałem do siebie czując, jak żalność chłodnymi, ostrymi palcami dławi mnie za gardło, jak mi się serce rozrywa od boleści i wstydu, żem zabił człowieka!

Bolesny krzyk nie cichł ani na chwilę.

Co będzie teraz? Przybiegną ludzie, sztygarzy... Och, cóżem to zrobił! Trza było stać, choćby do końca szychty*!

Wyskoczyłem znowu na spąg.

Pobiegłem za wozy już po raz trzeci tej nocy, drżałem ze zgrozy... Na czoło wystąpił mi zimny pot... Ręce drżały i stały się jakby nie moje. Tam pod wozami leży krwawy strzęp! A ja... A ja to przecież uczyniłem. Biegnę, potykam się i znów biegnę!

Świecę moją karbidką pod wozy, pod wszystkie po kolei, aż do ostatniego, i czuję, że włosy unoszą się na mej głowie...

Pod wozami nie ma nikogo!

Nikogo nie ma na torach, krzyk zaś nie milknie ani na chwilę! A człowieka nie widać.

— Co to? Co robić teraz? — jęczą moje usta zeszywniałe i wykrzywione strachem. — Może to przyszła na mnie choroba... Może w gorączce jestem i zdaje mi się, że słyszę krzyk. Dotykam czoła. Nie! Zimne zupełnie... Głowa nie boli... Więc co to? Zwidziało mi się czy jak?

Przeszedłem raz jeszcze wszystkie wozy!

Kiedym stanął przy ostatnim, o kilka kroków przede mną ktoś jęknął przeciągle, raz, drugi i trzeci... a potem nic! Ucichło nagle!... Poświeciłem lampą na tor. Nikogo! Nasłuchiwałem chwilę i nic! „Mamidła jakieś... Marchy!... — myślałem sobie — a przecież robota pilna“.

Wsiadłem do maszynki i ruszyłem wolniuśko, wciąż nastawiając ucha.

Słyszałem tylko spokojne zgrzytanie kół wozów, które lokomotywa popychała tym razem przed sobą.

Nie ujechałem jednakże daleko. Z głuchym łoskotem, z szumem przeciągłym, zawalił się przede mną strop i przysypał te wozy, które szły na samym przodzie, a najdalej były ode mnie.

Takem wtedy cało wyszedł z przygody, a i nikomu z ludzi w kopalni nic się nie stało.

Miedziana lampa ostrzegła mnie przed nieszczęściem.

— A ten człowiek? Kto to był, starzyku? — zapytał mały Pietrek i ciasno przytulił się do dziadka, poruszony jego opowieścią. Słuchał cały czas bez jednego słowa, nie śmiejąc nawet głośniej oddychać.

— Nie spotkałem tego człowieka nigdy potem — rzekł stary maszynista. — I nikt na dole nie miał tak pięknej miedzianej lampy, jak on.

— Ale przecież widzieliście go, starzyku? Tak? — nalegał mały.

— Widziałem go tylko raz jeden, wtedy w nocną zmianę. Potem stracił się gdzieś i tylko rozprawialiśmy o nim długo w kopalni. Ludzie mówili u nas na „Barbarze“, że to nikt inszy, tylko sam Skarbnik stanął wtedy przede mną i ostrzegł przed zawaleniem stropu.

Tak bywa czasem w kopalni — Skarbnik tam czuwa zawsze i ostrzega górników.

Mały Pietrek nie słyszał już tych słów. Usnął mocno, oparłszy jasnowłosą głowę na ramieniu dziadka.

Paweł Duda odsunął go ostrożnie i ułożył na pościeli. Potem wziął ze stołu miedzianą lampę i powiesił na gwoździu, na jej zwykłym miejscu.

Księżyc schował się właśnie za chmury. Tu i ówdzie widać było na niebie oddalone gwiazdy, poblądłe od bliskiego świtu.

Miedziana lampa poszarzała teraz i jakby w oczach zmaląła. Stała się na nowo zwykłą, starą lampą oliwną, jaką przed laty górnik świecił sobie przy pracy w kopalni.

KORNELIA DOBKIEWICZOWA

KSIĄŻĘ Z RACIBORZA ZWYCIĘZCĄ RÜBEZAHLA



ZADKO można dojrzeć Liczyrzepę, już łatwiej usłyszeć go z daleka. Ale to bardzo niepochwytne słuchy. Rozlegnie się w nocy w lesie ryk wołu — to na pewno Liczyrzepa, echo złośliwe, przedrzeźniające samo siebie — i to też Liczyrzepa. Uderzy grom z jasnego nieba przy słonecznej pogodzie — to nie był żaden grom, lecz na postrach ludziom zagrzmiął Liczyrzepa.

Tak opowiadali sobie od kilkuset lat u podnóża Karkonoszy. Niemcy szczególnie pielęgowali to podanie u siebie, od nich wyszło i u nich się dotychczas w baśni ludowej starannie przechowuje. Wiadomo: Rübezahl*.

A jak wygląda? Tacy sami mądrzy będziemy z opisu wyglądu, jak powyżej z podsłuchów. Jedni mówią: jest to stwora z głową sępa, straszliwymi szponami i trójzębnym ogonem, drudzy: nie sępa, ale orla głowa, z rogami jelenia i cielskiem lwa, a inni jeszcze: demon, diabeł, po co go opisywać, nie daj Bóg, by się przyśnił. Wszyscy natomiast zgadzają się, że to demon bardzo zawistny, prześladowający z lubością wszelkie napotkane istnienia ludzkie. Gdzie może, sypie im już nie piaskiem, ale pieprzem w oczy. Choćby przybrał postać uśmiechniętą, życzliwą, na przykład bezinteresownego krasnoludka,

nie ufajcie pozorom, bo ten gnom złośliwy knuje jakąś zdradę i zarzuca sieci.

Włóczył się raz potępieniec, nie mający stałego imienia nawet, na podgórzu Karkonoszy, wściekły, że ta ziemia, którą dotąd niepodzielnie władał, wespół z turami i niedźwiedziami, stroi się w piękne chaty ze słomianą strzechą, ma tyle bydła, koni i owiec, nie przynoszących jemu żadnego pożytku.

Zabrnąwszy w myśli i w las, spostrzegł orszak jakiś świetny. A to księżniczka Ofka, jedynaczka księcia Piasta na Świdnicy, wyjechała ze swym fraucymerem na majówkę do lasu. Dworki rozbiegły się po murawie za rydzami, za grzybami. Ofka zasię poszła na leśne maliny na zrębie, które tata lubił pasjami. Dojrzał ją gnom i oszalał z zachwytu. Zmienia się tedy w urodziwego gładysza i stroi koperczaki do ślicznoty. Ofka rozmawiała z nim chwilę uprzejmie i obiecała na jego nalegania, że może znowu kiedyś wybierze się do lasu. Tak sobie rzekła, z grzeczności.

I naturalnie zapomniała o tym. Aż tu upały przyszły tak wielkie, że ludziom wprost tchu brakło.

— Wiecie co? — mówi Częstobronka, pierwsza panna dworu księżniczki Ofki. — Jedźmy do naszego dzikiego uroczyska. Wykąpiemy się i ochłodzimy nareszcie!

Pojechały, patrzą i oczom nie wierzą. Uroczysko z ruczajem i dziką plażą na murawie jakby się zapadło pod ziemię. Ze wzgórza jakaś huczna kaskada spada w dół tarasami, w strzyżonym gaju pachną upojnie jaśminy, całe krzaki aksamitnych, kremowych róż zachwycają wzrok i powonienie. Na miejscu strumyka, w którym się Ofka lubiła taplać, wspaniałą basen z marmurów zaprasza do orzeźwiającej kąpieli.

Zachęcona przez Częstobronkę, wchodzi bez namysłu do basenu. Wchodzi, aby nie wyjść z tej kąpieli. Ledwie dotknęła bosą nóżką srebrnego żwiru, otwarła się toń zdradliwa i wciągnęła księżniczkę świdnicką.

Jakie przerażenie, jaka rozpacz osieroconego fraucymeru! Częstobronka zawodzi najgłośniej, że to namówiła do wszystkiego uwiel-

bianą księżniczkę. Daremne poszukiwania, na nic łyzy. Musiały zameldować o nieszczęściu księciu jegomości. Zaraz, na znak żałoby, zdjął z głowy złotą koronę, okrył twarz zboląłą płaszczem karmazynowym i gorzko zapłakał. Potem wyjechał na miejsce wypadku. I patrzcie! Już tam żadnych gajów ani marmurów nie znaleźli. Kamienistym wadołem pluskał jak przedtem ruczaj, leżały zwalone wykroty drzew, ale po Ofce nie było ni śladu.

Chwycona przez toń zdradliwą księżniczka dostała się od razu do czar-pałacu gnoma, o wiele wspanialszego niż rezydencja jej ojca. Gdy powróciło życie i przytomność, widzi się na wysokim, mięciutkim pościaniu wpośród przepysznych mebli i zwierciadeł. U stóp pościania klęczy młodzian o przyjemnym wejrzeniu i czyni gorące wyznania miłości. Oprowadza ją potem po rozkosznych komnatach swej siedziby podwodnej i po ogrodzie, kędy tysiączne chóry słowików kląskwały pieśń miłosną, na drzewach zaś czerwieniły się najprzedniejsze jabłka, soczyste gruszki i przerozkoszne, od ananasa lepsze, brzoskwinie. Ale wszystkie te cudenka nie rozchmurzyły ani jednej zmarszczki na czole księżniczki świdnickiej. I daremnie złośliwy gizd* pokrywał swą twarz coraz przymilniejszymi uśmiechami. Nic nie wskórał.

Postanowił tedy działać inaczej. Poszedł na powierzchnię ziemi, na pole jakiegoś biednego siedlaka i nakradł mu rzepy, ile mógł zmieścić w plecionym koszyczku. Może było tych rzeppek ze dwanaście.

— O najpiękniejsza ze wszystkich cór ziemi — wołał, klęcząc przed Ofką — nie jestem w stanie patrzeć na twój smutek i utrapienie. Oto rzeppek dwanaście, oto różdżka czarodziejska. Dotknij jeno, a rzepki zmieniają się w takie postacie, które lubisz i pragnęłabyś mieć przy sobie!

Gdy tylko odszedł, Ofka wyjęła skwapliwie jedną rzepkę z koszyka i dotknęła jej różdżką, wołając:

— Częstosiu! Częstosiu! — bo tak nazywała swoją Częstobronkę. — Pokaż się...

I oto Częstosia leżała wkrótce u kolan swojej pani, oblewając je łzami radości, i rozmawiała tak czule, jak to zwykła czynić na ziemi.

Złuda była tak całkowita, że Ofka nie wiedziała już nawet, czy to prawdziwa Częstosia, czy to oman i mąt czarnoksięski? Oprowadzała swoją powiernicę po czar-pałacu i cud-ogrodzie; zaszły do gotowalni, gdzie przymierzały obie z zachwytem najkosztowniejsze sukienki, przybiory, futra, etole* i butony*. Przeglądały się w lustrach; zdawało im się, że o wszystkim zapomniały i są szczęśliwe...

Gnom, który je śledził nieustannie, był zachwycony i zarazem dumny z siebie. Jak doskonale umiał wejść w psychologię śmiertelnej kobiety! Księżniczka ucieszona z powiernicy wydała mu się jeszcze ponętniejsza niżli dotąd. A ona tymczasem wyczarowała sobie z rzepek cały swój fraucymer, zaś dwie jeszcze zostały, kazała im przybrać postać kota bengalskiego i bonońskiego* pieska. Przez kilka tygodni było dużo uciechy, zabaw i śpiewów; tańczyły, grywały na lutni, stroiły się w łaszki jedwabne, w ciężkie złociste brokaty.

Pewnego razu spostrzegła Ofka z niepokojem, że jej uśmiechnięty dwór blednie na twarzach. Przejrzała się w lustro. Nic podobnego! Ona kwitnąca, hoża jak pąk róży. Częstosia za to niknie w oczach. Fałdy, zmarszczki na świeżej dotychczas twarzyczce. Jak gdyby więdła. I tamte wszystkie tak samo. I co dzień więcej! Chociaż każda zapewnia, że czuje się doskonale, apetyt ma, ochotę do tańca, strojów, śpiewu też. Ba, nawet kotek bengalski, Mruczek, i ten szpic z włoskich krain, Bufcio, cherlają. Co to wszystko ma znaczyć?!

W wyśmienitym humorze, bo łuna zdrowia ją krasi, budzi się rano, ale dziwno Ofce, że nie słyhać śpiewu chóralnego, którym dworki budziły ją ze snu. Hymn poranny zaczynał się od słów:

*Zawitaj, pani umiłowana,
Ozdo bo księstwa Świdnicy!*

Wybiegła do komnaty przyjąć. Cóż za widok okropny przeraził oczy panienki. Jej ukochane, żwawe zawsze i rozśpiewane dworki ruszyć się z miejsca nie mogły.

Wsparte na laskach i kulach, jak kaleki, pokurczone, drżące, skarżyły się szeptem, wymachując coś rękami. Mruczek, zwinięty w kłębek,

nie zdołał się rozkurczyć. Bufcio leżał półmartwy. Umiłowana Częstobronka, nie mogąc się już wyprostować, siedzi sparaliżowana w klubowym fotelu i tak okropnie kaszle, że księżniczka, zasłoniwszy uszy, uciekła. I wprost do dręczyciela:

— Ty oszkliwcze! Ty potworze z piekła rodem!

— O najpiękniejsza z cór ziemi, co ci dolega?

— Zniszczyłeś jedyną mą radość życia w tej kaźni ohydnej, te nikłe cienie moich dawnych przyjaciółek i powiernic! Zwróć im natychmiast młodość i rumieńce, bo inaczej...

— O najpiękniejsza z cór ziemi, oddałem ci wszystko, co leży w mej mocy. Nie żądaj jednak niemożliwości. Siły przyrody służą nam, to prawda. Ale zmieniać praw odwiecznych nie umiemy. Dopóki rzepki były świeże i soczyste, laska czarnoksiężnika mogła przeinaczać ich byt roślinny w byt ludzki, wedle twego kaprysu, ślicznoto! Ale nie martw się, przyniosę ci świeży koszyczek. A ty zwróć matce przyrodzie to, co do niej należy. Dotknąć je różdżką wystarczy!

Usłuchała, dotknęła. Za chwilę nie było ani Częstosi, ani Mruczka, ani Bufcia. W kącie komnaty przyjęć sterczała kupka rzepek przywiedłych...

W te pędy pognął gnom na ziemię. Patrzy, a tam zima, żadnych rzepek świeżych nie ma. Już wszystkie schowane w piwnicy. Choćby nawet i ukradł, mały z nich pożytek. Wystraszony melduje się u Ofki.

— Nie ma rady. Musisz poczekać, o najpiękniejsza. A kiedy trzy razy księżyc obróci się złoty...

Nie dokończył, bo Ofka, obróciwszy się doń plecami, bez słowa, trzasnęła drzwiami i wyszła z komnaty. Przebrał się tedy za handlarza, kupił osła na jarmarku, obciążył go workami z nasieniem, którego starczyło na obsianie całej morgi ziemi. Rozkazał potem służkom swym piekielnym, do których po germańsku szwandrosił, aby roznieciły ogień pod ziemią, niechaj ziarno kiełkuje i wschodzi.

Żniwa zapowiadały się dobrze. Księżniczka zachodziła co dzień na swoje pólko. Najmilej jej było siadywać w zagaju brzozowym, nad

brzegiem strumienia i ciskać na wodę wianki, niechaj spływają do Odry... Urodziwemu gnomowi dała tam czasem jaką jałmużnę uśmiechu. Zacierał łapska, wyobrażając sobie, że wszystko dobrze. A tymczasem było jak najgorzej. Roił głuptas, że zdobędzie jej miłość.

A jej serce nie było wolne od dawna. Królował w nim mocarny książę, Mieszko z Raciborza. Już miał się odbyć ślub szczęśliwej pary, gdy Ofka przepadła w kąpeli. Zropaczony Mieszko odbiegł księstwa swego, zaniechał rządów nad krajem zadowolonym, uszedłszy w lasy, gdzie zarośłom i kamieniom wyznawał swoją udrękę.

Aby zyskać więcej swobody, księżniczka zmieniła taktykę. Postanowiła przechytrzyć amanta. Uśmiechała się nieraz łaskawiej, cedząc słówko jedno i drugie, aby tylko uśpić podejrzliwość potwora.

Gdy wiosna rozbłysła, dając życie urodziwszym niż kiedykolwiek rzepkom, Ofka już nie wskrzesza swego dworu. Dotknawszy pierwszej z brzegu rzepy, rozkazuje jej zmienić się w pszczołę.

— Leć, pszczołko miła, leć daleko aż do Raciborza, będziesz poczytliwym miłości. Zabrzęczysz w ucho mojemu Mieszkowi, że nieustannie myślę o nim, ale cierpię w niewoli u podstępного gнома, który mieszka w Karkonoszach. I przynieś mi odpowiedź.

— Naj-chęć-niej! Naj-chęć-niej! — zabręczczała pszczołka i poleciała. Ale, o rozpaczy! — prawie w oczach księżniczki przyfrunęła jaskółka i, nieświadoma tej misji dyplomatycznej, połyka pszczołkę w oka mgnieniu. Wyczarowała tedy świerszcza. Chociaż spory był, markocił. Że daleka droga do tego Raciborza, że nie wiadomo, czy sił mu starczy, ale i on poleciał, poskakał raczej, dając ciągle koncerty po łąkach. Ale przyszedł bocian z długim dziobem i zjadł muzykanta.

Do trzech razy sztuka, księżniczka zmienia trzecią rzepkę w srokę gadatliwą. Z tą pójdzie najłatwiej, nikt jej nie zje, a da się wyuczyć tekstu depeszy. Ciężka była praca, bo srocza, choć z czarów zrodzona, okazała się dosyć tępa.

— Będziesz polatać z drzewa na drzewo tak długo, póki nie natopkasz mego oblubieńca. Rozumiesz? Powiesz mu wszystko, rozu-

miesz? I żeby od dziś za tydzień czekał mnie z zastępem zbrojnych u podnóża gór. Rozumiesz?

Sroczka zapewniała, że doskonale. Potem nauczyła się kilku wyrazów ludzkiej mowy i poleciała.

Zbolały Mieszko błąkał się dalej z dala od ludzi w ustroniu. Uroki wiosny wlały nieco ukojenia w duszę księżęcą. Usiadł pod dębem i wzdycha głośno:

— Ofka, gdzie moja Ofka?

Nagle wstał, Co to? Echo czy ktoś mu się podrzeźnia. A to sroczka skrzeczy w gałęziach:

— Miesz-ko! Miesz-ko!

— Kto cię wyuczył, ptaszku bezmyślny, imienia, które dźwiga człowiek najniezwyklejszy pod słońcem?

Już chciał srokę odpędzić kamieniem, gdy słyszy, że ona skrzeczy inaczej:

— Off-ka! Off-ka! Miesz-ko! Off-ka! Miesz-ko!

Ale daremnie usiłował coś więcej wydobyć z ptaka siedzącego tuż blisko na gałęzi. Głupia sroka zapomniała, co jej księżniczka tak moczolnie kładła w głowę, i tylko mechanicznie powtarzała dwa słowa na przemianę. Spotkanie to podniosło Mieszka na duchu, pośpieszył do obozu, zebrał drużynę, siedli na koń i ruszyli.

Ofka tymczasem szykowała się do drogi. Jakby na pożegnanie przystroiła się w zbyt liczne rozmaite łańcuchy kosztowne, stroiki brylantowe. W słońcu błyszcząca od brokatów i klejnotów. A dojrzawszy w ogrodzie, że zakochany gnom zbliża się, okryła twarz gęstą woalką.

— O niebiańskie dziewczę! Czemuż skąpisz mi widoku twaruchny swojej? Czyni on mnie szczęśliwszym od wszystkich, którym kiedykolwiek słońce poranku przyświeciło.

Księżniczka uśmiechnęła się spoza gęstej woalki tak obiecująco, że ciarki przeszły potwora.

— Wybacz mi, władco mego serca — rzekła. — Twoja stałość odniosła zwycięstwo. Możesz być pewny. Ale woalki nie zdejmę, nie chcę, byś widział łzy moje!

— Łzy?! Ach! — ryknął gnom boleśnie. — Każda łza twoja parzy mnie jak skała rozpalona. Żądam miłości za miłość, nie chcę ofiary!

— Tak, lecz ja kobietą jestem i boję się, czy dochowasz mi wierności? Czy się nie zmienisz i zostaniesz zawsze takim małżonkiem, jak byłeś zalotnikiem czułym?...

— Żądaj dowodu wierności i posłuszeństwa! Możesz wystawić mnie na próbę, jaką zechcesz, a osądzisz, jak mocną, jak nieodwracalną jest moja miłość!

— A więc dobrze, najmilszy, poproszę o dowód. Niezadługo odbędzie się nasze wesele; pragnę, by mój dwór dawny wystąpił w komplecie. Idź więc zaraz na pole, policz rzepki wszystkie, bym wiedziała, jak wielki będzie orszak ślubny. Ale nie pomyśl się, kochanie. Policz wszystkie dokładnie, co do jednej.

Skrzywił się gnom niechętnie. W takiej chwili rozkosznej zabierać się do liczenia. Ale skoro ślicznota napiera się tak gwałtownie, musi. Poszedł, porachował wszystkie rzepki na łanie. Aby jednak upewnić się całkowicie, zrobił próbę. Psiakość! Nie zgadza się. Liczy drugi raz. Znowu źle. Cóż u licha! Liczy trzeci raz. A czas bieży...

Ofka wiedziała, że musi się śpieszyć. Miała już wpieryw przygotowaną rzepkę, soczystą, wypielegnowaną, dorodniejszą nad inne. I zamieniła ją w siarczystego, osiodłanego rumaka. Wskoczyła na siodło i hajda, w świat szeroki. Przez góry, doliny i wały. Do ciebie, Mieszku, do ciebie! Naszym będzie świat cały...

Spotkali się, ucieszyli się, padli sobie w objęcia. Niebawem odbyło się na zamku w Raciborzu weselisko. Już tam nie zwidy miałkie, czarami gnoma stworzone, ale żywi, mocarni, stałą okuci rycerze piastowscy śpiewali chórem, aż się trzęsły fale Odry:

*Zawitaj, pani umiłowana,
Ozdobo księstwa Świdnicy,
Zawitaj dziś w Raciborzu.
Ile kropli w polskim morzu,
Tyle wam szczęścia życzą weselnicy.*

Wraca gnom do domu dumny, doliczył się nareszcie. Zmiarkował zaraz, co się stało. Skrzyknął wszystkie pogodne chmury na nieboskłonie, niech strzelają piorunami w tych łajdaków. Strzelały, ile grzmotu starczyło, ale Ofka i Mieszko już przedostali się poza granicę czarów złośliwego gнома. Z rozpaczy tupnął potępieniec trzy razy w ziemię: czar-pałac z cud-ogrodem przestały istnieć.

Od tego czasu Niemcy oburzeni, że ich ulubiony bohater narodowy tak się dał wywieść w pole przemysłnej Polce, przezywają go z pogardą: Rübezahl! Liczyrzepa!

STANISŁAW WASYLEWSKI

LEGENDA O ZŁEJ KSIĘŻNICZCE



MIAŁ KSIĄŻĘ Bolko Piastowicz na zamku Chojnasty na Dolnym Śląsku śliczną córkę — Kunegundę. Piękne to było dziewczę. Włosy czarne jak heban i oczy duże, błyszczące odziedziczyła po matce swej, księżniczce niemieckiej.

Cieszył się urodą córki książę Bolko i tylko czasami chmurzyło się jego oblicze, gdy przypominał sobie, że Kunegunda miała złe serce.

Śmiała się, gdy kot złapał ptaszka, sowa — zajaczka, kiedy psy szarpały kota, i klaskała w rączki z uciechy.

Próżno żebrak wędrowny wyciągał ręce po jałmużnę do księżniczki. Kazała go przepędzać z zamku i szczuć psami.

A był to piękny zamek. Wysoko, bardzo wysoko stał na górze potężny, wielki, niezdobyty! Zbocza góry porastał gęsty las sosnowy.

Z wieżyc zamkowych rozciągał się wspaniały widok na posiadłości księcia. Jak na dłoni widać było przepiękne dąbrowy, zielone łąki pełne kwiecica, szemrzące po skałach strumyki i wodospady, daleko, aż do Gór Olbrzymich, co je lud Karkonoszami zwał.

Bogaty i potężny był książę Bolko. Nic by mu nie brakowało. Syna tylko nie miał. Nie miał komu dziedzictwa powierzyć. Liczył też na to, że ukochaną córkę jego pojmie za żonę któryś z licznych a dzielnych rycerzy. Temu to rycerzowi, przysłemu swemu zięciowi, księstwo chciał powierzyć.

Wieść o urodzie i bogactwie księżniczki Kunegundy szeroko szła w świat. Zjeżdżało się mnóstwo rycerzy. Zamek Chojnasty rozbrzmiewał wesołymi pieśniami na ucztach i zabawach. Na dziedzińcu odbywały się liczne gonitwy rycerskie i turnieje.

Księżniczka bawiła się wesoło i ochoczo. Wieńczyła kwiatami skronie zwycięzców w turniejach, lecz serce jej nie uderzyło żywiej do żadnego z rycerzy.

Martwił się książę Bolko i narzekał, i coraz częściej gorzkie czynił wyrzuty córce. Coraz też częściej troska o przyszłość księstwa chmurzyła mu czoło.

Aż wreszcie zniewolona księżniczka orzekła, że tylko za tego wyjdzie za mąż, kto w pełnej zbroi potrafi objechać dokoła zamek Chojnasty.

Było to bardzo trudne i niebezpieczne zadanie. Zamek stał na wysokiej skalistej górze, bardzo stromej. Zewsząd czyhały na śmiałka głębokie przepaście.

Widziała księżniczka, jak jeden po drugim jechali rycerze i spadając w przepaść ginęli. Jeden po drugim! Zły uśmiech wykrzywił jej piękną twarz. Serce nie знаło litości.

Aż zjechał raz od polskiej strony rycerz. Jasne włosy spadały mu w splotach ujętych w złotą siatkę na ramiona. Błękitne oczy patrzyły jasno i szczerze. Zgrabny był i wysoki jak topola, a tak silny, że z łatwością podkowy stalowe łamał w rękę.

Podobał się ów polski rycerz księżniczce. Zwyciężał wszystkich rówieśników na turniejach, uśmiech miał miły, serdeczny, poczciwy. Nawet zwyciężeni rycerze nie żywili doń niechęci.

A jednak nie odwołała księżniczka swego postanowienia! Z przestrachem patrzyła, jak dzielny młodzian dosiadł konia i ruszył na objazd zamku.

Widziała księżniczka, jak jechał wyprostowany, piękny, spokojny. Kopyta końskie ślizgały się po skałach, każdy krok groził upadkiem w przepaść i śmiercią.

Błada, wystraszonym wzrokiem śledziła księżniczka ruchy konia patrząc z okna wysokiej zamkowej baszty. Serce jej uderzało głośno w piersi.

Aż zagrzmiały tryumfalnie trąby złote na dziedzińcu zamkowym. Obwieściły zwycięstwo.

Młody rycerz polski wjeżdżał na zamek.

Wyległo wszystko na podwórze. Z komnat swoich wyszedł ubrany w czerwień i złotogłów promieniejący szczęściem książę Bolko Piaszowicz, otoczony tłumem dworzaków. Radość biła ze wszystkich twarzy, głośne okrzyki na cześć zwycięzcy uderzały w odwieczne skały i powtarzały się echem w przepaściach. Z bijącym sercem schodziła dumna księżniczka z baszty zamkowej na spotkanie zwycięzcy.

A on stał cichy, spokojny, poważny. Skinął ręką na znak, że chce mówić, i uciszyło się wszystko.

— Dopełniłem życzenia twego, księżniczko — rzekł — lecz po rękę twoją dłoni swej nie wyciągnę. Dzieli nas mnóstwo ofiar twego kaprysu, wielka liczba młodych i dzielnych rycerzy, których zgubiłaś.

Żałośnie zagrzmiały trąby złote na pożegnanie i rycerz odjechał. Zrozpaczona księżniczka Kunegunda długo tułała się po pustych pokojach na świetnym zamku Chojnasty. Patrzyła z rozpaczą w dal, gdzie znikł piękny orszak dzielnego polskiego rycerza. Wieczorem długo i tęsknie szumiały konary sosen okalających górę zamkową, jakieś jęki słyszano o północy płynące z głębokich przepaści.

Aż dnia któregoś, nie mogąc stłumić w sobie tęsknoty i żalu, rzuciła się piękna księżniczka w przepaść i zginęła.

Pozostała po niej tylko legenda; legenda o jej złym sercu, którą opowiadają wnuczkom babcie Dolnego Śląska w jesienne długie wieczory, gdy za oknami zawodzi jesienny wichur i niesie od zamku Chojnasty opowieści o dawno minionych dziejach.

HENRYK KODŹ

O GUBIŃSKICH KARZEŁKACH



DAWNYCH czasach w okolicy Gubina żyło ponoć społeczeństwo brodatych karzełków. Karzełki lubiły zaglądać do ludzkich siedzib i urządzić w nich zwykle w pobliżu pieca wesołe biesiady i tańce. Ludzie nie odmawiali skrzatom gościny, bo przynosiły szczęście.

Pewnego dnia karzełki zajrzały też do zamku księcia Gniewosława, ku uciechu jego żony Mirosławy, która pod nieobecność małżonka, smutna i niespokojna, przy robótce skracала sobie czas oczekiwania.

A księżę Gniewosław nieraz długie tygodnie spędzał na wyprawach przeciw wojskom margrafów.

Otóż pewnego wieczoru, gdy Mirosława jak zwykle siedziała w swej komnacie, uwagę jej zwrócił szmer dochodzący ze strony kominka. Odwróciwszy się spostrzegła małego człowieczka. Ten skłonił się grzecznie i poprosił, by pozwoliła na urządzenie karzełkom uczyty. Księżna nie odmówiła i po chwili cała gromada rozsiadła się wokół kominka, zajadając przyniesione przysmaki i popijając wino. O północy całe towarzystwo opuściło komnatę. Pozostał tylko jeden karzełek, ów pierwszy, który przybył przed ucztą. Mały człowieczek przystąpił do Mirosławy i podał jej trzy przedmioty: pszenny kołacz, czarękę i pierścień.

— Strzeż tych skromnych podarków, księżno — powiedział cicho. — Dopóki będą w posiadaniu twego rodu, przysparzać mu będą chwały. Strzeż... — To mówiąc skłonił się i odszedł.

Mirosława, obudziwszy się rano, pomyślała, że wszystko to było snem, lecz wkrótce ujrzała pozostawione na kominku prezenty. Nie zastanawiając się wiele, włożyła pierścień na palec, a podpłomyk i czarkę schowała w skarbcu mieszczącym się w kamiennej baszcie. Po wielu latach, umierając, przekazała pierścień i pozostałe dary najstarszemu synowi. I rzeczywiście ród Gniewosława był mężny i bogaty, zwycięski w bojach.

Lecz zdarzyło się kiedyś, że jeden z potomków księcia przywiózł sobie żonę z obcego kraju. Nie podobał się jej pierścień starej roboty. Nosiła go tylko przy mężu, bojąc się jego gniewu. Ledwo zaś mężowscy woje wyruszyli na wyprawę, zdejmowała go z palca. Na próżno starzy słudzy przestrzegali panią, by go nie zgubiła. Pani nie zważała na ich słowa. Może pod wpływem rudobrodego mnicha, który z nią przybył i wyśmiewał wszystkie stare miejscowe zwyczaje.

Książę na wieść o tym wszystkim niejednokrotnie chciał porozmawiać z żoną, ale że często, jak jego przodkowie, przebywał na wyprawach wojennych, nie miał odwagi zachmurzać wymówkami chwili spotkania z małżonką. Aż pewnego dnia przybył do zamku zdyszany goniec przynosząc wieść o klęsce, jaką ponieśli słowiańscy woje. Sam książę ciężko ranny powraca do zamku... Usłyszawszy to księżna przypomniała sobie o pierścieniu, który zdjęła z palca, skoro tylko mąż wyjechał. Szukała wszędzie, szukali słudzy, ale pierścienia nie znaleziono. Wszyscy przeczuwali nieszczęście. Wtem nad zamkiem pojawiła się czarna chmura i grom wstrząsnął powietrzem. Z kamiennej baszty, gdzie przed laty Mirosława zamknęła dary karzełków, pozostały tylko gruzy.

Odtąd nieszczęścia sypać się zaczęły na znakomity niegdyś ród. Zgrzybiały, zniechęcony do życia książę uznał się lennikiem cesarza...

ZYGMUNT RUTKOWSKI
IRENA SOLIŃSKA

O SKARBNIKU ZE SREBRNEJ GÓRY



POBLIŻU Krosna Odrzańskiego znajduje się malownicze wzniesienie, Srebrną Górą zwane.

Kiedyś tylko chwackie zuchy zapuszczały się wieczorną godziną w pobliże dziko zarosłych zboczy, gdyż nie opodal brzegów Odry miał swą siedzibę potężny wodnik, a jak mawiali starzy ludzie, w skalnych ostępach też niejedna kryła się niespodzianka.

Kiedyś przechodził tędy ubogi mieszczanin. W nędznej izdebce ciasno mu było, dokuczwała bieda i zmartwienia. Szedł więc w smutnych myślach pogrążony drogą i ani się nie spostrzegł, jak znalazł się w okolicy, którą zazwyczaj skrętnie omijał. Wtem wzrok jego zatrzymał się u wejścia ciemnej pieczary. Zdawało mu się, że przy nim stoi jakaś postać.

— Człowiek? Nieczłowiek? — Niby kształty ludzkie, ale z kamienia chyba, bo zastygłe w bezruchu. Przeląkł się biedak nie na żarty. Chciał uciekać, ale nie mógł ruszyć się z miejsca, gdyż strach odebrał mu siły. Nagle kamienna postać ożyła i skinęła przyjaźnie w stronę mieszczanina. Przemógł więc lęk i poszedł za tajemniczym przewodnikiem w głąb pieczary.

To, co zobaczył we wnętrzu groty, przeszło najbardziej fantastyczne opowieści, jakie nieraz słyszał o zaklętych skarbach. Długie korytarze i boczne sale wypełnione były złotem, srebrem i wszelkim bogactwem. W jednej z sal na kamiennym stole stały worki z czerwonymi dukatami. Wtedy nieznajomy starzec odezwał się do biedaka:

— Weź, ile ci trzeba na opędzenie twoich trosk. Jeśli ci zabraknie pieniędzy, możesz jeszcze wrócić. Ale pamiętaj, nie mów nikomu, coś tu widział i co cię spotkało...

Uszczęśliwiony biedak wypełnił sobie pieniędzmi kieszenie i czapkę i podziękowawszy Skarbnikowi, powrócił do Krosna. Teraz rozpoczął dostatnie życie. Kupił sobie dom, wynajął służbę, nie pracował. Wkrótce jednak z nudów zaczął urządzić pijatyki i awantury. Aż ludzie dziwić się poczęli, skąd taka odmiana u spokojnego dawniej człowieka. Byli też między znajomymi tacy, którzy koniecznie dowiedzieć się chcieli, jakim sposobem do takiej zamożności doszedł. Wzbraniał im się powiedzieć, lecz domyślili się, że coś ukrywa przed nimi. Upili więc go kiedyś i wyłudzili odpowiedź.

Gdy nieco wytrzeźwiał, kilku biesiadników namówiło go do wspólnej wyprawy po dukaty. Poszli więc ku Srebrnej Górze, stanęli w miejscu, gdzie kiedyś mieszczanin ujrzał Skarbnika, ale ani jego kamiennej postaci, ani wejścia do pieczary odnaleźć nie mogli.

Od tego czasu Skarbnik, straciwszy widocznie zaufanie do ludzi, przebywa w głębi góry i strzeże swoich skarbów.

ZYGMUNT RUTKOWSKI

IRENA SOLIŃSKA

O DZIKIM RYCERZU ZNAD NYSY



POLANOWICE, niewielka wioska, leżąca nad Nysą niedaleko Gubina. W średniowieczu na widocznym do dziś wzniesieniu stał gród zwany Niemczą Łużycką. Nieraz opierać się musiała jego załoga najazdom germańskim. Historia wspomina o walkach z margrafem Geronem. Historii towarzyszy legenda.

*

Pewnego razu margraf Gero zaatakował Niemczę. Męstwo wojów było jednak silniejsze niż zapędy najeźdźców. Gero nie tylko nie zdobył grodu, lecz oberwał mocne cięgi. Że jednak apetyt na żyzną krainę miał wielki, postanowił spróbować z innej beczki.

— Jak nie wezmę ich walką wręcz, to podstępem ich wezmę — medytował chodząc wśród obozowiska. Wreszcie i plan był gotów. Margraf nie zwlekając postanowił spotkać się ze słowiańskimi kniaziami i zaproponować im... zdradę. Tak się też stało. Jednakże tylko jeden z kniazów, który za wszelką cenę pragnął dostać piękną zbroję, przystał na hańbiącą propozycję.

Nazajutrz znów zwały się szeregi walczących. Zdrajca ze swą drużyną bił się oczywiście u boku Gerona. W pewnej chwili mocnym uderzeniem miecza powalił na ziemię starego słowiańskiego woja. Był to ojciec zdrajcy. Oczywiście młody książę nie słyszał ojcowskiego przekleństwa, lecz po śmierci spełniły się słowa. Zdrajca i ojcobójca pojawiał się przez długie lata na karym koniu strasząc w okolicach Niemczy. Jeździec i koń byli bez głowy.

ZYGMUNT RUTKOWSKI

IRENA SOLIŃSKA

ZATOPIONA WIOSKA



ZACHODNIEJ części Wielkopolski, na zachód od miasta Wolsztyna, błyszczą w promieniach słońca i szumią tajemniczym szeptem fale Jeziora Świętego*. Nie zawsze ono tam było. Dawniej, bardzo dawno, przed tysiącem lat, a może jeszcze dawniej, wznosiła się na tym miejscu wioska zamożna. Były tam pola urodzajne i łąki zielone, i sześć pięknych chat, bo tylu mieszkało tam gospodarzy.

Wtedy to jednego razu wieczorem zaszedł do owej wioski pielgrzym-staruszek. Snadź daleką przebył drogę, gdyż bardzo był utrudzony. A na domiar zziębnięty był i przemoknięty — jak to mówią — do suchej nitki, jako że jesień już była słotna i zimna. Szukał więc miejsca, gdzie by mógł się ogrzać, posilić, osuszyć i wypocząć. Tak tedy zakołatał do pierwszej z brzegu chaty bogatej wdowy.

— Wynoś się! — krzyknęła gniewnie bogaczka. — Dla starych włóczęgów drzwi mego domu zamknięte.

Odszedł staruszek i powłókł się do chaty sąsiedniej zamożnego gospodarza. Ale zaledwie do drzwi zakołatał i wypowiedział swoją prośbę, usłyszał zaraz gniewną odpowiedź:

— Wynoś się! Dla takich starych włóczęgów nie ma miejsca w mojej chacie!

Poszedł tedy staruszek dalej do trzeciego gospodarza, do czwartego, piątego i szóstego. Ale wszędzie kołatał nadaremnie, wszędzie odtrącano go z taką samą odpowiedzią: „Wynoś się, stary włóczęgo!”

Odszedł staruszek, ledwie nogami powłócząc, ażeby opuścić wioskę niegościnną, ale trochę za wsią na małym wzgórzu ujrzał lichą chałupkę ubogiej wdowy.

„Może ludzie ubodzy będą miłosierniejsi“ — pomyślał, poszedł i do drzwi chałupki zakolał.

Uboga wdowa otworzyła natychmiast, a zobaczywszy staruszkę zziębniętą i utrudzoną daleką drogą, zaprosiła go do izby i przyjęła sercem otwartym.

— Siadajcie, dziaduniu, przy kominku, niech zmoczone szatki obeschną. Ugotowałam właśnie trochę strawy, niewielkie to jadło. Ale tym, co Bóg dał, podzielę się z wami chętnie. A i snopek słomy się znajdzie, to się koło pieca w ciepłe prześpicie. Boć na taką słotę z chaty was nie wypuszczę.

Staruszek posilił się skromną wieczerzą, wypoczął w ciepłe na słomie i nazajutrz, pokrzepiony, zanim w dalszą udał się drogę, serdecznie miłośnierzej kobiecie podziękował.

— Nie mam ja nic takiego — powiedział — czym mógłbym ci zapłacić za litościwe twoje serce. Ale pozostawię ci jedno życzenie: jaką robotę dziś rozpoczniesz, niechaj ci się szczęśliwie i z korzyścią wiedzie aż do wieczora.

Potem pożegnał się z nią i poszedł swoją drogą. A biedaczka, uśmiechnawszy się tylko na życzenie staruszkę, sięgnęła do skrzyni i wydobyła kawałek płótna, by sporządzić koszulinę dla swego dzieciątka. Odmierzyła, ile było potrzeba, patrzy i oczom własnym nie wierzy: ten kawałek płótna w rękach jej rośnie, rośnie i wydłuża się. Mierzy dalej, płótno rozwija i rozwija, ale końca płótna jak nie widać, tak nie widać. Mierzy i mierzy, góra płótna rośnie aż do sufitu, a końca jeszcze nie widać.

Okolo południa cała izba zapełniła się płótnem aż po brzegi. Wyszła tedy z nie kończącym się kawałem płótna z izby do sieni, z sieni na podwórko, z podwórka na łączkę, a za nią ciągnęło się i układało w wysoki wał płótno białe jak śnieg, a miękkie jak puch. I wtedy dopiero, gdy słońko zaszło, i na niebie pierwsza gwiazda wieczorna zajaśniała, wdowa ujrzała koniec płótna. Ale płótna miała teraz takie

mnóstwo, że stała się od razu wielką bogaczką. Stał się więc cud, za który Bogu serdecznie dziękowała.

Gospodarze z wioski przyglądali się temu cudowi i na widok rosnących gór płótna uczuwali złość i chciwość. Ale największa złość i chciwość odezwała się w sercu bogatej wdowy, która pierwsza odpędziła od swej chaty staruszką. Nie namyślając się więc długo, pobiegła za nim. A dogoniwszy staruszką na drodze wśród lasu, jęła go prosić i namawiać, ażeby się wrócił i do domu jej wstąpił.

— U mnie, staruszkę — mówiła — pożywisz się lepszą strawą niż u tej biedaczki na wzgórzu za wsią. Dam ci mięsa i placka i będziesz mógł się przespać w wygodnym łóżku pod pierzyną.

Staruszek spojrział na nią uważnie i zrozumiał, dlaczego go tak zapraszała. Ujrzał, że było to miłosierdzie kłamane, że przemawiała przez nią chciwość.

A potem powiedział:

— A któż mnie to wczoraj od swego domu odpędził? Czemużes to wczoraj odmówiła mi przytułku? Dziś już nie mogę wstąpić do ciebie, bo w dalszą drogę iść muszę. Ale jeśli twoja chęć ugoszczenia biednego jest szczerą i w sercu twoim nie kryje się zazdrość i chciwość, natenczas niech ciebie Bóg nagrodzi tak, jak na to zasłużyłaś. To, co zaczniesz robić dziś wieczorem, gdy pierwsza gwiazda zaświeci, niechaj się pomnoży do jutra rana.

To powiedziawszy, poszedł staruszek swoją drogą, a bogaczka powróciła do chaty. Przez cały dzień nie robiła nic innego, jak tylko myślała o zdobyciu największych skarbów złota. — Mnie tam głupiego płótna nie potrzeba, ja muszę mieć złoto, dużo złota, górę złota — powtarzała zawzięcie.

I poszła do komory, gdzie miała w ukryciu garnuszek z pieniędzmi. Wzięła garnuszek, wyszła za obejście, siadła na kamieniu nad sadzawką, ażeby tu zacząć liczenie pieniędzy. Ale ponieważ pieniądze długie lata w kącie leżały i z kurzu i wilgoci mocno poczerniały, przeto umyśliła przepłukać je wpierw i wymyć. „Wolę ja — pomyślała — ażeby mi się rozmnożyły pieniążki czyste i świeące niż brudne i czarne“.

Tak pomyślawszy, wysypała pieniądze na rozpostarty na ziemi fartuch. Potem zaczerpnęła garnkiem wody z sadzawki i zaczęła polewać pieniądze...

W tejże chwili jednak zaświeciła na niebie pierwsza gwiazda wieczorna — i stało się to, czego się bogaczka wcale nie spodziewała. Bo oto woda z garnka lała się teraz jakby z górskiego potoku. Wody przybywało coraz więcej i więcej, woda rosła szybko, zalała bogaczkę i całe jej gospodarstwo, zatopiła całą wioskę z sześciu nietościwymi gospodarzami.

I kiedy rano słońko złociste zajaśniało, z wioski nie pozostało już ani śladu. Na miejscu wioski szumiało głębokie podłużne jezioro. Ostała się tylko chatka za wsią, na wzgórzu, w której mieszkała uboga wdowa o sercu litościwym.

Przybyli ludzie z całej okolicy i dziwili się bardzo wielkiej wodzie. A kiedy z ust ubogiej wdowy usłyszeli o staruszkę-pielgrzymie, wtedy powiedzieli, że był to na pewno jaki wielki święty, zesłany z nieba na ziemię, ażeby się przekonał, ile dobroci i miłosierdzia mieści się w sercach ludzkich. I dlatego nowe jezioro nazwali Święte, a miejscowość, gdzie uboga wdowa chwaliła Boga uczynkami miłosiernymi i gdzie później powstała nowa duża wieś, nazwali ludzie Chwalimem.

Taką to opowieść szumią tajemniczym szeptem fale polskiego Jeziora Świętego [...]

CZESŁAW KĘDZIERSKI

KAMIEŃ POD WOLSZTYNEM



IASTO Wolsztyn nie jest bardzo dużym miastem. Jest to nawet zupełnie niewielkie miasto. Ale za to o Wolsztynie i jego okolicach przechowało się dużo opowieści. Czy słyszeliście może historię o kamieniu?

Otóż w pewnej wiosce pod Wolsztynem (nikt już dziś nie pamięta nazwy tej wioski) był staw — ni duży, ni mały. A w pobliżu stawu, w białym dworze, mieszkał pewien dziedzic. Strasznie chytry był ten dziedzic — bardzo, ale to bardzo chciał mieć dużo pieniędzy. I ciągle myślał o tym, jak by te pieniądze zdobyć. Najłatwiejszą drogą wydawało mu się znalezienie jakiegoś skarbu. Szukał więc wokoło — szperał w pniach starych, spróchniałych drzew, kopał w lesie i na polu, rozgrzebywał stare mury. Aż raz przyszła do dworu Cyganka. Zaczęła mu tak tajemniczo opowiadać o skarbach ukrytych w pobliżu jego dworu, że dziedzic doszedł do przekonania, iż ów poszukiwany przez niego skarb znajduje się na pewno na dnie owego pobliskiego stawu. Zaraz więc zaczął poszukiwania. Staw był zamulony i porośnięty zieloną rzęsą i sitowiem. Ale to nie zniechęciło chytrego dziedzica. „Spuszczę wodę z tego stawu — postanowił — to na pewno znajdę ukryte w nim skarby“.

Najął więc dziedzic robotników i dalej do roboty. Wykopali głębokie rowy, przez które spłynęła woda ze stawu, ukazało się dno.

A na dnie leżał ogromny, oślizły, pokryty wodorostami kamień. Był to rzeczywiście niezwykle wielki głaz. W dodatku, gdy zaczęto oczyszczać go z mułu, okazało się, że na kamieniu wyryty jest napis:

„Zmiłuj się, jeżeli masz serce ludzkie, i obróć mnie!”

— Jest skarb: pod kamieniem jest skarb! — ucieszył się dziedzic. I co prędzej zabrał się do obracania kamienia.

Niełatwa to była sprawa. Kamień był ogromny, oślizły i trzeba było nie lada wysiłku, aby go podważyć. Aż wreszcie udało się! Kamień został odwalony!

Dziedzic rzucił się, aby co prędzej wydobyć ukryte pod kamieniem skarby. Być może będzie to skrzynia pełna złotych dukatów. Albo może nawet i beczka pełna cennego kruszcu! A może będzie to mniejsza skrzyneczka, ale za to wypełniona po brzegi klejnotami?

Ale nic w tym rodzaju nie znalazł pod odwróconym kamieniem. Za to na kamieniu z drugiej strony wyryty był również napis.

— Być może jest to wskazówka, jak dalej szukać skarbu — powiedział dziedzic i zabrał się do odczytania napisu. A napis brzmiał tak:

„Dziękuję ci, żeś mnie odwrócił, bo sobie bardzo bok odleżałem!”

Zaklął dziedzic bardzo rozgniewany i od tego czasu zaniechał już poszukiwania skarbów, a ludzie w okolicy wyśmiewali się z niego do końca życia.

MARIA KRÜGER

TRĘBACZ RATUSZOWY I KRÓL KRUKÓW



POWIEM wam dziś pewną piękną historię o ratuszu poznańskim. Ratusz poznański znacie z pewnością wszyscy, a przynajmniej znacie wy wszyscy, którzy mieszkacie w Poznaniu, a wy, kochani, mieszkający tam dalej, poza Poznaniem, widzieliście już zapewne ratusz poznański choćby na obrazku, na fotografii. Jest to najpiękniejszy gmach Poznania, a jeden z najpiękniejszych w całej Polsce. Wznosi się on na Starym Rynku od sześciuset lat, a dumna jego, wysoka, niebotyczna wieża pamięta jeszcze chwały pełne czasy Jagiellońskie.

Z wieży tej roztacza się piękny widok na całe miasto i daleką okolicę. W wieży, tuż pod wielkim zegarem, znajduje się od dawien dawna izba tak zwanego trębacza ratuszowego. Trębacz ratuszowy był w dawnych czasach wartownikiem miejskim, to znaczy — czuwał stale we dnie i w nocy nad bezpieczeństwem miasta. Jeżeli na przykład gdzieś w mieście wybuchnął pożar, wtedy trębacz ratuszowy trąbił na alarm, wzywając mieszkańców do gaszenia pożaru.

Otóż przed wielu, wielu laty takim strażnikiem ratuszowym był zacny i wierny Przemko. Miał on synka Bolka, dla którego największą radością było przebywanie na galerijce wieży. Przesiadywał tam też codziennie całymi godzinami. Przyglądał się ze swej wysoczyzny

ludziom chodzącym ulicami, takim maleńkim jak karzełki. I przyglądał się chmurkom na niebie, które przybierały kształty różnych wielkoludów i koni, i smoków fantastycznych. I przysłuchiwał się głośnemu tykaniu zegara ratuszowego, który powtarzał bez przerwy swoją mowę tajemniczą:

Tyk — tak, tyk — tak, tyk — tak,
było tak, jest tak, będzie tak!

A potem huczał:

Bam — bam — bam,
ludzie tam, ludzie tam,
a ja sam, służę wam,
bam, bam...

Ach, śliczny był świat tam wysoko, na wieży ratuszowej, całkiem inny niż ten mały, tam na dole, na rynku i ulicach miasta. Toteż Bolko postanowił zostać, gdy dorośnie, jeno trębaczem ratuszowym, podobnie jak ojciec jego, Przemko.

Jednego razu, kiedy Bolko siedział jak zwykle na galeryjce wieży i rozmarzonym okiem w dal patrzył, nagle coś czarnego runęło u nóg jego. Bolko przeraził się ogromnie, ale uspokoił się niebawem, gdy spostrzegł, że był to tylko ptak, czarny kruk. Ptak leżał u stóp jego bezsilny, z obwisłym i skrwawionym skrzydłem.

Bolko był chłopcem bardzo dobrym i litościwym dla wszelkich zwierząt. Toteż nie namyślając się długo, podniósł ostrożnie rannego kruka, pogłaskał czule po czarnym, lśniącem łebku i zaniósł do izby ojcowej. Tu wymył mu troskliwie zranione skrzydło, ranę wysmarował tłuszczem gojącym i ułożył na miękkim wełniaku, w kąciku obok swego łóżeczka.

Bolko siadywał teraz całymi dniami przy kruku i pielęgnował go z serdeczną litością. I jakaż była jego radość, gdy po kilku dniach kruk wyzdrowiał już o tyle, że mógł się jako tako ruszać. Od tej chwili — skacząc zabawnie, kruk chodził wszędzie za Bolkiem, niby piesek wierny za swoim panem.

Aliści minął dalszy tydzień, kruk zupełnie już wyzdrowiał i wtedy jednej nocy zdarzyło się coś niezwykłego.

Oto kruk wskoczył na łóżeczko i dziobem uderzył Bolka lekko kilka razy w rękę.

Bolko zbudził się, otworzył oczy szeroko — i nagle stała się światłość. Przed nim stał kruk, który niebawem zmienił się w małego karzełka, w długim płaszczu purpurowym i ze złotą koroną na głowie. Bolko oniemiał z przerażenia.

Ale w tejże chwili karzełek przemówił do niego głosem smutnym a pełnym miłości:

— Nie lękaj się, Bolku. Ja jestem królem kruków, któremu uratowałeś życie. Pewien strzelec miejski strzelił do mnie z samopału i przestrzelił mi skrzydło. I gdyby nie twoje serce litościwe i twoja troskliwa opieka, byłbym na pewno umarł. Ale teraz nadeszła chwila, kiedy musimy się rozstać. Muszę już wracać do mego ludu kruczego. Tobie zawdzięczam dziś życie, a w podzięce za okazaną mi litość i miłość pozostawiam ci ten oto mały upominek.

Powiedziawszy to, wręczył Bolkowi małą srebrną trąbkę, po czym rzekł jeszcze:

— Gdy będziesz kiedy w potrzebie, zatrąb na tej trąbce z wieży ratuszowej, zatrąb z każdego narożnika wieży na cztery strony świata i czekaj na mnie z ufnością. A teraz żegnaj mi!

I karzełek zmienił się z powrotem w kruka, skoczył na okno, rozpostarł skrzydła i zniknął w przestrzeni, wśród ciemnej nocy...

Po odlocie kruka Bolko posmutniał bardzo, żal mu było ptaka, który stał mu się towarzyszem najmilszym i zabawką i do którego przywiązał się całym sercem. Nazajutrz wyszukał w domu mocną tasiemkę, przywiązał do trąbki, po czym trąbkę zawiesił na piersi. Odtąd już nie rozłączał się z trąbką ani na chwilę.

Minęły lata i Bolko wyrósł na dzielnego młodzieńca; pomagał ojcu w czuwaniu na wieży nad bezpieczeństwem miasta, a poza tym ćwiczył się w rzemiośle wojennym jako żołnierz miejski dla obrony miasta.

I wtedy to nastąpiły ciężkie czasy dla Poznania. Wojska nieprzyjacielskie wtargnęły do Polski, stanęły przed murami Poznania i zaczęły uderzać na nie ze wszystkich stron. Poznańczycy bronili się

dzielnie, a najdzielniej walczył Bolko. Ale nieprzyjaciół było bardzo wielu. I kiedy wojska nieprzyjacielskie z wielką siłą uderzyły na bramę Wrocławską, wtedy zdawało się, że maluczko, a miasto zdobędą.

Kobiety, dzieci i starcy w popłochu chronili się do kościołów i pałacu arcybiskupiego na wyspie tumskiej, a przy bramie zagrożonej zostali jeno mężczyźni. Walczyli jak lwy, ale szeregi ich malały coraz bardziej.

Bolko widząc dokoła siebie tak straszne spustoszenie, szalał z rozpacz na myśl, że ukochane miasto padnie ofiarą wroga. Ale wtedy właśnie przypomniał sobie z lat dziecięcych trąbkę i słowa karzełka, króla kruków:

„Gdy będziesz w potrzebie, zatrąb na tej trąbce z wieży ratuszowej na cztery strony świata i czekaj na mnie z ufnością“. I Bolko powiedział sobie:

„Wszakże jestem teraz w wielkiej potrzebie, wszakże miastu mojemu i wszystkim mieszkańcom grozi straszne niebezpieczeństwo od wroga. Pokaż więc, trąbko moja, swoją moc!“

Po czym Bolko zawołał do swych walczących towarzyszy:

— Wytrwajcie, bracia, na stanowisku! Nie dajcie się! Ja śpieszę po pomoc! Nasze będzie zwycięstwo! Wytrwajcie! Bóg i Ojczyzna! — krzyknął i pobiegł co tchu w stronę ratusza, wbiegł po krętych schodach na wieżę ratuszową i na swej srebrnej trąbce zagrał z całych sił na wszystkie cztery strony świata.

Gdy przebrzmiał ostatni dźwięk trąbki, Bolko wyteżył wzrok i słuch. Z zapartym oddechem czekał na to, co teraz powinno nastąpić. Hen, na dole, na murawach koło bramy Wrocławskiej toczyła się dalej walka zażarta i nic nie zaszło takiego, co by zapowiadało bliski ratunek dla obleżonych.

Bolko niecierpliwił się coraz więcej, każda chwila oczekiwania wydawała mu się wiecznością. Okrzyki walczących wzmagają się, rosną, aż w pewnej chwili wybuchają potężnym rykiem zwycięstwa. To wojska nieprzyjacielskie zaczynają przełamywać opór walczących obrońców.

Bolko, zobaczywszy to, myślał już tylko o tym, że nie wolno mu stać tu beczynn timer, że musi podążyć co prędzej naprzeciw wrogom — i choćby zginąć śmiercią walecznych. I już odwrócił się, by zbiec z wieży ratuszowej, gdy wtem ktoś przytrzymał go za kurtkę. Bolko spojrział za siebie i jakież było jego zdziwienie, kiedy ujrzał króla kruków w płaszczu purpurowym na ramionach i w koronie złotej na głowie.

— Przywołałeś mnie — rzekł do Bolka. — Uspokój się, pomoc już bliska. — A powiedziawszy to, przyłożył do ust maleńką złotą trąbkę i zatrąbił swój sygnał królewski.

I w tejże chwili na krańcach nieba pokazały się chmury czarne, które zbliżały się z błyskawiczną szybkością. Były to olbrzymie, niezliczone, tysiadcne stada kruków, nadlatujące ze wszystkich stron.

Bolko, zobaczywszy to, oniemiał całkiem ze zdumienia. Zafurkotało w powietrzu, załomotało, jak gdyby grzmot szalejącej burzy i tysiące kruków, kracząc złowieszczo, runęły z góry wprost na wojska nieprzyjacielskie. Mocnymi skrzydłami biły w twarze napastników.

I wtedy stało się coś całkiem nieoczekiwanego. Wrogowie sądząc, że to sam diabeł wystąpił przeciwko nim na czele swych wojsk piekielnych, rzucali broń i uciekali w popłochu. Ale kruki nie zaprzestały walki, a przeciwnie — rzuciły się w pogoń za uciekającymi i zabijały ich swoimi dziobami.

Bolko nie posiadał się z radości. Pałającymi oczyma śledził przebieg tej dziwnej walki i ostateczną klęskę wojsk napastniczych. A kiedy ostatni wróg legł pod ciosami potężnych kruków, wtedy dopiero ocknął się i odwrócił się, ażeby podziękować swemu wybawcy. Ale króla kruków już nie było. Znikł niepostrzeżenie.

Bolko dojrzał go w oddali, lecącego wysoko na czele swych zwycięskich wojsk kruczycich. Zerwał więc czapkę z głowy i krzyknął za odlatującym:

— Żegnaj mi, królu kruków! Dzięki ci, dzięki stokrotne za zwycięstwo!



Radość wielka zapanowała w mieście z powodu pogromu wroga. Bolka w nagrodę za uratowanie miasta od wroga obnoszono tryumfalnie po wszystkich ulicach i obrano wójtem miasta Poznania.

A dla uczczenia tego niezwykłego zwycięstwa postanowiono, ażeby trębacz ratuszowy od tej pory grał hejnał zwycięski króla kruków stale, co godzinę z czterech narożników wieży. Hejnał ten słyszymy po dziś dzień. Kruki co prawda już nie przylatują, ponieważ srebrna trąbka króla kruków zaginęła bezpowrotnie. Bolko upuścił ją z wieży przerażony widokiem zbliżających się stad kruczych. I mimo poszukiwań trąbki czarodziejskiej już nie znaleziono. Przepadła bez śladu. Pozostał jednak hejnał, który nam gra.

CZESŁAW KĘDZIERSKI

O ŻARŁOCZNYM POTWORZE W GOPLE



ZY SŁYSZELIŚCIE kiedy o Gople, wielkim jeziorze koło Kruszwicy? Ależ na pewno znacie je wszyscy, chociażby z opowiadania o królu Popielu i Mysiej Wieży. W tym oto Gople żył przed stu laty bardzo stary szczupak, rabuś wielki. Powiadają, że żył on już za czasów okrutnego króla Popiela i siał wśród ryb ogromne spustoszenie. Długość jego wynosiła pięć metrów, a gruby był jak największa beczka śledzi. Łeb miał cały pokryty gęstym mchem, ślepia już znacznie ociemniałe, a zęby miał tak słabe, że polował jeszcze tylko na narybek, ażeby nie mieć kłopotu z gryzieniem. A ponieważ mimo swej starości miał apetyt wilczy, dlatego też pożerał łakomie wszystkich narybek i dlatego rybacy kruszwiccy bardzo byli biedni i bardzo na niego wyrzekali.

Polowali więc na niego różnymi czasy, ale zawsze na próżno, bo w młodszych latach był tak silny, że najmocniejszą sieć rozdarł albo ją zgoła rybakom z rąk wyrwał, wywracając przy tym ich łodzie do góry dnem. A w starości był tak chytry jak lis i gdy tylko spostrzegł nadjeżdżających na górze rybaków, w tej chwili zmykał i chował się w swej kryjówce pod wyspą, na której wznosi się Mysia Wieża.

Ale raz nareszcie przecież udało się schwytać starego rabusia. Było to zimą. Mróz panował siarczysty, tak że cała powierzchnia jeziora zamarzła i pokryła się grubym lodem. Rybacy wtedy wzięli sieć najmocniejszą i poszli na jezioro w pobliżu Mysiej Wieży. Tam wyrąbali dużą przeręblę i zapuścili sieć. Stoją, czekają i odmawiają pacierze, prosząc Pana Boga, ażeby nareszcie pozwolił im schwytać potwora. Aż tu nagle pod lodem coś straszliwie załomotało i siecią szarpnęło.

— Hu ha! — krzyknęli rybacy, dodając sobie otuchy i wyteżyli wszystkie siły, aby sieci z rąk nie wypuścić. Dwunastu rybaków trzymało sieć, a trzynasty sprowadził co tchu sześć koni. Konie zaprzęgli do sieci i powoli a z wielkim wysiłkiem wyciągnęli szczupaka na wyspę. Wplątany w sieć miotał się stary rabuś w bezsilnej złości na wszystkie strony.

Jeden z rybaków przyniósł siekierę, aby mu łeb roztrzaskać. Już się zamierzył, gdy wtem potwór niespodziewanie rzucił się w górę, kłapnął swą wielką paszczką i siekierę w jednej chwili połknął.

Wtedy inny rybak wziął wielki drąg żelazny i zaczął podchodzić do szczupaka z tyłu, aby go grzmotnąć po łbie zniecka. Zaledwie jednak zbliżył się dostatecznie, a już rabuś trzepnął ogonem tak mocno, że rybak z drągiem wyleciał wysoko w powietrze i spadł w przeręblę.

Wówczas rybacy — jak to mówią — poszli po rozum do głowy, nazbierali dużo ciężkich kamieni polnych i zaczęli ciskać nimi na łeb potwora, w brzuch, ogon — gdzie się dało. Po chwili szczupak przestał się ruszać, przestał żyć.

Szczupak ten — jak już wspomniałem — miał pięć metrów długości i był gruby jak największa beczka śledzi. Toteż rybacy już na-przód radowali się i obliczali, ile to tłuszczu rybiego wydostaną z tego starego tłuszciocha wodnego. Ustawili więc pięć dużych beczek i zabrali się do krajania rabusia na kawałki. Jakież jednak było ich zdziwienie, kiedy rozplatali mu brzuch. Na widok tego, co tam zobaczyli, stanęli wszyscy jak wryci.

W brzuchu starego rabusia goplańskiego znaleźli po prostu małe muzeum najróżniejszych osobliwości. Znaleźli bowiem nie tylko do-

piero co połknęła siekierę, ale nadto mnóstwo innych niestrawnych przedmiotów, które stary łakomczuch za życia swego połknął. A więc znaleźli tam dwie kule kamienne z czasów wojny szwedzkiej, jeden krzyżacki but żelazny, parę butów króla Popiela i parę srebrnych pantofelków żony jego, chciwej a okrutnej Ryksy, zgubionych podczas ucieczki przed myszami. I dużo innych jeszcze osobliwości znaleźli w brzuchu rabusia, ale rzeczą najosobliwszą okazała się duża żelazna łapka na myszy, na której wyryty był następujący napis:

To jest łapka na myszy okrutnego króla Popiela Drugiego, która miała go uratować, gdy z żoną i dwoma synami uciekał na wieżę goplańską, ścigany od tysięcy myszy.

Tak tedy wszystkie szkody rybaków, wyrządzone przez łakomego potwora goplańskiego, zostały sownie nagrodzone. Rybacy bowiem zdobyli z niego pięć beczek tłuszczu rybiego, a za ową łapkę na myszy i wszystkie osobliwości, znalezione w brzuchu jego, otrzymali dużo srebrnych i złotych pieniędzy.

A ponieważ na domiar wszystkiego pozbyli się żarłocznego rabusia, przeto i ryby wszelkie w Gople zaczęły się rozmnażać, i rybakom nadgoplańskim dzieje się od tego czasu dobrze. A tylko kiedy niekiedy starzy rybacy w długie wieczory zimowe przy kominku, wspominając dawne dzieje, opowiadają swym dzieciom o łakomym szczupaku, który żył w Gople od czasu króla Popiela.

CZESŁAW KĘDZIERSKI

DZIELNA KASZTELANKA



PÓŁNOCNEJ części ziemi wielkopolskiej, a na zachód od miasta Bydgoszczy, znajduje się miasteczko Gołańcz. Tuż przy miasteczku wznoszą się dobrze jeszcze zachowane piękne ruiny starego zamczyska, pamiętającego czasy króla Piastów. A u podnóża ruin lśnią się i kołyszą fale niedużego jeziora, zwanego Smolary. Niegdyś, przed wielu wiekami, był to zamek potężny i warowny. I niedostępny też był dla wrogów, napadających kraj nasz, ponieważ Jezioro Smolarskie otaczało zamek dokoła ze wszystkich stron. Do zamku więc można się było dostać jedynie po moście zwodzonym.

W zamku tym mieszkał przed wielu, wielu laty rycerz waleczny, sędziwy pan na Gołańczy, kasztelan Maćko. Miał on córkę precudnej urody, Baškę. Kto raz na nią spojrzeł, ten stawał olśniony i onie miały z podziwu. Ale kasztelanka obok pięknego oblicza posiadała i duszę niezwykle piękną, i dzielne nad wyraz serce.

Od najmłodszych lat pod światłym kierownictwem ojca i kapłanów kształciła umysł swój i serce w naukach i uczynkach miłosiernych. A w chwilach wolnych uczyła się dosiadać konia i robienia szablą.

I zawsze myślała o jednym tylko: jak by się stać mogła najużyteczniejszą Polką. Toteż kiedy podrosła, nie myślała nigdy o sobie, lecz zawsze o innych. Odwiedzała lud całej okolicy, opiekowała się chorymi i sierotami, biednych wspierała i pocieszała nieszczęśliwych. Co więcej — pamiętała nawet o zwierzynie w lesie i o ptakach, kładąc i sypiąc codziennie pożywienie dla nich na leśnej polance opodal jeziora. Nic dziwnego więc, gdy tylko zaszła do której wioski okolicznej, tam dzieci wieśniacze garnęły się do niej z miłością, a matki i ojcowie błogosławili ją, mówiąc:

— Przyszła do nas nasza śliczna i dobra kasztelanka! Niechajże Bóg wynagrodzi ją stokrotnie za to serce anielskie, jakim nas darzy!

A kiedy szła przez las, to wybiegały na jej spotkanie sarenki i odprowadzały ją zawsze do skraju lasu. A zajączki i dzikie króliki biegały dokoła niej w zabawnych podskokach niby pieski. Ptaszki zlatywały się ze wszystkich stron, fruwały nad jej głową, siadały na jej ramionach i wesoło ćwierkały w podzięcie za pamięć o nich.

Tak, znali śliczną kasztelanę wszyscy — i ludzie, i zwierzęta leśne, i ptaki. I wszyscy równo radowali się na jej widok i śpieszyli wyrazić swoją miłość i wdzięczność, każdy na swój sposób, jak umiał...

Ale przyszły złe czasy na kraj nasz. Wojska szwedzkie wtargnęły do Polski i niszczyły ją ogniem i mieczem. Dotarły też i do Gołańczy. Ludność miasteczka i całej okolicy w popłochu schroniła się do zamku pana kasztelana. Szwedzi uderzyli wobec tego na zamek. Ale zamek był mocny, warowny i otoczony dokoła jeziorem. Więc trudny był do zdobycia. Szwedzi przeto przypuścili do niego ostry szturm, raz i drugi, lecz przekonawszy się, że to trud daremny, zaczęli go oblegać. Oblegali go tydzień, dwa tygodnie, trzy tygodnie.

W zamku wielu żołnierzy nie było, ale za to było mnóstwo starców, kobiet i dzieci. Obleżeni trzymali się dopóty, dopóki starczyło im żywności. Kiedy jednak śmierć głodowa zajrzała im w oczy, kasztelan postanowił poddać się, by od śmierci głodowej uratować ludność.

Spuszczono tedy most zwodzony, rozwarto bramy i wojsko szwedzkie wkroczyło do zamku. Na spotkanie Szwedów wyszedł pan kasztelan w towarzystwie kasztelanki i starego sługi. Dowódca Szwedów, przystojny pułkownik, wjechał dumnie na dziedziniec zamkowy. Ale zaledwie ujrzał piękną kasztelanę, stanął olśniony niezwykłą jej urodą. Długo tak wpatrywał się w nią pełen zachwytu, aż wreszcie z konia zeskoczył, przybliżył się do kasztelana i córki jego, skłonił się nisko i rzekł:

— Wszedłem tu jako zwycięzca, a już jestem zwyciężony. Nie pobiły mnie tu ani wojska, ani armaty, ale pobiła mnie uroda panny kasztelanki. Kiedym pannę kasztelanę zobaczył, zdało mi się, że widzę anioła, który z nieba zstąpił na obronę zamku. Pierwszy raz w życiu spotykam taki prawdziwy cud piękności i poddaję się całkowicie.

A na to kasztelan sędziwy odpowiedział:

— Panie, zamku tego nigdy byś nie zdobył. Broniłbym go do ostatniego tchu. Ale do zamku mego schroniła się ciżba ludu biednego — sami starcy, kobiety i dzieci. Przez wzgląd na nich więc zamek mój poddałem, ażeby uchronić ich od zagłady. Oszczędź przeto lud mój i nie czyn mu krzywdy!

— Tak, panie, oszczędź lud nasz biedny! — dodała kasztelanka.

— Stanie się według woli waszej! — zawołał wódz. Po czym żołnierzom swym rozkazał przynieść żywność dla ludu w zamku. Następnie wyprowadził ich z powrotem do namiotów obozowych, sam jednak zaraz do zamku powrócił i oświadczył się o rękę uroczej kasztelanki.

Zadrżał z lęku i oburzenia stary kasztelan, zadrżała z przerażenia i kasztelanka. Bo wprawdzie podobał jej się przystojny wódz, ale przerażała ją myśl, że miałyby zostać żoną cudzoziemca.

Namyślała się przeto kasztelanka długo, co począć, jaką ma dać odpowiedź. Obawiała się bowiem, że jeśli nie zgodzi się zostać jego żoną, wtedy wódz szwedzki rozzłości się i mścić się będzie na ojcu jej, na starcach, kobietach i dzieciach, ukrytych w zamku. A ona przecie chciała ich wszystkich uratować. Straszny niepokój o los ich targnął jej serce.

Aż wreszcie przyszedł jej pomysł do głowy. Powziąwszy zaś postanowienie, tak powiedziała:

— Panie pułkowniku, dam ci odpowiedź, lecz wprzód musiałbyś złożyć mi pewną przysięgę. Czy zgodzisz się na to?

— Mów, pani, jakiej żadasz ode mnie przysięgi — odparł Szwed.

— Przysięgnij mi, pułkowniku, że jeśli stąd odejdę, opuścisz również zamek ten wraz ze swym wojskiem i nie wyrządzisz żadnej krzywdy ani ojcu memu, ani starcom, ani kobietom, ani dzieciom w tym zamku ukrytym.

— Przysięgam ci, piękna kasztelanko, że żadnej krzywdy nikomu nie wyrządzę i zamku nie zniszczę! — odpowiedział pułkownik.

Następnego dnia pułkownik wezwał kasztelankę, by wraz z nim opuściła zamek. Kasztelanka tedy włożyła na głowę wianek z róż wodnych, zaprowadziła pułkownika na wieżę zamkową i zawołała:

— Żegnaj mi, ukochany kraju rodzinny, i ty, ludu mój, żegnaj mi, ojczyzno najdroższy! Z miłości dla was składam ofiarę z mego życia! A ty, panie pułkowniku, jeśli chcesz być mężem moim, idź za mną!

Ledwo słowa te wypowiedziała, rzuciła się ze szczytu wieży zamkowej i utonęła w nurtach głębokiego Jeziora Smolarskiego.

Pułkownik szwedzki, pomny przysięgi swej, nie zniszczył zamku, nie skrzywdził nikogo i wraz z wojskiem opuścił tę część kraju naszego.

Ale wielka była rozpacz kasztelana po utracie umiłowanej córki, a lud cały płakał łzami serdecznymi z powodu utraty swego anioła opiekuńczego.

Tak więc dzielna kasztelanka, nie chcąc być żoną wroga ojczyzny, a jednocześnie pragnąc uratować ojca i lud swój od zagłady, wolała ponieść śmierć w zimnych nurtach jeziora.

Stało się to w dniu 23 czerwca.

Od tego czasu corocznie w dniu tym o północy duch dzielnej kasztelanki wypływa z dna Jeziora Smolarskiego, unosi się nad po-

wierzchnią fali, zrywa róże wodne do wianka i płynie tak, zapatrzony
w ruiny zamku swojego. A towarzyszą jej wodnice tego jeziora i przy
dźwiękach fal płasają i śpiewają:

*Od głębin, od topieli
Wyptywa kasztelanka,
Wśród fal świetlanej bieli
Róż wodnych sięga wianka.*

*Raz w rok w czerwcową nockę,
Gdy roczek jeden minie —
Tęsknota ciągnie pannę
Z pałacu w wód głębinie.*

*Wyptywa kasztelanka,
By ujrzeć ojców zamek
I ziemię swą ojczystą,
I świeżych róż wziąć wianek.*

*Nie chciała cudzoziemca,
Swój ocalić chciała lud,
W ofiarnej więc miłości
Do jeziornych zeszła wód.*

*O panno ty rycerska,
W fal świetlanej bieli płyn,
Dzielna i bohaterska
Słyń wśród ludu Polski, słyń.*

CZESŁAW KĘDZIERSKI

PRZEKLĘTE JEZIORO



POCZĄWSZY od dwóch wielkich kujawskich jezior: starosławnego Gopła i Powidza, cała wielka przestrzeń ziemi aż do Bałtyckiego Morza, to jest cała wschodnia część W. Ks. Poznańskiego z przylegającymi do niej częściami Prus Zachodnich i Pomorza, zasiana jest nieskończoną ilością wód stojących, rozmaitej objętości. Wiele z nich zajmuje po kilkaset mórg powierzchni i zasługuje w zupełności na nazwisko jezior, podczas gdy inne zaledwie obszernych stawów mają pozór. Jedne ciągną się długimi pasmami, zaledwie poprzedzielane wąskimi przesmykami ziemi, tak iż z małym trudem połączyć by je i nieraz na kilka mil długą komunikacją wodną stworzyć można; inne, samotnie rzucone, błyszczą wśród bezwodnej zewsząd okolicy. Niektóre otoczone wesołymi wzgórzami i zbiegającymi aż do wody gajami, z rozsypa- nymi po brzegach ich wioskami, zachwycają prawdziwie uroczym i godnym pędzla widokiem; do niektórych znowu lud okoliczny przywiązuje podania i powieści, dotąd czytającej publiczności nie znane, a które przecież, zostawszy spisanymi, niejedną zajmującą kartą księgę legend narodowych wzbogacić by mogły. Jedna z tych przed wielu już laty zasłyszanych powieści przysłała mi dzisiaj na pamięć, a więc ją spisać pośpieszam.

Było to na ostatnich krańcach W. Ks. Poznańskiego, gdzie narzecz tej prowincji zlewa się z pobratymczym językiem Kaszubów, w pobliskości jakiegoś miasteczka, którego nazwiska już nie pomnę. To jednak pamiętam, że mi potrzeba było koniecznie stanąć w nim na dziewiątą godzinę wieczorem, ażeby korzystać z odchodzącej dalej poczty.

Zabałamuciwszy w jakiejś wiosce po drodze na oglądaniu starego kościoła, zląkłem się niemało, kiedy przy wyjściu z niego zegar na wieży piątą uderzył, bo wiedziałem, że do miasteczka jeszcze z górą dwie mile drogi. Zdążyć na czas było prawie niepodobnym, a do najmowania drogiej furmanki nie miałem ochoty. Na szczęście zakrystian kościelny wybawił mnie z kłopotu zapewniając, że tylko bitą drogą, z powodu różnych przeszkód bardzo się wijącą, dwie mile do miasta było, ale polnymi ścieżkami, wzięwszy byle przewodnika, śpiewający za dwie godziny w nim stanę. Pożądany, za tanie pieniądze przewodnik znalazł się niebawem w osobie młodego Kaszuba, z którym tedy, nie tracąc czasu, ruszyłem rażno w drogę przecznicami, miedzami, z góry na dół, z dołu w górę, jak to zwykle po bocznych ścieżkach.

Choć to już późną jesienią, dzień był cudownie pogodny i lubo pod wieczór, dość jeszcze było gorąco. Uszedłszy więc wyciąganym krokiem z godzinę drogi, począłem tęsknie się oglądać za jakim studziennym żurawiem lub źródelkiem, z którego mógłbym odwilżyć zeschłe od pragnienia usta.

Serdecznie się zatem ucieszyłem, kiedy dosięgnąwszy grzbietu wyniosłości, na którąśmy się wspinali, poczułem świeży powiew nadwodny i pod stopami naszymi zabłysła szyba przezroczysta dość obszernego jeziora.

— Czekał no chwilę, mój bracie — rzekłem do przewodnika — to zajdę trochę się napić.

— Co? Napić? A niech Bóg broni! — zawołał chwytając mnie za rękę.

— O, nie bój się o mnie, mój kochany. Nie jestem wcale tak bardzo zmęczony, tylko w ustach od kurzu niezmiernie mi zaschło.

— A, panie, tu nie o to idzie, czyś pan zmęczony; tylko że z tego jeziora pić nie można. A jeśli panu w ustach tak sucho, to patrz pan, tam pod tą gruszą rośnie pełno jeżyn.

— Jeżyny?... Prawda! A to doskonale! — zawołałem uradowany nie wdając się w dalsze rozprawy, gdyż wyznaję, że nie ma smaczniejszego owocu jak jesienią dojrzałe, rozplywające się, słodkie jak miód, a przecież jakiegoś leśnego aromatu pełne, jagody.

Za chwilę siedzieliśmy już obaj pod szemrzącą dziką gruszą, koląc sobie palce cierniami i farbując na fiołkowo usta ulubionym moim owocem. Przed nami rozciągało się wąskie, ale długie, około stu móg powierzchni zajmować mogące jezioro.

Widok przecież jego brzegu nie przyczyniał się wcale do podwyższenia przyjemności wypoczynku. Ze wszystkich stron zamykały je płaskie, niskie, uprawne wzgórza, teraz płowiejące smutnym rżyskiem, aż do samego poziomu wody dochodzącym. Żadne drzewo, żaden zielony krzaczek nadbrzeżny nie rozweselał jej zwierciadła, tylko bezobłoczny błękit nieba ciemną jednotonną barwą odbijał się w jego głębi.

— Co za smutne jezioro! — pomyślałem głośno, a wtem przyszło mi na myśl, że przewodnik wyraźnie z niego pić wzbraniał. Począłem go więc pytać o przyczynę.

— Mój bracie, powiedz mi, dlaczegoś nie pozwolił pić wody z jeziora?

— A bo to, panie, woda bardzo niedobra.

— Niedobra? A to dlaczego? Widzę, że czysta jak kryształ. Musi być taka, jak po innych jeziorach i stawach.

— O, nie, panie! Z tego tu żaden człowiek nie pije ani bydłociu pić nie daje, bo to już takie przekłete jezioro.

— Jak to przekłete, dlaczego?

— Albo ja tam wiem dlaczego... tylko tak wszyscy ludzie powiadają.

— Aleć jeśli ludzie powiadają, to muszą też i powiadać, dlaczego to jezioro jest przekłete.

— No, juści, że powiadają, ale albo ja tam wiem, czy to wszystko prawda, czy nie.

Jak zwykle trudno jest obcemu człowiekowi z chłopa coś wydostać, tak i tu trwało dobrą chwilę, nim mój Kaszub rozmyślił się zasłyszaną od ludzi powieść opowiedzieć. Nareszcie zaczął ją, w tych mniej więcej słowach:

— To, bo widzi pan, powiadają ludzie, że za dawnych czasów to tutaj wcale nie było wody, tylko pole, tak jak i naokoło. A tam hen w środku, gdzie to niby dno przegląda, stał na niewielkim wydmuszku dwór i folwark, do którego te wszystkie pola i wsie pobliskie należały. Niedaleko dworu, ponad drogą, stała także kapliczka, a w niej była cudowna studzienka. Czy to tam w wodzie była jaka żywica, czy tak już Bóg dał dla ubogich ludzi na pociechę, dość że jak się chory napił, to prawie zawsze wyzdrowiał, a na oczy, to choćby Bóg wie jak bolały, dość było tylko kilka dni nią przemywać, a zaraz dobrze się robiło. Toteż ludzie ze wszystkich stron cisnęli się do tej wody jak do cudownego obrazu i była to dla całej okolicy największa łaska boska. A co najdziwniejsza, że wody nigdy nie przybywało więcej jak po brzeg studzienki, choćby ludzie Bóg wie jak wiele w dzbanki i flaszki naczepali. Stała zawsze równiuchno, jak gdyby pod strych namierzył.

I trwało to tak, panie, Bóg wie jak długo, aż do stu czy ilu tam lat będzie temu. Nowy pan, co ziemię kupił, do gospodarstwa zaraz wziął się w inny sposób. Co prawda, to gospodarzył daleko lepiej niżeli dawniejsi dziedzice. Co dawniej na folwarku bywało zaledwie po kilkaset owiec, to teraz było ich prawie parę tysięcy. A co bydła, a co za konie, jak habany!... Co dawniej stodoły i obory z chrustu i gliny stały, to teraz nowy pan wszystko z czerwonej pomurował cegły, że aż łuna biła, kiedyś spojrział. Ale na ludzi tutejszych to nie był wcale łaskawy. Już to jak tylko się wprowadził, to zaraz wszystką czeladź wyrzucił ze dwora i zaprowadził swoją, a w kilka lat potem to się i ze wsi popozbywał wszystkich chłopów i poobsadzał swoich kolonistów. W lasach także, co niegdyś biedota, chociaż z obcych wsi, zbierała grzyby albo orzechy i jagody, to teraz swoim gajowym na-

kazał najsrożej, żeby zaraz fantowali, tak że nikt nogą nie ważył postać na jego granicy. Zwykł był mawiać, jak go zafantowane baby i dzieci o litość prosiły, że za wszystko na tej ziemi zapłacił, że wszystkiego zatem korzyść mieć musi.

Jak ze wszystkiego, tak też i z cudownej wody w kapliczce korzystał sobie zamyślił. Skoro spostrzegł, jaka to tam do niej codziennie procesja, i dowiedział się, dlaczego, to choć się śmiał z głupich, jak mówił, ludzi, co wierzyli w takie gusła, kazał zaraz zamknąć kapliczkę na mocne drzwi dębowe i nie dawać inaczey wody, tylko jak kto za flaszkę albo garnuszek złotówkę zapłaci. Na próżno były wszystkie biadania, prośby i pomstowanie ubóstwa, co się po dawnym zwyczajowi ściągało Bóg wie z jak daleka: kto nie miał złotówki — a pan wie, co to dla biednego człowieka za pieniądz — mógł chorzeć, ślepnąć albo i umierać, a twardy pan, bezlitosny, od swego nie odstąpił ani grosza.

Oczywiście byłoż to dopiero na niego przekleństw i nienawiści co niemiara; ale on śmiał się tylko sobie — i prawda, że mu pomimo wszystkich wołań o pomstę szło wszystko jak z płatka. Aleć dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

W kilka lat potem, jak się tu sprowadził, dorosła mu córka i wydawał ją za męż. Wesele, chociaż nie było tak huczne, jak to za dawniejszych bywało dziedziców, zjechało się na nie przecie niemało krewniaków. Ale oprócz nich jeszcze i inni zjawili się goście. Na dzień ten już od dawna czatowało mnóstwo chorego i kalekiego biedactwa, co sobie za co uzdrawiającej wody kupić nie miało, ciesząc się nadzieją, że przy tak radosnej uroczystości pan darmo studzienkę otworzyć im każe.

Kiedy więc po dobrym obiedzie weselnicy zasiedli sobie przed gankiem, żeby się wychłodzić do tańców wieczornych, naraz wtoczyła się na dziedziniec gromada dziadów, bab i dzieci — ślepych, kulawych, poobwiązywanych — z dzbankami i flaszkami. Na czele ich szedł o kuli ogromny dziad rudy, ze strasznie czerwonymi oczami. Stawawszy z całą czeredą przed gankiem, skłonił się do nóg zdziwionemu dziedzicowi i w długiej przemowie winszując nowożeńcom wszelkiego

szczęścia prosił go, żeby w dniu tak uroczystym rozradował serca tyła schorzałego ubóstwem, pozwalając mu zaczerpnąć pomocnej wody, za co wszyscy Bogu się o jego i nowożeńców pomyślność modlić będą.

— Ho! Moi ludzie! — odpowiedział dziedzic. — Toście się źle wybrali. U mnie nigdy nic darmo, a tym mniej teraz, kiedym się na wesele córki wykosztowałem.

Na to baby i dzieci obiegły pannę młodą modląc się jej, żeby się do ojca za nimi wstawiła. Ale i ta była równie twardego jak ojciec serca i śmiejąc się odpowiedziała:

— Ba! A kto by wam tam wierzył i waszej biedzie. Żeby tylko przetrząść wasze łachmany, niejeden piękny grosz wypruć by z nich można.

Zniecierpliwiony zaś piskiem i płaczem pan dodał:

— Dosyć już tego skoniłenia! Płaćcie albo się wynoście, bo was psami wyszczuć każę.

Na to odezwał się teraz potężnym swoim głosem dziad rudy:

— No! Kiedy tak, to poczekajcie, ludzie!... Wielmożna panienska miała prawdę, że u niejednego dziada w łachmanach piękne grosiwo się znajdzie. Tak też i u mnie. Ale się bez niego obyć mogę; a żem to ja was wszystkich zmówił tutaj ze stron różnych i sprowadził, nie chcę, żebyście z kwitkiem odeszli, potem na mnie wymyślali; więc za swoje pieniądze wody wam zafunduję. Tylko, wielmożny panie, u mnie to tak: kiedy hulać, to hulać. Kiedy już mam płacić, to chciałbym ludziom tak być rad, żeby na długie czasy pamiętali staro. Zapłacę bez targów, ile wielmożny pan zechce, ale za to na całą noc żebym klucz dostał i mógł do rana robić z wodą, co mi się podobą.

— Takiś ty hojny, mój bratku? A czy będziesz miał tylko tyle, co ja ci zacenię?

— Niechaj pan ceni, zobaczymy.

— A gdyby pięćdziesiąt talarów?

— Trzysta złotych! Piękny pieniądz!... Ale ja wiem, że z wielmożnym panem targów nie ma. Toć i raz gołemu nic nie mieć...

To mówiąc, wy dobył kozik, schwycił się za kołnierz, rozpruł szwy i wy dobył z między sukna piętnaście okrągłutkich dukatów.

— Oto są, wielmożny panie, pieniądze. Ale za to, wszak prawda, kupiłem wodę na całą noc i wolno mi z nią robić, co mi się tylko podoba?

— A tak, mój kochany — zawołał zdziwiony i ucieszony dziadeczek. — Wolno ci ją wszystką wybrać, wypić... co ci się żywnie zechce samemu.

Wziąwszy klucz, który córka czym prędzej przyniosła, oddał go dziadowi. Ten, pokłoniwszy się nisko, odszedł prowadząc za sobą całą gromadę biedactwa. A na ganku dopiero wszyscy parsknęli śmiechem, nie mogąc się dość nacieszyć z głupiego człowieka. Wreszcie, naśmiawszy się do syta, poszli do dworu tańcować. Nie wiedzieli, na co im się śmiech ten obróci i że to będzie ich na tym świecie ostatni taniec.

Rudy dziad, przyprowadziwszy całą swą gromadę do studzienki, kazał im kolejno ponapełniać wodą wszystkie, jakie mieli naczynia — bo, powiedział, że więcej już ani oni, ani nikt ze studzienki tej czerpać nie będzie. Kiedy wszyscy naczęrpali do woli, kazał im iść z Bogiem do domu, a sam zostawszy wszedł do kapliczki.

Jak długo w niej bawił i co robił, tego nikt nie wiedział. Dopiero już dobrze po ciemku stróż dworski, obchodząc folwark, zobaczył go, jak wychodził z kapliczki i wyszedłszy znikł mu z oczu w ciemności. Kiedy jeszcze za odchodzącym w mrok spoglądał, poczuł jakieś zimno w nogach, a z kapliczki posłyszał jakieś dziwne wrzenie i plusk głośny. Zajrzy do środka: alic tu w studziencie woda aż kipi, a tak przybiera i leje się na wszystkie strony, że już na pół łokcia dokoła pole zalała, i przestraszony stróż, zamoczony dokoła, pobiegł z tą wieścią na folwark.

Doszukawszy się włodarza opowiedział mu, co widział, ale ten temu wierzyć nie chciał. Na zaklinanie się jego wyszedł z nim przecież zobaczyć gumna. Alic tutaj — gwałtu! reta! przez ten czas całutką dolinę zalało i tylko folwark na wydmuszku stoi wśród wody niby kępa. A to widocznie coraz więcej i przybiera, i przybiera!

Wystrachany władarz pobiegł z wiadomością do pana; ale nim się do niego dopytał, wody tymczasem już tyle przybrało, że dziedzi-
niec cały stał w wodzie, a dziewczki, parobki z krzykiem i płaczem
brodzili to tu, to tam, nie wiedząc, co począć.

Kiedy pan i weselnicy, wyszedłszy na ganek, spostrzegli to, strach
ich ogarnął okrutny. Pan drżącym głosem kazał wypędzić dobytek,
żeby się mógł na drugą stronę ratować, zaprzęgać wozy i ładować
na nie z domu, co się dało. Ale zanim służba zdążyła rozkazy jego
spełnić, całe podwórze już woda na chłopca wysoko zalała, a wszystko
tak bałwani się i w kółko kręci, że czy człek, czy bydłę chce przejść
albo przepłynąć, to się utrzymać nie może i zaraz do dna idzie. Ludzie,
jak mogli, puciekali na dachy, na kominy. Państwo i weselnicy
schronili się na najwyższe poddasze dworu.

Lecz woda aż do dnia białego przybierała i stawała się coraz bar-
dziej i bardziej rwąca. Zanim jeszcze zaświtało, naprzód dwór za-
chwiał się i kawał po kawale zawałił cały w wodę ze wszystkimi innymi
budynkami.

Dopiero z dniem białym przestało przybierać i na miejscu dworu
i pola pokazało się, tak jak teraz, spokojne to oto jezioro.

Ze wszystkich, co żyli w dworze, jedna tylko ocalała dusza. Była
to stara pomywaczka, jedna jeszcze z dawnych tutejszych ludzi sługa.
Kiedy woda zalewała, ona nieboga uciekła, nie wiedząc, co robić,
pod strzechę na kurniku, gdzie miała komórkę, i usiadłszy na swo-
jej ubogiej skrzynce patrzyła stamtąd, modląc się do Matki Boskiej,
na to, co się działo. Dopiero jak dwór i wszystko zalewać się poczęło,
odeszła ze strachu od siebie, już nie wiedziała, co się z nią dzieje.
Aż rano ludzie, co się na wieść o dziwie do jeziora pozbiegali, zna-
leźli ją omdlałą wraz ze skrzynią na brzegu. Tak ją woda z jej chudobą
przeniosła bez szkody, za przyczyną Panny Najświętszej. Jak ją ludzie
ocucili, przyszła całkiem do siebie i jeszcze parę lat żyła w naszej
wiosce, gdzie ją gospodarz jeden u siebie pomieścił.

Od niej to się dowiedzieli wszyscy, co się tej nocy w zatopio-
nym folwarku działo i jakim sposobem powstało to przekłete je-
zioro.

— Hm! — rzekiem, kiedy mój przewodnik zakończył swoje opowiadanie. — Aleć jeżeli jezioro powstało z cudownej wody, toby i teraz woda z niego nie szkodzić, tylko pomagać powinna.

— Ba! Tak ci to, panie, i nasi ludzie z początku myśleli, ale się prędko inak przekonali. Kto się ino w nim umył albo napił, rozchorzał się na zimnicę, że nieraz rok potem cały pozbyć się jej nie mógł. Podobnież i bydłę wszelkie, tak iż teraz ludzie najpilniej od jeziora go strzegą. Nawet ptactwo żadne to się tu nigdy nie trzyma. Nawet ryba nie widać, żeby się kiedy plusnęła. Żabstwu tylko jednemu to tam nie szkodzi. A nocą, panie, to powiadają, że nawet tutaj przeszkadza, i nikt za żadną cenę nie poszedłby tą, co my idziemy, ścieżką, żeby nie wyzywać licha.

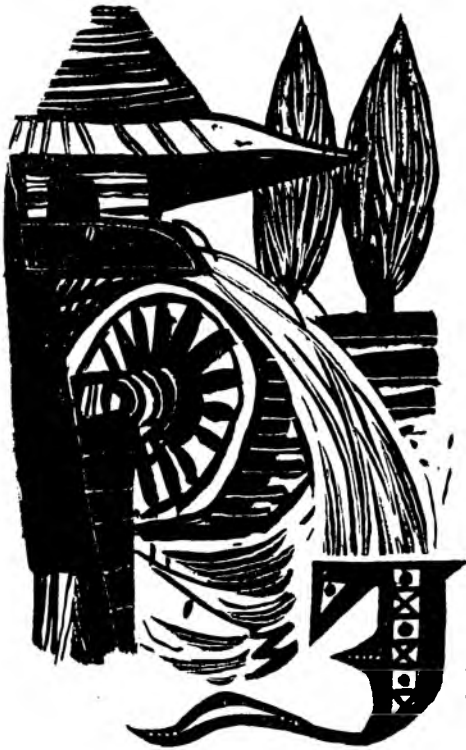
— Ha! Kiedyć tak, to i my go nie wyzywajmy, bo oto właśnie słońko zaszło, a mamy jeszcze drogi kawał! — zawołałem powstając.

— Prawda, panie! Jeszcze dobra godzina — odpowiedział powstając również Kaszub.

Pochwyciwszy więc znów nasze kije opuściliśmy jezioro przekłete.

Czy dzisiaj, gdybym się znalazł w owej okolicy, zdołałbym je odzukać na nowo? Czybym się dopytywał jeszcze zasłyszanego wtedy podania? Nie wiem. Pomimo uparcie zachowawczej przyrody ludu wyznać trzeba, że wiek nasz posiada dziwną własność zacierania dawnych zwyczajów i podań, tak iż w przeciągu lat kilkudziesięciu ginie dzisiaj bez śladu niejedno, co się utrzymać zdołało przez wieki. Tym pilniej więc każdy, komu jakikolwiek kłós z tej niwy los do rąk poda, powinien by o jego zachowanie się starać — chociażby kłós ten był tak drobnym i mało znaczącym, jak powieść, którą tu spisałem.

ROMAN ZMORSKI



1

EST KOŁO Nieszawy parów. Do Wisły samej nachyla się gardłem otwartym. Przy wejściu do niego stoją dwie bliźniacze topole, równe, proste i czułe na każdy powiew, niczym widełki stroikowe*. Nad wądołem i całą okolicą nadwiślańską, Przypustem zwaną, panuje poczerniały drewniany kościółek, o którym jak o większości drewnianych budynków w Polsce mówią, że go z modrzewia stawiano.

W parowie stary, zapadły młyn zgrzyta omszałym kołem. Nie widać go spośród krzewów i drzew. Jakaś wypruta z ziemi żyła wody leniwie napełnia koryta, staroświecko w kłodach dłubane. Strumień jakby nieruchomiał w pociemniałym drewnie. Trwa płynnie i zdaje się toczyć na młyńskie koło samą przezroczystością i chłód źródła. W pewnym nie do zauważenia miejscu owa przejrzysta, bezcielesna płynność materializuje się, staje się na nowo wodą, która bystro czatuje przy spustach i mocno podsadza się pod stawidła. Nie widać jej przez gąszcza, słyszać tylko, jak gdzieś miarowo spływa, dzieli się na głosy i znowu łączy w unisono*. Nagle jakieś strugi przyśpieszą, inne gdzieś zabawią przydługo i stąd potem niespodziane fugi*, ciekli, przecieki.

I znowu cisza osnuta na równych rytmach dalekiej wody.

W parowie leży ogromny głaz narzutowy. Przypomina mi on opowieść, starszą od mego nadwiślańskiego dzieciństwa. Może tak dawną jak woda, która tutaj od wieków szepcze do snu szypszynie* i miodownikom po zboczach rosnącym.

2

Zawsze, jak tylko ludzie pamięcią sięgają, mówiono, że pod głazem w parowie spoczywa ukryty skarb. Powiadano, że stanie się on własnością tego, kto w ciemną, burzliwą noc zdoła odwalić kamień. Ludzi marzących o pękatym garnku pełnym czerwonych dukatów było niemało. Po obejrzeniu jednak głazu tracili ochotę i wyzbywali się grzesznej chciwości.

Wreszcie zjawił się w tych stronach nieznany człowiek, który bary miał szerokie i nie bał się ni nocy, ni licha. Poszedł raz do parowu, wybrał się znów tam kiedyś i wrócił z niczym.

Rosło ogólne podniecenie, a tymczasem przybłąda milczał jak zakłęty. Dopiero gdy ktoś napomknął powątpiewająco o jego sile, odburknął, że widocznie pora nie była odpowiednia.

Nastała na koniec noc, jakich tutaj nad Wisłą zaledwie parę starzy ludzie pamiętali. Gdzieś daleko, na drugim brzegu, straszyla łuna pożaru. Rzeka rzucała się jak opętana. Wściekła szaruga spędziła z nocnego połowu rybaków. Niektórym porwało sieci, a dwu nadto odważnych pod kępą, na wirze, o mały włos z łódki nie wypadło i nie poszło zobaczyć, jak raki zimują. Rankiem nie doliczono się jednego bata* i kilku sadzów* z rybami, przymocowanych łańcuchami do pali. U wejścia do parowu leżała strzaskana jedna z dorodnych bliźniaczych topoli.

Na skutek tych wydarzeń, które przez kilka dni zaprzętały rybacką miejscinę, stracono z oczu przybysza z obcych stron. Kiedy się znów pokazał, nie był podobny do dawnego zucha. Skurczył się, oczy miał zapadłe i niespokojnie błyszczące. Niechętnie opowiadał, co się z nim działo.

Jak tylko noc szumem i gwizdem przykryła ziemię, zapuścił się w gęstwinę. Wicher hulał w parowie, aż się topole kładły. Kotłowało się jak w pustym, głuchym dzbanie. Powietrze tłukło się, łamało i waliło na dno. W pewnym momencie dostał w głowę bryłą wichury (tak się osobliwie wyraził) i padł przerażony. W jaskrawym świetle błyskawic widział, jak koło jego twarzy śmiesznie trzęsły się najdrobniejsze trawki. To było coś dziwnego, jak się te maleństwa bały!

To go tak rozczuliło, a zarazem rozbawiło, że zerwał się i ruszył naprzód. Wspinał się powoli piaszczystą ścieżką ku kamieniowi. Piasek, po wierzchu tylko zmoczony, obsuwał się pod stopami. Szedł z trudem. Zastępowały mu drogę rozlatane na wicherze krzaki. Jakies kolczaki, których za dnia nie zauważył, czepiały się jego kolan. Przed nim stała nieprzebyta, ciemna ściana wichury — tak mówił — która idącemu pod górę groziła każdej chwili zwałeniem się na głowę.

Nie pamiętał, jak dobrnął do głazu. I jak się w ogóle to stało. Zaledwie podsadził się barkiem pod kamień i umocował stopy, gdy trząsł piorun jeden i drugi. Nagle światło olśniło dolinę, kładąc pośpiesznie różne odcienie fioletu jedne na drugie. Zawył wicher. Wówczas zobaczył, jak jedna z topoli przy wejściu rosnących skoczyła w górę, zatoczyła się w powietrzu jak pijana i runęła z łoskotem. Dopiero co się właśnie podsadził pod kamień. Chciał się wyprostować. Gdy zaczął się podnosić, nagle wydało mu się, że rośnie jak drzewo. Uczuł, że wstępuje weń cała moc burzy. Tak to potem dziwnie określił. Oparł się ręką o kamień, a ten od razu odwrócił się posłusznie. Wówczas przeniknął go strach aż do kości i uciekł do domu.

Mówiono potem, że pod kamieniem siedziała ogromna żaba o zielonych fosforycznych oczach. Jedni twierdzili, że ropucha zarechotała okropnym śmiechem i rzekła: „Bóg zapłać“. Inni znów byli zdania, że żaba nic nie powiedziała, tylko otworzyła paszczę, a w tej paszczy błysnęła biała hostia. Jak było rzeczywiście, nigdy nie miano się dowiedzieć, ponieważ przybłąda któregoś dnia poszedł sobie w świat. Zniknął, podobnie jak się pojawił.

Taka jest historia kamienia, co spoczywa w parowie koło Nie-
szawy, cichy od mchów i senny od miodowników pachnących na
zboczach.

Musiąło to być dawno, bo mchy zdążyły już szczelnie utkać le-
gowisko granitowego olbrzyma, z którego poruszyła go próżność
i chciwość człowieka. Musiåło to być bardzo dawno, kiedy ludzie
bywali silniejsi i kiedy skarbów więcej było na świecie. Dukaty czer-
wone wówczas pod lada głazem osobliwszym leżały i tylko na śmiał-
ków zdawały się czekać.

WACŁAW KUBACKI

TORUŃSKIE PIERNIKI



AWNE to były dzieje, bo już cztery wieki minęły od owych czasów, gdy w pięknym mieście Toruniu, słynącym już wtedy z wypieku smakowitych ciast, mieszkał mistrz piekarski Bartłomiej. Szerokiej sławy zażywał — ciasta wszelkie przez niego wypiekane za najlepsze uchodziły nie tylko w Toruniu, ale i nawet w innych miastach. Co prawda ludzie szeptali, że to Bartłomiejowy czeladnik, młody, śmigły jak sosna Bogumił, takie przewyborne ciasta piec potrafi i że od samego mistrza jest w sztuce bieglejszy, ale sam Bogumił, o sławę nic nie dbając, tym się nie chwalił. Dobry to był chłopiec — do roboty chętny i w obejściu układny i zakochany do tego co niemiara w Bartłomiejowej jedynaczce — pięknej Rózi. Była ta Rózia nad podziw urodziwa — włosy miała barwy miodu, a oczy błękitne jak niebo w dzień pogodny.

Nic więc dziwnego, że Bogumił z tego zadurzenia w Rózi jak urzeczony chodził, zwłaszcza że majster Bartłomiej i jego małżonka, pulchna niczym pszenna bułka imć pani Marcjanna, wcale jeszcze swego zezwolenia na zrękowiny nie dali. A nie dali dlatego, że się za bogatszym mężem dla córki rozglądali. Widział im się zwłaszcza niezmiernie majątny wdowiec, pasamonik*, mistrz Pankracy. Tyle

tylko, że sama panna nie bardzo Pankracemu sprzyjała, bo był stary i gruby, a Bogumił był urodny i wesoły jak ptak. Za to znów był biedny, a Pankracy w dostatek wszelki opływał i darami Rózię obсыpywał. A to naszyjniki z bursztynu i srebra przynosił, a to korale niezwykle od zamorskich kupców kupione, a to wstążki! A raz nawet podarował jej rękawiczki, perełkami na wierzchu wyszywane. Takie, jakie tylko wielkie damy nosiły. Zaś Bogumił? — ledwie mógł słodkie ciastko upiec dla swej ukochanej albo przynieść kwiatki zerwane na łące czy w lesie.

Któregoś dnia, gdy szedł samotnie, daleko za miastem, leśną drogą, spostrzegł nad małym jeziorkiem kępkę niezapominajek. Pomyślał, że są błękitne jak oczy jego ukochanej, i pochylił się nad wodą. I wtedy spostrzegł, że w wodzie pływa, przebierając z trudem łapkami, niezwykle duża pszczoła. Skrzydełka miała zmoczone i bliska już była utonięcia, gdy Bogumił litościwie podsunął jej listek i troskliwie wydobyl z wody.

W chwilę potem słońce osuszyło jej skrzydełka i pszczoła odleciała z wesołym brzęczeniem.

Wtem zdało się Bogumiłowi, że słyszy tuż za sobą jakiś cichy głos — ni to świergot ptaka, ni to brząkanie struny. Obejrzał się więc i aż usta otworzył ze zdumienia — bo oto na kołyszącej się gałązce kaliny, niczym na tronie, siedziała maleńka osóбка w złocistej koronie. I Bogumił już od razu wiedział, bo nie darmo bajek się w dzieciństwie od starej babki nasłuchał, że nie jest to nikt inny, jak tylko sama królowa krasnoludków.

Przyklęknął więc dwornie przed tym królewskim majestatem na jedno kolano, a królowa głosem, co srebrzysty dźwięk sygnaturki przypominał, rzekła:

— Dzięki ci, zacny czeladniku Bogumile, żeś moją ukochaną pszczołę z topieli uratował. Jest to matka pszczelego roju, który miód dla nas w leśnych barciach zbiera. Poddani moi bowiem żywią się tylko miodem złocistym. Tak więc oddałeś nam wielką przysługę, że zaś zwykłam nagradzać za przysługi, przeto słuchaj, co ci powiem. Słuchaj uważnie, bo wielką tajemnicę ci zwierzę. Przetrwa ona przez

wiele wieków i zawsze nieść będzie radość i uśmiech. Otóż pomnij — że jeśli oprócz zagranicznych korzeni i przypraw dodasz do pierników, które wypiekasz, jeszcze i wonnego, słodkiego miodu, smak ich będzie niezrównany. Zaś pszczoły, jako żeś dobry był dla ich matki i krzywdy im nie czynisz — zawsze cię swoim miodem obdarzą. I pomnij też i to, że jeśli rady mej postuchasz — szczęście już cię nie opuści.

Pochylił się czeladnik Bogumił w pokłonie, dziękując królowej krasnoludków, a kiedy podniósł głowę — już jej nie było, tylko gałązka kaliny chwiała się jeszcze, jakby ptak się z niej przed chwilą poderwał.

Przetarł czeladnik Bogumił oczy, bo nie był pewien, czy mu się sen taki dziwny w tym pachnącym lesie wyśnił, czy też naprawdę rzecz tak dziwna się zdarzyła, i tak się tym wszystkim zasmował, że już nawet niezapominajek nie zrywał, tylko do miasta spieszenie wrócił.

A w mieście zastał ruch i gwar niezwykły na ulicach. Patrzy czeladnik Bogumił, że mieszczanie gromadkami stoją i uradzają nad czymś.

Podszedł więc do znajomków i pyta:

— Co się tu dzieje, że taki ruch w całym mieście?

— Jakże to — mówią — nowiny nie wiesz najważniejszej, że jutro Król Jegomość, miłościwie całej polskiej ziemi panujący, do Torunia przybywa? I że się ludowi toruńskiemu w całym majestacie ukaże? I że przybędzie ze swoją królewską małżonką i królewietami?

— To dopiero! — zakrzyknął zdumiony czeladnik Bogumił i co tchu popędził do swojego mistrza.

A w kamienicy Bartłomieja już aż wrzało. Mistrz sam się przydzieży krzątał i ciasto zaczynał. Ledwie zaś Bogumiła dojrzał, zakrzyknął srogo:

— A gdzieżeś to bywał?! Nie wiesz, że wszyscy mistrzowie piekarscy z całego Torunia co najlepsze ciasta i pierniki szykują, aby króla godnie podejmować? A z czymże ja się pokażę? Ciasto jeszcze nie zaczynione, a ty nie wiadomo gdzie się wałaszasz! Na wstyd i po-

hańbienie mnie narażasz. Wypędzę! Jak mi Bóg miły! Wypędzę, jeśli mi ciast i pierników na porę nie upieczesz!

Pokłonił się w milczeniu czeladnik Bogumił i zaraz ku dzieżom poskoczył, aby ciasto na pierniki zacząć. Już mąkę przez sito przesiał, już korzenne przyprawy naszykował, gdy naraz przypomniał sobie o swojej leśnej przygodzie. I serce mu zabiło — a gdyby tak spróbować z onym miodem złocistym ciasto wypiec? Co by to było?

Hej, hej! Co by to było, gdyby się tak mistrz Bartłomiej dowiedział, że jego czeladnik w nocy przy dzieżach się krzątając ciasto dziwnie przyprawia miodem złocistym, a potem w formy co najpiękniejsze je nakłada i do pieca wsuwa. Jedna forma wyźłobiona była w kształcie rycerza, druga w kształcie serca zdobionego kwiatami, jeszcze inna jelenia przedstawia, a jeszcze inna damę strojną.

Gdy zaś błękitny poranek nad Toruniem zawisnął — upieczone już były Bogumiłowe pierniki.

Potem błękitność poranku zmieniła się w złocistość dnia i niczym drugie słońce zabłysła królewska korona, gdy król z królową i królewicami na rynku zasiadł, górując nad ludem i łaskawie poczęstunek toruńskiego ludu przyjmował. Ale dopiero gdy mistrz Bartłomiej na srebrzystej tacy królewicom pierniki owe z miodem przez Bogumiła upieczone podał — rozległy się okrzyki pochwalne. Jako żywo nic jeszcze tak małym królewnom nie smakowało, jak ciemne, wonne ciasto w dziwnych formach wypieczone.

I nawet sam Król Jegomość raczył spróbować i pochwalić, a potem spytał:

— Któryż to mistrz te pyszności wypiekał?

Pokłonił się Bartłomiej i na Bogumiła wskazał.

— Tenże to mój czeladnik — rzekł sprawiedliwie.

Pokręcił król jeszcze głową nad oną przedziwną smakowitością piernika i zaraz pisarza koronnego zawołał, aby przywilej królewski nadany dla miasta Torunia zapisał. Według zaś tego przywileju mieszkańcy miasta Torunia otrzymali po wszystkie czasy prawo wypiekania pierników miodowych i wysyłania ich do wszystkich innych miast, a zwłaszcza na jarmarki do Królewca.

Działo się to zaś wszystko w Roku Pańskim 1557 i aż po dzisiejszy dzień mistrzowie piekarscy w Toruniu z przywileju tego korzystają i według Bogumiłowego przepisu po dziś dzień pierniki miodowe w przepięknych formach wypiekają.

Trzeba by tylko jeszcze na zakończenie rzec, co dalej z czeladnikiem Bogumiłem się działo, ale po cóż opowiadać, kiedy od razu wiadomo było, że wobec królewskiej łaski już nikt nie przeszkodzi mu w ożenku z piękną Rózią i że w szczęśliwości i dostatku będzie żył potem przez długie lata.

MARIA KRÜGER



AWNYMI czasy, jeszcze nim na ziemiach pomorskich panował Sambor i Mestwin, chodziły po ziemi kaszubskiej stolemy. Były to olbrzymy obdarzone niezwykłą siłą. Nic się ich sile oprzeć nie mogło: ani morze, ani bór, a cóż dopiero ludzie. Stołem, gdy zechciał, mógł wyrywać w lesie drzewa z korzeniami, jakby to były polne kwiatuszki, mógł przenosić góry z miejsca na miejsce, jak worki kartofli, i jednym uderzeniem pięści burzyć domostwa ludzkie i kościoły. Gdy uderzył człowieka, człowiek padał na ziemię jak mucha.

Byli tak ogromnego wzrostu, że mogli przejść zatokę w bród.

Stolemowie trzymali się brzegu morskiego i przechadzali wieczorem po piasku, podpierając na kijach, którymi były stare, mocne dęby. Tam gdzie stąpnęli potężną stopą, powstawały wyrwy i dziury. Gdy mieli pragnienie, pili wodę z rzeki, a wtedy rzeka wysychała w łożysku.

Ludzie się ich bardzo bali i gdy stołem w wiosce się pojawił, zamykano co prędzej okna i drzwi chałup, ściągano suszące się na palach sieci, aby ich przez psoty nie poplątał, ukrywano wiosła w zarosłach i kto zdążył, ten łódź zakopywał w ziemi. Złe olbrzymy szczególnie na łodziach rybackich były łase. Dużo też widać w wioskach ry-

backich na Helu po dziś dzień takich do połowy zakopanych w ziemię łodzi, które ratowano w ten sposób przed stolemami. Nieraz, gdy przechodzili obok kwitnących sadów, jednym oddechem strząsali z drzew kwiaty.

Gdy porozumiewali się między sobą, można było przy „sztylu”, czyli ciszy morskiej, słyszeć ich głosy o parę mil, a wówczas powstawał taki szum, iż ludzie w pobliżu mieszkający nie rozumieli własnych słów.

Stolemy unikały ludzi i w rzadkich tylko okolicznościach zbliżały się do ludzkich siedzib.

Natomiast żyły w wielkiej przyjaźni ze smętkami* i w porozumieniu z nimi niejedną wyrządzały ludziom psotę.

Mówią, że za podszeptem stolema, który jest jeszcze mędrszy od diabła, stała się raz pod Kamieńcem następująca przygoda:

Pewien pasterz, który codziennie gnał owce na pastwisko, znajdujące się po drugiej stronie szczecińskiego jeziora, a więc okrążyć je musiał i nakładać ogromny szmat drogi, poszedł do diabła i prosił, by mu dał na to radę.

Diabeł przyrzekł pasterzowi, że wybuduje tamę, po której będzie mógł bezpiecznie przeganiać swe owce na drugi brzeg jeziora, ale za to żądał, by mu pasterz zapisał swoją duszę.

Pasterz się na to zgodził, a diabeł, przy pomocy stolemów, zaraz się wziął do roboty i jał znosić kamienie. Wszystkie stolemy z całej okolicy mu w tym pomagały, dźwigając po kilkanaście wielkich głazów naraz w garści, jakby to były drobne orzeszki.

Ale gdy nad ranem tama już miała być gotowa i brakowało w niej tylko jednego, wielkiego kamienia, pasterz przeląkł się, że będzie musiał oddać duszę diabłu. Klasnął więc w ręce, a wtedy jak na komendę wszystkie kury we wsi zaczęły pisać i ludzie zbudzili się.

Spłoszyły się stolemy i rozbiegły na wszystkie strony, łamiąc z trzaskiem po drodze gałęzie, przewracając drzewa i krusząc mosty.

A stolem, który dźwigał ostatni wielki głaz, upuścił go w miejscu, gdzie leży po dziś dzień, i od tego kamienia wieś przybrała nazwę Kamieniec.

Tama zaś zapadła się w szczecińskim jeziorze tak głęboko, że tylko bardzo pogodnego dnia można ją widzieć w czystej wodzie.

W tej oto wiosce żyła w owych czasach piękna córka wójta, którą sobie jeden stolem upodobał i pragnął ją pojąć za żonę. Obiecywał, że zagarnie dla niej z morza najpiękniejsze okręty, pełne zagranicznego towaru, i uczyni ją wielką panią.

Włóczył się koło wójtowej zagrody nieraz pod wieczór i wczesnym rankiem, zaglądał przez okna do wnętrza domu, ale bał się wejść, bo mógłby swoją potężną osobą dom wójta rozsadzić.

Zdobył się jednak raz na odwagę i usiłując głos swój uczynić tak cichym, by go się dziewczyna nie przelęknęła, jął prosić i nakłaniać, by wyszła ku niemu o zmierzchu nad morze.

Ale dziewczyna, zobaczywszy stolema wspartego na dębie, zakryła oczy i patrzeć na niego nie chciała.

— Prędzej twoją nie będę, aż nie przeniesiesz lasu z tego pagórka za rzekę — powiedziała ot tak, aby się od niego odczepić.

— Dobrze! — huknął stolem.

A ludzie usłyszawszy jego głos myśleli, że to się grzmot odezwał za borem.

Pracował przez całą noc w pocie czoła, przenosząc przez rzekę sosnę po sośnie, buk po buku, brzozę po brzozie. Woda chlupotała pod jego stopami, a ludzie, budząc się ze snu, myśleli, że wylew rzeki się zbliża.

O świcie cały las był przeniesiony, razem z wrzosami i z paprocią, a nawet z krzaczkami czarnych jagód. Wtedy stolem zapukał do okna dziewczyny.

Naturalnie, choć starał się zastukać najdelikatniej, stłukł zaraz szybę i dziewczyna, zła na stolema, nie chciała z nim nawet gadać.

— Uff! Jakaś ty niedobra! — wyjąknął stolem sapiąc ciężko ze zmęczenia.

Oddech jego wpadł do izby jak wicher, tak iż się w niej zakotłowało, że ścian pospadały na ziemię obrazki i przewróciła się kołyska z najmłodszym synkiem wójta.

— Idź precz! — zawołała rozgniewana dziewczyna. — A nie



przychodź prędej, aż nie zniesiesz w jedną noc całej tej góry, która kościół zasłania.

I zatknęła okno pierzyną, bo oddech olbrzyma wciskał się jak wichur do chaty.

Stolem zabrał się zaraz do pracy i w pocie czoła, cierpliwie, grudka po grudce, kamień po kamieniu z góry znosił i wrzucał do morza.

Tak się przy tej pracy zasapał, że z oddechu jego powstał wielki, suchy wichur, morze się wzdęło i rybacy, którzy wypłynęli na połów, myśleli, że to ich ostatnia chwila się zbliża i że w morzu potoną razem z łodziami i sieciami, które są całym ich dobytkiem.

Ale nad ranem uciszyła się zawieja i uspokoiły spienione fale Bałtyku, a stolem na palcach, potem zlany, przybliżył się do checzy* wójtowej.

— Zniosłem już górę dla ciebie. Spójrz, już śladu z niej nie ma i usypałem ci ścieżkę, którą pójdiesz wprost do kościoła. Teraz musisz już moją zostać.

I patrzył na nią błagalnie.

Ale dziewczyna odwróciła się od stolema ze strachem i powiedziała:

— Nie zostanę twoją, bo przez ciebie omal że moi bracia nie utonęli dziś na morzu. A zresztą... kto wie? — uśmiechnęła się chytrze, bo się chciała dalej ze stolema naigrawać. — Będę twoją, jeśli pogasisz tej nocy wszystkie gwiazdy. Słyszysz, wszystkie.

Stolem westchnął, a od tego westchnienia pokładły się na ziemię kłosa dojrzałego żyta wokoło chaty i połamały na młodych jabłonkach gałęzie w sadzie. Ze spuszczoną głową oddalił się do swej kryjówki w lesie i tam czekał, aż wieczór zapadnie.

Gdy na niebie błysły pierwsze gwiazdy i księżyc wzbił się nad drzewa boru, stolem wyszedł ze swej kryjówki. Wspiąwszy się na palcach, jął z całej siły dmuchać na gwiazdy tak, jak się dmucha na świece, które w wieczór wigilijny palą się na choince. Ale choć za każdym dmuchnięciem gasił parę gwiazd, zostawała ich moc nieprzeliczona i do rana nie można było myśleć o ukończeniu roboty. Zostawił ją sobie tedy stolem na noc następną. I znowu powtórzyło się to samo. Stolem dmuchał na gwiazdy, dmuchał tak siarczyście, że

aż poczerwieniał od wysiłku i oczy na wierzch mu wyszły, a gwiazd jak nie ubywa, tak nie ubywa.

Czeka uparta dziewczyna w chacie na powrót stolema i obmyśla nowe dla niego próby, a stolema jak nie widać, tak nie widać.

Wreszcie wziął się stołem na inny sposób. Widząc, że gwiazd po jednej nie pogasi, napędził olbrzymią łapą zza morza chmur i przysłonił nimi jak czarną płachtą całe niebo.

Na świecie zrobiło się naraz ciemno i zerwała się burza, jakiej najstarsi ludzie we wsi nie pamiętali. Bałwany z wściekłością biły o brzeg, kładły się drzewa w lesie, błyskawice rozświetlały raz po raz ciemności, a pioruny biły jeden po drugim.

Nawet stołem ukrył się ze strachu w swej norze, a wszakże uczucie strachu było stołomom całkiem obce.

Była to chyba najstraszniejsza burza, jaka nawiedziła wybrzeże, stokroć sroższa od poprzedniej, gdy stołem górę znosił.

A właśnie tej nocy wszyscy rybacy z całej wioski wypłynęli w swych łodziach na połów łososi. Było to doroczne rybackie święto. Połów zaczynał się zazwyczaj wczesną wiosną, a w tym roku wróżył duże powodzenie.

Dzień był pogodny i wieczór nic jeszcze złego nie zwiastował.

Chórem tedy jęli śpiewać w swych łodziach wesołą piosenkę żeglarską:

*Oj, żeglarzu, żeglujże
Całą nockę przez morze,
Hej, hej, la, la, la,
Całą nockę przez morze.
Jakże ja mam żeglować,
Gdy nadchodzi ciemna noc?...*

Wtem w nocy zerwał się straszny wichur i nagle zrobiło się tak ciemno, jakby kto ziemię okrył czarnym sukniem. Morze wzduło się i zahuczało.

Nie wiedzieli żeglarze, że to była sprawka stolema, zakochanego w wójtównie. Padli na kolana na dnie łodzi i jęli się wszyscy modlić

do Boga, bo poczuli zbliżającą się śmierć. O świcie burza ucichła, ale połowa rybaków znalazła śmierć w falach morza.

Drugiego lata opowiadali rybacy, że widzieli z daleka stolema, błakającego się na wybrzeżu i załamującego ręce. Kości mu w stawach tak trzeszczały, jakby się łamały wysokie maszty okrętów. Błądził tam i sam, obchodząc z daleka chatę wójtową i nie śmiejąc się do niej przybliżyć.

Inne stolemy wyniosły się dawno do zamorskich krajów i ludzie przestali się już bać, że padną ofiarą ich psot.

Stolem, zakochany w wójtównie, trzymał się wioski rybackiej najdłużej. Bo ciągle jeszcze żywił nadzieję w swym sercu.

Koniec jego był bardzo smutny.

Miał on brata mieszkającego po drugiej stronie „wiku”^{**} i żył z nim przez długie lata w jak najlepszej zgodzie. Korzystał z nim nawet wspólnie z różnych przedmiotów gospodarskich.

Pewnego dnia potrzebował stolem siekiery i zawołał brata z mierzei, by mu ją przez zatokę przerzucił. Ten jednak tak był zajęty robotą, że nie usłyszał prośby brata. Rozgniewany stolem dźwignął głaz i cisnął nim w kierunku brata. Ponieważ jednak ze złości nie chwycił go dobrze, głaz wymknął mu się z ręki i wpadł do zatoki, gdzie leży po dziś dzień. Rękę stolema znać na nim wyraźnie. Gdy stolem z mierzei zmiarkował, o co chodzi, przerzucił siekiere z całej siły na drugi brzeg, ale ugodził nią śmiertelnie brata.

Krew zranionego zbroczyła wielki obszar nadbrzeżny, tak iż nie wiadomo było długo, gdzie czerwieniła się borówki, a gdzie krew olbrzyma.

Skoro stolem z mierzei przekonał się, że o śmierć przyprawił brata, rzucił się z rozpacz w głębiny wodne. W ten sposób zginęły ostatnie stolemy włączące się na wybrzeżu morskim i śladu po nich nawet nie zostało.

ZUZANNA RABSKA

WĘGORZ NA ŁAŃCUCHU



D BARDZO dawnych czasów siwe fale Bałtyku uderzają o brzeg i od bardzo dawnych czasów przybijają do tego brzegu statki i okręty. Wiele cudzoziemskich statków zawijało do słynnego na polskim wybrzeżu portu w Pucku. Zagraniczni żeglarze zostawiali w porcie puckim swój zamorski ładunek, a w zamian zabierali bryły złocistego bursztynu i zboże, i ryby wędzone, przedziwnie smaczne i pożywne. A bogactwo tych ryb było w Zatoce Puckiej przeogromne. Zwłaszcza łososi i węgorzy było tak wiele, że łodzie rybackie zawsze wracały z połowów pełne po brzegi.

Z tego rybnego bogactwa i z handlu z zamorskimi kupcami rosła z dnia na dzień zamożność Pucka. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy Pucka ogromnie pysznili się swoim miastem. Jedno tylko mieli zmartwienie — że nie posiada ono herbu. Jakże to być może? Zwołali więc kiedyś radę i z burmistrzem na czele uradzili, że muszą postarać się o herb dla Pucka.

Ale jaki to ma być herb? Ba! Wiadomo było jedno — że nie byle jaki! Wspaniały! Jak przystało dla tak godnego miasta.

Nic nie mogli jednak dość pięknego wymyślić. Wszystko wydawało się im nie dość dobre. Aż pewnego dnia, gdy tak wielce zafra-

sowani radzili nad owym herbem, wpadł do sali ratuszowej pacholek miejski z wołaniem, że do brzegu przybił właśnie statek z dalekich krajów. A na statku znajduje się zwierzę niezwykle. Takiego nikt jeszcze nigdy w Pucku nie widział.

Porwali się szlachetni rajcowie i z burmistrzem na czele pobiegli do portu. Rację miał pacholek. Na pokładzie zagranicznego statku, w mocnej klatce, spoczywał ów zwierz nieznany. Wyglądał groźnie i pięknie. Miał ogromną, płową grzywę, a ryk jego brzmiał potężnie jak grzmot.

— Jakże zowie się to zwierzę? — dopytywali się pucczanie.

— Zowie się lew i jest królem zwierząt — odpowiadali zamorscy kupcy.

— Zowie się lew i jest królem zwierząt! — powtórzyli z zachwytem rajcowie. Spojrzeli na siebie i natychmiast orzekli: „Oto zwierzę godne umieszczenia w herbie naszego miasta“.

Ale zaledwie wymówili te słowa, stała się rzecz najdziwniejsza na świecie. Z przybrzeżnych wód wyłonił się ogromny łosoś i odezwał się ludzkim głosem:

— Hola! Mości rajcowie! A cóż to, ja jestem coś gorszego od lwa? Jest on co prawda piękny i groźny, ale czyż to nie łososiom zawdzięczacie swój dobrobyt i sławę? Nie umieścicie mnie w herbie swego miasta?

Zafrasowali się pucczanie. Co robić? Szkoda wyrzec się pięknego lwa, ale łososią też nie można rozgniewać. I rada w radę postanowili tak: Niech lew i łosoś razem będą w herbie Pucka.

Nie przebrzmiały jeszcze ich słowa, gdy spośród fal, uderzających o brzeg, wypłynął węgorz.

— Hej! Mości rajcowie! — zawołał z oburzeniem. — Jak to? Zapomnieliście o mnie? A cóż ja jestem gorszego od łososi? Przecież łowicie węgorzy tyle samo, co i łososi? I ja chcę być w waszym herbie.

— Już nie możemy cię umieścić, bo byłoby was za dużo — tłumaczą się zakłopotani rajcowie. — Nie upieraj się, kochany węgorzu!

— To tak? — oburzył się węgorz. — To taka wdzięczność? Wobec tego razem z całą swą rodziną popłynę gdzie indziej i nigdy już do was nie zawitam!

Złękli się rajcowie tej groźby. Bo cóż by poczęli bez węgorzy? Czym by się żywili i czym by handlowali? I z obawy, aby im obrażony węgorz nie uciekł, przykuli go łańcuchem do puckiego brzegu.

Został więc tam już na zawsze z całą swoją rodziną. A w herbie Pucka widnieje lew i łosoś.

MARIA KRÜGER

KRÓLOWA BAŁTYKU



GŁĘBINIE wód Bałtyku wznosił się za dawnych czasów pałac królowej Juraty. Ściany tego pałacu były z czystego bursztynu, progi ze złota, dach z łuski rybiej, a okna z diamentów. Razu jednego rozesłała królowa wszystkie szczupaki z listami do najznakomitszych bogiń Jury* prosząc do siebie na gody i wspólną poradę. Nadszedł dzień naznaczony i zaproszone boginie przybyły: wtenczas królowa, otoczona przydwornym orszakiem, ukazała się w sali, uprzejmym ukłonem powitała gości i zasiadłszy na bursztynowym tronie tak mówić zaczęła:

— Miłe przyjaciółki i towarzyszki moje! Wiecie to dobrze, iż wszechwładny mój ojciec Praamżimas, pan nieba, ziemi i morza, mojej opiece i władzy poruczył te wody i wszystkich mieszkańców w nich będących; same byłyście świadkami moich łagodnych i szczęśliwych rządów. Żaden najmniejszy robaczek, żadna najdrobniejsza rybka nie miały przyczyny skarżyć się i narzekać, wszyscy żyli w pokoju i zgodzie; nikt się na życie drugiego targnąć nie odważył. Teraz zaś jeden nikczemny rybak, Castitis, znad brzegów moich posiadłości, tam gdzie rzeka Święta hołd memu królestwu płaci, jeden nikczemny śmiertelnik ośmiela się naruszać spokojność niewinnych moich poddanych, imać w sieci i na śmierć skazywać: gdy ja, ja sama, do włas-

nego stołu ani jednej nie śmiem ułowić rybki — fląderki nawet, które tak lubię, po jednej połowie zjadam, a drugą nazad do wody wpuszczam. Takiej śmiałości nie można puścić bezkarnie: oto gotowe czekają nas łodzie, płynimy nad brzegi Świąty, bo właśnie o tej porze zwykł on zarzucać sieci. Naszymi płąsy i śpiewy zwabimy go na dno morza, udusimy w uściskach i oczy żwirem zasypiem.

Rzekła i natychmiast sto łodzi bursztynowych pożeglowało dokonać okrutnej zemsty.

Płyną, słońce pogodnie świeci; morze ciche — a echo już roznosi po wybrzeżu słowa ich pieśni:

Biada ci, rybaku młody!

Stanąwszy, boginie blisko ujścia rzeki postrzegły rybaka, jak siedząc na brzegu rozwijał sieci. Zajęty pracą, zrazu nic nie uważał, lecz gdy go urocze doszły śpiewy, zwrócił wzrok na wodę i ujrzał sto łodzi bursztynowych i sto precudnych dziewic, a wszystkim przewodniczyła z koroną na głowie, z bursztynowym berłem w ręku królowa morza. Dźwięk coraz miłszy się rozlega; otaczają go morskie panny i swymi wdzięki do siebie wabić poczną:

*O rybaku piękny, młody,
Porzuć pracę, chodź do łodzi:
U nas wieczne tany, gody,
Nasz śpiew troskę twą osłodzi.
My obdarzym boskim stanem,
Skoro z nami mieszkać będziesz:
Śród nas będziesz morza panem
I naszym kochankiem będziesz.*

Słyszy to rybak i ujęty zdradliwą ponętą już chce się rzucić w objęcia bogini, gdy królowa skinieniem berła każe się uciszyć towarzyszkom i tak do zdumionego rzecze:

— Stój, niebaczny! Zbrodnia twa wielka i godna kary, jednak ci przebaczę pod jednym warunkiem. Podobała mi się twoja uroda;

kochaj mię, a będziesz szczęśliwy. Lecz jeślibyś wzgardził miłością Juraty, wtedy zaśpiewam ci taką piosenkę, iż wnet będziesz w mej mocy, a za dotknięciem mego berła zginiesz na wieki.

Młodzieniec wyznał i zaprzysiął jej wieczną miłość.

Królowa na to:

— Teraz już jesteś moim: nie zbliżaj się do nas, bobyś zginął. Za to co wieczór będę przypływać do ciebie i na tej górze, która odtąd od twego imienia zwać się będzie Castity, zawsze zobaczę się z tobą.

Po czym zniknęła królowa z całym orszakiem.

Rok już minął, jak co wieczora królowa Jurata przyjeżdżała na brzeg i na górze widywała się z kochankiem; lecz Perkun*, dowiedziawszy się o tej schadzce, rozgniewał się mocno, że bogini poważyła się ukochać śmiertelnika. A gdy jednego razu wróciła królowa do swego pałacu, spuścił z nieba piorun, który rozprószywszy morskie bałwany, uderzył w mieszkanie królowej, samą zabił i bursztynowy pałac na drobne roztrzaskał części. Rybaka zaś Praamżimas przykuł na dnie morza do skały i położył przed nim trupa jego kochanki, na którego wiecznie patrząc, przymuszony jest opłakiwać swoje nieszczęście. Dlatego to teraz, gdy wichur morski zaburzy fale, słysząc jęk z daleka — to jęk biednego rybaka; a woda wyrzuca kawałki bursztynu — to są szczątki pałacu królowej Bałtyku.

LUCJAN SIEMIŃSKI

LEGENDY ROZEWSKIE

Na przylądku Rozewie, najdalej na północ wysuniętym skrawku naszej ziemi, o który z hukiem rozbijają się pieniste fale morza, stoi stara wieża. Latarnik Władysław co wieczora zapala na jej szczycie światło, wskazujące drogę okrętom i kutrom płynącym po Bałtyku. On to opowiedział mi te legendy, które usłyszał przed laty od ostatniego z Kisterów — latarników gospodarzących tutaj od czasów bodaj że króla Wazy.

Posłuchajcie:



O MĄDRYM RYBAKU I GŁUPIM DIABLE

AWNYMI czasy Bałtyk, tu przy Rozewskim Haku, był spokojny i gładki jak lustro. W toniach jego stawiał sieci Fabisz, pierwszy z rybaków, który zawędrował w te pustkowia i osiedlił się przy Lisim Jarze. Ludzi było wtenczas na kaszubskim brzegu bardzo mało, toteż czart chodził koło jego checzy bezustannie i w najrozmaitszy sposób kusił rybaka, aby sprzedał mu swoją duszę. Kaszuba odpędzał go, na koniec jednak sprzykrzyły mu się te ciągle nalegania.

— Dobrze — rzekł któregoś ranka, spotkawszy biesa przy łodzi na strądzie*. — Zapiszę ci moją duszę, ale najpierw przekonam się o twej mocy.

— Zrobię wszystko, co zechcesz — zapewnił radośnie diabeł.

— Żebyś ty tak utrzymał kotwicę żeglującej łodzi. To by była sztuka!

Napuszył się kusy Purtk.

— To dla mnie będzie fraszka.

Zabrali razem czółno ze strądu i wypłynęli. Kaszuba rozwinął żagiel. Kiedy oddalili się już od kamienistego brzegu, wziął z dna łodzi linę i zwrócił się do rogatego towarzysza żeglugi:

— Przywiążę cię teraz do ramion kotwicy, żebyś prędzej poszedł na dno. Skoro stamtąd moją łódź zatrzymasz, będę twój.

Bies skinął głową na znak zgody. Rybak przywiązał mu ręce do żelaznych zębisk kotwicy, przeżegnał supły i jednym pchnięciem wyrzucił czarta za burtę. Zabułgotała woda, Purtk poszedł na dno jak kamień.

Znalazłszy się tam, począł szarpać linę, by zatrzymać czółno, tak jak to przyobiecał.

„Źle ze mną“ — pomyślał rybak, łódź bowiem mimo wiatru płynęła teraz wolniej, grzęzła w morzu jak w lepkiej smole.

Nie chcąc, by kusy Purtk był górą, mądry Kaszuba przeciął linę i zawrócił do brzegu, rad, że się pozbył natręta.

Rzeczywiście, od tej pory żaden już zły duch nie nagabywał go ani w checzy, ani na strądzie przy suszących się sieciach, ani w czólnie podczas połowu. Ale morze przy Rozewskiej Głowie zmieniło się bardzo.

Ile bowiem razy zrozpaczony bies próbuje zerwać węzły i wydostać się z pułapki, fale poczynają się kotłować, pienią się jak war, a z głębi dochodzi przeraźliwy ryk spętanego diabła, który wścieka się na kaszubską przebiegłość.

KTO PIERWSZY ZAPALIŁ OGIEŃ NA ROZEWIU?



NIEWNE morze przy Rozewskim Przylądku stało się postrachem sterników. Coraz to więcej okrętowych wraków czerniało w pianach pod urwiskami kępy. Coraz to więcej marynarzy padało ofiarą złośliwego diabła, przywiązanego do utopionej kotwicy. Najgroźniejszą zaś pułapką był wielki, granitowy głaz, wynurzający się z kotłowiska fal jak ząb kamienny, nazywany po dziś dzień mianem „Frank“.

Frank — tak się ongiś zwał dobry żeglarz i bogaty kupiec z Kalmaru* — utracił podczas zarazy całą swoją rodzinę z wyjątkiem najmłodszej córki, jasnowłosej Krysty, która odtąd towarzyszyła ojcu we wszystkich żeglugach po Bałtyku.

— Przynosisz mi szczęście, moja córo — mawiał brodaty kupiec. — Nigdy jeszcze tak mi się nie darzyło, jak teraz, kiedy ty jesteś przy mym boku.

Kupował jej piękne klejnoty, kute przez gdańskich złotników, kupował jej sznury złotego bursztynu. W pięknej i strojnej Kryście kochała się cała załoga od chłopca okrętowego aż do sternika. Co wieczora zasłuchiwali się w jej dźwięczny i tęskny śpiew, dochodzący z szyperskiej kajuty:

*Wielka Niedźwiedzico,
ty gwieździstooka,
nie kryj się za chmury,
jeno świeć z wysoka.
Jeno świeć z wysoka
i sprzyjaj w tej drodze
przez morskie kipiele
ojcu i załodze...*

Sprzyjały też Frankowi gwiazdy i wiatry, jakby zakłęte pieśnią jego córki. Mewy siadały na masztach i rejach*, by posłuchać śpiewu jasnowłosej Szwedki. Morświny wynurzały się z wody i ciągnęły orszakiem wokół korabia, a stary Frank gładził siwiejącą brodę i powtarzał wesoło:

— Miłuje cię morze, córko moja. Pókiś ty na pokładzie, nic nam nie grozi.

Za wcześnie się cieszył. Nadeszły bowiem jesienne sztormy. Kusy Purtk znów szarpać się począł w podwodnym więzieniu, rycząc i budząc grzywiaste fale.

Okręty chroniły się w przystaniach, omijały gniewne wody pod Rozewiem, ale szwedzki kupiec, dufny w to, że córka szczęście mu przynosi, puścił się w nową podróż.

— Co mi tam sztormy i wiatry — śmiał się, kiedy gdańszczanie ostrzegali go, by pozostał w porcie. — Co mi tam wszystkie diabły morskie zrobią? Córka moja jest ze mną, a przy niej najgroźniejsza burza mi niestraszna.

I nie zwlekając kazał żeglarzom podnieść kotwicę. Wypłynęli na morze, minęli piaszczysty czub Helu. Okręt pod wydętymi żaglami dążył ku Kołobrzegowi.

Zapadła noc. W kajucie zapalono latarnię, a Frank, pochylony nad mapą, poprosił Krystę, by jak co dzień zaśpiewała mu którąś ze swych pieśni. Posłuszna córka posłuchała ojcowskiej prośby.

Zaczęła nucić:

*Wielka Niedźwiedzico,
okrętników matko,
świeć z mrocznego nieba —
żeglującym statkom.
Świeć z mrocznego nieba,
gwiezdnooka pani,
korab ojca mego
prowadź do przystani.*

Zasłuchał się w piosenkę sternik okrętu. Zadumał się, rozmarzył. Nie spostrzegł, że czarny obłok zakrył gwiazdę przewodnią. Nie spostrzegł, że Bałtyk poczyna podnosić grzbiet, jeżyć pienistą grzywę. Nie spostrzegł grożącego niebezpieczeństwa i zamyślony sterował na oślep przed siebie.

Nagle jęknęły wręgi*. Trzasnęła burta rozdarta granitowym kłębem głazu. Zachybotał okręt, zadarł dziób wysoko w górę i począł tonąć. Woda z szumem wdarła się do ładowni i kajuty, zalała pokład. W ciemności rozległy się przerażone krzyki:

- Giniemy!
- Córo moja, gdzieżeś jest?
- Ojcze, ojcze...
- Ratujcie!

Huk kipieli zagłuszył wołania. Zamknęła się wzburzona toń nad czubkami masztów Frankowego korabia. Na dno poszli okrętnicy. Z całej załogi ocalała jedynie jasnowłosa Krysta, którą fale wyrzuciły na rozewski brzeg.

Dziewczyna wspięła się na urwisko. Z wodorostami w rozplecionych włosach i fałdach wilgotnej sukni poczęła drżącymi rękami zbierać gałęzie i chrust. Ułożyła stos, by ojcu i żeglarzom, jeśli uczepieni szczątków rei i masztu walczą tam w ciemnościach z grzywaczami, wskazać drogę do lądu. Ale nie miała krzesiwa i hubki, aby rozpalić ogień, wołała więc wyciągając białe ramiona ku gniewnemu morzu:

- Ojcze, ojcze!...

Nie doczekała się odpowiedzi. Stary Frank razem ze swymi towarzyszami znalazł już grób na morskim dnie. Ale z checzy przy Lisim Jarze przyszedł, zwabiony nawoływaniem, młody rybak imieniem Fabisz. Zobaczył jasnowłosą, rozszlochaną dziewczynę, pomógł jej podpalić stos. Podszedł do niej, wysłuchał jej opowieści o rozbiściu, spierzchniętą dłonią otarł łzy toczące się z jej oczu.

— Nie płacz, miła — szepnął. — Chodź do mojej chaty. Nie zabraknie ci w niej niczego. Odpoczniesz, uspokoisz się, a jeśli zechcesz, będziesz mogła pozostać ze mną na zawsze.

Tak się też stało. Jasnowłosa Szwedka poślubiła kaszubskiego rybaka i została na Rozewskiej Kępie. I co nocy rozpalala na stromym urwisku ogień, aby czerwone jego płomienie, widoczne daleko na morzu, uchroniły zbłąkanych żeglarzy i rybaków od losu jej ojca, którego imieniem nazwany został ostry głaz, sterczący z białych pian.

Kiedy umarła, czynili to samo jej synowie i wnukowie, a kusy Purtk pieniał się i zgrzytał na dnie, wściekły, że złość jego jest bezsilna.

PRZEMIENIENI W BUKI



M IJAŁY lata i wieki, a ognisko na Rozewskim Haku nie wygasło. Na rozkaz polskiego króla wybudowano tu wieżę, by zbawczy płomień dalej jeszcze był widoczny, opiekę zaś nad nim powierzono potomkom Fabisza i Krysty. Dobrze się oni wywiązywali ze swego obowiązku. Nigdy niemal nie opuszczali samotnej baszty, wiernie trwali na posterunku w burzach i zawiejach, by ratować od zguby bałtyckich sterników. Nawet po śmierci grzebano ich nie na żarnowieckim czy swarzewskim cmentarzu, ale tutaj, pod latarnią, na kępie gliniastej. W krzewach złotego żarnowca czerniały pochylone krzyże na ich mogiłkach, a mewy zawodziły nad nimi żałobne swoje pieśni.

Za czasów króla Zygmunta strażnikiem latarni był ostatni z rodu jasnowłosej Krystyny — młody Wit. Kochał się on w modrookiej Agnieszce, córce sołtysa z pobliskich Tupadeł. Nieraz patrzył ze szczytu swojej wieży ku tej wiosce, z której strzech biły w niebo siwe dymy, wypatrywał, czy wąską dróżką pośród zbóż i pastwisk nie nadchodzi jego ukochana.

— Wit, Wit! — wołała już z daleka powiewając białą, wyszywaną chusteczką.

Zbiegał wtedy po stromych schodkach, spieszył naprzeciw dziewczynie. Siadywali na brzegu morza, na jednym z głazów, patrzyli na fale podbiegające do ich stóp, marzyli o szczęściu.

Nuciła modrooka sołtysówna:

*Siadła biała mewa
na okrętu maszcie,
zapaliłeś ogień
na wysokiej baszcie.
Płonie ogień w górze
nad gniewnym przybojem,
ale mocniej płonie
małe serce moje...*

Cieszył się Wit i ścisnął ręce dziewczyny. Zbierał dla niej fioletowe kwiaty mikołajka, zrywał naręcza bursztynowych gałązek żarnowca. Ale kiedy tylko poczynało zmierzchać, odchodził i wracał na swój posterunek.

— Przysiągłem, miła moja, przysiągłem na puckim zamku przed królewskim starostą, iż co nocy od zmroku do świtu nie opuszczę latarni, nie odstąpię ognia, choćby ziemia w posadach się trzęsła, choćby morze z brzegów wystąpiło. Muszę cię tedy opuścić. Do jutra.

— Niedługo już, a będę czuwać tu razem z tobą — odpowiadała Agnieszka. — Przecież w tę niedzielę pleban swarzewski ogłosi z kazalnicy pierwsze zapowiedzi naszego ślubu. Potem nic już nas rozdzielić nie zdoła.

Z niecierpliwością wyczekiwał Wit dnia zaślubin. Ogłoszono pierwsze i drugie zapowiedzi. Sołtys z Tupadeł kupił już w strzelińskiej karczmie trzy beczki piwa na wesele, a sołtysowa wyjęła z malowanej skrzyni czepiec, haftowany złotogłowiec, na oczepiny najstarszej córki.

Latarnik przygotowywał izdebkę w baszcie na przyjęcie urodziny, młodej żony. Wesóło patrzył na puste morze i śpiewał:

*Rycz, kusy Purtku,
wyj głośniej jeszcze,
nic mi nie zrobisz
ani Agnieszce,
jutro ślub wezmę
ja i Agnieszka,
a na latarni
szczęście zamieszka.*

A jednak ostatniej tej nocy przed weselnym dniem zaszła rzecz straszna a niespodziewana. Z dali przyplłynęły żaglowe okręty szwedzkiego króla Gustawa. Nawy, o masztach wysokich i burtach najeżonych paszczami armat, zarzuciły kotwice przed Lisim Jarem. Spuszczono łodzie, załadowano beczki z prochem, działa, konie i żołnierzy. Najeźdźcy wtargnęli na kępę.

Wit dostrzegł ich ze szczytu wieży. Patrzył, jak rajtarzy*, w kapeluszach o szerokich rondach, w koletach* łosiowych, w butach palonych — dosiadają, przy blasku pochodni, rosłych swoich koni. Patrzył, jak drabanci nabijają muszkiety, ustawiają się w ordynki i ruszają ku wsiom. Słyszał gardłowe komendy i śpiewki żołnierskie.

*Naprzód, rajtarzy
króla Gustawa!
Kędy przejdziemy,
nie wzrośnie trawa.
Przeplłynęliśmy
przez morze sine,
aby obrócić
kraj ten w perzynę.*

Głucho dudniły werble bębnow. Truchlało serce młodego latarnika. Rzucił niespokojne spojrzenia to ku morzu, to ku Tupadłom. Niepokoił się o narzeczoną, o jej rodziców, o kaszubskich rybaków i oraczy. Ostrzec ich pragnął przed niebezpieczeństwem. Pospieszył

ku schodom, ale zatrzymał się w pół drogi, przypomniawszy sobie przysięgę złożoną na puckim zamku:

— Choćby ziemia się trzęsła w posadach, choćby morze z brzegów wystąpiło, nie opuszczę od zmroku do świtu latarni, nie odstąpię ognia!

Wierny ślubowaniu, pozostał na swoim posterunku. Podkładał drewno do ognia, podsyczał go, aż płomień buchnął wysoko ku niebu. Ufał, że może łuna pobudzi śpiących Kaszubów, przestrzeże ich w czas przed najazdem. Nie zauważyli jednak płomienistego znaku mieszkańcy Rozewskiej Kępy. Za to dostrzegli go najeźdźcy. Pułkownik, w kapeluszu strojnym strusimi piórami, wyszarpnął z pochwy rapier, wskazał nadmorską basztę podkomendnym:

— Zająć latarnię. Ugasić ogień.

Zatupotały kopyta. Ruszył podjazd wąską drożyną, wijącą się dnem Lisiego Jaru. Dotarli rajtarzy do samotnej wieży. Kolbami muszkietów wyłamali zamczyste drzwi. Po spadzistych stopniach wdarli się na szczyt baszty krzycząc:

— Zgaś ogień!

Wit nie posłuchał rozkazu. Własną piersią zasłonił ognisko. Nie odstąpił od kotła, choć w oczach zamigotała mu stal nagich rapierów.

— Nie zgaszę!

Bryznęła krew na kamienie. Runął latarnik z piersią przebitą klingami. Rajtarskie buty zdeptały ogień. Uderzyły w niebo łuny płonących wsi. Żołdacy grasowali po kępie, rabując checze, rżnąc ryżące bydło, porywając przerażone białki. Kaszubi uciekali w popłochu, kryli się w borach i wąwozach, by ratować życie. Szwedzi podpalali stodoły, strzelali z muszkietów, przytracali do siodła zrabowane gęsi, kury, szaty i pierzyny. Pod wieczór jeden z podjazdów rozpałił ogień biwaku przy latarni.

W tej godzinie sołtysówna Agnieszka, zaniepokojona losem narzeczonego, wykradła się chyłkiem z lasu, gdzie wraz z ojcem i tupadlanami schroniła się przed najazdem.

Podeszła do wieży i ujrzała Wita.

Leżał z rozkrzyżowanymi ramionami, z piersią przebitą rapierem,

przewieszony przez jedno z trzech okrągłych okien, które ciemniały w murze, okalającym szczyt baszty.

Przerażona tym widokiem, zmartwiała, zastygła w miejscu. A na-jeźdźcy po dawnemu śpiewali chrapliwie:

*Lecą po niebie
chmury jak kruki,
na brzegu wicher
ugina buki.
Jak kruk skrzydlaty
czarna gna chmura,
lecz nas nie ugnie
żadna wichura.*

Dziewczyna, ocknąwszy się z odrętwienia, spojrzała na nich błyszczącymi źrenicami. Podniosła rękę, zaciśniętą gniewnie, i zawołała:

— Grabieżcy, zbóje przekłęci! Bodajście za tę krew niewinnie przelaną nigdy już nie ujrzełi ojczystych brzegów. Bodajście się przemienili w buki, szarpane wichrami, smagane sztormem!

Porwali się Szwedzi od ognisk biwaku, by pomścić zniewagę. Ale klątwa dziewczyny przygwoździła ich do miejsca. Tajemnicza moc ujarzmiła ich nogi. Poczuli, że palce ich, obejmujące rękojeści rapierów, przemieniają się w gałązki, że buty korzeniami wrastają w ziemię, siwa kora pokrywa kolety, a włosy rosną, jeżą się i przeistaczają w liście...

Siwe buki stanęły na zboczu kępy, zaszumiały jękliwie w morskim wicherze. Agnieszka spojrzała na nie i powoli poszła na szczyt wieży, pochyliła się nad martwym narzeczonym, głowę jego ujęła w ręce i zanuciła smutnie:

*Siadła biała mewa
na okrętu maszcie,
nie zapalisz więcej
już ognia na baszcie.*

*Stoi ciemna wieża
nad białym przybojem,
ale dalej płonie
biedne serce moje...*

Potem pogrzebano Wita obok mogiłek jego przodków. Żołnierze polscy odparli najazd. Odpłynęły szwedzkie korabie. Nowy latarnik objął służbę na baszcie nadmorskiej i znów, jak dawniej, rozbłysnął na jej szczycie zbawczy dla sterników płomień. Ale buki, które co roku w noc świętojańską powtarzały szumem swoje dzieje, nie dawały za wygraną. Jakby mszcząc się za klątwę, rosły coraz to wyżej i próbowały gałęziami przesłonić ogień błyskający na wieży.

Dlatego to trzeba było latarnię nadbudować, aby rozewskie światło świeciło bałtyckim żeglarzom, ponad koronami buków, jak przewodnia gwiazda.

O FLĄDRZE BAŁTYCKIEJ



N A S Z Y M Bałtyku, co ziemię kaszubską oblewa, roi się od ryb wielorakich. Są tam przede wszystkim w wielkiej ilości śledzie oraz flądry, zwane przez ludność nadmorską storniami, jako że te ryby płasko, czyli „na stronie“ pływają, są zbliżone do nich turboty, zwane skarpiami; są dorsze, czyli pomuchle, a również węgorze, sandacze, szczupaki i okonie, poławiane w zatoce, a lubiące wodę słodką rzek, zarówno jak słoną mórz. A już najwięcej jest chyba w wiku i na pełnym morzu szprot. Gdy te jasne, żywe rybki wysypią rybacy na brzegu z sieci, wyglądają one jak srebrne błyszczące pieniążki. Nic w tym nie ma dziwnego, są one bowiem bogactwem tego morza, poławia się je przez całą zimę i żywi się nimi ludność rybacka wtedy, gdy zbraknie chleba i kartofli, które tu się nazywają bulwami.

Dawnymi czasy, gdy ryby kłócić się zaczęły między sobą i wrywać sobie żer, a najczęściej większe pożerały słabsze, uradziły one między sobą, że trzeba im obrać króla, który by nad nimi panował, ustanawiał prawa, karał winnych i roztrząsał wszystkie spory na dnie morza. Doszły do przekonania, że bez króla się nie obejdą i że trzeba obrać taką rybę, na którą zgodzono by się jednomyślnie.

Flądra, która była bardzo zarozumiała, myślała po cichu:

„Na pewno ja królową morza zostanę. Nie jest bowiem powiedziane, że królem ma być łosoś, szczupak lub węgorz. Może rządzić także i kobieta, tak jak to się dzieje i u ludzi“.

Pełna najlepszych nadziei czekała bałtycka flądra, aż korona i berło jej przypadną w udziale, i tak od niechcienia niby rzuciła projekt:

— Po cóż się długo kłócić i naradzać? Ta ryba zostanie królem, która pierwsza do przystani na Helu podpłygnie w białym fartuchu!

— Dlaczego koniecznie w białym fartuchu? — zawołały chórem wszystkie ryby, nie domyślając się, że chytra flądra siebie ma na myśli.

— Ach! Drogie siostrzyczki i braciszki, że też nie domyśliście się od razu! Biały fartuch toć to najpiękniejszy strój i najbardziej w nim do twarzy! Białe fartuchy noszą wszystkie skrzętne gospodie, a wszak miło nam będzie, gdy nasz król będzie w morzu dobrze gospodarować!

— Dobrze mówi flądra! Zgoda na biały fartuch! — odpowiedziały węgorze i łososie, które rej wodziły w zatoce.

I nuż się oglądać, skąd by sobie takie fartuchy uszykować: czy z kawałków podartych żagli, czy ze skrzydełek białych mew? Rozbiegły się na wszystkie strony w poszukiwaniu tych fartuchów.

Tymczasem zbliżała się szybko godzina, kiedy na cyplu helskiego półwyspu uszykować się miały ryby do wyścigów, decydujących o ich losach w morzu.

Na znak węgorza puściły się co sił w płetwach w drogę ku przystani. Cisnąc się, szturchając, napierając na siebie, dążyły do wytkniętego celu całą ławicą, tak iż morze w tym miejscu zrobiło się całkiem ciemne.

Jakież było zdumienie ryb, gdy tuż przed przystanią wyprzedził je zwyczajny śledź bałtycki, którego sama natura w biały fartuch ubrała, całe bowiem podbrzusze miał obleczone białą skórą. On to pierwszy dopłynął do celu!

— Niech żyje śledź! Niech nam króluje nasz poczciwy śledź bałtycki! — zawołały naraz wszystkie ryby, zapominając o swych ambicjach.

I od razu śledź królem został okrzyknięty.

Zaledwie ceremonia koronacji się skończyła, nadpłynęła z oddali mała flądra. Wcale jej nie było śpieszno i z pospólstwem łączyć się

nie chciała, tak była pewna, że nikt prócz niej nie będzie miał na sobie białego fartucha, a więc wyścigu nie wygra.

— Za późno, fląderko, za późno! — wołały ryby zobaczywszy ją z daleka. — Już mamy króla i tyś winna pokłon mu złożyć.

Cieszyły się w głębi duszy, że flądra ma tak strapioną minę, bo nie lubiły jej za to, że była pyszna i lubiła się sama rządzić.

Flądra nie mogła ochłonąć ze zdumienia, machała płetwami co sił i przybliżyła się do śledzia, by się przekonać, że możliwe jest to, co mówią ryby.

— Co takiego? Pospolity śledź, a nie ja, miałby królem zostać? — zawołała krzywiąc pyszczek.

I oto została za swą pychę srodze ukarana, bo z krzywym pyszczkiem została już na zawsze.

Każdy, kto się flądrze bałtyckiej z bliska przypatrzy, może się o tym przekonać.

ZUZANNA RABSKA

JAK BOCHEN CHLEBA W KAMIENIĘ SIĘ ZAMIENIŁ



BYŁO TO dawno, bardzo dawno temu. Więcej niż sto lat, więcej niż dwieście. Wśród ludzi mieszkających na Pomorzu panował wielki głód. Nie obrodziły pola, nie obrodziły sady — nie było zboża na chleb, nie było jarzyn ni owoców żadnych.

Bogatsi gospodarze wyciągali ze skrytek miedziane i srebrne pieniądze i jechali z nimi do miasta po zakupy. Byli i tacy bogacze, co zeszłego roku plon wielki zebrawszy mieli jeszcze w komorach i w stodołach zapasy mąki i kaszy. Tym działa się dobrze. Ale biedota wsiowa, komornicy i wyrobnicy przymierali okrutnym głodem.

A była wówczas w jednej pomorskiej wiosce pod Oliwą wdowa uboga, matka drobnych dzieci. Dzieci były małe i głodne, nie rozumiały, że matka nie może im dać chleba, bo go nie ma w chacie. Płakały i krzyczały: „Jeść, mamó! Jeść!”

Wyszła więc matka z chaty, żeby gdzieś zdobyć pożywienie dla swych dzieci, sama z głodu ledwie żywa. Idzie, idzie — napotkała na drodze do Oliwy bogatego gospodarza. Niósł on wielki bochen chleba na sprzedaż. Gdy zobaczył biedną wdowę, czym prędzej schował bochen pod kurtkę.

Kobieta wyciągnęła do niego ręce jak do zbawcy.

— Kumie kochany! Poratuj niebogę, daj kawałtka chleba dla moich głodnych dzieci.

Ale skąpiec odrzekł z gniewem:

— Toć ja, kumo, kamień tak wielki, a nie chleb niosę.

— Kiedyś taki nielitościwy, to niechże ci ten chleb kamieniem zostanie! — krzyknęła zrozpaczona kobieta.

Skąpiec w milczeniu minął ją i szedł dalej. A oto poczuł, że coś dziwnego się dzieje: bochen chleba pod kurtką zaczął mu ciążyć coraz bardziej i bardziej. Ręce chłopu mdleją, pot oczy zalewa, krzyż mało nie pęknie od dźwigania wciąż rosnącego ciężaru. Wreszcie już ni krokiem postąpić nie może, tak mu ciąży ten chleba bochen. Alboż to chleb jest? Odwinął skąpiec poły i pobladł: oto chleb stał się kamieniem.

Poznawszy w tym rękę Bożą, gospodarz postętku swego zaraz żałował. Ubogą wdowę do siebie do chaty przywołał, jadłem, co było na zapas w komorze, z nią i z innymi ubogimi się podzielił. A chleb w kamień zamieniony ofiarował do kościoła w mieście Oliwie.

Aby jemu i innym przypominał naocznie, iż trzeba mieć w sercu litość i miłosierdzie.

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

ZEGAR Z MARIACKIEGO KOŚCIOŁA



IE BYŁO w całym świecie zegarmistrza sławniejszego nad mistrza Hanusza Toruńczyka. Za młodu przewędrował rozmaite kraje. Był w Lubecie, Norymberdze i Pradze. Zatrzymywał się na długo w Poznaniu, Wrocławiu i Krakowie. Terminował u nie lada majstrów i powoli, wytrwale opanowywał tajemnice rzemiosła, aż wreszcie prześcignął kunsztem najlepszych swoich nauczycieli.

— Niczego cię już nie możemy nauczyć — mówili kiwając z podziwem głowami nad mistrzowskimi dziełami młodego rzemieślnika. — Wróc do swego rodzinnego miasta i otwórz własny warsztat.

Ale Hanuszowi nie spieszyło się do powrotu.

— Nie wrócę na Pomorze — mówił — dopóki panoszyć się tam będą zbroje w krzyżami znaczonych płaszczach. Dość napatrzyłem się krzywd w dzieciństwie.

Ożenił się z córką krakowskiego ludwisarza* i osiadł na stałe w Krakowie. Dochował się córki, budował i naprawiał na wyniosłych wieżach kościołów i ratuszy zegary wydzwaniające godziny, które odlatywały jak ptaki w przeszłość.

Mijały lata, a z każdym rokiem rosła sława mistrza Hanusza. Przybywali do jego domu wysłannicy z dalekich stron i zamawiali zegary dla bogatych miast i książęcych zamków. Zegarmistrz zapo-

mniał już niemal o swoim rodzinnym Toruniu, którego rude baszty i wieże odbijały się w połyskliwej Wiśle, i o zielonej, pomorskiej ziemi. Pierwsze srebrne nitki pojawiły się w jego ciemnych włosach. Umarła mu żona. Jedyłą pociechą była dla strapionego wdowca dorastająca już córka — Ofka.

Ona to przyniosła jednego ranka do warsztatu ojca taką wieść:

— Na Wawel przybyło poselstwo z Pomorza. Snycerz* Stanko widział, jak orszak wjeżdżał przez Floriańską Bramę. Lud witał posłów radośnie i serdecznie jak braci.

— Jakże to? — zdziwił się zegarmistrz. — Krzyżaków witali krakowianie jak braci? Nie do wiary to, co powiadasz, dziewczyno. Pomyliło się coś snadź twemu Stankowi.

— To wy mylicie się, panie ojczy — odpowiedziała Ofka. — Nie Krzyżacy przecie przyjechali.

— Jeno kto?

— Rycerze pomorscy, mieszczenie z Torunia, Elbląga, Gdańska. Powiadają ponoć gdańszczany, że przegnali Krzyżaków ze swego miasta. Zdobyli Wielki Młyn nad Radunią i zburzyli do fundamentów nadmotławskie zamczysko.

Majster Hanusz poderwał się z drewnianego zydlą.

— Co powiadasz, dziewczyno miła?! — zawołał. — A to mi nowina! Nie wiesz, ilem lat czekał na tę chwilę! Przegnali Krzyżaków! Mów! Mów dalej, co jeszcze słyszała.

Ofka, zarumieniona z przejęcia, powtarzała wszystkie zasłyszane na mieście wieści. Opowiadała, że pomorskie poselstwo przybyło prosić króla Kazimierza, by przyjął ich ziomków pod swoją opiekę, a Pomorze wcielił do polskiego królestwa, a wreszcie wspomniała o tym, że jeden z gdańskich posłów dopytywał się u Stanka o warsztat mistrza Hanusza.

— Czegóż mógł chcieć ode mnie? — zastanawiał się zegarmistrz.

Pytanie to niepokoiło go aż do wieczora, kiedy nagle skrzypnęły drzwi i do warsztatu wszedł młody snycerz Stanko prowadząc z sobą jakiegoś obcego człowieka w bogatym, ciemnym stroju i złotym łańcuchu na szyi.

— Przywiodłem wam gdańskiego burmistrza — powiedział chłopak. — Ma on do was ważną sprawę.

— Miło mi powitać tak znakomitego gościa — odparł mistrz Hanusz pochylając lekko głowę.

Pośpiesznie podsunął obu przybyszom zydle i zagadnął:

— Cóż to za sprawa przywiodła was, mości burmistrzu, w moje progi?

Burmistrz nie ociągał się z odpowiedzią.

— Jak już chyba słyszałeś — zaczął — zrzuciliśmy z naszych karków krzyżackie jarzmo. Zaczął się dla naszego miasta nowy czas. Rada Miejska postanowiła uczcić dzień, w którym miłościwy król Kazimierz wziął nas pod swoją opiekę. Pragniemy ufundować ogromny zegar, który będzie nam wydzwaniał godziny wolności i wesela.

Zegarmistrz aż poczerwieniał z radości.

— Podoba mi się wasz zamiar! — oświadczył. — Zbuduję wam zegar, jakiego na całym świecie nie znajdziecie. Zazdrościć go wam będą wszystkie miasta. Jenó że stworzenie takiego dzieła wymaga wiele czasu i pieniędzy.

— Nie zabraknie ci ani czasu, ani złota — zapewnił gdańszczanin. — Przybywaj jeno do Gdańska. Czekamy cię z otwartymi ramionami.

Zegarmistrz odprowadzając znakomitego gościa aż na próg zaręczał, że spełni życzenie Gdańska.

— Za parę dni ruszę w drogę do waszego miasta.

Dotrzymał obietnicy. Spakował cały dobytek i, nim minął tydzień, kilka ładownych wozów minęło warowną Bramę Floriańską. Na pierwszym z nich siedział mistrz Hanusz i Ofka, która co chwilę odwracała głowę ku miastu.

— Czego tam wypatrujesz? — zapytał ojciec.

— Patrzę, jak błyska korona na Mariackiej wieżycy — odpowiedziała dziewczyna.

Ale oczy jej przyciągało co innego: malejący coraz bardziej człowiek, który stojąc w gotyckim łuku Barbakanu machał ręką, żegnając odjeżdżających.

*

Mistrz Hanusz zamieszkał w Gdańsku w małej kamieniczce przy ulicy Św. Ducha. Z zakratowanych okien swego warsztatu widział potężny, ceglany słup gdańskiej wieży Mariackiej, dokoła której latały mewy, gołębie i jaskółki. Z rzadka jednak patrzył przez okno. Pochłonęła go bowiem bez reszty praca nad zegarem zamówionym przez Miejską Radę.

— Muszę stworzyć takie dzieło, o którym pamiętano by przez całe wieki — postanawiał. — Dzieło, które byłoby godne wielkiej chwili powrotu Gdańska do ojczyzny.

Sklepiona izba, stanowiąca pracownię mistrza, zawałona była połyskliwymi kółkami, kołami, wahadłami, większe i mniejsze zegary wydzwaniały kwadranse i godziny. W niszach stały klepsydry, w których przesączał się cieniutki strumyczek piasku, cicho szemrząc i przypominając, że czas upływa niepowrotnie, że trzeba wykorzystać każdą chwilę.

Hanusz rozumiał to wezwanie, toteż pracował od świtu do zmroku. Zajęty robotą nie zauważył nawet, że córka jego smutniała z każdym dniem coraz bardziej.

Snuła się po kamieniczce, stawała blada przy oknie i godzinami patrzyła na uliczkę. Ożywiała się jedynie wtedy, gdy ktoś zakolał do domu. Poprawiała wtenczas suknię, zbiegała pośpiesznie po schodach, otwierała drzwi i cofała się do swej izdebki, rozczarowana i smutna. Zastłuchana w tykanie i kuranty zegarów, ocierała łzy toczące się po policzkach, pochylała głowę i nuciła cichutko:

*Dzwonią zegary,
a ja smutna płacę,
biją zegary,
ja się niepokoję,
myślę, że Stanko
już w dźwierze kołacze,
a to serduszko
puka w piersi mojej.*



Nie pojawiał się jednak ten, na kogo czekała, choć wiele ludzi odwiedzało dom Toruńczyka. Zachodzili często rajcy dopytując, jak postępuje budowa wielkiego zegara. Kołatali żeglarze prosząc o małe czasomierze, które by ułatwiły im nawigowanie*. Najczęściej zaś pojawiał się snycerz Kunc.

Był to człek barczysty, ciemnobrody. Krzaczaste brwi zrastały mu się nad krzywym, wydatnym nosem, a oczy tliły się posępnym blaskiem. W mieście opowiadano o nim straszne wieści. Mówiono, że rzeźbiąc dla Mariackiego kościoła krucyfiks, przybił do krzyża własnego ucznia i patrząc na jego mękę wyciosał dłutem w drewnie wstrząsającą postać Ukrzyżowanego. Nikt nie wiedział, ile w tym było prawdy. Kunc, kiedy go pytano o czeladnika, odpowiadał, że rzucił go i powędrował w świat. Ale mało kto temu wierzył. Gdańszczanie bali się posępnego snycerza i skwapliwie schodzili mu z drogi. Również Ofkę mrowił lęk, ilekroć Kunc stanął w progu.

On zaś niby to rozmawiał z ojcem i grzejąc się przy ogniu płonącym na wielkim kominie podziwiał robotę mistrza, ale dziewczyna czuła wciąż na sobie przenikliwe spojrzenie jego czarnych źrenic.

Ogarniało ją przerażenie. Uciekała na górę do białej izdebki i przejęta tęsknotą za ukochanym, szukała pociechy w piosence. Zdejmowała ze ściany luteńkę, targała jej struny i nuciła do wtóru ojcowym zegarom:

*Grają zegary,
choć ja z żalu ginę,
dzwonią zegary
wieczorom i rankom...
Mile zegary,
wydzwońcie godzinę,
w której powróci
mój jedyny Stanko.*

Pewnego razu mistrz Hanusz usłyszał śpiew córki. Rzucił robotę, nie spostrzeżony stanął w progu komnaty i zasłuchał się w smutne słowa, w tęskną, pełną żalu melodię. Kiedy ucichła, a śpiewaczka

pochyliła bezradnie głowę, podszedł i położył dłoń na ramieniu Ofki.

— Wiesz, miła córko — powiedział uśmiechając się dobrodusznie — pragnę poradzić się ciebie w nękającej mnie od kilku niedziel sprawie.

Podniosła głowę.

— Cóż was niepokoi, panie ojczy? — zapytała.

— W moim zegarze — zaczął tłumaczyć — zamierzam urządzić mechanizm poruszający rozmaite figury. Potrzeba mi do pomocy dobrego snycerza. Majster Kunc naprasza mi się od dawna z pomocą. Byłbym ją przyjął, jeno że ciężką ma rękę i wszystkie jego rzeźby ponure mają twarze, ja zaś pragnę, by dzieło moje radowało oczy i weseliło ludzkie serca. Pomyślałem tedy o innym pomocniku. Był, pomnisz, w Krakowie taki młody snycerz...

— Stanko! — krzyknęła radośnie.

— Ten sam! — potwierdził. — Widzę, żeś nie zapomniała o nim. Poradź mi, czyby nie wezwać go do Gdańska?

Ofka nie odpowiedziała, tylko rzuciła się ojcu na szyję i przytuliła głowę do jego piersi.

*

Nie minęły dwa miesiące, a krakowski snycerz znalazł się w nadmotławskim mieście. W narożnej kamieniczce przy ulicy Św. Ducha, gdzie w lekkim, idącym od rzeki wietrze kołysał się misternie kuty szyld ze słoneczną tarczą i pozłocistym kogutem, zapanowało inne życie. Z okienka na piętrze dobiegały wesołe piosenki nucone dziewczęcym głosem, a z warsztatu gwar rozmów i dźwięczne stukanie młotków.

Cieszyli się rajcowie, że zamówione dzieło rośnie z każdym dniem. Żeglarze przychodząc prosto z pokładów swoich statków opowiadali o morskich przewagach nad okrętami Zakonu i Danii. Tylko mistrz Kunc omijał dom Toruńczyka, odkąd pojawił się w nim wesoły krakowianin.

Stanko szybko zjednął sobie serce Hanusza. Staremu zdawało się, że nawet słońce częściej zagląda teraz do jego mrocznej pracowni, jakby chciało się przypatrzeć barwnym figurom rzeźbionym i malowanym przez Stanka.

— Dobrze mi poradziłaś, córeczko! — śmiał się zegarmistrz. — Nie mogłem znaleźć lepszego pomocnika.

Młody snycerz pracował z nim przez cały dzień, a wieczorem, kiedy złote czółno księżycy pojawiało się na Raduni, szedł z Ofką nad rzeczkę. Zastłuchani w szum kół Wielkiego Młyna wspominali krakowskie czasy i mówili o przyszłości.

— Kiedy widziałam wiosną ptaki lecące na południe nad naszym miastem, zazdrościłam im skrzydeł — mówiła dziewczyna. — Tak bardzo pragnęłam znów zobaczyć Kraków.

— Wrócimy tam razem! — zapewniał Stanko. — Niech jeno ojciec ukończy swoje dzieło, a poślubię cię i nie zwlekając ani godziny ruszymy z powrotem.

Zapatrzeni w siebie nie wiedzieli, że za nimi jak cień snuje się pochmurny snycerz Kunc. Nie czuli jego gniewnych spojrzeń, nie dostrzegali jego zaciśniętych warg. Byli szczęśliwi. Czas płynął im szybko i ani się spostrzegli, jak nadszedł dzień, w którym majster Hanusz przewiózł do Mariackiego kościoła części swego zegara i zestawił je w pobliżu Kaplicy Złotników.

Dokręciwszy ostatnią śrubkę zszedł z rusztowania mówiąc:

— Gotowe!

Uroczysta to była chwila. Całe niemal miasto zbiegło się do świątyni, gdzie wysoko pod gwiazdzistymi sklepieniami chwiały się chorągwie zdobyte przez gdańszczan na Krzyżakach podczas długich lat wojny na lądzie i morzu. Przybył burmistrz i rajcowie w bogatych strojach. Przybyli wszyscy znamienitsi patrycjusze z żonami i córkami. Stawili się tłumnie pończosznicy i bursztyniarze, korabnicy i kaprowie*, mieszkarze* z Wyspy Spichrzów i flisowie przywożący do Gdańska polskie zboże i drzewo.

— Chodzi! Słyszycie, jak tyka? — szeptali przypatrując się zegarowi.

Dzieło mistrza Hanusza ciemniało przy białym strzelistym filarze jak niezwykła wieża. W dolnej jej kondygnacji jaśniała tarcza stu-letniego kalendarza strzeżona przez wyrzeżanych w drewnie trębaczy i królów. Jeden z nich wskazywał włócznią datę dnia, przypadające święto, a także godzinę wschodu księżyca i słońca. Wyżej dwanaście pozłocistych znaków niebieskiego Zwierzyńca* opasywało wielki krąg godzin. Był to strzelec i wodnik z dzbanem, był złoty lew, byk i koziorożec, nad którym stało promieniste słońce. Były ryby, bliźnięta, rak, panna, waga, niedźwiadek i baran.

— Uważajcie! — zawołał zegarmistrz. — Zaraz wybiję dwunasta.

I teraz dopiero zaczęły się dziać prawdziwe cuda. Wysoko, pod samym szczytem zegarowej wieżyczki, przy drzewie, dokoła którego owijał się wąż z ukoronowaną głową, stały figurki Adama i Ewy. Zastygłe w bezruchu, zdawały się patrzeć z wysokości na zebrany w kościele tłum i czekać, aż obie wskazówki dotrą do połączanej dwunastki.

— Jeszcze minuta! — szepnął burmistrz.

— Jeszcze dziesięć uderzeń serca — liczyła Ofka. — Jeszcze pięć, cztery, trzy, dwa...

Nadeszła wreszcie oczekiwana niecierpliwie chwila. Adam podniósł młot, Ewa pociągnęła sznur dzwonka. Rozdzwoniły się srebrne kuranty.

Wydzwoniły cztery kwadransy i w wykuszu zegarowym pojawiło się czterech ewangelistów.

— Marek, Łukasz, Mateusz, Jan — poznawali ich mieszczanie i podnosząc ręce wskazywali poruszające się figurki.

A kiedy przebrzmiały dźwięki kwadransów i zegar począł wybijać dwunastą, wynurzyli się z wnętrza wieżyczki apostołowie. Długowłosi, brodaci, w powłóczystych szatach, trzymając w dłoniach księgi, ryby i klucze, szli po półkolistym ganku nad zegarową tarczą. Szli kolejno, jak godziny, które symbolizowali, spokojni i dumni, zapatrzeni przed siebie w bezmiar czasu. I przygrywały im kurantowe dzwony w tej wędrówce:

*Mija wiosna, mija lato,
mija jesień, mija zima,
idą, idą w dal godziny,
nic ich w drodze nie powstrzyma.
Złotolity krąg Zodiaku
z wolna się nad ziemią kręci,
idą, idą w dal godziny
ku mrokowi niepamięci.*

Zadumał się zegarmistrz zasłuchany w muzykę zegarową. Cień smutku padł mu na twarz.

— Dlaczego się zamroczyłeś w takiej radosnej chwili? — zapytał go burmistrz. — Dokonałeś przecie wielkiego dzieła. Dotrzymałeś obietnicy. Zazdrościć nam będą tego zegara wszystkie miasta.

Hanusz przesunął dłonią po twarzy, jakby odgarniał z niej smutek.

— Rad jestem z mego dzieła — odparł. — Jeno mi żal, że ten właśnie zegar wybił godzinę mego rozstania z córką. Dziś wyprawiam jej i Stankowi weselisko, za trzy dni opuszczą mnie, wyruszą do Krakowa.

Snycerz Kunc, który stał w cieniu wysokiej kolumny, usłyszawszy te słowa, zacisnął pięści i wybiegł z kościoła.

Minęło kilka dni i mistrz Toruńczyk pozostał sam w swojej kamieniczce. Pozostał w Gdańsku, gdyż żał mu było się rozstać z dziełem, któremu poświęcił wiele lat życia. Wkrótce jednak samotność poczęła mu ciążyć coraz dotkliwiej. W kątach warsztatu pająki rozpięły misterne sieci. Kurz osiadł na klepsydrach i zegarach.

Samotny zegarmistrz stawał przy zakratowanym oknie, patrzył na ptaki krążące dokoła Mariackiej wieży i wspominał dni, w których jego dom rozbrzmiewał śpiewem Ofki i stukaniem Stankowego młota.

Mijały tygodnie i miesiące, a on garbił się coraz bardziej i coraz więcej srebra połyskiwało w jego włosach i brodzie. Wsłuchany w kuranty swych zegarów powtarzał szeptem słowa piosenki, którą niegdyś słyszał z ust córy:

*Dzwonią zegary,
a ja smutny płacę,
biją zegary,
ja się niepokoję,
myślę, że Ofka
już w dźwierze kołacze,
a to kołacze
serce w piersi mojej.*

Pewnego dnia, kiedy powtarzał właśnie te wyrazy, usłyszał kołatanie. Pospiesznie podszedł do drzwi i odsunął rygle. Na progu stało kilku ceklarzy* z halabardami w dłoniach.

— Jegomość burmistrz wzywa was, mistrzu, byście nie zwlekając stawili się na Ratuszu! — oznajmił jeden z miejskich pacholków.

Zegarmistrz zdziwił się, podniósł brwi.

— Cóż za pilna sprawa? — zapytał.

Żaden jednak z ceklarzy nie umiał mu odpowiedzieć na to pytanie. Narzucił tedy płaszcz na ramiona i poszedł wraz ze strażnikami na Długi Targ.

Był dżdżysty jesienny dzień. Ptactwo latało nad iglicami wieżyczek i wokół potężnej wieży kościoła Panny Marii. Porywisty wiatr dmący spod łuków nadmotławskich bram rozwiewał siwe włosy i brodę starca. Błoto uliczne klaskało pod stopami. Listopadowy chłód przenikał przez opończę. Toteż z ulgą weszli do ratuszowej sieni.

— Jegomość burmistrz czeka was w Czerwonej Izbie — rzekł ceklarz otwierając zamczone drzwi.

Mistrz Hanusz przekroczył próg komnaty i ujrawszy stojących przy kominie miejskich dostojników skłonił lekko głowę.

— Przybyłem na wasze wezwanie — powiedział. — Czego życzycie sobie, mości burmistrzu?

Ojciec miasta skinął ręką na ceklarzy, którzy stanęli przy drzwiach, a potem zmierzył Toruńczyka surowym spojrzeniem.

— Doszły nas słuchy — zaczął groźnie — iż zamierzasz opuścić Gdańsk. Prawda to czy kłamstwo?

— Prawda! — odparł Hanusz. — Stary już jestem i nęka mnie samotność. Pragnę ruszyć do Krakowa, by tam dożyć moich dni u boku córki i zięcia.

— Do Krakowa? — spytał nieufnie burmistrz. — Do Ofki i Stanka? A może raczej do Lubeki?

Zegarmistrza zdziwiło to pytanie.

— Czego bym szukał w owym obcym mieście?

— Nie wiesz? — zadrwił gdański dostojnik. — Niech ci tedy przypomni oskarżyciel.

Z cienia wystąpił na środek komnaty czarnobrody, posępny snycerz Kunc.

— Mistrz Hanusz — powiedział głucho — zamierza udać się do Lubeki, by zbudować tamtejszym mieszkańcom zegar jeszcze wspanialszy niż ten, który stoi w naszym kościele Mariackim.

— Kłamstwo! — krzyknął Toruńczyk. — Posiwiwały me włosy i ręce moje stały się niepewne. Choćbym chciał, nie zdołam już stworzyć po raz drugi takiego dzieła.

I pogardliwie odwrócił się plecami do oszczercy. Patrzył w okno, za którym widniały kamieniczki przy Długim Targu i mewy latające nad Dworem Artusa i ceglana Bramą Kog. Bielały na szarym, chmurnym niebie jak dziwaczne, wróżebne znaki.

— Patrz, sławetny mistrzu! — rzekł burmistrz. — Napatrz się do syta, albowiem po raz ostatni oglądasz dziś światło dnia.

Nie skończył jeszcze, gdy na kamiennej posadzce załomotały głucho kroki. Do izby wszedł gdański kat w czerwonym kapturze, wiodąc kilku swoich pacholków.

— Mistrzu małodobry, czyni swoją powinność! — rozkazał ojciec miasta.

Oprawcy podeszli do starca stojącego przy oknie, porwali go za ramiona i poczęli siłą wywlekać z komnaty. Ale na samym progu sędziwy majster wyrwał się z ich uścisków i wznosząc do góry spracowaną dłoń zawołał:

— Przeklinam godzinę, w której przybyłem do waszego miasta! Przeklinam moje dzieło! Niechaj stanie mój zegar! Niech milczeniem

swoim świadczy o mojej krzywdzie i oskarża was przez wieki, pyszni i niesprawiedliwi sędziowie!

Nie powstrzymały jednak te słowa wykonania strasznego wyroku. Katowscy czeladnicy powlekli nieszczęsnego zegarmistrza do izby tortur i po chwili bolesny krzyk wstrząsnął murami Ratusza.

*

O tej samej godzinie, w której starcowi wyłupiono oczy, zatrzymał się mariacki zegar. Stały zębate koła i kółka, umilkły kuranty, zastygły w bezruchu tarcze i wskazówki, znieruchomieli Adam i Ewa, ewangeliści i apostołowie. Poszła po mieście wieść:

— Zegar stanął!

— Zły to znak!

— Kara za krzywdę, jaką rajcy wyrządzili mistrzowi Hanuszowi!

Zafrasował się burmistrz i panowie Rada. Lękając się, że lud może ruszyć na Ratusz i zażądać, by zdali sprawę z niesprawiedliwego sądu, postanowili zażegnać czym prędzej niebezpieczeństwo. Rozesłali gońców w cztery strony świata i wkrótce zjawili się w Gdańsku najślawniejsi zegarmistrze. Przybywali z dalekich stron, szli do Mariackiej świątyni, wchodzili na rusztowania i zaglądali do wnętrza zegara. Potem długo kiwali głowami. Próbowali uruchomić misterny mechanizm, żaden jednak nie zdołał ożywić milczącego zegarowego serca. A w mieście wzmagało się wrzenie i rósł gniew ludności.

— Jedna jest jeno rada! — rzekł w końcu burmistrz do rajców. — Musimy udać się z prośbą do mistrza Hanusza. On jeden potrafi naprawić zegar.

Choć opornie i niechętnie, poszli jednak panowie rajcy do kamieniczki Pod Złotym Kogutem. W sklepionej, zasnutej pajęczynami pracowni ślepy starzec wysłuchał ich prośby. Skurcz przebiegł mu po twarzy.

— Powiedźcie mnie do mojego zegara! — powiedział, kiedy skończyli swoje długie i pokorne wywody.

Troskliwie ujęli go pod ramiona i zaprowadzili do kościoła. Po omacku, ostrożnie wszedł na rusztowania, wyciągnął przed siebie ręce

i długo wodził dłońmi po rzeźbach. Dotykał i poznawał znaki niebieskiego Zwierzyńca: wodnika, raka, koziorożca... Gładził drżącymi palcami postacie brodatych apostołów i ewangelistów, Adama z młotem w dłoni i długowłosą Ewę. Nagle natrafił na ukoronowaną głowę węża oplatającego drzewo i wzdrygnął się.

— Podajcie mi młot! — zawołał. — Wiem już, co uczynić!

A kiedy podano mu narzędzie, którego żądał, podniósł je i stał tak przez chwilę nieporuszony w snopie światła wdzierającego się do świątyni przez wysokie, gotyckie okno. Pod gwiazdzistym sklepieniem drżały zdobyczne chorągwie.

Ludzie w milczeniu czekali chwili, w której srebrny starzec uruchomi swoje dzieło.

— Patrzcie, jak zmieniła mu się twarz! — szepnął ktoś dostrzegłszy bladość na licach zegarmistrza.

— Gotów omdleć! — zaniepokoił się burmistrz.

Ale w tej właśnie chwili mistrz Toruńczyk spuścił młot i z całej siły uderzył obuchem w zegar. Zazgrzytały zębate kółka i koła. Jęknęły sprężyny. Drgnęli Adam i Ewa stojący przy drzewie pod zegarowym szczytem. Zadygotali ewangeliści i apostołowie, jakby znów gotując się do pochodu. Zdawało się, że lada chwila ruszą w swoją wędrówkę, że dzwonki kurantu zadzwonią im dawną pieśń:

*Mija wiosna, mija lato,
Mija jesień, mija zima,
idą, idą w dal godziny,
nic ich w drodze nie powstrzyma.
Złotolity krąg Zodiaku
z wolna się nad ziemią kręci,
idą, idą w dal godziny
ku mrokowi niepamięci.*

Było to jednak tylko złudzenie — ostatni jęk i dreszcz konającego zegara. Kiedy zastygł mechanizm i wszystko ucichło, siwowłosy starzec zwrócił krwawe oczodoły na zebranych w kościele rajców.

— Ukaralem waszą pychę! Zniszczyłem moje dzieło. Biada! Po trzykroć biada temu, kto by próbował je naprawić! — krzyknął łamiącym się głosem i martwy osunął się na deski rusztowania.

Z bezwładnych, stygnących dłoni wypadł młot. Poleciał w dół prosto na głowę stojącego pod rusztowaniem Kunca. Posępny snycerz, jak ugodzony gromem, rozkrzyżował ręce i runął na zimne kamienie posadzki.

— Uciekajmy stąd! — rozległy się w tłumie przerażone głosy. — Krew tu pachnie! Śmierć ze swą kosą tańczy po świątyni!

Pierzchnęli w popłochu rajcowie i burmistrz, kupcy i rzemieślnicy. W pustym kościele pozostał ciemniejący pod białym strzelistym filarem zegar mistrza Toruńczyka. Stał tak i milczał przez długie wieki. Rada Miejska, pamiętna klątwy siwego zegarmistrza, lękała się go naprawić. Jeszcze w ostatnim stuleciu, kiedy zgłaszali się rozmaici majstrowie obiecując uruchomić osnuty pajęczynami mechanizm, zabobonni rajcy gdańscy odrzucali ich propozycje.

— Zostawmy lepiej ten przeklęty zegar w spokoju — mówili. — Po co mamy ściągać nieszczęście na nasze głowy i miasto.

I tak się stało. Popsuty zegar przy Kaplicy Złotników straszyl swoim milczeniem aż do ostatniej wojny. Wtedy to pożar, który wdarł się do świątyni niszcząc czerwonymi toporami płomieni wszystko, co napotkał po drodze, nie oszczędził i starego czasomierza.

W popiołach i zgliszczech przetrwała tylko zegarowa tarcza, jak serce zapomnianej gdańskiej legendy.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

O RUDYM JASTRZĘBIU I GDAŃSKIEJ JASKÓŁCE



KIEDY przez żyzną równinę żuławską zbliżamy się do Gdańska, miasto z dala już pozdrawia nas swoimi wieżami. Góruje nad nimi wysoka wieża Mariacka. Inna niż strzelista wieżyca krakowska połyskująca złotą koroną, lecąca jak strzała w białą tarczę słońca. Gdańska wieża wznosi się jak ogromna kamienna pięść i zdaje się wygrażać chmurnemu niebu.

A gdy znajdziemy się już w mieście, staniemy u jej stóp i popatrzymy w górę aż tam, gdzie nad zwężającymi się ceglanyymi przyporami, gotyckimi łukami nisz i ciemnych okien czerwieni się dach, zobaczymy ptaki kołujące wokół wieży, która zdaje się płynąć wśród obłoków. Białoskrzydłe mewy, czarno-białe jaskółki, gołębie, kruki i kawki oplatają trzepocącymi kręgami ceglany słup wieżycy, latają czujne, nie znużone.

Jest tam w tym podniebnym ptasim królestwie i pewien rudy jastrząb, który gnieździ się pod samym szczytem wieży. Nieraz można ujrzeć, jak bijąc wielkimi skrzydłami ściga najśmiglejszą z mariackich jaskółek. Drapieżnie wyciąga krzywy dziób i już-już ma dopaść małego ptaszka i pochwycić go w swoje szpony, lecz ten zawsze wymyka się w ostatniej chwili srogiemu łowcy ku wielkiej uciezce smolistego kruka. Mijają dni, tygodnie, miesiące i lata, a nic się nie zmienia:

wciąż trwa gonitwa czarno-białej jaskółki i rudego drapieżcy. I zawsze ilekroć chybi cios jastrzębia, radośnie trzepoce lecący za nim kruk.

Gdańscy murarze, którzy wspinając się na wysokie rusztowania zamuroywali ciemne rany zadane Mariackiej wieży przez ostatnią wojnę i kładli na kamiennym zrębie żółte krokwie nowego dachu, dobrze znają te ptaki. Kiedy podejście do nich w południe, gdy odpoczywają w cieniu odwiecznych murów, jedzą chleb, i zapytacie, co oznacza ten wieczny pościg skrzydlatego rozbójnika za małym ptaszkiem i radość czarnego kruka, taką możecie od nich usłyszeć legendę.

*

Było to w czasach, kiedy na zgliszczach Sobiesławowej osady, spalonej ciemną listopadową nocą przez krzyżackich zbójów, zaczęto wznosić nowe, murowane miasto. Wyrastały pod niebo obronne mury i baszty, zręby ratusza, kościołów, bram i kamienic. Najpotężniej jednak piętrzyły się łuki i filary ogromnego Mariackiego kościoła. Przewyższał on nawet ceglany zamek w widłach Raduni i Motławy — siedzibę krzyżackiego komtura, który twardo i surowo sprawował rządy nad miastem.

Na imię mu było Henryk. Sercem jego władała pycha i srogość. On to, wyciąwszy słowiańską ludność starego Gdańska, niedobitki straszliwej rzezi osadził na Osieku, a sprowadzał obcych przybyszy i im dawał ziemię gdańszczan. By odpędzić widmo zbrodni prześladowające go nocami, starał się zatrzeć wszystkie ślady dawnego miasta. Rozbił toporem herbową tarczę Gdańska, na której widniał okręt pod srebrną gwiazdą, i kazał kuć kamieniarzom nowy herb: dwa surowe krzyże rozbójniczego Zakonu. Burzył nawet fundamenty starej osady i wznosił nowe, ogromne budowle, wzywając majstrów z dalekich krain. Najślawniejszym z nich był mistrz Ecelino ze słonecznej, słodkiej Francji. Jemu to powierzono budowę Mariackiego kościoła.

Kiedy przyplłynął okrętem ze swej ojczyzny do Gdańska, rycerz Henryk przyjął go w nadmotławskim zamczysku. Siedząc w rzeźbionym krześle pod swoją herbową tarczą z rudym jastrzębiem, tak powiedział do przybysza:

— Wezwałem cię, byś wzniósł w tym mieście kościół farny. Wiem, że są w twoim kraju wielkie katedry, widziałem też ogromną świątynię Św. Zofii w dalekim Bizancjum. Pamiętaj, by gdańska fara zaćmiła tamte ogromem. Nie zabraknie ci złota ani robotników. Dość mamy tu słowiańskich niewolników. Jeśli będzie potrzeba, cały Osiek: mężczyzn, kobiety, starców i dzieci, zapędzę do tej roboty.

Ecelino lubił wielkie budowy. Po nocach śnił mu się wzlatujące w niebo wieże i wieżyczki, koronkowe gzymsy, rozpięte łuki sklepień i portalów*, smukłe posągi, strzeliste kolumny. Rad, że może teraz swoje sny zakląć w kamieniu i cegle, skwapliwie zabrał się do dzieła. Nakreślił śmiały plan, wytyczył linie podwalin przyszłego kościoła i zaczęła się budowa, jakiej dotąd nie pamiętano na całym Pomorzu.

Zapatrzony w swoje dzieło mistrz nie dostrzegał, że krzyżackie knechty popędzają do noszenia kamieni, cegieł i wapna rzemieślników i rybaczek z Osieka, że pod brzemionami zginają się leciwi starcy i garbią młodzi chłopcy, że praca ponad siły zabija nieszczęsnych robotników. Myślał jedynie o budowie. Otworzyły mu się oczy dopiero tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczył dziewczynę o oczach złotych jak kwiecie nadmorskiego żarnowca.

Na imię miała Katarzyna, ale wszyscy nazywali ją Jaskółeczką. Chodziła bowiem tak lekko, że zdawała się nie dotykać stopami ziemi, a kiedy przędała, białe jej dłonie poruszały się szybko i wprawnie jak jaskółcze skrzydełka. Była córką starego Mikołaja Wrosza, którego domostwo stało na gdańskim Osieku, przy błotnistej uliczce zwanej Rybakami. Mikołaj zarabiał na chleb obróbką bursztynu.

Dopóki pomagali mu w pracy dwaj synowie Stach i Wojtek, nie najgorzej jeszcze wiodło się rodzinie Wroszów. Kiedy jednak rozkaz komtura zmusił ich do pracy przy budowie Mariackiego kościoła, do domu zaczął zaglądać niedostatek. Jaskółeczka coraz czarniejszy chleb nosiła braciom na budowę, coraz rzadziej mogła nachylić do ust zmęczonych murarzy dzban z mlekiem.

Pewnego południa Kasia spieszyła się bardziej niż zwykle. Udało jej się zdobyć dzban piwa i pragnęła jak najszybciej napoić spragnionych braci. Zdyszana przybiegła na Chlebnicką i postawiwszy gli-

niany dzbanek na jednym z głazów przygotowanych do budowy, poczęła wypatrywać znajomych postaci wśród krzątających się na rusztowaniach ludzi.

— Ej, Stach, Wojtek! — wołała. — Zejdźcie to! Przyniosłam wam obiad.

W tej chwili za jej plecami rozległ się głuchy stuk. Kiedy odwróciła się, ujrzała już tylko gliniane skorupy swego malowanego dzbanu i złote strużki piwa spływające po ociosanym glazie.

— Przebacz — usłyszała czyjś dźwięczny, miękki głos. — Trafiłem i niechcący rozbiłem twój dzban, ale pragnę wynagrodzić ci stratę.

Dziewczyna podniosła słoneczne oczy. Przed nią stał młody człowiek w cudzoziemskim stroju. Oczy miał ciemne, włosy kędzierzawe i czarne jak skrzydło kruka. W białej dłoni trzymał cyrkiel i zwój pergaminu. Stopę obutą w ciżmę o długim, wygiętym ku górze nosie opierał na kamieniu i patrzył na Kasię żrenicami, w których błyszczał zachwyt.

— Powiedz, co mam uczynić, aby spłacić ci dług? — mówił. — Nie chciałbym za nic w świecie stać się przyczyną najmniejszego nawet z twoich zmartwień.

— Kto jesteście, panie? — zapytała Kasia.

— Zowią mnie Ecelino — odparł — a jestem budowniczym. Przybyłem z dalekiej francuskiej ziemi, by wznieść wam tę świątynię.

Jaskółeczka spojrzała błagalnie na nieznajomego.

— Jeśli naprawdę jesteś gospodarzem tej budowy — poprosiła — tedy ulżyj doli tych, co murują i dźwigają na rusztowaniach wapno, cegłę i kamień. Wiem, jak ciężkie jest ich życie. Wiem, że sił im brak, że niejeden rychło załamie się i padnie pod brzemieniem losu.

Ecelino po raz pierwszy pomyślał o trudzie gdańskich robotników. Zobaczył ich zgarbione plecy i czoła zroszone kroplistym potem. Żal ścisnął mu serce. Zapytał dziewczyny o jej rodzinę i tego samego dnia wieczorem zjawił się w domu Wrosza przy osieckich Rybakach. Oparty o komin, w którym tliły się smolne szczapy, słuchał piosenki Kasi, nuconej przy wtórze warczącego kołowrotka:

*Ziuziu, ziuziu, mały synku,
zabili ci ojca w rynku,
zabili go ze drugimi
toporami żelaznymi...
A w Raduni krwawa woda,
szkoda ojca, życia szkoda...*

Wzruszyły go rzewne tony i posępne słowa gdańskiej kołysanki, w której przetrwały echa krzyżackiej rzezi. Stary Mikołaj opowiadał mu o owej straszliwej nocy, kiedy to z zamku, gdzie w lochach ślepnął uwięziony polski kasztelan Bogusza, ruszyli na śpiące miasto z mieczami i pochodniami w dłoniach mordercy w krzyżami znaczonych płaszczach. Opowiadał, jak pod zdradzieckimi ciosami ginęli chłopcy, którzy przybyli do miasta na jarmark Dominikiem zwany, jak padali na progach swych domostw gdańscy rybacy, garncarze i kołodzieje, jak ostatni z polskich rycerzy bronił się przed tłumem napastników na Wieży Św. Mikołaja, aż uległ przemocy i runął z wysokości w dół, na błoto przykościelnej ulicy. Wspomniawszy, jak krew zaczerwieniła miejskie kałuże i spływała strugami do rzeki, aż zrudziały jej nurty.

Tym straszniej brzmiała w uszach słuchacza ostatnia zwrotka Kasinej piosenki:

*Wianek bierzesz do dom sobie,
kładziesz go na ojca grobie,
płacząc modlisz się za ojca,
co go zabił Krzyżak zbójca...
A w Raduni krwawa woda,
szkoda ojca, życia szkoda...*

Od tego wieczoru mistrz Ecelino co dzień niemal przychodził o zmierzchu na Osiek do Wroszów. Słuchał opowieści starego burztyniarza, słuchał piosenek jego córki, narzekań Wojtka i Stacha. Trzaskał ogień na kominie, cykały świerszcze wśród grubych bierwion domostwa, a on nie spuszczał oczu z pięknej Jaskółeczki. Coraz

bardziej zachwycała go jej uroda. Im bliższa zaś stawała się Kasia jego sercu, tym serdeczniej współczuł doli jej rodaków i tym bardziej wrogi i nienawistny był mu rycerz Henryk z nadmotławskiego zamku.

*

A gdański komtur chodził w tym czasie niespokojnie po swojej komnacie. Patrzył to w gotyckie okna, za którymi ciemniał las okrętowych masztów, to na swoją wiszącą na ścianie tarczę z rudym jasztrzębiem i gniewnie marszczył brwi. W sklepionych piwnicach zamczyska szczękali łańcuchami więźniowie, ale nie brzęczało złoto. Skrzynie skarbcza świeciły dnem, a na budowę ogromnego kościoła potrzeba było coraz więcej pieniędzy.

— Co robić? — zapytał w końcu rycerz zatrzymując się przy stole, za którym siedział opasły mnich w czarnym habicie. — Poradź, ojcie Bertoldzie. Ty, który przeczytałeś więcej mądrych ksiąg, niżli masz włosów w swojej brodzie, na pewno znajdziesz sposób, by napełnić nasz skarbiec złotem i nie dopuścić do przerwania budowy Mariackiego kościoła.

Zadumał się czarny mnich. Zmarszczył czoło, podrapał się za uchem.

— Niełatwo znaleźć odpowiedź na to pytanie — odparł wreszcie.

Rycerz nie przestawał nalegać.

— Ufam w mądrość twoją — mówił. — Wiesz przecie, ilu diabłów zmieści się na końcu szpilki. Wiesz, czy rodzic nasz Adam miał pępek i czy Pan Zastępów potrafi stworzyć głaz tak ogromny, iżby sam go unieść nie mógł. Myślę tedy, że i tym razem znajdziesz radę.

Ojciec Bertold nadał się z dumy jak skórzany wór napełniony winem.

— Czytałem był ongi jedną księgę — zaczął prawić powoli, z namaszczaniem. — Pisał w niej jakowyś pogański mędrzec, opiewający wyprawę owych żeglarzy szukających złotego runa, iż na najdalszych granicach ziemi, u bram straszliwej siedziby Nocy, płynie złotodajna rzeka Erydan. Nurt jej toczy się wśród czarnych, przepaścistych bagien. U jej ujścia znajdują się Wyspy Bursztynowe, a nad jej brzegiem stoi miasto Hermion, w którym złota jest moc nieprzebrana.

— Złupiłbym ten gród — uderzył komtur w rękojeść miecza —
żebym jeno wiedział, gdzie go szukać.

— Nie pojąłeś? — zdziwił się mnich. — Przecie Erydan to Ra-
dunia, a Hermion nic innego, jeno Gdańsk.

— A owo złoto to gdańskie błoto — dokończył komtur. — Iście
nie brak go w tym grodzie.

— Nie drwij — uciszył go zakonnik. — Nie wiesz, iż bursztyn
nazywają w świecie „bałtyckim złotem“? Łacno wymienisz go na
najcenniejszy z kruszców.

Henryk przestał się śmiać.

— Dobrze mówisz! — zawołał. — Dziś jeszcze wydam prawo,
że bursztyn wyrzucony przez morskie fale należy do Zakonu. Każdy,
kto znajdzie choćby najmniejszy okruch, musi go odnieść na zamek.
Biada tym, co by chcieli go ukryć, kupić lub sprzedać.

I klasnął w dłonie, by przywołać pachołków i wydać srogie roz-
kazy.

*

Od tego dnia nie brakło już złota w zamkowych skrzyniach. Okręty
ładowne złocistym jantarem odpływały z motławskiej przystani do
dalekiej Flandrii, gdzie za bursztyny płacono chętnie i szczerze.
Rosły mury kościoła, piętrzyła się pod niebo potężna wieżyca. Ale
jednocześnie życie mieszkańców Osieka stało się jeszcze cięższe niż
do tej pory. Poza innymi powinnościami musieli zbierać i łowić bur-
sztyny. Pilnujący ich pachołkowie patrzyli na ręce jantarowych po-
szukiwaczy i każdego, kto próbował ukryć jaką grudkę, wtrącali do
więzienia.

Zapełniał się skarbiec i zapełniały się wilgotne lochy więzienne.
W ciemności i chłodzie czekali tam więźniowie na srogie wyroki —
szubienicę albo katowski pień. Pewnego ranka ten straszny los spotkał
również sędziwego Mikołaja. Kasia znalazłszy kawałek bałtyckiego
złota poprosiła ojca, by jej zrobił z niego serduszko.

— Dam je mojemu miłemu. Pragnę, by Ecelino, ilekroć na nie
spojrzy — przypomniał sobie o mnie.

Wrosz obiecał spełnić prośbę córki. Zdarzyło się jednak, że jakiś szpieg doniósł o tym na zamek i starca wtrącono do lochów. Zrozpaczona Jaskółeczka pobiegła szukać ratunku do narzeczonego. Przybiegła zdyszana i zapłakana na budowę i poczęła pytać murarzy o Ecelina.

— Nie widzieliśmy go — odpowiedzieli. — Jest tu wszakże komtur Henryk. Przyszedł dziś obaczyć, czy budowa daleko już postąpiła.

— Gdzie on? — zapytała postanawiając w rozpacz prosić Krzyżaka, by uwolnił jej ojca.

— O, tam — wyciągali ręce. — Na rusztowaniach, pod samym szczytem wieży.

Pobiegła lekko ku kościołowi i poczęła spieszenie wspinać się po drabinach. Wieża była już bardzo wysoka, dziewczyna jednak gnana lękiem o ojca szybko znalazła się pod szczytem, gdzie rycerz Henryk stał z pogardliwie odętymi wargami i przypatrywał się trudowi murarzy.

— Panie — zawołała błagalnie Kasia zbliżając się do niego — zlituj się nad moim ojcem! Stary jest już i słaby. Nie wytrzyma długiego więzienia. Zginie w mrocznym lochu.

Komtur odrzucił na ramię płaszcz z czarnym krzyżem i uważnie spojrzął na dziewczynę. Złote oczy szklily się łzami, a wiatr potargał jej warkocze tak, że włosy spływały jej na plecy i ramiona jak bezcenny płaszcz. W smutku i niepokoju piękniejsza była jeszcze niż zwykle.

— Nie uwolnię twego ojca — powiedział nie spuszczać oczu z Kasi. — Zostanie na zamku i ty tam się znajdziesz.

Wyciągnął ręce drapieżne jak ptasie szpony i chwycił szerokie rękawy jej ciemnobłękitnej sukni. Szarpnęła się przerażona.

— Nie ujdiesz mi! — syczał przez zaciśnięte zęby. — Choćbyś zmieniła się w mysz i schowała w myszą dziurę, złapię cię. Choćbyś stała się ptakiem, doścignę cię i porwę na zamek.

Jaskółeczka próbowała wyrwać się z jego rąk. Szamotała się z Krzyżakiem na skraju chybotliwego rusztowania, gdy pojawił się Ecelino. Murarze powiedzieli mu o nieszczęściu, jakie spotkało Kasię i jej ojca, powiedzieli mu, że poszła prosić komtura o łaskę. Chciał wsta-

wić się również za starym Mikołajem i dlatego pospieszył na wieżę. Gdy jednak znalazł się pod szczytem i zobaczył, co tam się dzieje, nienawiść ogarnęła go jak czarna mgła i oślepiła szaleństwem.

— Przebrała się miara krzywd! Giń, zbrodniarzu! — krzyknął i pchnął z całej siły Henryka.

Ten zachwiał się, chybotął przez mgnienie oka na krawędzi rusztowania, aż runął w przepaść pociągając za sobą złotooką dziewczynę. Przerażony budowniczy padł na kolana i spojrział w dół. Krzyżak w wydętym płaszczu i Kasia z rozwianymi rękawami i smugami warkoczy lecieli w otchłań, na której dnie, pod murami domów, ludzie mali jak czarne żuki biegali trwożnie i wyciągali ku górze ramiona.

— Cóżem uczynił?! — jęknął Ecelino. — Oddałbym życie, byle cię ocalić, Jaskółeczko moja!

Zerwał się i bez namysłu skoczył z rusztowania za ukochaną. I oto stała się rzecz dziwna, trudna do pojęcia: już mieli roztrzaskać się o głązy i cegły zgromadzone pod kościołem, gdy nagle murarze na wieży i ludzie stojący w dole na ulicy skamienieli ze zdumienia.

Szerokie rękawy Kasi zatrzepotały jak skrzydła i dziewczyna zawisła w powietrzu czarno-białą jaskółką. Zniknął komtur, zniknął Ecelino. Zamiast rycerza pojawił się rudy jastrząb i rzucił się od razu w pościg za małym ptaszkiem. Leciał za nim kracząc przeraźliwie smolisty kruk. Kiedy jaskółeczka zatoczywszy lotny krąg uniknęła ciosu ostrego dzioba, czarny ptak radośnie zatrzepotał skrzydłami i krzyknął triumfalnie w ptasiej mowie.

Dziś ludzie nie rozumieją tego okrzyku, nie umieją przetłumaczyć na słowa tryumfalnego głosu kruka. Tylko najstarszy z murarzy mariackich, od którego usłyszałem tę legendę, wie, że zaklęty ptak powtarza od wieków:

— Wielka jest moc nienawiści, ale siła miłości stokroć potężniejsza.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

LWY Z GDAŃSKIEGO RATUSZA



EST NA Ratuszu głównomiejskim w Gdańsku herb miasta, na który ze zdziwieniem patrzą przechodnie. Niby to nic w nim niezwykłego. Tak samo jak i na innych gdańskich herbach dwa kamienne lwy strzegą tarczy, na której nad dwoma krzyżami widnieje korona Kazimierza Jagiellończyka. A jednak jest w tym godle coś odmiennego, coś, co przykuwa spojrzenie, zastanawia i niepokoi.

Oto oba lwy herbowe, patrzące zawsze na siebie, tym razem odwróciły głowy i zdają się spoglądać w głąb ulicy Długiej, tam gdzie pod ciemnym zrębem Więziennej Wieży połyska złoceniami gzymsów, posągów i napisów tryumfalna Brama Złota. Kiedy nad miastem zapada zmierzch i w oknach renesansowych, barwnych kamieniczek rozbłyskują pierwsze światła, kamienni strażacy gdańskiego godła zdają się ożywać. Podnoszą głowy, potrząsają kudłatymi grzywami i wyteżają oczy pełne tęsknoty i niepokoju.

Przystają zdziwieni przechodnie u stóp kamiennych schodków wiodących do Ratusza, patrzą na piękny portal i pytają o imię mistrza, który wykuł w kamieniu to dzieło, skazując gdańskie lwy nieomylnym ciosem swego dłuta na milczącą tęsknotę i wieczne oczekiwanie.

*

Na imię mu było Daniel. Stary gdański majster Krzysztof, który uczył go stukotem kamieniarskiego młota i szczękiem dłuta, jakby magicznymi zaklęciami, wywoływać z głazów postacie pacholków miejskich, kupców i żeglarzy, często żartował z tego imienia.

— Był niegdyś taki Daniel, co z lwami żył w wielkiej przyjaźni. Babiloński król kazał go rzucić do lwiej jamy bestiom na pożarcie, ale one, zamiast rzucić się na chłopca, zaczęły się do niego łąsić. Myślę tedy, że i ty dasz sobie radę z tymi lwami, które zamówiła u mnie Miejska Rada.

I powierzał młodemu rzeźbiarzowi coraz trudniejszą robotę. Całymi dniami stukał kamieniarski młotek Daniela. Wychodziły spod jego dłuta figury rajców i świętych, nocnych stróżów i rycerzy. Najchętniej jednak rzeźbił lwy, łagodne i groźne, spokojnie drzemiące z pochylonymi łbami i drapieżne, sprężone do skoku, z mięśniami zdającymi się grać pod napiętą skórą.

Przychodzili do jego warsztatu gdańscy rajcy, przyglądali się kamiennym lwiskom. Podziwiali ich otwarte paszcze, zjeżone grzywy, groźne ślepia.

— Mistrz z ciebie nie lada! — mówili. — Lwy twoje są jak żywe. Aż dziw bierze, że nie ryczą...

Tym większy był ich podziw, że w owym czasie herbowe gdańskie lwy nie były już tak groźne jak ongi dla nieprzyjaciół Rzeczypospolitej. Nad miasto nadciągały ciemne chmury. Król pruski Fryderyk, o złośliwej twarzy diabła z pomorskich baśni, coraz chciwiej wyciągał grabieżcze ręce po bogaty nadmotławski port.

— Źle się dzieje! — narzekał siwy majster. — Gdybym nie był już tak stary, rzuciłbym dłuto i wziął muszkiet w ręce. Nabiłbym go którymś z tych polskich trojaków* fałszowanych przez wroga i strzeliłbym nim prosto w serce pruskiego diabła. Mówili mi kaszubszy rybacy, że na czarty jedyny to sposób.

Ale miejscy rajcy nie byli tak dzielni jak sędziwy kamieniarz. Fryderyk tymczasem coraz ciaśniej zaciskał swą pętlę na szyi miasta. Pod czerwonymi murami kwidzyńskiego zamczyska zbudował na piaszczystej łasze, leżącej pośrodku Wisły, komorę celną i pod grozą

dział i muszkietów żołnierskich ścigał bezprawnie cło z każdej szkuty* i komięgi* idącej rzeką do Gdańska.

— Im bardziej ciężki będę jako wróg — mówił — tym chętniej przyjmą mnie jako władcę!

I jak prawdziwy diabeł kusił gdańszczan, by oddali się pod jego opiekę i otworzyli mu bramy upragnionego miasta. Mieszczanie nadmotławskiego portu wierni jednak byli Polsce i odpowiadali, że nie chcą „zobowiązać się do niczego, co by było przeciwne wierności owej królowi jegojomości i najjaśniejszej Rzeczypospolitej“.

W tym właśnie trudnym czasie rajcy postanowili przyozdobić głównomiejski Ratusz przy Długim Targu nowym portalem. Któż by mógł lepiej wykonać to dzieło niż mistrz Daniel. Jemu więc też powierzono pracę. Burmistrz wezwał rzeźbiarza na Ratusz i w pięknej Czerwonej Komnacie, na której powale barwił się obraz wystawiający wieczne przymierze Gdańska z Polską, tak powiedział:

— Wykuj mi w kamieniu nasz herb! Niech go trzymają dwa lwy, wielkie gdańskie lwy, mądre i groźne dla nieprzyjaciół. Niech przypominają po wieczne czasy potęgę naszego miasta.

Daniel pochylił głowę.

— Uczynię, jak sobie życzycie! — zapewnił i wróciwszy do swego warsztatu, od razu zabrał się do dzieła.

Wykwitały pod jego dłutem ozdobne wzory gzymsów, wiotkie gałązki, muskularne torsy i brodate głowy postaci podtrzymujących przedproże, kwieciste kapitele* smukłych kolumn...

Kiedy przystąpił do kucia herbu, odwiedził go stary mistrz i przyjaciel.

— Widzę, że jak ci przepowiedziałem, żyjesz z lwami za pan brat — powiedział przyglądając się robocie dawnego ucznia. — To dobrze! Mało teraz lwów na świecie. Za to nie brak lisów, wilków i tchórzy.

Daniel wyprostował się, odgarnął z czoła zlepione potem kosmyki włosów i odparł:

— Postaram się, by moje lwy przypomniały tym wilkom, lisom i tchórzom o dawnych, lwich cnotach Gdańska...

- Cóż to za cnoty?
- Męstwo i wierność.
- Jak to uczynisz?
- Obaczysz, mistrzu, w dzień, kiedy ukończę moje dzieło.

*

Nadszedł wreszcie ów dzień. Mistrz Daniel wraz ze swymi czeladnikami wmurował nowy portal w ceglana ścianę Ratusza. Pięknie jaśniały kamienne balustrady, kolumny i gzymsy na tle starych, pociemniałych cegieł. Tłum podziwiał w milczeniu wspaniałe dzieło. Ale nie było okrzyków radosnych, nie było wesela. Gdańszczanie, pochmurni jak niebo nad ich miastem, wiedzieli, że coraz bliżej dudnią kroki batalionów pruskiego króla, że szpiedzy chytrego Fryderyka kręcą się po mieście, że lada chwila ze skłębionych chmur może uderzyć grom. Ciszę, jaka zaległa na Długiej i Długim Targu, przerwał nagle czyjś głos:

— Patrzcie! Patrzcie na lwy! Oba zwróciły głowy w jedną stronę. Pomylił się nasz mistrz.

Podnieśli głowy rajcy, mieszczanie i żołnierze. Oba lwy patrzyły ku Złotej Bramie.

— Co za błąd! — szepnął burmistrz.

W tejże jednak chwili na kamienne schody przedproża wdarł się jakiś stary kamieniarz w spłowiałym kaftanie.

— To nie błąd! — zawołał. — Czyż nie pojmujecie, co to ma znaczyć?

Odpowiedziało mu milczenie. Więc stary mówił dalej. W oczach błyszczał mu ogień, a wiatr rozwiewał siwe włosy, kiedy tłumaczył:

— Patrzą te lwy ku Złotej i Wyżynnej Bramie. Patrzą tam, gdzie zaczyna się Królewska Droga, w stronę, z której przybywają do naszego miasta polscy władcy. Mistrz Daniel pragnął wam przypomnieć, że nie na darmo król Kazimierz zawiesił nad herbowymi krzyżami Gdańska swoją koronę. Ogłasza ona wszem wobec, że Polska to matka i opiekunka. Wiedzą o tym gdańskie lwy i dlatego niewzruszone i wierne wypatrują monarchy Rzeczypospolitej, czekają na jego powrót.

Szmer przebiegł przez tłum.

— Oby wrócił jak najspieszniej i wziął nas w obronę przed wrogiem! — wzdychali mieszczanie.

— Oby nie zapomniała Polska o Gdańsku!

*

Wkrótce na ulicach miasta zadudniły buty nieprzyjacielskich żołnierzy i biły posępnym, pogrzebowym werblem przez półtora wieku. Sposepniały twarze polskich królów wykute na gmachach przy Długim Targu. Spochmurniał Jagiełło na Złotej Kamienicy, spochmurnieli Zygmunt Waza i Władysław IV na portalu Artusowego Dworu. Opuścił smutnie głowę Neptun stojący na kamiennej fontannie. Kurantowe zegary na gdańskich wieżach żałośnie wydzwaniały godziny niewoli.

Długo czekały kamienne lwy z gdańskiego Ratusza na powrót Polski. Nocami, kiedy tylko od strony Złotej Bramy dobiegły ich odgłosy kroków czy tętent koni i turkot kół, podnosiły grzywiaste łby, wpatrywały się w ciemność i pytały jeden drugiego:

— Czy to powraca polski król?

— Czy zbliża się Rzeczpospolita?

Ale mijały lata, a dokoła gdańskiego Ratusza wciąż rozbrzmiewała obca mowa i obce pieśni. Aż pewnego wiosennego dnia zatrzęsły się mury miasta, zakołysały wieże. Potężny huk armat wdzierał się w ulice, którymi pierzchali w popłochu przerażeni wrogowie. Podniosły głowy ratuszowe lwy.

— Słyszysz, bracie, te grzmoty? — mruknął pierwszy. — Nie pamiętam takiej burzy.

— To Polska wraca! — ucieszył się drugi. — Jej powrót wieszczą te wiosenne gromy i błyskawice. Czy nie widzisz?

Spod łuku Złotej Bramy wtoczył się w ulicę Długą pierwszy czołg z białym orłem na wieżyczce. Chrobocząc gąsienicami po bruku, wśród trzasku salw i czarnych dymów podjechał pod Ratusz i zatrzymał się

na Długim Targu. Otworzyła się żelazna klapa. Z wieżyczki wyskoczył młody żołnierz z biało-czerwonym sztandarem w ręce, podbiegł do Dworu Artusa i wspiął się na jego szczyt. Kiedy wtoczyły się na gdański rynek inne czołgi, załogi ich ujrzały czerwień i biel powiewającą nad miastem w porywistym bałtyckim wichrze.

— Gdańsk znowu nasz! — zawołali żołnierze. — Wróciliśmy! Odzyskaliśmy miasto. Na zawsze!

Potrząsnęły grzywami kamienne lwy z ratuszowego portalu i zaryczały radośnie, tryumfalnie. A wtórował im basowy chór dział i Bałtyk bijący falami o piaszczyste, odzyskane Wybrzeże.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

KRASNOLUDKI W SIEMIANACH



P R A S T A R Y C H lasach otaczających gromadę Siemiany znajdują się liczne jeziora. Nad ich brzegami wznoszą się pagórki, a między nimi widać głębokie ciemne jamy. Kiedyś podobno mieszkali w tych kryjówkach karzełki, małeńkie ludki, życzliwe i pomocne ludziom w niedoli.

A było to tak:

Bardzo dawno temu w owych lasach żyły liczne gromady wilków. Drapieżniki były bardzo dzikie i zuchwałe. Latem rabowały bydło pasące się na polanach, zimą wpadały po łup nawet do wsi. Pewnej nocy styczniowej podkopały się w jednej zagrodzie do chlewa i porwały stamtąd maciorę i osiem prosiąt. A uczyniły to bardzo cicho, tak że gospodarz nie usłyszał zdławionego skomlenia Urwisza, napadniętego przez drapieżników. Pies nie zdążył nawet głośno zaszczekać. Rano znaleziono przy budzie ogryziony szkielet.

Chłopi bardzo się bali czworonożnych rabusiów. Kobiety i dzieci nawet letnią porą nie miały odwagi chodzić do lasu na jagody i grzyby. Nikt już nie chciał być pasterzem gromadzkim. Dlatego bydło, stojąc w oborach, ryczało z głodu i nie dawało ani kropelki mleka.

W tym właśnie czasie zgłosił się u sołtysa jakiś nieznajomy człowiek z prośbą o przyjęcie go do pracy. Powiedział, że nazywa się

Gustaw, że służył poprzednio na majątku w Słobitach, ale podczas ostatnich żniw przewrócił się na niego wielki, naładowany wóz, jadący do stodoły, i Gustaw ciężko chorował przez całą zimę. Na wiosnę wyrzucono go z mieszkania. Teraz szuka pracy. Ponieważ dowiedział się, że w Siemianach nie mają gromadzkiego pasterza, przyszedł tutaj.

Sołtys spoglądał uważnie na opowiadającego, na jego bladą twarz, na zapadnięte policzki. Pokiwał głową:

— Obawiam się, że nie dasz sobie rady. Co zrobisz, jak wilki napadną stado?

— Oo, starczy mi siły, by je odegnać! — zapewnił gorąco Gustaw. Omówili z sołtysem warunki i Gustaw pozostał we wsi.

Już następnego ranka nowy pasterz wypędzał stado gromadzkie na polanę leśną. W drodze wiodącej na pastwisko przyłączyła się do trzody jakaś osobliwa krowa. Sierść miała gładką i białą jak śnieg. Koniec ogona i racice lśniły czarne. Oczy zwierzęcia płonęły jak dwa węgle drzewne, a rogi błyszcząły jak szczerze złoto. Gustaw początkowo sądził, że ta nadzwyczajna krowa musi być własnością kogoś z gospodarzy, i choć zdziwiony nieco, pognał ją razem z resztą stada na pastwisko. Przez cały dzień troskliwie opiekował się bydłem, gotów w każdej chwili bronić je przed okrutnym rabusem.

Przez cały dzień jednak nie tylko nie było widać wilka, lecz nawet nie słychać było jego wycia. Krowy pały się spokojnie. Kiedy o zmierzchu Gustaw prowadził stado z powrotem do wioski, zauważył, że po drodze owa osobliwa krowa nagle znikła. To samo powtarzało się rano i wieczorem przez kilka następnych dni. Gustaw nie zapytał jednak nikogo o to dziwne zwierzę i z uśmiechem patrzył na białą sierść i lśniące rogi.

Chłopi byli zadowoleni, że bydło spokojnie wracało do zagród syte i dawało wielkie ilości dobrego, tłustego mleka. Kobiety i dzieci nabrały odwagi i wybiegały do lasu, wracając z dzbanami pełnymi jagód i koszami grzybów.

Sołtysowi dziwne wydawało się, że wilki nie napadają na bydło ani na ludzi. Kiedyś wieczorem zaprosił pasterza na pogawędkę.

— No i co, Gustawie — zaczął — jak idzie robota?

— Dobrze — odpowiedział pasterz. — Wilków nie widać, krowy mają spokój i mogą się najeść, ile chcą. A trawa soczysta, bujna, rozrosła się. Od tak dawna nie pędziliście przecie stada na łąki.

— I nic nie zauważyłeś osobliwego?

— Nie — pasterz zawahał się. — Tylko co rano przyłącza się do naszego stada krowa, cała biała, która nie wraca wieczorem do wioski. Widać dobrze zna drogę do obory i trafia sama. A właściciel tej krowy musi dbać o nią bardzo, bo co rano przychodzi czysta jak żadna inna.

Słyszając to sołtys pomyślał chwilę i nagle ożywił się:

— Gustawie, to jest na pewno krowa onych karzełek, co mieszkają w pagórkach nad brzegami naszych jezior leśnych!

— Cie go! — zdziwił się pasterz. — Nie śniło mi się nawet, że mógłbym opiekować się krową krasnoludków.

— Tak, to krowa karzełek — ciągnął sołtys. — Teraz rozumiem, dlaczego wilki dają nam spokój. Najbardziej zuchwały i głodny nie ośmieli się napaść na krowę krasnoludków. A one karzełki pomagają nam i tobie za twoją odwagę, dobrą wolę i uczciwą pracę. Może dostaniesz od nich jeszcze inną nagrodę, bo pilnujesz przecież ich krowy tak samo jak naszych...

Tak się też stało. Od następnego dnia Gustaw codziennie w południe znajdował pod drzewem, gdzie zwykł siedzieć, srebrny grosz polski.

Chciał podziękować krasnoludkom, no i ujrzeć te cudaczne stworzonka, ale daremnie wypatrywał. Nigdy nie dojrzał żadnego karzełka. Pieniądze składał i oszczędzał na zimę, pracy nie miał ciężkiej, dobrze mu było.

A wilki jak niepyszne uciekły na zawsze z okolicznych lasów.

JAK POWSTAŁA WYSPA LALKA NA JEZIORZE ŁAŃSKIM



H A T A była drewniana i stała tak blisko jeziora, że spienione wichrem wody obryzgiwały spróchniały próg i pochyłe ściany. Od tego częstego mycia zapewne wyglądała, jakby była z ciemnoszarego miękkiego aksamitu. W pogodne dni rozstłonecznione wody rzucały garściami złote cekiny na małe okna chaty lub zapalały o zachodzie w szybach cudowne pochodnie.

Zaraz za chatą wznosiło się z przeciwnej strony strome wzgórze, porośnięte gęsto paprocią, liliowymi dzwoneczkami i karłowatą sośniną, przetykaną jałowcem. Ludzie niechętnie przechodzili koło tego wzgórza mówiąc, że tam nocami straszy. Byli nawet tacy, co widzieli różne dziwaczne postacie: a to białego konia bez głowy, a to czarnego psa, któremu buchał ogień z paszczęki, lub też olbrzymiego ptaka, co to latał bezszelestnie nad wzgórzem i wydawał krzyk podobny do głosu ludzkiego.

Podobno kiedyś, bardzo dawno temu, mieszkał w chacie przybrzeżnej młody rybak z matką staruszką. O niej to różnie gadano

w wiosce, dlatego bali się jej ludzie i nawet żegnali się trwożnie, gdy w ciemności mijali zagrodę. Za to rybaka poważano, bo był pracowity i usłużny, chociaż także trochę dziwak. Na ogół nazywano go dumaczem, bo z ludźmi to on gadać nie potrafił. Za to rozmawiał ze zwierzętami, ptakami, a nawet z rybami, choć wiadomo, że ryby głosu nie mają.

Tylko zimą, gdy mróz malował na szybach różne kwiaty i liście, śnieżna nawałnica szalała na dworze i lód pękał z hukiem na jeziorach, siedział rybak z matką przy świetle lampki naftowej, wiązał sieci i rozmawiał a rozmawiał, jakby chciał osłodzić długie milczenie w lecie. A matka jeno kiwała głową i szeptała po cichu:

— Oj, głupi ten mój Wojtuś! Ot, głupi!...

Rada by widziała, gdyby jej syn do chaty sprowadził synową. Już dawno potrzeba było młodszych rąk do pracy. Palce staruszki drżały i nie mogły wyciągnąć równej nitki przy przędzeniu, a sieci często się rwały, więc nowa przędza była potrzebna. A i tkać trzeba było szmaciaki, obrusy na stół, narzuty na łóżko.

Ale Wojtek ani myślał o małżeństwie.

— Dziewczyny to ino stroje mają w głowie i uciechy, w chacie pożytku nie będzie — twierdził.

— Nie wszystkie one takie! Nie wszystkie! — zaprzeczała matka. — Ot, Baśka od sąsiadów stateczna dziewczyna, gospodarna i niebiedna. Patrzy ona za tobą, Wojtuś! Patrzy! Ale ty nic nie widzisz, ino twoje ryby i wodę. Ciągle coś dumasz i dumasz.

— Matuleczko moja — mówił kiedyś Wojtek. — Gdybyś ty wiedziała, jaka woda jest piękna, gdy o poranku pożyczą od nieba tęczyowych kolorów, a mgły gładzą powiewnymi całunami jej powierzchnię, że lśni jak to lustro, co to widziałem w domu kupca w mieście, gdy zawiozłem kosz ryb... Nieraz też woda lekko falując opowiada baśnie i dziwy o życiu w jej głębi, że ino słuchać a słuchać. Ach, jakie to piękne, matko! — dodał z westchnieniem pełnym podziwu i lubości.

— Co tam za życie w tej wodzie! Ryby to i wszystko — odpowiedziała matka pół z politowaniem, pół z pogardą w głosie.

Ale syn nie zważając na te słowa snuł dalej głośno swe myśli:

— Każda ryba jest inna, odmienne ma przywary i zwyczaje. Węgorz wśliznie się tam, gdzie insza ryba nie dotrze, jest przebiegły i łasy na groch. Szczupak to największy zbój i żarłok nie lada, czyha on na mniejsze rybki, które zjada łapczywie. Leniwy zaś i powolny jest lin, dlatego jest tłusty. Ościsty leszcz im większy, tym jest smaczniejszy, ale robi spustoszenie pośród małych ryb, dlatego się go boją i uciekają przed nim. Okoń ino nastroszy koralowe płetwy i pyszni się, że posiada prążki na sukni. Karaś lubi muł i błoto, chociaż posiada pozłociste łuski. Wstydlive płotki zaś i uklejki chowają się w trzcinę i pod liście grzybieni, gdzie zwinnie tańczą jak panienki...

— Myślałbyś ty lepiej o ludziach aniżeli o rybach — mamrotała zgorszona matka. — O Baśce...

— Dajcie spokój, matka. Czyż nam nie dobrze razem w chacie? — oburzył się Wojtek.

Przeszła zima. Wiosną Wojtek całymi dniami, a nawet i nocami siedział na wodzie. Czasem ułowił mało ryb, a nieraz z nocnego połowu prawie żadnych nie przyniósł, za to twarz miał taką rozpromienioną, jakby go na wodzie spotkało najprawdziwsze szczęście.

— Ciebie pewnie ktoś oczarował czy co! — wybuchnęła kiedyś matka ze złością, widząc puste kosze i sieci. — Żebyś mi czasem nie przyprowadził jakiejś ladacznicy wodnej do chaty! — krzyczała ze złością na dobre. — Ponoć są takie: pół ryby, pół człowieka — dodała prawie szeptem.

— Nie mówcie o tych rzeczach, matko! Nie mówcie! — szeptał Wojtek trwożnie.

Wieczorem tego dnia wybrał się jak zwykle na jezioro. Słońce już dawno zanurzyło twarz w przeciwległym brzegu i zgasło. Zorza wyróżowała brzegi nie docierając do środka jeziora, gdzie ciemnognatowe wody wyglądały jak olbrzymie oko, pełne tajemnic i czaru. Leciutko pobrzękiwały trzciny, wśród których słychać było gwar nurków, kurek i dzikich kaczek.

Wojtka coś ciągnęło w kierunku niedużej wyspy, która porośla leszczyną, olchami i twardą trawą, zieleniła się prawie na środku je-

ziora. O tej wyspie gadano wszędzie, że jest zaczarowana i trzeba ją omijać zwłaszcza o północy, a już broń Boże nie płynąć koło niej w noc świętojańską, bo wtenczas urzekną człowieka czary, z których się już nie wyleczy. Starzy rybacy opowiadali, że na wyspie widzieli tańczące dziewczęta, a w jesienne noce pochodnie wędrujące, których żaden wicher ani ulewa nie były w stanie zgasić.

Dobiwszy do brzegu Wojtek usiadł w łodzi.

Nagle ni stąd, ni zowąd zjawiła się obok niego przedziwnej urody dziewczyna. Suknię miała śnieżną, powiewną jak mgła, lica marmurowo białe, a ramiona jakby utoczone z alabastru. Bose stopy zdawały się tak delikatne, jakby nigdy nie dotykały ziemi. Najpiękniejsze zaś były jej oczy: modre jak toń jeziora o świcie, a głębokie i tajemnicze. Na mokrych włosach królował wianek z wodnych lilii.

Rybak przeżegnał się raz i drugi, ale widziadło nie zginęło — przeciwnie, dziewczyna zaśmiała się dźwięcznie, ukazując zęby lśniące jak srebrne łuski uklejki. Przypatrzwszy się rybakowi rzekła:

— Głos ludzki z twojej chaty wołał dzisiaj na mnie. Był to jednakże głos zły i nieprzyjazny. A przecież nie ma niewinniejszych istot nad te, które mieszkają w kryształowych pałacach wód. Gorzej byłoby, gdyby na mnie zawołał głos miłości, bo jemu się nic nie oprze w świecie. To jest najpotężniejsza siła, przed którą klękają nawet aniołowie.

Rybak tylko kiwnął głową, niezdolny przemówić słowa. Zapatrzył się w błękitne źrenice dziewczyny i nie mógł od nich oczu oderwać. Ale jak nagle się zjawiła, tak i nagle znikła. Wojtek westchnął głęboko, przetarł ręką po czole i potem już nie wiedział, czy mu się śniło, czy też rzeczywiście widział piękną wodnicę.

Nazajutrz nie mógł się doczekać wieczora. Chodził to tu, to tam, rozpoczynał jedną robotę, imał się drugiej, aż matka zgorszona i zła rzekła:

— Wojtek, co ci to? Nic, tylko cię kto oczarował, że chodzisz jak Marek po piekle. Ale kto? Kto?...

Wojtek nawet nie spojrzał na matkę i nic nie odpowiedział.

Ledwie zaszło słońce, znów wypłynął na wodę, prosto do wyspy. I tym razem nieznajoma zjawiła się nagle w łodzi. Poprosiła, by wy-

płynął na jezioro. Białymi dłońmi gładziła wodę, przelewała z jednej ręki w drugą, jak płynne srebro, i nuciła jakąś nieznaną piosenkę bez słów. Melodia była tak słodka i czarodziejsko piękna, aż rybki powytykały główki i otwarły zdumione pyszczki słuchając cudownego śpiewu.

Odtąd ten śpiew brzmiał rybakowi zawsze w uszach, nawet we śnie.

Codziennie wypływał do wyspy i codziennie spotykał cudowną dziewczynę. Nie rozmawiali ze sobą wiele, raczej patrzyli sobie w oczy coraz przyjaźniej, coraz serdeczniej. Aż pewnej nocy nieznaną splatając wianek z kwiatów lilii wodnej rzekła cichutko:

— Noce coraz krótsze i piękniejsze. Niezadługo na szklanym zegarze gwiazd wybije noc najkrótsza w roku, noc czarów i dziwów. Dla mnie ta noc jest najniebezpieczniejsza, bo gdyby ktoś kochający przywiózł mnie na ląd, zanim północ nastanie, musiałabym tam zostać na zawsze.

Z błękitnych oczu popłynęły po jej twarzy łzy i upadły na dno łodzi lśniąc jak perły.

Gdy przypłynął rybak do brzegu i schylił się po ryby, zobaczył te perły. Pozbierał je i zaniósł matce. Aż w ręce plasnęła na ich widok, ale Wojtek mimo nalegań, próśb i gróźb milczał jak zaklęty i nie zdradził, skąd je ma.

Gdy się wybierał w noc świętojańską na jezioro, matka po kryjomu włożyła mu do łodzi cztery czterolistne koniczyny szepcząc jakieś zaklęcia, bo wiadomo: cztery razy cztery jest szesnaście, a to czarowna liczba.

Na wyspie tejże nocy zobaczył rybak tańczące wodnice, ale najpiękniejsza była ta podobna do lilii wodnej, którą dawno nazwał swoją Lilią. Podszedł do niej i ujawszy za rękę sprowadził do łodzi. Skoro usiadła, jak szalony zaczął wiosłować do brzegu. Zjeżyły się naprzeciw fale jak rozszalałe rumaki. Już, już miała wybić północ, gdy o sekundę wcześniej schwycił rybak dziewczynę w pól i wyniósł na brzeg.

W oka mgnieniu uciszyło się jezioro. Powierzchnia wód załśniła jak wypolerowana tafla opalowa.

Rybak przyprowadził Lilię do chaty. Matka spojrzała niechętnie na przyszłą synową; nie przywitała jej nawet, tylko coś gderała i marmotała, zła i niezadowolona.

Od tego dnia stał się Wojtek jak odmieniony. Gwizdał i śpiewał przy robocie, był rozmowny i wesoły. Na jeziorze nie bawił długo, łowił ryby o świcie i rychło wracał do żony, z którą mimo gderań matki wziął ślub w rybackiej kaplicy ze zwisającą od pułapu łodzią oświetloną świecami.

Jednakże matka wciąż była niezadowolona i przygadywała Lili. Młoda kobieta zaś nic nie mówiła, ino płakała. A łzy, które spadały na ziemię, od razu zmieniały się w perły o takim blasku, jakiego jeszcze nikt nie widział. Matka z tych pereł zrobiła sobie długi sznur i w niedzielę zakładała na szyję, budząc zazdrość u sąsiadek, które w życiu nie znały innych koralu prócz jarzębinowych.

Pewnego dnia przybył do wioski kupiec po ryby i wszedł do chaty akurat w tej chwili, gdy staruszka nawlekała długi sznur pereł na lśniącą nitkę. Kupiec od razu poznał się na perłach.

— Sprzedajcie mi, matko, te paciorki — mówił. — Nie są one co prawda wiele warte, ale podobają mi się. Zapłacę wam złotem.

Potargowali się jeszcze chwilę, wreszcie kupiec wziął perły, a kobiecie dał za nie garść brzęczącego złota.

Złoto do cna ją oczarowało. Zaczęła tak dokuczać synowej, że ta coraz częściej płakała, a staruszka ino zbierała perły i śmiała się bezzębnymi ustami.

Coraz częściej przyjeżdżał kupiec po perły, coraz więcej przybywało w malowanej rybackiej skrzyni złota, a staruszka stawała się coraz bardziej skąpa i wyniosła. Nie poratowała biednego, z góry spoglądała na sąsiadki, nie pogwarzyła z nikim, tylko przegarniała złoto i liczyła drżącymi od chciwości palcami.

Wystawiła sobie potem nowy dom z głęboką piwnicą, gdzie przechowywała złoto i strzegła go dniem i nocą.

Wojtek z Lilią pozostali w starej drewnianej chacie. Młoda kobieta już nie płakała, ale śmiała się coraz częściej, tuląc do łona córeczkę: czarnowłosą, modrooką Lalkę.

Raz, gdy noc była wietrzna i ciemna, lał deszcz, jak zwykle w jesieni, do okna chaty rybaka ktoś zapukał raz, drugi i trzeci.

— To matka puka — rzekł rybak do żony. Wstał i wyszedł z izby. Zastał matkę ciężko chorą.

— Dobrze, żeś przyszedł — przywitała go. — Cierpię okropnie! Wewnątrz pali mnie ogień! Och, jak pali! Jak pali! — jęczała. — Tylko Lilia mogłaby mnie uratować.

— W jaki sposób, matko?

— Widzisz, synu, na wyspie rośnie cudowne ziele. Trzeba je zerwać nocą i bez słowa powrócić. Gdzie to ziele rośnie, wie twoja żona. Powiedz jej, niech mi tego ziela przywiezie. Idź prędzej! Idź już! Bo znów pali mnie ogień bólu!

Rybak wróciwszy do chaty opowiedział żonie o chorobie matki i o tym, że prosi, by jej przyniosła ziele z wyspy.

Lilia nic nie odpowiedziała, tylko dziwnie spojrzała na rybaka. Ten zbladł jak płótno, bo przypomniał sobie, jak kiedyś mu mówiła, że nie wolno jej wrócić na wyspę. Musiałaby tam już zostać na zawsze i odpokutować za to, że ją opuściła dla człowieka.

Matka tymczasem wzywała synową, prosząc ją o ratunek.

— Tylko to ziele może mnie uzdrowić! Tylko to ziele rosnące na wyspie. Idź i przynieś mi tego ziela, a będę zdrowa. Dam ci za to wszystko złoto, które posiadam.

— Idź, Lileczko, przynieś matce ziela... — poprosił nieśmiało Wojtek.

Następnej nocy wypłynęli na jezioro. Lilia wyskoczyła zgrabnie z łodzi i pobiegła w głąb wyspy szukając ziela. Świeciły jej maleńkimi latarkami robaczki świętojańskie. Narwała cały pęk i przybiegła do łodzi dając rybakowi znak, by jak najprędzej płynął do brzegu. Ledwie odbili od wyspy, gdy zerwała się okropna burza. Chmury przelewały się po niebie jak olbrzymie smoki ziejące ogniem błyskawic, które przebiegały po wzburzonych falach niby ogniste węże. Woda, rycząc przeraźliwie, jeżyła złowrogie grzywy, które rzucały się rozszalałe to tu, to tam, gnane wichurą. Na brzegach trzaskały drzewa, tu i ówdzie, rażone piorunem, płonęły jak olbrzymie pochodnie.

Rybak wiosłował, ile tylko miał sił. Pot spływał mu kroplami z czoła. Już, już byli blisko brzegu, gdy niewidzialne ręce rzuciły łódkę z powrotem na fale. Roztańczona kręciła się jakiś czas w miejscu. Mocował się rybak z wichrem i falami, ale już było za późno.

Na zegarze gwiazd wybiła godzina dwunasta. Lilia zsunęła się do wody i nagle zniknęła. Piorun uderzył jednocześnie w chatę matki rybaka. Spłonęła, zanim ludzie mogli ugasić płomienie.

Wojtek stał na brzegu, przyzywał Lilię, aby wróciła, prosił, błagał najczulszymi słowy... Ale zobaczył tylko białą mewę, która od tego dnia krążyła wokoło wyspy wołając ciągle: „Pójdź! Pójdź! Pójdź!”

Gdy Lalka, siedząc na brzegu jeziora, usłyszała głos mewy, jak urzeczona rzuciła się do wody. Długie jej włosy uczepiły się grzybieni, zielska i tataraku, ciało jej się wydłużyło i nagle powstała na tym miejscu wyspa. Ludzie nazwali tę wyspę Lalką.

Po wielu, wielu latach przybyło w okolice Łańska dwóch rybaków. Byli to bracia Borkowscy. Oczarowani pięknem wyspy i okolicy postanowili pobudować sobie chaty. Wzięli z Łańska żony i pozostali na wyspie.

Tak powstała wioska, która nazywa się także Lalka.

A wkoło wyspy Lalka krążą dwie białe mewy co nockę, co nockę i krzykliwym głosem wołają: „Pójdź! Pójdź! Pójdź!”

Stary rybak siedząc na ławie przed chatą opowiada drżącymi ustami:

— Gdyby granatowa jaskółka przyniosła w dziobku czarownego ziela, które rosło ongiś na wyspie, i spuściła je mewom, zamieniłyby się one znowu w ludzi, w prześliczną Lilię i jej piękną córkę Lalkę!

MARIA ZIENTARA-MALEWSKA

KAMIEŃ Z OSTRÓDY



Z A C Z N Ę tak swą opowieść, i skończę tak, jak mi kiedyś w młodości opowiadano.

Pod Ostródą leży wieś od dawna zwana Worninami. Rycerz krzyżacki stał się jej panem, a hulaka to był wielki. Wszyscy go zwali Dietrichem. Opasły był, wysoki, zarost czarny, płaszcz z czarnym krzyżem, miecz przy boku.

A co w sercu nosił ten pan możny?...

Codziennie przyjeżdżał na koniu do Ostródy, do swej ulubionej gospody. Szynekarz kłaniał mu się nisko. Sam konia odprowadzał do stajni i miał zawsze pilne staranie, by obsłużyć gościa.

Dietrich butnie wchodził do oberży.

W obszernej izbie pod ścianami ławy stały i wąskie stoły. Zaraz pojawiały się dziewczęta niosąc misy z jadłem. Gospodarz podawał ciężki srebrny dzban i kubek także napełniony winem sprowadzonym znad Renu, a nalawszy do pełna, kłaniał się nisko.

Kiedy raz po skończonym obiedzie siedział sobie Dietrich rozweselony na ławie, drzwi gospody otwały się i kilku mężczyzn stanęło przed nim, pokłoniwszy się głęboko.

Byli to burmistrz i rajcowie.

Pierwszy przemówił burmistrz, a słowa jego tłumaczył Dietrichowi sekretarz:

— Można panie i dobrodzieju! Miasto nasze rośnie i wkrótce być może dorówna Lubawie...

— No to pięknie — przerwał szyderczo rycerz — że miasto Ostróda rośnie, cha, cha, cha! Mój majątek też rośnie!

Burmistrz nieco speszony ciągnął dalej:

— Niewątpliwie, wielmożny panie! Jest rzeczą wszystkim znaną, że dobra wasze są najbogatsze w okolicy. Toteż przybyliśmy tu z prośbą do waszego miłościwego serca...

Rycerz skinął łaskawie dłonią.

— Dobrodzieju! — mówił śmielej burmistrz. — Od czasu jak handel i rękodzielnictwo coraz bardziej się rozwijają ku ogólnemu naszemu pożytkowi, widzimy, że lud naszego miasteczka cierpi bardzo, a raczej dusi się w ciasnocie murów naszych. Trzeba nam przestrzeni, byśmy mogli dalej pracować.

— Hm, lud cierpi w ciasnocie, powiadacie? — zdziwił się krzyżacki rycerz. — Co tam lud! Lud jak trawa. Gdy ją było strącają, jeszcze zieleńszą się staje i silniej odrasta. Po cóż mam liczyć się z tą czernią dziką, półpogańską, wiecznie biedną?

Rajcowie spuścili głowy. Tylko burmistrz próbował jeszcze przekonać dumnego rycerza.

— Litościwy panie! Postanowiliśmy na ogólnym zgromadzeniu prosić was, dziedzica, o odstąpienie części ziemi, leżącej za murami i Ślimakiem. Zapłacimy dobrze...

Nie dokończył, bo rycerz porwał się z miejsca, aż wino wylało się z dzbana ciemnym strumieniem.

— Precz mi stąd! — wrzasnął. — Natychmiast! Dziadowskie syny! Łby wam obcinać i rynek nimi wybrukować każę! Precz mi z oczu!

Burmistrz i rajcowie w smutku opuścili gospodę.

— Słuchajcie, panowie — zaproponował burmistrz — przyjdziemy do niego jeszcze raz, nim zdąży opróżnić dzban wina.

Jakoś do gustu przypadła wszystkim ta propozycja i postanowili przy najbliższej okazji powtórzyć swą prośbę.

A z gospody długo jeszcze słyhać było śmiechy rubaszne:

— Cha, cha, cha! Ziemi im się zachciewa! Dziadowskie syny!
Cha, cha, cha!

A wychyliwszy drugi dzban do dna, Dietrich dodał:

— Duście się, tchórze, nieroby! Co to mnie obchodzi!

Upłynęło kilka dni. I znów, kiedy raz przybył rycerz do gospody, ledwo zasiadł do stołu — zjawili się przed nim rajcy i powtórzyli swą propozycję.

Dietrich zamyślił się. Myślał długo i milczał.

— A nuż tym razem nie da nam wcale odpowiedzi?... — szepnął niespokojnie jeden z rajców.

Wreszcie rycerz rzekł donośnie:

— Zgoda! Na mojej granicy pod miastem leży wielki kamień. Widzieliście go?

— Tak, panie — odrzekli chórem.

— A więc — ciągnął rycerz — jeżeli znajdzie się ktoś z Ostródy, kto ten kamień udźwignie i przeniesie w inne miejsce, podaruję wam tyle ziemi, ile potrafi taki siłacz dla was zdobyć. Jak daleko od miasta kamień złoży, tam wyznaczę nową granicę. Daję wam na to czas — dodał po chwili ciszy — aż do świętego Michała. Zrozumieliście mnie?

Burmistrz odpowiedział powoli:

— Zrozumieliśmy.

I nie czekając skinął na sekretarza, by umowę co żywo spisywał, bo już karczmarz wnosił znowu pełen dzban wina.

Rycerz podpisem swym zgodę przypieczętował, rajcy skłonili się i wyszli, a Dietrich pił i cieszył się, że zakpił sobie z ludu ostródzkiego.

Kowal Grabosz stał pochylony nad kowadłem i mocno trzymał w dłoni rozpalone żelazo, kując zawzięcie. Na progu siedziała kowalicha z dzieckiem na ręku. Dzieci kowalowie mieli trzynaścioro, roboty więc zawsze dość było dla obojga, a czasu zawsze za mało. Dwaj starsi chłopcy kręcili się wprawdzie cały dzień po kuźni, ale daleko im jeszcze było do siły i wprawy ojca. Toteż poważali go i szanowali jak rzadko.

Była właśnie pora obiadowa. Cień słupa, stojącego przed kuźnią, niby wielki palec, wysmukły, ostro zakończony, a równy, wskazywał na drzwi domu mieszkalnego, jakby przypominał ludziom tego obejścia o obiedzie, który im się słusznie za czas dotąd przepracowany należał.

Grabosz przerwał robotę, gdy na niewielkim podwórzu zjawił się burmistrz z rajcami.

— Boże pomagaj! — pozdrowili kowala zdejmując czapki.

— Bóg zapłać! — odrzekł z uszanowaniem Grabosz.

— Przyszliśmy tu do was w pewnej sprawie — zaczął uroczyście burmistrz. — Potrzeba nam waszej pomocy.

I opowiedzieli mu całą historię.

— Słuchajcie, Grabosz — zakończył burmistrz. — Z was chłop mocny jak mało kto, znany na okolicę. A może byście spróbowali udźwignąć ten głaz?... Może dałoby się go przenieść choć kawałek drogi?...

— Hm, bo ja wiem... — mruknął niepewnie kowal. — Trza spróbować.

— Mamy z tym czas do świętego Michała — wyjaśnił burmistrz. — Ano popróbujcie! Odżywiajcie się dobrze! Jedzcie, co tylko chcecie, my za to zapłacimy. Nic was to kosztować nie będzie!

— Najlepsza dla mnie to grochówka z wołowiną, moścudzieju! Wicie, panowie, jak mi moja kobieta grochówki nagotuje, to czuję się wtedy pełen sił, zdrów i wesół. W brzuchu pełno i w sercu rażno! Niczego mi wtedy nie brak! Miodem zapiję, wicie, naszym, lipcowym. Oj, żeby ten groszek na kamieniu się rodził!

Burmistrz ujął kowala pod rękę i poszli wszyscy do Ślimaka oglądać kamień.

Ogromny głaz leżał na skraju drogi. Ruszyć go nawet nie było można.

— To, powiadacie, panowie, że do świętego Michała? — upewniał się kowal zakłopotany.

— Tak, Graboszu! Czasu przecież dużo. Na pewno dacie radę. Zanim żniwa będą i święta Anna, a potem za miesiąc święty Bartło-

miej i jeszcze jeden miesiąc... nabierzecie sił, co dzień podźwigacie trochę ciężarów, to i wprawy nabierzecie.

— No, zgoda! — odpowiedział kowal.

Wiść o tej decyzji rozeszła się szybko po całym miasteczku. Jedni ufali, że Grabosz podoła, inni kiwali tylko głowami: jak świat światem nikt kamienia tego nie podniósł.

Kowal tymczasem zabrał z sobą syna i pewnego dnia o brzasku podkopali łopatami kamień dokoła, aż poruszyli wielki głaz. I tak co dnia chodził Grabosz do Ślimaka próbując swych sił. Wkrótce zauważył, że idzie mu coraz łatwiej.

Kilka tygodni trwały te zapasy i wreszcie którejs nocy zbudził syna i razem udali się na miejsce. Księżyc świecił niby najpiękniejsza latarnia na ostródzkim gwieździstym niebie. Grabosz pochylił się i objął kamień. Z trudem podniósł go w górę. Udało się. Czuł się na siłach ponieść go. Uradowany wrócił o świcie do domu.

Nadszedł w końcu wielki dzień dla Ostródy. Wszyscy podążyli przed bramę, by oglądać niezwykle widowisko. Zebrał się wielki tłum.

Kowal stał nad kamieniem, opodał kilku innych, silnych, rosnących mężczyzn i burmistrz z rajcami. Wszyscy oczekiwali przybycia Dietricha, by był świadkiem wielkiego wydarzenia.

Na drodze do Wornin dał się słyszeć tętent kopyt końskich, tużman kurzu wzbijał się w górę. Rycerz przyjechał.

Burmistrz przemówił kilka słów do zgromadzonego ludu, a zwróciwszy się do kowala rzekł:

— Zaczynaj, w imię Boże!

Kilku mężczyzn, przeciągnawszy pod kamieniem łańcuchy, złożyło olbrzymi głaz na barki kowala.

Grabosz pod tym ciężarem schylił się nieco. Potem postawił pierwszy krok. Tłum zafalował, wzniósł się szmer zdumienia... Ktoś krzyknął, ktoś śmiać się zaczął. Jedynie rycerz na koniu siedział posępny i milczący.

Kowal stąpał powoli, bardzo powoli, lecz pewnie i śmiało posuwał się naprzód. Zdawał sobie dobrze sprawę, że od niego zależy przyszłość Ostródy. Tłum postępował za nim w wyczekującym milczeniu.

— Ależ to siłacz! — szeptano tu i ówdzie z podziwem.

A kowal nie ustawał. Chociaż pot spływał mu obficie z czoła, żyły nabrzmiały na skroniach, a przez zaciśnięte usta dobywał się szybki, urywany oddech — dźwigał powoli swój ciężar coraz dalej i dalej od miasta.

Tuż obok jechał rycerz na koniu. Nie dowierzał własnym oczom. Uroczyste milczenie tłumu zdało mu się nagle groźbą i oskarżeniem. Krew w nim zakipiała. Chwycił miecz i z całych sił uderzył w łańcuch podtrzymujący kamień na barkach kowala.

Tłum cofnął się w przerażeniu.

Cios był silny. Grabosz stracił równowagę i upadł. Ogromny głaz przygniótł go do ziemi.

Ludzie rzucili się na pomoc. Daremnie. Nim przesunęli głaz, kowal skonał.

Do dziś jeszcze leży w polu ten kamień, na którym odcisk łańcucha został, niemy świadek dokonanej tu przed wiekami zbrodni i ofiary dzielnego kowala.

ZYGMUNT KORNOWSKI

ZAKŁĘTY ZAMEK W LESIE OLSZTYŃSKIM



A WZGÓRZU, w lesie, tam kędy wartka struga łączy się z Łyną, stał kiedyś, dawno, dawno temu wspaniały zamek. Ojcowie nasi pokazywali nam jeszcze skośne, omszone dachy, sterczące tuż nad ziemią. Chłopcy zaś pasący bydło nad Łyną rzucali kamienie do kominów, ciesząc się, że długo słychać było suchy ich klekot.

To ostatnie ślady zakłętego zamku. Na tym miejscu porosły mchy i krzaki jagód, modre dzwonki leśne pochylają główki w zadumie, szumią poważne sosny ociekające złotymi kroplami kadzidła, świerki pachnące wyciągają krzyżem ramiona ku niebu.

Przed wielu, wielu laty zamek ten słynął na całą okolicę, daleko i szeroko. Potężne jego baszty oblane słońcem letniego południa albo purpurą zorzy wieczornej zachwycaly oczy nie tylko okolicznego ludu, ale i niejednego wędrowca, który przybył z daleka, ażeby zobaczyć ten słynny, piękny zamek.

Grube mury okrywały latem wonne liliowe macierzanki, złoty rozchodnik i bledziutko kwitnące powoje, ba — nawet małe jarzębiny i brzoźki wyrosły w szczelinach blanków.

Komu wypadła droga koło zamku w porę zimową, przedstawiał mu się tak piękny widok, jakiego nigdy nie widział. Zamek obsypany

śniegiem błyszczał w słońcu milionem barw tęczy, a na tle ciemnych sosen i świerków zdawał się niepokalaną bielą dosięgać niebiosów, tworząc czarodziejską baśń zimową.

W zamku tym mieszkał pan bardzo bogaty. Mówiono, że w podziemiach znajduje się sto skrzyń srebra, złota i klejnotów. Na ścianach komnat były porozwieszane makaty, wyszywane srebrem i złotem, a podłogi pokrywały skóry niedźwiedzi i wilków, których tu było mnóstwo niezliczone. Ściany sali, gdzie odbywały się biesiady i narady, wykładane były całe złotem Bałtyku — bursztynem.

Właściciel zamku był nie tylko bogaty, ale co ważniejsze — dobry i sprawiedliwy. Lud okoliczny darzył go zaufaniem i przywiązaniem, ale przystąpić do niego z bliska nikt się nie odważył, bo oblicze jego było surowe — ludzie mówili, że kamienne.

Najmilszym jego zajęciem było wychodzenie latem na najwyższą platformę zamku, kiedy zachodzące słońce bramowało złotem niebo, a zorza w płaszcz szkarłatny ubierała krajobraz.

Wieśniacy wtenczas wracali właśnie z pól z pieśnią na ustach. Błyszczały kosy i sierpy. Czerwieniły się jak maki w polu chusty dziewcząt. Zobaczywszy pana na platformie, stawali warmijskim zwyczajem w rzędzie i na cześć swego „gospodarza“ ostrzyli kosy i miarowym uderzeniem w stal „dzwonili“ hejnał żniwiarzy, śpiewając:

*Plon niesiem, plon —
Plon ze wszystkich stron.*

Często stała też obok pana zamku małżonka jego Warmia. Macierzyńskim okiem obejmowała krajobraz, macierzyńskim sercem wszystkich kochała. Tam, pośród ludu zdrowego i pilnego, mieszkało jej dwunastu synów, a liczne ich potomstwo napełniało wioski i osiedla. Warmia, ubrana w białe szaty z czerwoną przepaską, w welonie lekkim jak pajęczyna, upiętym na jasnych włosach sięgających aż do ziemi, była symbolem jedności i miłości rodzinnej.

Raz do roku, w wigilię św. Jana, przybywali wszyscy synowie z rodzinami na zamek, napełniając stare mury wrzawą i śmiechem.

U wrót przyjmowali ich rodzice, ściskając i całując każdego z osobna. Łzy radości błyszczały w oczach Warmii, kiedy witała swych dorodnych synów o jasnych jak len włosach i modrych oczach, kiedy przytulała do serca główki wnuków i prawnuków.

Biesiady i łowy w olsztyńskim lesie trwały siedem dni. Potem wszyscy wracali do swych zajęć, a wśród starych murów panowała znów głęboka cisza.

Tak upływało wszystkim życie w spokoju i miłości wzajemnej. Aż pewnego razu, krótko przed dniem św. Jana, przybył jakiś obcy wędrowiec na zamek. Długo szeptali z panem, radzili, a chociaż noce były krótkie — i w nocy nie spali. Nowiny, jakie przyniósł obcy, musiały być ważne, bo na twarzach malował się niepokój i troska.

Na trzeci dzień ukazał się na platformie najwyższej baszty płomień — umówiony znak, że synowie mają się zaraz udać do ojca. Nie potrwało długo, a zaczęli się zjeżdżać ze wszystkich stron. Rodziny zostały w domu.

Ojciec z poważnym wędrowcem oczekiwał ich w sali bursztynowej. Tam dowiedzieli się okropnej wieści. Dwóch sąsiadów, którzy zawistnym okiem patrzyli na szczęście rodziny, postanowiło porwać i zabić przedmiot największego ich umiłowania — matkę Warmię.

Już z dala słyhać było okrzyki, a łuny płonących wsi znaczyły drogi, którymi zbliżał się wróg.

W samą noc świętojańską przybyły liczne zastępy wrogów i rozłożyły się w pobliskim lesie przy ogniskach, a dzikie ich śpiewy i przechwałki odbiły się echem o stare mury zamku.

O tej samej porze drogą przez las szło powoli dziecko. Małe jego serduszko dygotało z lęku, ale szło odważnie, bo Warmia miała sporządzić dla chorej matki lekarstwo z ziół i korzeni.

Jakaś jasność napełniała dziś las. Gwiazdy — zda się — jaśnie migotały na niebie, a sierp księżycy oblał srebrem czubki chwiejących się w objęciach wiatru drzew, obielił wydeptaną ścieżkę wijącą się wśród stuletnich dębów, buków, klonów i jarzębin. Wśród aksamitnych mchów unosiły się szerokie liście paproci.

Nagle dziecko stanęło. Na tle paproci zobaczyło jakiś precudny, barwami tęczy jaśniejący kwiat. Drżącą rączką zerwało cudowny kwiat szczęścia i nie spostrzeżone przez wroga doszło do bram zamku, które się same rozwarły.

Dziecko warmijskie, przyciskając do piersi skarb swój — kwiat paproci, rozwinięty wśród nocy świętojańskiej, szło aż do sali, w której byli zebrani mieszkańcy zamku. Stanęło wśród nich bose i trzymając w małych rączkach jak w alabastrowym kielichu przepiękny kwiat — uklękło i podało go Warmii, która przytuliła kwiat do piersi.

Dając dziecku lekarstwo i jedzenie na drogę, tak doń rzekła: — Idź do mojego ludu i powiedz, że choćby wróg zabił moje ciało, ducha mojego nie zmoże. Ja będę żyła z wami w każdym kłosie zboża, w każdym kwiatku i drzewie, w powiewie wiatru, w szumie lasów i borów, w szmerze jezior i rzek, w ciszy wieczoru i w skwarze letniego południa. Wojsko moje będzie spało wieki, ale przyjdzie dzień, że się obudzi, a wtedy ja znowu będę waszą matką i opiekunką. Niech słowa moje przejdą z pokolenia na pokolenie, a biada tym, w one dni, którzy o nich zapomną.

W zamku, po wyjściu dziecka, echo rozniosło po okolicy miarowe kroki licznych, w żelazo zakutych mężów. Napęłniły się wojskiem komnaty i sale, nawet podziemia i ów słynny ganek, który prowadził z lasu nad Łyną aż do kościoła Św. Jakuba. Na wzniesieniu stała Warmia. A kiedy zamknięto już ostatnie podwoje, podniosła powoli rękę dzierżącą kwiat szczęścia. Zamek zaczął się powoli zapadać coraz głębiej, aż zniknął z powierzchni ziemi. Wojsko poukładało się do snu i tak przespało wieki.

Jedynie matka Warmia wychodziła spod ziemi na świat, bo posiadała kwiat szczęścia. Często widywano jej postać ubraną w białe koronki i muśliny, błędzącą nad brzegami Łyny. Ludzie omijali miejsce, gdzie stał „zaklęty“ zamek. Mówiono, że tam straszy. Szczególnie w noc świętojańską słyhać było z podziemi chrzęst broni, jakieś zaklęcia i nawoływania oraz pieśń: „Bogurodzica Dziewica“. Mówiono, że śpiewa tę pieśń wojsko spod Grunwaldu.

Nad Łyną w lesie jest wzgórze, pokryte mchem, paprocią i krzakami czarnej jagody. Modrzą się tam dzwonki leśne, bielą się kwiaty poziomek, wyglądają ciekawie spośród paproci konwalie i zajęcze ziele, wysokie dęby, buki, sosny i świerki dokoła opowiadają szumem odwieczną legendę o zaklętym zamku. Na modrozłotych falach Łyny gra wiatr jak na stostrunnej harfie pieśń o Warmii i niesie ją daleko, aż hen do Bałtyku.

MARIA ZIENTARA-MALEWSKA

DOBRA PANI Z DZIAŁDOWSKIEGO ZAMKU



PÓŁNOCNEJ części Działdowa, miasta leżącego na ważnych szlakach komunikacyjnych, wiodących ku Warszawie, Bałtykowi i Warmii, w grodzie pamiętającym pierwszą połowę XIV wieku, wznosi się na pagórku stary zamek krzyżacki. Wybudowany na granicy byłych ziem Prusów, masywny i silny ten gród miał spełniać rolę strażnicy i zabezpieczyć wypady przeciwko sąsiedniemu Mazowszu.

Wichury i nawałnice wielu stuleci poczyniły w nim duże zniszczenia. Dzisiaj zamek ten, obrabowany, podziurawiony od zewnątrz, stoi jak zgrzybiały starzec w łachmanach i czeka opiekuńczej ręki, by okryła jego szkielet poszczerbiony i zachowała go dla potomności. Jest on bowiem świadkiem wielu wydarzeń historycznych. Widział on i pamięta bohaterskie walki ujarzmionych przez Zakon Prusów, okrzyki bojowe zagonów litewskich, gnanych zemstą i żądzą odwetu, pamięta wiekopomne dni Grunwaldu, okres wojny trzynastoletniej, wojen szwedzkich i napoleońskich, wrzawę bojową czambułów tatarskich, głośnie echa wydarzeń zrywu powstańczego 1830 i 1863 roku, więźniów ciężkiego obozu karnego z okresu okupacji hitlerowskiej...

W sędziwych murach działdowskiego zamku zamknęła się też ciekawa opowieść gminna, która interesuje i zatrzymuje każdego wędrowca. Zapytany o nią siwy staruszek z pobliskich niziutkich domków każe ci, miły czytelniku, wejść w obręb starego grodziszcza, a tam, siadłszy na zieloną murawę porośłym dziedzińcu zamkowym, zaczniesz snuć przed tobą następującą opowieść:

Okolo roku 1360 panował na zamku działdowskim srogi pan. Wysokiego wzrostu, o szerokich ramionach, potężnym głosie i złych, błyszczących oczach, budził wokoło siebie atmosferę nieufności, odrazy i lęku. Nikt z mieszkańców miasteczka nie śmiał się zbliżyć do groźnego i surowego pana. Niejeden z mieszczan wołał nawet znosić krzywdę niżeli pokazywać się przed jego srogim obliczem.

Pan ów, potomek jakichś grafów niemieckich, średniowiecznym zwyczajem rycerzy Zachodu długo wędrował po świecie; bywał w różnych krajach i w wielu zamkach, często brał udział w turniejach i krwawych wyprawach. W Hiszpanii kochał się w córce jednego z tamtejszych książąt, aż wreszcie zdobył jej serce. Ciężka choroba i śmierć pięknej księżniczki rzuciła go znowu na drogę wędrowca, którą doszedł do zakonu krzyżackiego.

Długo nie mógł ów rycerz przeboleć śmierci swej pięknej Hiszpanki, stronił od ludzi i wiódł życie samotnika. Nie miał przyjaciół i nie szukał ich. Sam straciwszy swe szczęście, nie życzył go nikomu. Stroniąc od ludzi szukał w myślach gwałtownych i dzikich zadowolenia.

Jedyną osobą, dla której w twardym sercu Krzyżaka tliła się iskra dobroci i miłości, była jego najmłodsza siostra. W jej obecności uspokajał się, kiedy z Hiszpanii przybył do domu rodzicielskiego gdzieś w górach Harcu leżącego. Dziewczyna pięknej urody, a jeszcze piękniejszych zalet, uczuć i serca, której beztroska wesołość, szczerłość, życzliwość i bezmierna dobroć roznosiła wszędzie słoneczną radość, przyciągała każdego, kto tylko w jej otoczeniu się znalazł. O niej też nieraz myślał brat w długie wieczory zimowe, kiedy będąc już panem na działdowskim zamku, pędził samotne dni. Toteż postanowił sprowadzić ją do siebie.

Młoda dziewczyna wniosła od razu nowe życie do ponurego zamku. Zręczna i gospodarna, zakrzętała się około kuchni i komnat zamkowych. Przystępna i dobra dla wszystkich, stała się niezmiernie lubianą wśród służby i załogi. Jak po ponurej, martwej zimie krzewi i rozrasta się nowe życie, tak rozbudziło się ono i rozkwitło na zamku działdowskim. Nawet zły i zawsze posepny jej brat rozpogodził się czasem, a wtedy głos jego brzmiał mniej ostro i surowo.

Wiść o młodej, dobrej pani na zamku rozeszła się wnet wśród mieszczan i okolicznych chłopów. Bali się oni jeszcze oblicza surowego pana, jednak coraz częściej przedstawiali swe prośby za pośrednictwem młodej gospodyni zamku. Młoda dziewczyna umiała tak jakoś sprawami pokierować, że prawie wszystkie załatwiane były pomyślnie. Ludność miasteczka i okolicy polubiła ją za to i nikt jej inaczej nie nazywał, jak „nasza dobra pani“.

W jakiś czas po przybyciu dziewczyny na zamek działdowski zaszedł jednak wypadek, który miał zaciążyć na losach całego jej życia.

Otóż w jednej z potyczek z tu i ówdzie buntującymi się jeszcze Prusami został ciężko zraniony i pochwycony w niewolę poszukiwany od dawna dowódca. Był to młodzieniec znakomitego rodu, mężny i waleczny, największy wróg Zakonu. Toteż srogi Krzyżak, mając w swych rękach tak groźnego przeciwnika, rozkazał wrzucić ciężko rannego jeńca do lochu, gdzie miał zginąć śmiercią głodową.

Wiadomość ta dotarła do uszu dziewczyny. Zdjęta litością tak długo prosiła brata o darowanie życia jeńcowi, że ten w końcu uległ jej prośbie, a nawet otrzymała prawo leczenia rannego. Jeniec zatem oddany został pod jej opiekę. Silna natura rycerza, a przede wszystkim troskliwość dziewczyny sprawiła, że ranny szybko powracał do zdrowia. Wkrótce okazało się, że ulubionym jego zajęciem jest gra na skrzypcach. Toteż coraz częściej siadał na posłaniu, grając długo i zapamiętale.

Wsluchiwała się w te dźwięki subtelne a tęskliwe dziewczyna, a mając serce niezmiernie czułe na wszystko, co dobre i piękne, zakochała się w tych pieśniach. Później zaczęła tęsknić za nimi, nie

mogąc doczekać się wieczora, kiedy młody syn puszczy ujmie swój ulubiony instrument.

Tak w dźwiękach mistrzowskiej gry, w melodii urzekającej snuły się coraz dłuższe i coraz silniejsze nici przyjaźni tych dwojga obcych do niedawna ludzi. Każde słowo, każda pieśń młodzieńca, każdy dźwięk jego skrzypiec był dla serca dziewczyny jak słodki, krzepiący napój dla ciężko spragnionego. Pod wpływem tego orzeźwiającego nektaru, tej krzepiącej rosy życia, zaczęła w sercu dziewczyny kiełkować i wyrastać najpiękniejsza roślina świata, najcudniejszy kwiat — miłość.

Nie inaczej działo się też w sercu młodego Prusa. Serdeczna opieka, jakiej doznawał, dobroć i wdzięk opiekunki poruszyły wszystkie struny jego uczuć. I tak jak od pierwszej chwili polubił niezmiernie swą troskliwą pielęgniarkę, tak wkrótce pokochał ją mocno i szczerze.

Oboje młodzi odczuwali ten wspólny rytm ich młodych gorących serc. Chwyтали bieg swych jednym szlakiem płynących myśli, wsłuchiwali się w harmonijnie brzmiący hymn miłości. Toteż nieraz spłotyły się ich dłonie, nieraz wyszeptali słowa krzesane w najgłębszych tajnikach dwojga kochających się serc.

Dobrze było młodemu Prusowi. Widział i rozumiał, że stał się nie tylko jeńcem groźnego Krzyżaka, ale również niewolnikiem jego pięknej siostry.

Lecz przyszedł dzień, w którym dzielny Prus, wyleczony i przywrócony zdrowiu, skierowany został przez surowego pana do ciężkich prac. Dziewczyna starała się wpłynąć na brata, aby złagodził twarde los jeńca, lecz ten, niesyt jeszcze zemsty nad pokonanym wrogiem, odmówił jej prośbom.

Nie mogli odtąd oboje młodzi spotykać się. Dnie, kiedy pan udawał się na polowanie, były dla biednego więźnia najmilszymi chwilami w ciężkim jednostajnym życiu. Posyłał wtedy dziewczynie wdzięczne i najczulsze spojrzenia, a w tej mowie niemej, w błyskach gorejących oczu rozumieli się dobrze.

Każdego wieczoru po takim spotkaniu młody Prus grał długo i zapamiętale, jakby chcąc nagrodzić ukochanej chwile rozłąki.

W kwiecisty ogród miłości obojga młodych miał jednak wkrótce uderzyć grom.

Zły pan miał niedaleko Działdowa przyjaciela, bogatego szlachcica, którego odwiedzał w czasie swych polowań. Podobni do siebie charakterem, obaj polubili się prędko i coraz częściej szlachcic zajeżdżał do zamku. Tam właśnie poznał siostrę działdowskiego komtura i wkrótce poprosił o jej rękę. Ale ta, związana węzłami miłości z młodym jeńcem, wzbraniała się wyjść za człowieka, którego nie lubiła. W końcu brat, który był opiekunem dziewczyny, nagabywany przez szlachcica, zgodził się wbrew jej woli na ślub.

Rozpacz dziewczyny nie miała granic: nie spała wiele nocy, nie jadła przez wiele dni.

Ostatecznie porozumiała się z młodym jeńcem i postanowili uciec w głąb puszczy, aby tam wśród ludności pruskiej szukać schronienia. Dziewczyna przygotowywała i obmyślała ucieczkę.

Zapadł mglisty jesienny wieczór. Mżył drobny deszcz. W połysku zamkowych świateł lśnił szeroki, opustoszały dziedziniec. Cała załoga z wyjątkiem wartowników znajdowała się w zamku. Z nastaniem godziny dziesiątej wszystkie światła pogasły. Ludzie szli na spoczynek.

Nie myśleli jednak tego wieczoru o śnie ani dziewczyna, ani jej ukochany. Choć od siebie oddaleni, byli jednak myślą przy sobie. Z niecierpliwością wyglądali umówionej godziny.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila. Na dziedzińcu wprost bramy ukazał się przekupiony sługa z wierzchowcem. Wnet zjawiała się dziewczyna, a w chwilę potem młody jeńiec. Nic nie rzekli do siebie, jedynie pałające oczy mówiły: „Tam za bramą wolność, życie i szczęście nasze“. Obojgu serca biły niby młotem.

Młodzian szybko wskoczył na konia i podał rękę dziewczynie. Za ledwie jednak znaleźli się na siodle, dwóch wyczekujących widać knechtów dopadło ich i skrepowało jeńca.

— Do lochu z nim! — usłyszeli wściekły głos.

Dziewczyna zsunęła się z konia bezprzytomna — służba wniosła ją do komnaty.

Pan tymczasem szalał. Nieszczęśliwy był ten, kto mu się w bliskości pokazał: służba truchlała, knechci omijali go z daleka. Przez pięć dni nie pokazał się na oczy siostrze. Szóstego dnia wszedł do jej komnaty i twardym głosem oznajmił:

— Za dwa dni wyjdiesz za mąż.

Dziewczyna znów popadła w rozpacz. Rzuciła się jak lwica w zamkniętej klatce.

Tymczasem młodzian, porzucony w wilgotnym lochu, bił się ze splotem napływających wciąż myśli. Wiedział, że zdradził ich ktoś ze służby, ale jako wojownik zahartowany, zniósł on mężniej od dziewczyny okrutny cios. Serce ścisnęło mu się boleśnie na myśl o utraconym szczęściu. Oczekując rychłej śmierci z rąk znienawidzonego wroga, przeżywał ogromny żal, że już nigdy nie spojrzy w oczy ukochanej.

Nadszedł wkrótce dzień ślubu nieszczęsnej dziewczyny ze szlachcicem. W zamku urządzono ucztę weselną. Srogi pan kazał raz po raz napełniać puchary. Grono gości bawiło się wesoło. Tymczasem panna młoda siedząc obok męża zaledwie dotykała ustami stojącego przed nią kielicha. Niezmierna bladość okrywała jej lica. Myślała wciąż o ukochanym.

Kiedy dymiły się już na dobre winem rozgrzane czupryny, wprowadzono na salę więzionego jeńca.

Prus wzrokiem pełnym głębokiego smutku spojrzał w oczy ukochanej, ale przed biesiadnikami stanął z hardo podniesioną głową. Wtedy pijany pan kazał podać młodzieńcowi jego ulubione skrzypce rozkazawszy, by grał wesołe pieśni. Na te słowa błysk gniewu ukazał się w szarych oczach jeńca, spojrzał jeszcze raz na bladą, smutną twarz młodej kobiety i z rozmachem rzucił podane skrzypce pod nogi Krzyżaka. Na desperacki a śmiały ten czyn skoczył dumny pan jak nożem żgnięty, pochwycił miecz i utopił go w piersi bezbronno jeńca. Ten zachwiał się i upadł u nóg swej ukochanej. Jednocześnie rozległ się straszny krzyk i panna młoda, zsunawszy się z krzesła, omdlała.

Uczta została przerwana.

Dziewczynę cucono przez cały wieczór. Dopiero po tygodniu wywieziono ją do posiadłości szlachcica. Nie mogąc zgasić dawnego kochania i rozbudzić w sobie miłości do człowieka, za którego wyszła wbrew swej woli, wkrótce zmarła.

A zły pan nie zaznał odtąd nigdzie spokoju. Szczególnie trapiły go długie wieczory zimowe. Wyrzuty sumienia starał się zalewać winem, jednak ani wino, ani częste polowania nie mogły uspokoić wzburzonych i gryzących go wciąż myśli.

— Tak opowiadał o zamku tutejszym mój dziadek i ojciec, tak i ja wam powiadam, kochany człowieku — kończy siwiuteńki staruszek.

Od owego wydarzenia minęło już kilka wieków. Skruszały mury obronne zamku działdowskiego, zapadły się niektóre sklepienia, zaginęła wieść o wielu tamtejszych złych panach. Jednak opowieść o pięknej i dobrej pannie, siostrze srogiego Krzyżaka, krąży dalej wśród działdowskiego ludu. Wieść gminna widzi ją jeszcze dziś młodą, piękną i zakochaną, siadającą w mglisty wieczór jesienny każdego roku na karego rumaka, tuż obok umiłowanego grajka-jeńca. Na dziedzińcu zamkowym rozlega się wtedy dźwięk kopyt, zagłuszony po chwili porywistym wichrem. Odzywa się on tego wieczoru żalną skargą, która nad Działdowem i całą ziemią mazurską tak często brzmiała przez wieki, wzywając pomsty na niegodziwość krzyżacką, na podłość niejednego zdrajcy, na ucisk i samowolę obcych panów.

TEOFIL RUCZYŃSKI

SIEJA W JEZIORZE WIGRY



KIEDYŚ, KIEDYŚ pomiędzy kam-medułami w Wigrach był jeden rodem z Włoch, zapalony miłośnik rybołówstwa. Sielawy, szczupaki i inne ryby poławiane w jeziorze nie wystarczały mu. Chciał koniecznie zaprowadzić sieje, które jadał jeszcze w swej ojczyźnie. Ale jak się wziąć do tego? W tym sęk: w owe czasy rybołówstwo nie stało jeszcze tak wysoko, jak obecnie, a o sztucznym zarybianiu stawów zapewne nie wiedziano zgoła.

Chodzi sobie zakonnik po celi jednego wieczoru, rozmyśla, rozmyśla i tak w tych rozmyślaniach utonął, że ani spostrzegł się, gdy dwunasta na zegarze klasztorным uderzyła. Równocześnie z wybiciem ostatniego dźwięku coś zabłysło w celi, rozszedł się zapach siarki — przestraszony zakonnik patrzy, aż tu przed nim stoi w pluderkach obcisłych, we fraku ten jegomość, którego Mickiewicz w balladzie „Pani Twardowska“ takimi opisuje słowy:

*[...] Istny Niemiec, sztuczka kusa,
Skłonił się gościom układnie.
Zdjął kapelusz i dał susa
Z kielicha, aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie.
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznokcie.*

Niespodziewany gość kameduły kubek w kubek wyglądał tak samo. Spod fraka zwieszał się długi ogon, a na głowie sterczały ostre różki...

Skłonił się diablik zakonnikowi i powiada:

— Wielebny ojcze, wiem powód twej zadumy. Ale nic z tego, siei w jeziorze nie będzie, chyba że ja ci dopomogę.

— Cóż chcesz za pomoc? — spytał kameduła.

— O! Nic wielkiego — żebyśmy tylko zakład zrobili. Ja polecę do Włoch, nachwytam po jeziorach tyle siei, ile tylko udźwignąć będzie można, i rozrzucę po jeziorze. Muszę jednakże w mig sprawić się z robotą, bo Włochy daleko, a ryba wyjęta z wody wnet życie traci. Jak myślisz, szanowny ojcze, wiele na to czasu trzeba?

— Mniej więcej dwa, trzy dni — odpowiedział zakonnik.

Zaiskrzyły się szatanowi ślepia z radości, że zakonnik w rozmowę z nim się wdaje, boć przecie mógłby go od razu krzyżem świętym het na cztery wiatry przepędzić, więc w zapale krzyknął:

— Za godzinę będę z powrotem! — A widząc powątpiewanie na twarzy kameduły, dodał:

— Załóżmy się. Jeżeli wrócę na czas i zarybię jezioro, tak że w nim pełno siei po wszystkie będzie czasy, to szanowny ojciec w nagrodę da mi duszyczkę swoją... Czy zgoda? Bardzo jednak być może, że się spóźnię, droga daleka, a godzina mija tak prędko. Ponieważ jednak słowo się rzekło, więc go nie cofam. Spóźnię się choć o ćwierć minuty, moja przegrana: sieje wrzucę do jeziora, a sam wrócę z kwitkiem tam, skąd przyszedłem.

Od słowa do słowa, z targu w targ, stanęło na tym, że diablik ma za pół godziny cały transport ryb z Włoch dostawić.

Trochę z początku kręcił kusy rogami na tak krótki termin, ale w końcu namyślił się i wyleciał oknem, tak iż tylko zafurczało w powietrzu.

Zakonnik tymczasem chodzi po celi i cieszy się, że diabła wyprowadził w pole. Bo gdzieżby kto w pół godziny z tak dalekiej strony mógł powrócić? Pomału jednakże strach zaczyna go ogarniać, strach



coraz większy — już i nogi dygocą pod nim, i pot zlewa czoło...
A nuż diabeł na czas powróci? A nuż...

— Jezu Chryste, ratuj mnie grzesznika! — wykrzyknął i ile miał siły pobiegł na wieżę, ażeby z bliska popatrzeć na fatalne wskazówki zegara.

Jeszcze pięciu minut brakuje... Przerażony zakonnik padł na kolana i wielkim głosem miłosierdzia bożego wzywać począł:

— Nie karz mnie, Panie, za lekkomyślność! Daruj! — I krzyżem świętym machał w powietrzu, żeby złemu duchowi przystęp do siebie utrudnić.

Wtem coś w oddali zahuczało, iście jakby grzmot szedł po chmurach... Zakonnik w pół żywy żegna się ciągle... a grzmot wzmagają się... rośnie... huczy, niby morze w gniewie... Ogłuszony, na w pół żywy pada nieszczęśliwy kameduła na ziemię i choć nie widzi, czuje, jak postać straszna wskroś przez powietrze ku niemu zdąża, jak krogulcze szpony dosięgnąć go mają, gdy wtem zegar bić zaczyna... Jeden, dwa! O Boże miłosierny, co się to stało? Przed chwilą brakowało tylko pięciu minut, a teraz już druga! Cud! Cud! Dzięki Ci, Boże!

Korzy się zakonnik przed Panem — a tuż obok rozlega się zgrzyt straszliwy, potem szum i plusk, jakby tysiące drobnych ciałek w wodę wpadało. To diabeł zawiedziony i wściekły z gniewu, że się spóźnił, rzucił sieje w jezioro, a sam runął z powrotem do piekła. Ale ze złości ścisnął tak mocno biedne ryby, że krwią się zalały i od tej chwili sieje wydobyte z wody zawsze są zakrwawione.

W ten sposób tłumaczą sobie to zjawisko ludzie nieoświeceni; nauka mówi co innego, a mianowicie, że sieja wyjęta z wody natychmiast dusi się i krew ją zalewa.

JADWIGA CHRZASZCZEWSKA
JADWIGA WARNKÓWNA



BORUTA jest to nazwa sławnego diabła, co dotąd siedzi pod gruzami łęczyckiego zamku. Żyje długo, bo już niemal cztery wieki przeżył; teraz przecie musiał się zestarzeć, gdyż wielce się ustatkował i mało o sobie daje wiadomości. Imię to było głośnym szeroko i długo; a niejednen piskorz szlachecki, chciawszy dogryźć sąsiadowi, przeklinał:

— Żeby go Boruta zdusił albo łeb ukłęcił!

A diabeł, chętny złorzeczeniu, dopełniał nieraz życzenia.

W pobliżu zamku łęczyckiego mieszkał szlachcic niewiadomego nazwiska i herbu, rośły i silny. Nikt z nim nie mógł się zmierzyć na szable, bo za pierwszym złożeniem przeciwnikowi silnym zamachem wytręcał oręż z ręki. Jak się raz plecami o zrąb domu oparł, całe sąsiedztwo nie dało mu rady.

Stąd szlachcic dostał przydomek Boruty, bo mówiono powszechnie, że musiał mu diabeł Boruta pomagać, kiedy wszyscy nie podawali jego sile i mocy; a że nosił siwą kapotę, dla różnicy od prawdziwego diabła, dostał przydomek siwy, tak więc zwał się Siwy Boruta.

Od onej chwili nikt go nie zaczepił. Każdy pomijał lub ustępował z drogi; nawet w gospodzie pijana szlachta, kiedy porwała się do

broni, na sam głos Siwego Boruty wychodziła do sieni albo na podwórze i tam karbowwała* sobie dymiące łysiny.

To uszanowanie, a raczej bojaźń sąsiadów, co znali moc żylastej prawicy, wbiła go w dumę. Uniesiony nią, nieraz się w zuchwałej przechwałce odgrażał, że jak złapie prawdziwego Borutę, to mu karku nakręci, a skarby, których pilnuje, zabierze. Uważano nieraz, że wtedy słyszeć się dawał w piecu lub za piecem śmiech szyderski.

Siwy Boruta, kiedy pił — a pił nie lada, bo najtężsi bracia piskorze nie mogli go przepić — zawsze pierwszą szklankę wypijał za zdrowie diabła Boruty, a słyszano odgłos zaraz gruby, przeciągły:

— Dziękuję!

Siwy Boruta miał dużo pieniędzy, ale wkrótce w hulance roztrwonił; postanowił przeto dostać się do skarbów i wziąć z parę miezków złota od swego miłego brata, jak nazywał diabła Borutę.

O samej północy, zapaliwszy latarnię, zuchwały szlachcic ufając swojej sile i szabli, poszedł do lochów. Wyostrzoną demeszkę* trzymał wydobytą z pochew pod pachą, a latarnią rozświecał ciemnotę dokoła panującą. Ze dwie godziny chodził po zakrętach; nareszcie wybiwszy drzwi jedne, ukryte w murze, ujrzał skarby, a w kącie na bryle złota siedział sam Boruta w postaci sowy z iskrzącymi oczyma.

Zbladł i zadrzał na ten widok zuchwały szlachcic, spocił się potężnie ze strachu; po chwili, przyszedłszy do siebie, wyrzekł z cicha, z ukłonem i pokorą:

— Mnie wielce miłociwemu panu bratu kłaniam uniżenie!

Sowa kiwnęła głową, co rozweseliło nieco Siwego Borutę. Ukłoniwszy się raz jeszcze, zaczął wypełniać siwej kapoty kieszenie i mieszki, które przyniósł, złotem i srebrem. Tak je obładował, że zaledwie mógł się obrócić.

Już świtać zaczęło, a szlachcic nie przestawał garściami ściągać złota; w ostatku, nie mając go gdzie włożyć, począł w gębę sypać, a że miał niemałą, nasypał dosyć i, znowu ukłoniwszy się stróżowi, wyszedł z lochu. Zaledwie stanął na progu, kiedy drzwi się same zatrzasnęły i ucięły mu całą piętę.

Kulejąc a krwią znacząc ślady kroków swoich, przeładowany skarbami, dobywając ostatki siły, tak dawniej głośniejszy, ledwo doszedł do domostwa.

Upuścił na podłogę złoto i srebro, wypluł z napchanej gęby, a sam padł wysilony i słaby. Odtąd miał dużo pieniędzy, ale siłę stracił i zdrowie. Przeszekał całe życie. I gdy w kłótni o miedzę wyzwał sąsiada, ten, którego dawniej jednym palcem obalał Siwy Boruta, pokonał bogacza i zabił.

Domostwo jego pustkami zostało; nikt zamieszkać nie chciał, bo sam diabeł Boruta często przesiadywał w starej wierzbie, co na podwórzu rosła, odwiedzał izbę i alkierz, pozostałe skarby przenosząc na powrót do zamku łączyckiego.

KAZIMIERZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI



CIEMNYM lochu łęczyckiego zamku, przy rozpalonej drzazdze smolnej siedział jakiś wąsaty szlachcic i pił z beczki. Miał na sobie karmazynowy żupan, pas złotolity, na rzemyku szabla; czapka rogatywka z siwym barankiem nie przylegała mu należycie, jakby coś jej zawadzało: jakoż, kiedy chciał się poskrobać po głowie, ujrzałeś przy ręku pięć ogromnych pazurów, a za uchyleniem czapki — małe czarne rogi. Był to sławny diabeł pan Boruta, co pilnował skarbów zamkowych, pozostałych w ukryciu od udzielnych jeszcze książąt Mazowieckich. Twarz miał wielką, rumianą, wąs potężny, obwisły spadał mu wraz z brodą na piersi; wzrostu wielkiego, szeroki w plecach, oczu iskrzących. Zachmurzony, siedział na próżnym antale po małmazji, ale kiedy miał się uśmiechać, wtedy wąsy pokręcał w górę i aż za duże uszy sterczące zakładał.

— Już dosyć wysiedziałem się w tym lochu ciemnym i wilgotnym, nie ma i co pić dalej, ostatnią beczkę węgrzyna za chwilę dopiję! — tak mówił do siebie Boruta. — Myślę, że nikt się nie poważy zajrzeć do tych skarbów, a jakoś tu i tęskno, i nudno. Sto lat tak siedzieć na jednym miejscu, a na jednym miejscu i kamień obrasta; zawsze ciemno, chłodno, ponuro, a tam na świecie słońko świeci, ptaki i ludzie wesoło śpiewają; kapele brzmią, ucztują radzi. Trudno wytrzymać dłużej; hulaj dusza bez kontusza! Zamknę loch

i przejdę się po świecie; trzeba jeno ubioru co poprawić, aby dobrze przyjęto gościa.

U szlachcica Kaliny o milę od zamku łęczyckiego brzmi kapela, wydaje córkę najstarszą za męża.

Ćma krewniaków napęłniła całe domostwo, beczki z miodem, piwem i wódką stały w sieni, na gankach, w izbach, bo pan Kalina, zamożny szlachcic, dziedzic całej pół wioski, dobył woru z zapleśniałymi talarami, nie żałując wydatku na tak wielką dla siebie uroczystość. Już było po ślubie i po oczepinach, zaczęła kapela brzmieć chmiela*, kiedy we drzwiach ukazał się nowy gość niespodziewany. Ubrany był w karmazynowy żupan, pas złotolity, czapka na głowie rogatywka z siwym barankiem, na rzemyku szabla, rękawice czarne, buty z wywijaną cholewą i ogromnymi ostrogami. Jak stanął we drzwiach, całe zawalił, kiwnął głową nie zdejmując czapki i szedł dalej, i na ławie usiadł.

Kapela grać przestała, pieśń chmielowa ochotnikom na ustach skonała, niewiasty przerażone tuliły się do kąta. Gospodarz ujrzał na wszystkich twarzach pomieszanie, zbliżył się do nieznanego i rzekł:

— Panie bracie, zawsze możecie jeść chleb u mnie z solą, byle z dobrą wolą, ale na ten raz nie prosiłem waszeci, więc proszę! — I wskazał na drzwi.

Nieznanomy pokręcił głową na znak, że nie wyjdzie, i wybąknął od niechcenia: — Pić.

Pan Kalina kazał podać gąsior z miodem i czarę, ale nieznanomy czarę rzucił na ziemię, przytknął gąsior i wypił do kropli. Szlachta łęczycka klaszcze z radości, wołając:

— To nasz brat! Nasz brat!

Nieznanomy uśmiechnął się wesoło, pokręcił wąsy w górę i aż za uszy założył, a beczkę miodu widząc, porwał, postawił ją na stole, czop wyrzucił, rozdziawił paszczę, łykając strumień napoju z szumem tryskający małym otworem.

Wszyscy z podziwieniem nieznanego otoczyli wieńcem, niewiasty i panny postawały na stole i ławkach, patrząc na pijaka; nie-

znajomy łykał, sapiąc tylko nosem, wkrótce uniósł beczki, potem dobrze przechylił, aż w końcu nie ma miodu, wszystko wytrąbił gracko! Wtedy połową wása otarłszy z piany usta i brodę krzyknął: — Kapela! Chmiela! — I porwał za rękę pannę młodą.

Wrzała przestraszona, a gdy ją ciągnie nieznajomy nie zważając na jej przestraszonych, staje w obronie pan młody i wyzywa zuchwalca na szable.

Nieznajomy ociągał się powoli, ale gdy mu nowożeniec wyciął silny policzek, że za ledwie przytrzymał czapki, a od drugich na karku poczuł silne razy, zawołał: — Po jednym, po jednym! — I wyszedł na podwórze.

Zawyły psy, jakby wilka poczuły, szlachta wybiegła za nim, żeby nie uciekł; zapalono łuczywa, wyniesiono świece, zajaśniał podwórzec jak w dnia południe.

Nieznajomy dobył szabli, spojrzawszy iskrzącym wzrokiem, gdy pan młody krzyż na ziemi swoim kordem znaczył. Aż się skry sypnęły za złożeniem szabli, nieznajomy dobrze się bronił, ale pan młody zmyślniej; a widząc, że mu nie podoła, przerzucił z prawej kord w lewą rękę, czym odurzony przeciwnik nie dostrzegł cięcia i oberwał potężnie po karku. Obciął mu dwa palce, spadła rękawica, nieznajomy wypuścił z zakrwawionej dłoni szablę, aż tu kur pieje. Stęknął ranny, podskoczył i znikł z koła otaczającej go szlachty, zostawiając na ziemi pas złotolity, rękawicę zbroszoną i szablę. Gdzie stał, zakipiało trochę smoły, a gryzący zapach siarki uderzył we wszystkie nosy. Pan Kalina podnosi pas, porywa rękawicę, trząsa: wypadają dwa wielkie pazury z kawałkiem palców. Pan młody patrzy na szablę; to pogańska, nie masz znaku krzyża, tylko księżyc turecki.

I wołają wszyscy:

— Boruta! Boruta!

W ciemnym lochu łączyckiego zamku przy rozpalonej drzazdze smolnej siedzi wąsaty szlachcic w karmazynowym żupanie, bez pasa i szabli, czapka rogatywka, ale z pociętym sukniem, siwy, poszarpany

baranek. Leżał na dwóch próżnych beczkach, lizał rękę okaleczoną z trzema potężnymi pazurami, bo dwóch brakło, i tak prawił do siebie:

— Nie wyjdę więcej na świat: rano dobrze było, kiedym się wygrzał na słońku, ale wieczór cóż zyskałem z tą przeklętą szlachtą, co klaskała, jakem pił, a potem wyzywa na rękę? Myślałem, że im przecież podołam, aleć oni lepiej szablą robią jak diabeł. Zgubiłem pas i szablę, dwa pazury, pocięli mi czapkę, skaleczyli rękę, a co najgorsza, poznali, że Borutę obcięli.

I kręcił ze złości wąsy, darł brodę, a lizał rękę ranioną.
Odtąd już więcej z lochu nie wyszedł łączycki diabeł.

KAZIMIERZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI

JĄŚ GRAJEK I KRÓLOWA BONA



YŁO TO w jedną noc styczniową. Mróz, który od kilku tygodni się srożył i Narew grubym okrył lodem, sfolgował właśnie nad wieczorem, a leciutki śnieżek pokrył ziemię. Powietrze było zupełnie ciche i tak łagodne, iż po siarczystych mrozach zdawało się ciepło jak na wiosnę. Księżyc, chociaż niepełny, przyświecał jasno, a w jego blasku złodowaciałe drzewa i suche badyle polnych chwastów iskrzyły się jak gdyby ze srebra i brylantów samych złożone.

Mogło być około północy, gdy Jaś Grajek wracał po łodzie z za Narwi do domu, bo jakoś tej niedzieli rychlej się skończyły niż zwykle tany w karczmie, w której grał właśnie. Był to sobie rześki, dwudziestoletni parobczak, z rzemiosła swego pastucha bydła w Łomżyńcy, a z zamiłowania grajek. Chodząc za stadem swoim przez lata całe ze skrzypkami nieodstępny, tak się doskonale wygrywać na nich wyuczył, że aż rozkosz było słuchać. Toteż choć młody, poczynił już mieć sławę w okolicy, dziewczki uśmiechały się do niego raźniej niż do drugich parobczaków, a gdzie było weselisko albo tany w pobliżu, trudno się obyło bez Jasia.

Otóż tedy powracał sobie po łodzie z karczmy do domu, a że mu jeszcze czmeralo* parę kieliszków w czuprynie, wygrywał sobie

po drodze to wesołe, to rzewne piosneczki, jak mu która na myśl przychodziła. Właśnie przeszedłszy szczęśliwie przez rzekę, mijając pagórek, na którym kiedyś stało zamczysko królowej Bony, gdy wtem stał się przed nim dziw, który go od stóp do głów przejął mrowiem. Tuż przed oczyma jego rozwarła się nagle jedna ściana pagórka i z ciemnego jej otworu ukazała się piękna pani, wystrojona jak na święto cała od złota i klejnotów. Jaś, choć mu w głowie czmeralo, widział, że to coś nie po ludzku się dzieje. Chciał się przeżegnać, ale mu smyczek przeszkodził, zawołał więc tylko na głos:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja go chwale — pokornie i rzewnie odpowiedziała strojna pani — choć nim oglądać go stanę się godną, wieki, wieki jeszcze miną! — z cichym dodając westchnieniem.

Jaśko, skoro tylko pierwsze słowa jej posłyszał, uspokojony, że nie z diabłem ma do czynienia, nie dając na resztę uwagi, zdjął czym prędzej z głowy baranią czapkę i kłaniając się nią do nóg zaczął prawić:

— A toć mi wybaczcie, Imościuli, żem się was wyląkł gdyby czego złego... Ale, dalibóg — bo i skąd się też Imość o tej porze tutaj wzięła?... Albo pfu! czym ja pijany, czy co? Czy mi się to jeno widzi, że to my tutaj nad Narwią, w szczerym polu — a to ot, że niby Zamkowa Góra — hę?

— Dobrze ci się widzi, mój człowieku. Toć to jest Zamkowa Góra, a ja nieszczęsna ta królowa Bona, com na niej kiedyś mieszkała!... Ach, ciężko się nagrzeszyło, ciężko też pokutuję teraz! W zapadłym zamczysku moim dręczą mnie i poniewierają złe duchy; tylko ta jedna godzinka przed północą, o której za życia bywało pacierz mówiłam, wolna mi od mąk zostaje... Ale co ci o tym prawić! Choćbyś chciał, pomóc mi nie zdołasz... Oto, uczynże przynajmniej jedno, co możesz. Słyszałam, jakieś idąc śliczne wygrywał piosneczki, zagrajże i mnie z jedną, ze dwie jakie, to zapomnę choć na chwilę o mojej srogiej niedoli.

To mówiąc zjawisko niewieście spojrzało Jankowi w oczy tak miłosiernie, prosząc, że chociaż dowiedziawszy się o jej godności rad

by wziąć nogi za pas i drapnąć do domu, nie mógł się oprzeć milczącemu błaganiu i podstroiwszy skrzypce zaczął grać jej kwoli śliczną piosenkę.

*Choćbyś ty jeździł we dnie i w nocy,
Choćbyś wyjeździł koniowi oczy,
Tak ja twoją nie będę!*

Bona słuchała z zachwyceniem. Ach! Bo i któż by słuchać mógł bez niego tej cudownej mazowieckiej pieśni? Cóż dopiero ona nieboraczka, co od lat tylu nie знаła innej muzyki, tylko wycia i śmiechy diable? Jaś też grał, co się nazywa, doskonale. Nie umiał ci on wyprawiać smyczkiem po strunach takich dziwnych skoków, jak na przykład dzisiaj niejeden okrzyczany szarlatan, ale od pierwszego dotknięcia skrzypek tak się duszą całą wysilił w piosnkę graną, że zapomniał o Bonie i strachu, o wszystkim wokół siebie, wyśpiewując w głębi duszy słowa, których nutę wygrywał. Toteż jednostajna melodia piosenki z każdą zwrotką nabierała nowego wyrazu, ruchu i dźwięku, a kiedy przyszedł w myśli aż do słów dziewczyny:

*A ja się stanę gwiazdką na niebie,
Będę świeciła ludziom w potrzebie,
Tak i ja twoją nie będę!*

do nieporównanej odpowiedzi chłopca:

*A ja mam litość nad ubogimi,
To sproszę gwiazdkę z nieba do ziemi.*

skrzypki Jasiowe tak czarującym odezwały się głosem, że aż Bonie z czarnych oczu trysnęły dwie jasne łez krynice i dwiema kroplistymi strumieniami z twarzy na wznoszące się piersi spadały.

— Dzięki ci, dzięki — zawołała, kiedy skończył — za te łzy, któreś mi wycisnął! Ach, nie pojmujesz sam, ileś mi dobrego sprawił. Łzami tymi wyciekło z duszy mojej więcej złego, niżliby ogień czyścicowy przez cały rok mógł sprawić... Ale słyszysz? Oto północ bić zaczyna — muszę wracać na pokutę! Bywaj zdrów, a pamiętaj, jeśli

kiedy będziesz potrzebował pomocy w jakiej potrzebie, przyjdź, zagraj tylko pod tą górą, a ja wynijdę do ciebie. Nie zapomnij tylko pory: w godzinę przed północą!

Wtem na wieży łomżyńskiej fary zegar uderzył dwunasty raz. Bona skoczyła w czarną czeluść pagórka, która się za nią zawarła, a Jaś posłyszał taki ryk i jęk, i brzęk łańcuchów, że zatykając uszy pobiegł wystraszony ku domowi, odmawiając pacierz za zbawienie pokutującej królowej.

*

Słońce poczęło wyżej wzbijać się nad ziemią i ciepławy południowy wiatr powiewał po lesistych Polski płaszczynach, niosąc na skrzydłach swych młodą wiosnę, otoczoną śpiewnymi chórami skowronków i szczebiotliwych jaskółek, ciągnącą za sobą długie wędrownego ptactwa sznury. A w miarę jak ten zgiełkliwy orszak niewidzialnej bogini przebiegał ponad niwami, topniały lody w brylantowe krople i śnieg poczerniały rozpływał się w tysiące drobnych strumyków, brzmiających po kamykach we wtór wiosennego ptactwa świegotowi. Bladozielone łąki stroiły się w pierwsze stokrotki; nagie jeszcze rosochate drzewa radośniej już przybierały barwę, zdało się, że pod ich grubą, szorstką korą widać krążenie soków, a długie ich ramiona, poruszane wiatrem przelotnym, nie przerażały już tym kościotrupim stężących członków chrzęstem, lecz uginając się lekko, miłym odzywały się szumem. Nawet posępna, krzywo konarzysta sośnina, obwiana tchnieniem młodzieńczym wiosny, zdawała się odmładzać żywszą barwą i balsamiczną rozlewała wonność.

Jaś po raz pierwszy wygonił swoje bydełko na świeżą pastwę, na łąki bujne brzegiem lasu się ciągnące. Zachwycony pięknnością bożego świata, pochwycił nieodstępne skrzypki i zasiadłszy na próchniejącym pniu starej jakiejś olchy, patrząc w jasnoblękitne niebo i słuchając tajemniczych głosów z głębin jego brzmiających, wylewał serdeczną muzyką przepelniając duszę błogie uczucia. Biedny Jaś, biedny poeta-grajak! Zapomniał na śmierć, że był pastuchem dworskiego bydła. Przez przezroczyście niebo widział Boga w całej chwale i wszechmocy,

otoczonego chórami aniołów, i zdało się, że sam stawszy się także aniołem wygrywał na swych skrzypcach chwałę Przedwiecznemu...

Z marzenia tego zbudził go nagle okrutny boćkowski kańczug, spadający mu gradem ciosów na plecy i ramiona.

— Ha! Psia, chamska duszo niegodziwa! — wrzasnął z konia gruby pan ekonom. — Tak to pasiesz pańskie bydło? Dam ja ci muzykę, złodzieju!... — i grzmocił batogiem dalej.

Jaś, z bólu i strachu wypuściwszy skrzypki, zobaczył stado swoje rozpierzchnione po pastwisku i po bliskiej ozimie, po kępach i zaroślach i uchodząc przed niemiłosiernym batogiem pobiegł je zaganiać w gromadę. Rozperzony ekonom tymczasem grzmiał jeszcze długo przekleństwami i groźbami, aż przypomniawszy sobie o czymś innym pogalopował dalej.

Po kilku godzinach znojnego biegania udało się Jaśkowi zegnać wreszcie do kupy wszystko bydło rozpierzchnione: lecz gdy je zebrałszy jął liczyć — o zgrozo! — przekonał się, że czerwonej Łysej nie dostawało. Próżno jej się dowoływał, próżno szukał w pobliskich zaroślach, a dalej odchodzić nie śmiał, żeby się wszystko nie rozeszło znowu. Co było robić? Pognął przed czasem bydło do domu, a zamknąwszy w oborze, sam odszedł, choćby noc całą szukać jałówki. Ale nie potrzebował trudzić się zbyt daleko, za ledwie przyszedł w pierwszy gęsty zagaj, znalazł poszarpaną świeżo skórę swojej zguby, rogi i kopyta. Czerwoną Łysą wilki zjadły!

Jęknął Jaś na ten widok jak przybity i zdrętwiał cały, myśląc o karze, jaka go czeka.

— Boże mój, Boże! — wołał łamiąc ręce. — Cóż ja nieszczęsny mam począć?... Albo mi się utopić, albo się powiesić!...

Wtem przypomniał sobie Bonę i obietnicę, którą mu uczyniła. „Tonący brzytwy się chwyta“, a tak i Jaś, choć go mrowie przechodziło na samo wspomnienie Zamkowej Góry, odważył się i szedł szukać pomocy u pokutującej królowej.

Stał u Zamkowej Góry właśnie w sam czas, bo tylko co była jedenasta wybiła; przeżegnawszy się więc pobożnie i polecivszy Panu Bogu, począł wygrywać na skrzypkach.

Niezadługo otworzyła się przed nim, jak niegdyś, ściana pagórka i Bona w królewskim wyszła stroju.

— No, jak się miewasz, przyjacielu? — zapytała Janka. — Jakoś smutnie ci dziś z oczu patrzy; powiedzże, co ci się stało i jakiej chcesz pomocy?

— Ach, jaśnie oświecona królowo! — rzekł grajek. — Stało mi się ciężkie dziś nieszczęście. Zagapił się człowiek, pasąc bydło, a czerwona Łysa tymczasem w las zalaża i wilcy ją zżarli! Poradź, pomóż, zlituj się, miłościwa pani! Bo mi się chyba utopić przyjdzie.

— Nie rozpaczaj no tylko przed czasem, chętnie ci dopomogę. Jałówki wprawdzie zjedzonej do życia nie wrócę, ale dam ci tyle pieniędzy, żebyś albo inną kupił, albo panu ją zapłacił. Ileż, myślisz, będzie ci trzeba?

— Ano! Icek dawał panu za nią osiem talarów, ale pan nie chciał inaczej, jeno dziesięć. Jeszcze sam zapowiedział: „Pamiętaj, Jasiek, możesz oddać Ickowi czerwoną, jak ci zapłaci dziesięć talarów“. Ale Icek na moje nieszczęście nie przyszedł!

— Dobrze tedy — mówiła Bona — ja ci dam dziesięć talarów, a będziesz mógł powiedzieć, żeś bydłę sprzedał. Ale po pieniądze sam sobie iść musisz do lochu. Stoi tam jedna kadź talarów, to sobie odlicz, co ci ich potrzeba. Pamiętaj tylko, żebyś ani na włos nie brał więcej; bobyś popadł w moc złego, a na to ja nic bym ci nie mogła pomóc.

Jasiowi nie było miło, że sam musi leżeć w głąb góry, ale że nie miał innego wyboru, zebrał całą odwagę do serca i poszedł. Czarnym krętym korytarzem zaszedł do ogromnej piwnicy, w której od srebra, złota i drogich kamieni widno było gdyby w dzień. Pod jedną ścianą stała kadź szeroka, pełna pod wierzch bitych, błyszczących talarów. Jaś drżącą ręką odliczył ich sobie dziesięć — przeliczył jeszcze raz, czy nie wziął przypadkiem za wiele — i schowawszy je dobrze za nadra* pobiegł nie oglądając się na powrót. Wydostawszy się na wolne powietrze odetchnął, jakby się na świat na nowo narodził, a podziękowawszy serdecznie Bonie wrócił szczęśliwie do domu.

*

Bieda nigdy nie przychodzi sama. Jak się raz zacznie, to idzie jedna za drugą, jak pacierze w różańcu. Wkrótce po stracie jałoszki zdarzyło się Jaškowi nowe, gorsze sto razy nieszczęście; zakochał się biedaczysko. Jeszcze że się zakochał, może by to i nie było tak źle bardzo, boć powiadają, że to nawet czasem na dobre bywa; ale lichog skusiło zakochać się w Małgoli, córce młynarzowej z łomżyńskiego przedmieścia.

Taka panna młynarzówna dla ubogiego grajka wiejskiego jest tak w stosunku jak na przykład jaka hrabianka albo bogata dziewcziczka względem niemającego artysty albo literata. Schlebiało jej to, że Jaś dorodny chłopak i lubiony od tylu dziewczek był jej uniożnym służką, nawet nie szczędziła mu czułych spojrzeń i uśmiechów; ale Jaś, nie w ciemę bity, widział dobrze, że to wszystko kobieca obłuda, żeby go sto razy oddała za pierwszego lepszego wiercipiętę z miasta...

Stary Grzegorz, gajowy, stryj jego, widząc, jak srodze się miłością swą martwił, mówił doń nieraz:

— Ej, Jasiu, Jasiu! Niechaj ty młynarzównę! Co ci za lichog w łeb wlażło? Czy ty nie masz tylu ślicznych dziewczek, co za tobą przepadają, żeby się tamtej wpraszać? A gdyby cię nawet i kochała, gdybyś się z nią ożenił, choćby ci też i najlepszą żoną była, to wierz staremu, kością w gardle stanąłby ci tatuś i mamusia, nadęci bracia i siostry, bo to wszystko takie głupie, żeby się miało za coś lepszego od ciebie. Daj jej pokój, mówię tobie, ot wiesz co, wyswatam ci Wojciechową Jagnę albo Kaškę po Jędrzeju?...

Ale zakochanemu prawić, ażeby dał spokój, to tak, jakbyś choremu chciał doradzić, żeby nie miewał gorączki. Jaś wiedział tylko jedno: że bez Małgoli żyć nie może, a co dalej będzie, nie myślał. Od kłopotu i zmartwienia począł wreszcie chudnąć i blednąć.

„Oho — pomyślał sobie — źle! Jak wychudnę i zblednieję, będzie jeszcze trudniej z dziewczyną. Cóż ja nieszczęsny mam począć? Ha! dziej się wola Boża! pójdę na porady do Bony, czy mi co nie pomoże?”

I w rzeczy Bona znalazła mu radę (bo ponoć za życia swego nieraz tego sama próbowała).

— Chcesz, żeby cię twoja dziewczka kochała? Sposób łatwy na to — rzekła — złap żywego nietoperza, włóż go w nowy garnek i obwiąż rzeszociskiem, a potem o północy zagrzeb w mrowisku. Tylko pamiętaj, odchodząc nie oglądać się, boby ci się złe zdarzyć mogło. Nazajutrz idź do mrowiska, a znajdziesz w garnku widełki i grabki; którą dziewczynę zechcesz, żeby cię kochała, przyciągnij ją skrycie ku sobie grabkami, a nie będzie mogła żyć bez ciebie, która ci zaś niemiła, a wdzięczy się k'tobie, odepchnij ją jeno widełkami, to będziesz miał pokój od niej.

Uradowany Jaś złotą radą królowej odszedł, po tysiąc błogosławiąc jej rady.

W kilka dni, złapawszy nietoperza, uczynił wedle jej nauki, a w niedługi czas stało się, że wszystkie dziewczki, co za nim kiedyś szalały, teraz ani spojrzwały na Jasia; Małgorzata zaś młynarzówna na śmierć się w nim rozkochała.

Ale tu nie był koniec jego kłopotów. Gdy przyszło do oświadczyn, rodzice dziewczyny roześmiali się mu w żywe oczy, że taki gołota chce posażnej ich córki, a choć kochająca Małgosia płakała i rozbijała się, prosząc u nóg ich, stary młynarz, jak kamień twardy, zaklął się, że jeśliby ją wydał kiedy za chłopą, to chyba tylko za gospodarza albo za gospodarskiego jedynaka. Cóż mógł biedny Jaś poradzić? Musiał zność cierpliwie wymówki stryjowe, że go na próżno w swaty na hańbę wyprawiał, urągowisko chłopaków i dziewczek, że chciał leżeć wyżej, nie podrósłszy, a co najgorsza, patrzeć na łzy i smutek swojej Małgoli. Gdy kilka tygodni tak przeszło, a nie było nadziei, żeby młynarz dał się zmiękczyć, Jasiak wspomniawszy sobie skarby pod Zamkową Górą postanowił raz jeszcze udać się o pomoc obiecaną do Bony.

*

Podług zwyczaju Bona przyjęła Jasia łaskawie, pytając, czego by potrzebował.

— O wielmożna królowo! — począł Jaś kłaniając się do ziemi. — A dyć to jeszcze nie koniec utrapieniu memu!... Prawdać, Małgola mnie kocha, choćby w ogień za mną wlecieć, ale cóż, kiedy jej ojcowie

wyśmieli się jeno ze zalotów moich, a młynarz zaklął się, że nie wyda jej inak, jak za gospodarza. Cóż ja biedny sierota mam począć? Użalże mnie się ty, jasna pani! A do końca życia naszego będziem oboje co dzień prosić o pokój wieczny dla ciebie!...

— Z duszy serca, miły Janku, jakom przyrzekła, chętnie ci pomogę — odpowiedziała Bona. — Mów, jak wiele ci potrzeba, ale pamiętaj, mów prawdę, nie żądaj więcej nad słuszną potrzebę, bo łakomstwo ciężki grzech i nie zostaje bez kary.

— A niech mnie Bóg ciężko skarze, jeśli choć o pół grosza za wiele powiem!... Oto właśnie o granice jeno od nas jest na sprzedaży gospodarstwo, po kołodziejcu Jakubie, co w łońskie lato utonął, za okrągłe czterysta talarów. Gospodarstwo jak z płotka wywinąć, wszystkie porządeczki i bydełko śliczne; żebym je tylko mógł kupić, młynarz sam by mi się prosił z Małgołą.

— Idźże, weź sobie z lochu te czterysta talarów, ale nie zapomnij, com cię ostrzegła: nie tykaj nic, ani na włos więcej, bobyś to drogo przyplacił.

Tą razą już bez takiej trwogi wszedł Jaś do piwnicy, gdzie stały skarby zakłete, i odliczył swoje czterysta bitych. Odchodząc z nimi obejrzał się ciekawie dokoła: mój Boże! co tu śliczności! nie na jedno wzięła go ochota, ale przecież przemógł siebie i już był u samych drzwi korytarzowych, gdy wtem potknął się o coś na drodze.

Przekłete biesy, co skarbów tych pilnowały, uradziły się na Jasiową zgubę — patrzcie! wiedziały, psie wiary, czym skusić Mazura!...

Schyliwszy się, grajek zobaczył parę nowiusieńkich butów, z zawijanymi cholewami, wysmarowanych słoniną, że aż się świeciły, z calowymi u obcasów podkówkami.

Czego nie mogło srebro i złoto, to dokazały buty. Jaś ułakomiony począł się namyślać, czyby je wziąć, czy lepiej nie brać?... Popatrzył troskliwie po wszystkich kątach, czy gdzie nie siedzi jakie lichy zaczajone, ale nic widać nie było.

„Ej — pomyślał sobie — tylko aby przymierzę, czyby mi też było wraz?...“ — i położywszy miech z talarami na ziemi, zrzucił swoje zszarzałe chodaki, a nazuł nowe buty na nogi.

Wtem na kościele w mieście poczęła bić dwunasta godzina i Bona wbiegła do podziemia.

— Spiesz! Uchodź! — powiedziała. — Za chwilę zamknie się góra!...

Ale wystraszony Jaś, o wszystkim zapomniawszy, pobiegł wydostać się na świat żywy.

— Szczęśliwej drogi w nowych butach! — zahuczał za nim z głębi głos okropny, zmieszany z piekielnym śmiechem, od którego aż cała zatrzęsała się góra. Jasiowi włosy na głowie powstały, aż wtem poczuł nagle, że go w nogi pali, jakby je miał włożone w płonącym zarzewiu... Przerażony chciał zrzucić diabelskie buty, ale rozpalona smoła tak do ciała przyłgnęła, że ich oderwać nie było rady... Rycząc i jęcząc od bólu, padł nieszczęśliwy grajek na ziemię, wijąc się jak wąż wśród piekielnych męczarni.

Z rankiem nazajutrz ludzie przechodzący w pole znaleźli Jasia grajka omdlałego przy Zamkowej Górze. Z przestraszem zobaczyli, że obie nogi jego po kolana na węgiel były spalone i rozsypały się całkiem, kiedy go z ziemi podnieśli. Zanieśli biedaka do Łomży do szpitala, gdzie go doktorzy ocucili i pomału do zdrowia przyprowadzili. Ale na całe życie zostawszy kaleką, musiał potem, czołgając się na czworakach od wsi do wsi, żebrać kawałka chleba, śpiewając przy swoich skrzypkach pode drzwiami u ludzi; nieszczęśliwa zaś Małgosia, od żalu i zgryzoty, wrychle Bogu ducha oddała.

ROMAN ZMORSKI

WARSZAWA,
STOLICA POLSKI



IE WIE nikt, nikt nie pamięta, w niczym wspomnieniu, najdawniejszym nawet, w żadnej najstarszej księdze nie znajdziesz — jaki w rzeczywistości był początek stolicy naszej, Warszawy. Kiedy dźwignęła się ona grodzkimi wieżami nad brzeg płaski, piaszczysty? Kiedy ścianami grodu przejrzała się w rzecę — Wiśle?

Trzeźwa pamięć ludzka zawodzi. Księga uczona milczy. Ale legenda — ta snuje się tęczową nicią, przechodzi nieprzerwana z pokolenia w pokolenie.

Słowa legendy płyną spokojnie z ciemnej dali minionych wieków. Ciche, ubogie, proste słowa, do głębi serce wzruszeniem przejmujące.

Dopłynęły do nas. Szepczą szeptem wszystkowiedzących modych fal wiślanych.

Głosi legenda:

...Za czasów dawnych, pradawnych, za pogańskich, słowiańskich czasów... gdy słoneczny bóg Światowid władał mazowiecką puszczą — w puszczy tej, pełnej zwierzyny łownej i dzikiego ptactwa, nad „białą wodą“ — Wisłą, rybak Warsz chatę z bali sosnowych zbudował,

trzcina wiślaną dach poszył. Żona Warsza na kominie glinianym rozpała domowe ognisko i poświęciła je bogu światła i ciepła, ognistemu, głośno swarzącemu się bogu Swarogowi.

Potem zaczęli oboje żyć po bożemu: w dniu powszednie pracowali, a święcili dni świąteczne.

Dnia pewnego rybak Warsz wypłynął na połów. Warszowa żona z dwojgiem bliźnich dzieci została w chacie, ryby już złowione sprawiając i wędząc.

Wtem gość niezwykle zawitał do chaty rybaka. Był to sam mazowiecki książę Ziemowit, który zabłądził na łowach w czarnej puszczy. Za zwierzem turem goniąc, łowców-towarzyszy odbiegał niebacznie i drogi ku nim powrotnej, o dziwo! odnaleźć nie mógł. Wtedy z wiślanej łachy wynurzyła się Panna Wodna półrybiej, półludzkiej postaci. Ta znużonemu, głodnemu i spragnionemu księciu ścieżkę do chaty rybackiej wskazała.

— Idź — rzekła — a znajdziesz tam los swój i los ojczyzny swojej.

Poszedł książę za wskazaniem wiślanej wróżki.

Cóż znalazł? Chatę ubogą, ludzi prostych, życie pracowite.

Okazano mu tam gościnność szczerą i pomoc życzliwą, prosto z serca idącą, nie jak wielmożnemu księciu, lecz jak bratu będącemu w potrzebie.

Z początku zdziwił się wielmożny książę. Potem — zrozumiał. Zrozumiał, że potęgą na świecie nie jest bogactwo ani władza — że potęgą jest praca. Zrozumiawszy — ocenił i uszanował.

A że puszcza — według ówczesnych dawnych praw — należała do księcia, rzekł książę rodzinie rybaka:

— Coście sami już pracą swych dzielnych rąk na dzikiej ziemi zdobyli i znacznie, znacznie więcej jeszcze, po wieczne czasy daruję wam i waszemu potomstwu. Waszą będzie ta ziemia.

Tak oto i w ten sposób powstała wieś Warszowa, później Warszawą zwana...

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

PLAC TRZECH KRZYŻY W WARSZAWIE



RZE D wielu, wielu laty, kiedy jeszcze bór gęsty tu nad Wisłą szumiał, mieszkała w owym lesie, w starym zameczku, piękna panna. Była ona śliczna jak malowanie: złote włosy do kolan, oczy jak chabry, ząbki jak perły, usta jak korale, a w całej twarzy — krew z mlekiem. Drugiej takiej nie było w całym kraju. Kiedy wiadomość o urodzie tej panny rozeszła się szeroko i daleko, zewsząd zjeżdżali rycerze, ubiegający się o jej rękę. Ale panna ta serce miała kamienne; żadnego z młodzieńców pokochać nie chciała i zamiast kogo uszczęśliwić, była tylko przyczyną gniewu i zazdrości.

Zdarzyło się, że trzech rodzeni bracia pokochali się w pannie i przyszło z tego powodu pomiędzy nimi do takiej kłótni i nienawiści, że przed samymi oknami nieczulej panny pozabijali się w pojedynku. Wtedy dopiero panna uznała swą winę i dla przebłagania Boga wstąpiła do klasztoru.

Trzech braci pochowano w lesie pod zameczkiem i każdemu z nich na grobie postawiono krzyż.

JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA
JADWIGA WARŃKÓWNA



1

Y Ł sobie szewczyk warszawski. Nazywał się Lutek. Dobre było chłopczyśko, wesołe, pracowite, ale biedne jak ta mysz kościelna. Pracował ci on u majstra jednego, u majstra na Starym Mieście. Ale cóż? Majster, jak majster, grosz zbierał do grosza, z groszy ciułał talary i czerwonce, a u chłopaka bieda aż piszczy.

Niby to mu tam pożywienie dawał. Boże, zmiłuj się: wodzianka, kartofle — i tyle! I odział go, mówi się, ale ta przyodziewa spadała z Lutka, boć to stare łachy majstrowskie, co ledwo się kupy trzymały. Dość że w takim stanie i pies by nie wytrzymał, a cóż dopiero człowiek! Gadają mu: „Miej cierpliwość, mityguj się, będzie lepiej, poczekaj ino!”

Co to lepiej! Kiedy? Rok za rokiem mija, lata lecą, a tu wciąż nędza i nędza.

Znudziło mu się. Uciec chce. — Do wojska — powiada — pójdę, żołnierzem będę, może się ta nowy Napolion gdzie zjawi, to jak nic marszałkiem zostanę, jenerałem wielkim, mocarzem.

No nic! Cierpi jeszcze, czeka.

Aż ci tu kiedyś na wieczorynkę poszedł do czeladnika jednego, co się niedawno wyzwolił i wiodło mu się niezgorzej, bo grenadierskie buty szył dla gwardii, dla panów oficerów. Wieczorynka aż miło! Jedzą, piją, gawędzą. Ni z tego, ni z owego, o bajkach się zaczyna, o takich podaniach warszawskich.

I mówi jeden stary szewc, kuternoga:

— Ho! Ho! U nas w Warszawie i o pieniądź łatwo, i o sławę, tylko trzeba mieć odwagę i rozum we łbie jak się patrzy!

Zaciekawił się Lutek, pyta:

— Mówcie, co takiego?

— Ano nic — rzeknie kuternoga — na Ordynackim, w podziemiach starego zamku, jest królowna taka, zaklęta w złotą kaczkę. Kto do niej trafi, kto ją przydybie — wygrał! Ona mu powie, jak skarby ogromne zdobyć, jak się stać możnym bogaczem, magnatem!

— I gdzie to, mówicie?

— Na Ordynackim, w lochach starego zamczyska.

— A kiedy?

— W noc świętojańską.

Zapamiętał sobie to nasz Lutek, a do nocy świętojańskiej trzy dni trzeba czekać, nie więcej.

2

Wieczór spadł na gwarną Warszawę, gwiaździsty, ciepły, czerwcowy. Na ulicy ludzi jak mrowia. Panienki takie śliczne spacerują, a przy nich kawaleria, młodzi panowie, a głównie — wojskowi.

Tu ułan drugiego pułku, biały z granatem, tu strzelec konny gwardii w mundurze zielonym z żółtym, tu piechota liniowa, tu artylerzysta; hej! ostrogi dźwięczą, szable brzęczą, kity migają, aż lubo patrzeć!

Idzie sobie nasz szewczyk Lutek Krakowskim Przedmieściem, wszedł w Ordynacką, przeżegnał się: już blisko.

Spuszcza się Tamką, bo tam właśnie jest wniście do lochów ordynackiego zamczyska, idzie, lezie, ale mu coś niesporo.

Nie to, żeby się bał: niech Bóg broni! Nie lęka się on niczego; tylko tak jakoś, niełacno mu, że złym duchem może wejść w komitywę.

Ano trudno! Raz się zdecydował: wejść trzeba!

Od Tamki okienka nad ulicą dość nisko, szyb nie ma, ino kraty, ale taki chudzielec jak wąż się przecisnie.

Jazda! Wdrapał się po wystających ceglach do okna raz, dwa, trzy! W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Wlazł do wnętrza. Ciemno! Zapalił świeczkę — idzie. Korytarz długi, wąski, kręty, prowadzi niżej i niżej. Aż ci po kwadransie może takiej drogi wyłaź szewczyk do piwnicy wielkiej, sklepionej, z jeziorkiem jakimś pośrodku.

Przy mdłym światełku świeczki łojowej, którą trzymał w ręku, obaczył Lutek owo jeziorko — a na nim — Boże drogi! prawdę mówił szewc kuternoga: złota kaczka pływa, piórkami szeleści.

— Taś, taś! Kaczuchno!

I nagle — z kaczki czyni się precudna dziewczica: królewna. Włosy złote do ziemi, usta jak maliny, oczy jak gwiazdy, a buzia taka cudna, że — klękajcie, narody!

— Czego chcesz ode mnie, chłopczyku?

— Jaśnie wielmożna królewno — Lutek powiada — nic ci ja nie chcę, ino zrobię to, co ty chcesz, abyś rozkazywała.

— Dobrze — odpowie księżniczka — tedy ci powiem! Uzyskasz skarby, jakich nikt na świecie nie ma i mieć nie będzie, panem będziesz, bogaczem, jeśli spełnisz, co do joty, to, co ci powiem.

— Słucham, jaśnie wielmożna.

— Oto masz kieskę, w niej sto dukatów; przez dzień jutrzejszy musisz je wydać, ale tylko na potrzeby własne, dla siebie samego; nic ci z tego złota dać nikomu nie wolno, ni grosza, ni grosza! Pamiętaj.

— Cha! Cha! Cha! — zaśmieje się Lutek. — I cóż to trudnego? Będę jadł, będę pił, będę hulał! Wydam sto dukatów — a co potem?

— A potem, skarby niezmiernie otworem stać ci będą, kopalnie złota prawdziwe, bogactwa niezmierzone; ale pamiętaj: ni grosza nikomu!

— Zgoda, królewno! Daj kieskę!

Księżniczka kieskę Lutkowi wręczyła, zaśmiała się jakoś dziwnie — i znikła.

Strach przejął szewczyka. Ledwo się do okna dogramolił, wyłaź na Tamkę i smyrznął na Stare Miasto.

Nazajutrz dzień od rana samego puszcza się Lutek na miasto. „Co tu robić najsampierw — myśli sobie — chyba się odziać jak panicz“.

No, dobrze! Racja! Poszedł na Świętojańską, do sklepów z odzieżą, kupił sobie kapelusz, ubranie, paletot. Szyk! Prawdziwy hrabia!

Idzie, pogwizduje, laseczką macha, bo i laseczkę se sprawił, nie wie, co robić dalej.

Nie taka to łatwa sprawa wydać sto dukatów!

Sto dukatów! Dla siebie samego!

Ha! Trza pomyśleć!

A że to była już jakaś dziesiąta godzina, jeść mu się kaducznie zachciało. Jeść i jeść. Młody, zdrowy, to i nic dziwnego, że głodny.

Wstąpił do gospody. Każe sobie dać kielbasy, kiszki, piwa, bułek.

Je, je, aż mu się uszy trzęsą. Najadł się tak, że mu chyba na trzy dni wystarczy.

— Co się należy?

— Dwa złote.

— Dwa złote? Nie więcej?

— Dwa złote, paniczu, i przydałoby się z dziesięć groszy napiwku.

Wydajże tu sto dukatów, bądź mądry! Ano trudno! Trza jakości ten pieniądz wydać. Pomyślimy.

Sypie ci Lutek na wycieczkę za miasto. Pojechał końmi do Wilanowa. Bryczkę wynajął na poczcie, koni czwórka, pocztylion gra na trąbce. Uciecha.

Przyjechał. Dał dukata odźwiernemu przy parku. Chodzi po ogrodzie. Napatrzył się, południe już minęło. Pora powracać! I znów jest w Warszawie. Co robić? Gdzie wydać pieniądze, boć wydał niepełna pięć dukatów.

Spojrzał. Afisz na rogu: Teatr Narodowy. Nie ma co! Chodźmy do teatru.

W teatrze zabawił się setnie. Nie był w nim nigdy. Bo i skądże? Rzecz droga: miejsce dwa złote.

Wyśmiał się, ucieszył, wychodzi.

Późna już pora. Czasu do wydania pieniędzy niewiele, a Bóg świadkiem — nie wie Lutek, co z nimi zrobić? Idzie, rozmyśla. A gdy tak idzie, na rogu zaułka starzec stoi zgarbiony.

— Panie — powiada — drugi dzień mija, gdy nic w ustach nie miałem. Starym żołnierz, paniczu, pod Somosierrą byłem, pod Smoleńskiem, pod Moskwą, przy księciu Józefie pod Lipskiem — poratuj mnie!

Pojrzy Lutek na starca: inwalida bez ręki, a na piersiach błyszczą mu wstążki orderowe: Legia Honorowa i Virtuti Militari.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść złota, dał starcowi.

— Bógże ci zapłać, paniczu! Bóg ci zapłać! Będziesz szczęśliwy i bogaty!

Błysnęło! Zagrzmiało!

Mignęła przed oczami Lutka księżniczka zakłęta.

— Nie dotrzymałeś obietnicy, nie dla siebie wydałeś pieniądze! I znikła.

Rozejrzył się szewczyk: dziad stoi, jak stał poprzednio — i rzecze:

— Nie dukat, paniczu, daje szczęście, ino praca i zdrowie. Ten pieniądz wart coś, co zarobiony, a darmocho na złe idzie.

Powrócił Lutek do domu rad i wesół. Ocknął się rankiem bez grosza w kieszeni. Wydał na siebie z dziesięć dukatów, a resztę oddał starcowi, ale też od tego czasu wiodło mu się jak nigdy. Wyzwolił się wrychle na czeladnika, niebawem majstrem został, ożenił się z panią piękną i zącą, dzieci wychował — i żył długie lata w zdrowiu, w dostatku i w szczęściu.

A o złotej kaczce słuch zaginął. I dzięki Bogu! Bo zła to musiała być boginka, kiedy za warunek stawiała: sobie, nie komu!

Nie tak! Nie tak myśleć i czuć po polsku trzeba! My rządzymy się inaczej: naprzód biednemu, potem sobie!

A wtedy każdej pracy Pan Bóg dopomoże.

ARTUR OPPMAN (OR—OT)



W KUŹNI PŁATNERZA

KUŹNI płatnerskiej imćpana Melchiora Ostrogi robota wrzała aż miło. Czeladzie pracowali nad wykończeniem przepysznej zbroi rycerskiej dla Jego Miłości pana kasztelana płockiego, a dwóch chłopaków dęło w wielkie miechy, podsycając ognisko w ogromnym kominie. W płomieniach purpurowych i złotych tego ognia sam we własnej osobie imćpan Melchior Ostroga, świetny mistrz sławetnego płatnerskiego cechu, trzymał w cęgach potężnych sztabę żelazną, aby ją za chwilę na miecz na kowadle przekować.

Miecz ten, wraz z pancerzem, z hełmem, z naramiennikami i nagolennikami stanowił właśnie całkowity rynsztunek bojowy, po który pan kasztelan miał dziś — jutro przyjechać.

A cudnaż to była zbroica! Z najprzedniejszej stali, wypolerowanej jak zwierciadło, pokryta nabijaniami ze szczerzego srebra, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, prześlicznie w złocie wyimaginowanym, i z krzyżem husarskim na kołnierzu.

Miało to być prawdziwe arcydzieło przesławnej sztuki płatnerskiej i niepomąłu chlubił się nim już z góry mistrz Melchior.

W kąciku kuźni, za wielką kupą żelaziwa, bawiło się dwoje dzieci: czarnowłosa chłopczyk i złocistoloka dziewczynka. Było to rodzeństwo, dziatwa imćpana Ostrogi. Chłopczyk, jak to chłopczyk, rycerską znalazł sobie igraszkę: z kawałka cienkiego żelaza szablę krzywą, niby to turecką, uczynił i w fechtach jął się wprawiać, jak żołnierz.

Ale dziewczynka, zapatrzona z początku w szermierkę braciszka, znudziła się niezadługo, boć co tam panienkę wojowanie obchodzi.

— Maćku! — zawołała na brata. — Chodźmy już stąd na Rynek; w Rynku tak wesoło i gwarno, słoneczko świeci; pobiegamy, przyjrzymy się kramom i towarom.

— Czekaj no, Halszko, jeszcze ano kilka cięć krzyżową sztuką przypomnę i pójdę z tobą, kiedy chcesz koniecznie; choć mnie i w kuźni dobrze: tyle tu ciekawych rzeczy: kopii, kolczug, bułatów*.

Machnął raz i drugi szabelką, cisnął ją na ziemię i zabierali się ku wyjściu. Spostrzegł wychodzące dzieci mistrz Ostroga i przywołał je do siebie.

— A gdzie to, malcy?

— Na Rynek, tatuńciu.

— A po co?

— Popatrzeć, pobiegać, światu Bożemu się przyjrzyć.

— Zgoda. Ale uważajcie na siebie i na obiad się nie spóźnijcie do matki. I jeszcze jedno: niech was ręka Boska broni chodzić na Krzywe Koło do zburzonego domostwa. Niedobre sprawy się tam dzieją. Coś straszy, coś jęczy. Jeszcze by was, strzeż Panienko Najświętsza, złe porwało!

— Ja się niczego nie boję, tatuńciu! — zuchowato zawołał Maciek.

— A ja się wszystkiego boję, tatuńciu! — zapiszczała cieniutko Halszka. — I nie pójdziemy!

— No, to bądźcie mi zdrowe, dzieciaki!

NA STARYM RYNKU

Na Rynku wrzask i harmider. Tłum w barwnych ubiorach krąży dokoła Ratusza, który dumnie wznosi się pośrodku placu. W Ratuszu na dole kramnice bogate, dostanie w nich, czego dusza zapragnie. Tu sklepy ormiańskie z tkaninami tureckimi, haftowanymi złotem i srebrem, z dywanami perskimi i indyjskimi szalami; tam Szkot sukniem i płótnem zamorskim handluje; ówdzie poważny Turek z długą brodą i z cybuchem w ustach zasiadł za ladą, na której figi, dak-

tyle, rodzenki, bakalie przeróżne stosami się piętrzą, aż ślinka idzie, a jeszcze gdzie indziej Niemiec czy Holender zabawki ma takie, łątki, czyli lalki, koniki, pieski, piłki, że aż oczy bolą patrzeć i chciałoby się mieć to wszystko na własność.

Maciuś i Halszka przewijają się wśród ludzkiej gromady zrećznie i szybko, jak dwa piskorze; sami nie wiedzą, na co spojrzeć. I to wabi, i to nęci. Wszędzie jest tyle piękności, że można by rok chyba cały po Rynku wędrować i jeszcze by się wszystkiego nie zobaczyło.

Aż ci tu nagle zahuczy bębenek, zaświszczy piszczałka, talerze blaszane zadźwięczą. Co to takiego? A to Cygan, czarnokudły, ciemny na gębie, uczonego niedźwiedzia na łańcuchu prowadzi. Cóż to za niedźwiedź! Boże miły! Wszystko umie, wszystko rozumie. Gada ci Cygan do niego jakimś łamanym językiem, z kiepska po węgiersku, a ten robi, co mu każą, ani się namyśli.

— Miszka! Ukłoń się ładnie jasno-wielmożnym państwu!

Niedźwiedź się kłania.

— Miszka! Jak stare baby wodę z rzeki noszą?

Niedźwiedź dwa wiadra na drągu na plecy bierze i lezie taczając się z boku na bok, jak pijany.

— Miszka! Jak młode panienki na weselu tańczą?

I niedźwiedź nuż w podrygi a w łamańce. Boki zrywać ze śmiechu!

Gdy się tak Maciek i Halszka zwierzowi mądrymu przypatrują, z nagła ktoś im ręce na oczach położył i ciekawy widok zasłonił.

— Zgadnijcie, kto to taki? — ozwał się głosik rzeźwy, wesoły, radosny.

— Waluś! Waluś! — ucieszyło się rodzeństwo. — Poznaliśmy cię od razu po głosie! Ale odstoń no już nam oczy i spozierajmy razem na niedźwiedzia.

Odwrócili główki: jakoż był to w istocie Waluś Klepka, synek dziesięciolatek imćpana Pietra Klepki, bednarza z Zapiecka.

Waluś, dawny ich znajomy, miły i zabawny chłopczyk, jedną wielką miał wadę: urwis był z niego okrutny. Psocił i broił co niemiarą; rady sobie z nim rodzice dać nie mogli. Obiecywał poprawę, przyrzekał posłuszeństwo, ale gdzie tam! Za parę dni — co dni! —

za kilka godzin znów jakąś sztukę wypłatał. Niewytrzymanie ludzkie z takim wiercipiętą!

Niedźwiedź odprawił swoje widowisko, Cygan do czapki sporą kupkę nazbierał szelągów, pomiędzy którymi gdzieniegdzie i srebrny grosz zabłysnął — i ruszyli dalej.

A ruszyli właśnie, jak na nieszczęście, w stronę Krzywego Koła.

Trójka malców powlokła się za gromadą, ale gdy przechodzili koło zwalisk odwiecznego domostwa, o którym płatnerz wspomniał, Waluś zatrzymał Maćka i Halszkę.

— Poczekajcie — szepnął — coś wam powiem, coś pokażę.

— No co? No co? — zaciekały się dzieci.

— Oto to, żebyśmy zeszli po tych schodach, co widzicie, do piwnic starego domu.

— Co ty gadasz, Walusiu? — zawołała Halszka. — Jakże to można, choćby żartem, mówić o tym. Toćże tam straszy! Tatuś powiadali.

— Ehe! Straszy, straszy... Bajki ze strachami! A ja wam mówię, że tam są skarby zakłete. Zazierałem w piwnicę wczoraj w południe, to powiadam wam, coś tak błyszczało, gdy słońko zajrzało do wnętrza, że aż mnie oczy zaboląły. Ani chybi: złoto!

Maciek się zastanowił:

— A może by znijsć na chwilę, a skarby matusi i tatuńciowi przynieść. Tożby się ucieszyli! Jak myślisz, Halszko?

— Ja nie znijdę! — rezolutnie zakrzyknęła Halszka. — Nie znijdę za nic na świecie!

— Och, ty mały tchórze! — zaśmiał się Waluś. — Nie schodź sobie, jeśli nie chcesz! My dwaj pójdziemy, prawda, Maciusiu?

I posunął się ku schodom, widniejącym z ulicy, a Maciek, że to był chłopak odważny i śmiały, za nim.

— Kiedy tak — na wpół z płaczem zawołała Halszka — to i ja pójdę; nie opuszczę cię przecież, braciszku! Niech się dzieje wola Boska!

— I nie pożałujesz, Halszko, pełny fartuszek dukatów ci nasypię. A teraz — schodźmy do piwnic!

I poszli.

Schody były drewniane, połamane i zepsute, a niektórych stopni brakło już zupełnie, tak że trzeba było często skakać ze stopnia na stopień, pomijając otwierające się pomiędzy nimi luki. Dość uciążliwa była to droga, zwłaszcza iż niedaleko od wnijscia załamywały się schody i ciemność ogarnęła Walka, Maćka i Halszkę. Wprawdzie niewielkie światełko migotało w oddali; było to zapewne okienko piwniczne, wychodzące na Brzozową, bo tyły domów z Krzywego Koła na tę właśnie ulicę miały widok, ale światełko to było dalekie i niepewne, ile że okienko musiało być brudne i pajęczyną zasnutę.

Waluś szedł przodem, o kilka kroków przed rodzeństwem; dobrej był myśli i podśpiewywał sobie wesoło, nie przeczuwał biedaczek, co go spotka za chwilę.

Tak idąc ostrożnie i pomału, zeszli nareszcie do lochu i znaleźli się w wielkiej, sklepionej piwnicy. Pod ścianami jej stały rozmaite rupiecie: stare okna, futryny, drzwi i różne nieużyteczne graty. Po prawej stronie piwnicy widać było uchyloną nieco, żelazem okutą furtkę od dalszych zapewne lochów.

— Maćku, Halszko! — rzekł Waluś, a głos jego dziwnie ponuro rozbrzmiał w głębokościach podziemia. — Kiedyśmy tu już zeszli, to idźmyż i dalej, spenetrujemy całe zwaliska, a skarb znajdzie się na pewno.

— Walusiu, mój Walusiu! Proszę cię, chodźmy już na górę! — rzewliwie zawołała Halszka. — Co nam po skarbach! Wróćmy, ja się czegoś lękam okropnie.

— I ja bym radził wrócić — poważnie rzekł Maciek. — Dalszej drogi nie znamy; kto wie, co może być za tą furtką? Rodzice i nasi, i twoi niespokojni będą. Czemuż ich martwić?

— A ja jednak pójdę i wy pójdziecie ze mną! — krzyknął zapalczywie Waluś. — Co mi tam wszystkie bajdy o strachach! O! Raz, dwa, trzy! Już idę!

I powiedziawszy to podbiegł do furty zamczonej, szarpnął ją, otworzył — i nagle, jak piorunem rażony, runął na ziemię jak długi.

Co to się stało?

Z otwartej czeluści drugiej piwnicy buchnęło zgnilizną i w zielonawym świetle, przypominającym blask świętojańskich robaczków, Maciek i Halszka ujrzeli okropnego potworka.

Był to niby kogut, niby wąż. Głowę miał kogucią z ogromnym purpurowym grzebieniem w kształcie korony, szyję długą i cienką, węzową, kadłub pękaty, nastroszonymi czarnymi piórami pokryty, i nogi kosmate, wysokie, zakończone łapami o ostrych olbrzymich pazurach.

Ale najstraszniejsze były oczy potwora: wylupiate, okrągłe, do sowych ślepiów podobne, jarzące się to czerwono, to żółto; oczy te, na szczęście, nie widziały Maćka i Halszki, utkwiała je bowiem poczwara w ciało leżącego na ziemi nieżywego już, biednego Walusia.

— Bazyliszek! — szepnął drżącym głosem Maciek. — To bazyliszek, siostrzyczko; schowajmy się, schowajmy czym prędzej!

I po cichutku, po cichutku, trzymając się za ręce, dzieci na paluszkach posunęły się ku ścianie i wśliznęły się za wielkie drzwi o mur prastary oparte.

W tym ukryciu, bezpiecznym na razie, Maciek począł szeptać siostrzyczce do uszka:

— To bazyliszek! Słyszałem o nim od tatuńcia. Sroga to stwora! Na kogo spojrzysz — wzrokiem zabije! Tak zabił Walusia. Stójmy tu cicho, Halszko, stójmy cichutko...

— Boże, mój Boże! — załkała Halszka. — Co to będzie? Co się z nami stanie? Po cośmy tu przyszli? Po cośmy tu przyszli? Ja chcę do domu!

— Uspokój się, siostrzyczko — szeptał Maciek — wrócimy do domu, jeśli Bóg pozwoli; ale teraz chodzi o to, żeby nas bazyliszek nie spostrzegł, bo jak zobaczy i spojrzysz na nas — wszystko przepadło: umrzemy!

— Maćkuuuu! Maaćku! Halszko! Halusiu! — rozległo się nawoływanie z ulicy. — Maaaćku! Haaalszko! Gdzież wy jesteście? Obiad gotowy! Obiad gotowy!

Przerażone dzieci poznały głos Agaty, ale się odezwać nie śmiały. Bazyliszek odwrócił łeb grzebieniasty, jeszcze straszliwiej najeżył pióra i jaskrawymi ślepiami spojrział w stronę schodów.

Na schodach stanęła stara Agata, a za nią, w ulicy, widać było gromadkę mieszczanek i mieszczan.

— Tu zeszły, tu zeszły na pewno — ozwały się głosy na górze — musiały się zabląkać w podziemiach; nie schodźta, Agato, bo was jeszcze jakie lichy zadusi!

Ale Agata, pocziwa stara służąca, już schodziła do lochu — i oto zaledwie zeszła na dół, zabrzmiał jej okrzyk, okropną trwogą wezbrany, i głucha, posępna cisza zaległa znowu piwnicę.

To płomienisty wzrok bazyliszka uderzył w nieszczęsną i trupem ją na miejscu położył.

Gromadka przed schodów pierzchnęła w Rynek i w przyległe uliczki, roznosząc wieść okropną na miasto. Skamieniałe z przerażenia rodzeństwo przytuliło się do wilgotnego muru, trzymając się konwulsyjnie za rączki, a bazyliszek rad ze zniszczenia, jakie uczynił, począł się przechadzać po lochu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wydostać się z piwnicy nie było sposobu!...

U CZAROWNIKA

— Pani Ostrożyno! Pani Ostrożyno! Dzieci wam przepadły! Dzieci wam w lochach zginęły!

— Jezusie! Maryjo! Co takiego! Co wy mówicie, ludzie! Gdzie? Jak? Gadajcie!

— Ano, polazły do piwnic na Krzywym Kole, musi bies im główki ukręcił, niebożętom!

— Chrystusie cudowny u Fary! Ratu! Wspomagaj! Skądże wy wiecie to wszystko?

— Widzieli szewczyki z przeciwka, jak dzieci z Walkiem od Klepki schodziły w podziemia, a potem wasza Agata wołała je, wołała, aż zeszła do piwnic — krzyknęła okropnie — i już nie wyszła! Słyszeliśmy!

— Agatę ja posłałam, bo dzieci nie wracały. Boże wielkiego miłosierdzia, bądź miłościw mnie grzesznej! Co ja tu pocznę, nieszczęsna?!

W przedsięwzięciu uczynił się rumor i przedzierając się przez ciżbę wpadł do alkierza mistrz Melchior. Blady był płatnerz i drżący, bo już dowiedział się był w kuźni o srogim ciosie, jaki go ugodził. A Maćka i Halszkę miłował ponad wszystko, ponad życie własne!

— Co robić, Melchiorze, co robić? — biadała Ostrożyna. — Ratujmyż nasze maleństwa kochane! Ślubuję Ci, Panie Jezu, srebrne serce złożone pod Twoje nóżki najświętsze, jeno dopomóż nam w tym strapieniu!

Z gromady wysunął się sędziwy rajca miejski, imćpan Ezechiel Strubicz, mąż mądry i stateczny, znany całej Warszawie z dobroci i z przywiązania do dziatwy staromiejskiej.

— Co robić? — powtórzył. — Ja wam poradzę, co robić: walcie, jak w dym, do czarownika na Piwną. Któż jak nie on lek znajdzie na waszą troskę skuteczny? On się zna na sprawach ziemskich i zaziemskich, boć to i doktor, i alchimista, i astrolog, i człek, co po uszy w księgach starych siedzi. Ba! Skrzydła ponoć zmajstrował i nocami na nich po powietrzu lata.

— Walcie do czarownika! Walcie do czarownika! — wrzasnęła gromada. — On pouczy, on dopomoże! Dobra rada! Przednia!

— Najprzedniejsza — przytaknął strapiiony rodzic. — Bóg wam zapłać, Strubiczu! Chodź, żono, idziemy na Piwną!

— I ja z wami — imćpan Strubicz na to. — A nuż się jeszcze uda Maćka i Halszkę odszukać.

— Dajże to, Matko Boska Częstochowska — zapłakała Ostrożyna. — Niech się tak stanie!

Na Piwnej, na czwartym piętrze pod samym dachem wysokiego narożnego domu, mieszkał sławny i uczony doktor, *dominus** Hermenegildus Fabula, znany nawet na dworze króla jegomości.

Nie był to, prawdę mówiąc, czarownik, tylko wielce znamienity lekarz i człek we wszystkich kunsztach i naukach wyzwolonych doświadczony. Jeno gmin warszawski, widząc jego prawie cudowne ku-

racje i obserwując z daleka tajemnicze praktyki, mienił go, w prostocie swojej, być czarnoksiężnikiem, z mocami nadprzyrodzonymi mającym ścisłą styczność.

A że pan rajca Strubicz czarownikiem go nazywał, to jeno tak tylko, aby ludowi na poprzek nie stawać, który lubi rzeczy niezrozumiałe i rad ku cudowności się obraca, samą mądrość ludzką lekceważąc i zgoła postponując.

W obszernej komnacie o łukowym sklepieniu siedział za wielkim stołem, zawalonym księgami i pergaminami, człeczek maleńki, chuderlawy, wyschły, o licu pożółkłym, pomarszczonym jak pieczone jabłko; ale źrenice w tej twarzy, ogromne, czarne, jarzyły się jak pochodnie gorejące, a taką miały moc i potęgę te oczy, że gdyś w nie spojrział, zdawało ci się, iż na wielkoluda spojierasz, i mimowolnie budziły się w tobie lęk, podziw i uszanowanie dla tej niepozornej, a jednak imponującej postaci.

U sufitu komnaty wisiał wypchany krokodyl łokciowy, w kącie stała mumia egipska, na oknie w słojach rozlicznych pławiły się ropuchy, węże, padalce, robaki jakieś zamorskie. A wszędzie, gdzie spojrział, księgi, księgi, księgi.

Gdy mistrz Ostroga z żoną i z imćpanem rajcą Strubiczem weszli do doktora Fabuli, ów podniósł oczy od foliantu*, w którym coś czytał z ciekawością i zadowoleniem ogromnym, bo aż się uśmiechał radośnie, ale, zobaczywszy wchodzących, wstał, obciągnął swoją czarną szatę, co mu się pofałdowała na ciele, i spytał:

— A czego to waćpaństwo życzyście sobie ode mnie?

Tedy Ostrożyna z płaczem i narzekaniem wielkim opowiedziała całą sprawę, a gdy skończyła i chlapiąc błagać poczęła o pomoc i ratunek, *dominus* Hermenegildus Fabula tak rzecze:

— Wiem ci ja dobrze, co było przyczyną zaguby waszmość państwa dziątek, bom właśnie w tej księdze o podobnych przypadkach traktat wertowałem. Oto, ani mniej, ani więcej, tylko stwórz najniebezpieczniejszy i najszkodliwszy na ziemi, który się zwie: bazyliżek.

— Bazyliszek? — zakrzyknęli w popłochu Strubicz, Ostroga i Ostrożyna. — Bazyliszek! Tedy już nadaremne wszystkie trudy i starania nasze!

— Z trwogi waszej wnoszę, iż waćpaństwu wiadoma jest natura owego zwierza i to, iż on wzrokiem swoim wszelkie żyjące stworzenia zabija. Alić Bóg jest wielki i nadziei do ostatka tracić człekowi wierzącemu nie wolno. A choćby wreszcie i pomarły już dziateczki wasze, toć trzeba je wydobyć z piwnicy, aby przecie pogrzeb chrześcijański mieć mogły; bazyliuszka zaś ubić należy koniecznie, boć niejedna jeszcze ofiara od ślepiów jego zabójczych na śmierć pewną pójdzie, ani chybi! Póki ta bestia przeklęta żywie, Warszawa spokojności nie zazna!

— Jakże to uczynić, mężu uczony? — zapytał Strubicz.

— Jakże to uczynić? Jakże to uczynić? — zawołają Ostroga i Ostrożyna.

— Jest sposób — odpowie Hermenegildus Fabułą. — Jest taki sposób, jeno tak trudny i niebezpieczny, że nie wiem, azali się znajdzie kto w tym tu mieście, co by się ważył na takie przedsięwzięcie. Oto trzeba, aby do lochu zeszedł człowiek, całkowicie obwieziony zwierciadły; gdy bazyliszek spojrzy w nie i siebie zobaczy, sam się własnym wzrokiem zabije, a tak uwolnilibyśmy od potwora i tę Warszawę umiłowaną, i całą przesławną Rzeczpospolitą.

— Sposób jest dobry i pewny, ani słowa! — wyrzeknie Strubicz. — Ale skąd wziąć takiego śmiałka, co zdrową głowę pod ewangelię położy?

— Tak, tak — zajęknie Ostrożyna. — Nie ma już takich ludzi na świecie!

Nagle do komnaty Fabuli dobiegł ponury głos farnego dzwonu, a w ślad za tym przejmującym dźwiękiem, ogromny gwar tysięcznego tłumu. Imćpan Strubicz wychylił się przez okno.

— Mam! Mam! — zakrzyknął radośnie. — Mam takiego człowieka! Kumie! Kumo! Za mną!

— Bóg zapłać, uczony mężu! Bóg zapłać!

I już ich nie było w komnacie.

Od Rynku w stronę Piekiełka zdążył ponury, choć jaskrawy orszak. Przodem szła straż miejska z halabardami, za nimi „bracia pokutnicy“ w długich ciemnych opończach, z twarzami osłoniętymi rodzajem maski sukiennej, w której wycięto jedynie otwory na oczy; dalej dostojnie stąpał imćpan pisarz miejski ze zwojem pergaminu w rękę, za panem pisarzem asysta z urzędników sądowych złożona, wreszcie dwie główne osoby pochodu: skazaniec, niemłody już, brodaty mężczyzna w nędznej odzieży, ze związanymi w tyle rękoma, i kat olbrzymi, rozrosły drągał, cały w czerwieni, z potężnym błyszczącym mieczem i z dwoma butlami, czyli pachotkami. Po bokach, z przodu i z tyłu orszaku cisnęło się mrowie nieprzeliczone warszawskiego pospólstwa, uliczników, urwisów i wszelkiej hałasty, ciekawej okropnego widowiska.

Już pochód stanął na placyku, Piekiełkiem zwanym, gdzie pośrodku na czarnym suknie widniał pieniek, miejsce stracenia; już pan pisarz miejski odczytał nosowym głosem wyrok brzmiący, iż Jan Ślązak, krawczyk wędrowny, oskarżony o zabójstwo swego towarzysza podróży, na gardle ma być ukaran i mieczem ścięty; już skazaniec klęknął przy pieńku i głowę na nim położył, a kat mieczem straszliwym błysnął pod słońce, gdy nagle... gdy nagle imćpan Ezechiel Strubicz z mistrzem Ostrogą przedarł się przez stłoczone tłumy gawiedzi i tubalnym basem zakrzyknął:

— Stójcie! Stójcie!

Kat miecz wzniesiony opuścił, skazaniec zadygotał całym ciałem, a pan pisarz miejski, zdjęte dopiero co okulary z powrotem na nos sążnisty założywszy, niechętnie spojrzął na rajcę, oczekując wyjaśnienia sprawy.

A imćpan Strubicz rozpoczął przemowę:

— Po pierwsze: w imieniu szlachetnego burmistrza miasta Starej Warszawy rozkazuję wstrzymać egzekucję! Po drugie: natychmiast rozwiązać winowajcę! Po trzecie: zbliż się, Janie Ślázaku!

Zapytuję ciebie, Janie Ślázaku, któryś jest na śmierć osądzon i nic

cię od niej ocalić nie może, azali zgadzasz się zniżyć do lochu, gdzie przebywa bazyliszek, i zabić oną bestię zjadliwą?

Jeżeli to uczynisz, wolny będziesz! To ci przez moje usta sam szlachetny burmistrz i cała wysoka rada miejska solennie obiecuje i przyrzeka.

Zdumiał się wielce imćpan pisarz miejski, zdumiało się po-
spółstwo, a skazaniec, wznosząc dziękczynnie oczy ku niebiosom,
odpowie:

— Zgadzam się, przezacny panie, zgadzam się tym łacniej, iż —
Bóg mi świadkiem — nie winien jestem zarzucanej mi zbrodni i tak
myślę, że łaska Pana Jezusowa będzie ze mną.

Tedy, nie mieszkając wiele, powiedli Strubicz i Ostroga skazńca
na Ratusz, skąd, obwieszzonego zwierciadły, zaprowadzono na Krzywe
Koło i kazano mu zniżyć do podziemi. Burmistrz, rajce, ławnicy
i setki ludu czekały na ulicy, a przed wszystkimi, wpatrzeni chciwie
w otwór piwniczny, stali mistrz Ostroga, pani Ostrożyna i dobry
rajca Strubicz. Ułynęła chwila — i oto w lochu rozległ się głos
przeraźliwy; coś, jakby chrypliwe pianie koguta, jakby świszczący syk
węża, jakby śmiech diabelski, a takie to było okropne, że zgromadzo-
nym aż ciarki przeleciały po grzbietach i włosy dębem na głowach
stanęły.

— Zabity! Zabity! — zadźwięczał donośnie głos Jana Ślązaka.

— Zabity! — zahuczał tłum. — Bazyliszek zabity! — wichrem
pomknęła radosna wieść na Rynek, na Świętojańską, na Piwną, na
Brzozową, na oba Dunaje: Szeroki i Wąski, i na całą Starą Warszawę.

A na schodach piwnicznych ukazała się postać cała w lustrach,
niosąca na ostro zakończonym drągu straszliwego potwora.

Porwał go kat z rąk dzielnego Ślązaka i na Piekietku, na stosie
ognistym, ku uciechu tysięcznego ludu, na popiół spalił.

Stało się wszystko tak, jak przewidział mądry doktor Hermene-
gildus Fabula: bazyliszek spojrział w zwierciadło i sam się wzrokiem
swym jadowitym zatrzał i zabił.

Ale pani Ostrożyna, mistrz Ostroga i rajca Strubicz, wzięwszy
zapaloną pochodnię, pędem pobiegli do lochu.

— Maćku! Halszko! — wołała matka. — Maćku! Halszko! — wołał ojciec. — Zaliście żywi? Ozwijcie się! Gdzie wy? Gdzie wy?

— My tu, matusiu! My tu, tatuńciu!

I z ukrycia swego zza wielkich drzwi, o mur prastary opartych, wybiegły dzieci i zdrowe, choć pobladłe jeszcze ze strachu, rzuciły się w objęcia rodziców. O, jakaż radość! O, jakież szczęście! Uściskom i pocałunkom końca nie było, aż imćpan rajca Strubicz, choć taki stary i mądry, płakał jak bóbr i od płaczu się zanosił.

Tak się skończyła przygoda z bazyliszkiem. Przypłacili ją życiem nieposłuszny Waluś i stara, poczciwa Agata. Zwłoki ich, wydobyte z piwnicy, pochowano uroczyście, a rodzina Ostrogów nigdy o nich nie zapomniała.

Co do mężnego Jana Ślązaka, to okazało się, iż on istotnie nie był winien zabójstwa swego kamrata; ten bowiem zjawił się niebawem w Warszawie i opowiedział, że zabłąkawszy się w boru, przebył w nim bodaj miesiąc z górą, aż go węglarze, drzewo w lesie wypalający, przypadkiem znaleźli i do Warszawy, na dobrą drogę, skierowali.

Żaden bazyliszek już się w mieście nie pokazał.

ARTUR OPPMAN (OR—OT)



1

WIDZIELIŚCIE ją, tę syrenę niby, kumie Szymonie?

— Widzieć nie widziałem, kumie Mateuszu, bo drzewa przysłaniały źródółko, a bliżej podejść bałem się jakości, alem słyszał, jak śpiewa.

— Alboż to syreny śpiewają?

— Jakże to? Nie wiecie o tym, kumie Mateuszu? Śpiewają! I jak jeszcze! Głos to ci się tak rozchodził po Bugaju, po Wiśle, hen, aż za rzekę, jakoby właśnie dzwonek srebrzysty dzwonił. Słuchałbyś dniem i nocą.

— No i co dalej? Co dalej?

— Ano, nic dalej. Słuchałem, słuchałem, lubość mi się jakowaś rozplywała po kościach, aż w końcu śpiewanie ucichło: widać syrena schowała się na nocleg w źródółku, bo już i słońce zachodziło, a ja powlokłem się do chaty, alem całą noc spać nie mógł, inom o tej syrenie rozmyślał.

— Ciekawość! Warto by ją wypatrzeć, zobaczyć.

— Ale jak? Toć, jeśli nas ujrzy — umknie i skryje się w wodzie. A zresztą, może to i grzech przyglądać się takowej stworze nie chrzczonej i kuszącego jej śpiewania słuchać.

— Grzech nie grzech — nie wiada! Najlepiej zapytać o to ojca Barnaby, pustelnika. To człek mądry i pobożny; on powie i nauczy, co czynić nam należy.

— Rzetelnie mówicie, kumie Mateuszu, chodźmy do pustelnika Barnaby.

— Ano, to i chodźmy! Ryby przez ten czas z Wisły nie uciekną, a my się od duchownej osoby przeróżności dowiemy.

Tak rozmawiali z sobą dwaj rybacy z nad Wisły w owych zamierz-
chłych czasach, gdy na miejscu dzisiejszej Warszawy, a właściwie jej
Powiśla, leżała niewielka rybacka osada, otoczona gęstymi lasami,
w których roiło się od grubego zwierza: łosiów, turów, wilków i nie-
dźwiedzi.

2

— Więc powiadacie, że śpiewała?

— A juści! Śpiewała; gadałem przecie.

— Hm! I często se tak podśpiewuje?

— A co dnia! Jak tylko słoneczko Boże ma się ku zachodowi
i czerwienią a złotem pomaluje Wisłękę, wraz ci się na Bugaju jej
piosenka rozlega.

— I długo też nuci?

— Do zachodu. Jak się ino ciemno zrobi na świecie, już jej nie
słysząc.

— To nocami nigdy ze źródła nie wychodzi?

— Czy wychodzi, czy nie wychodzi, tego ja nie wiem, ale prze-
pomniałem powiedzieć, że w pełni miesiąca też śpiewa. Nieraz mnie
ze snu budzi blask księżycowy, co do chałupy zagląda: siadam se na
połaniu, aż ci tu odgłos jakowyś dolata z daleka; jakby skowronek,
jakby dzwonek, jakby skrzypeczki lipowe: to ona.

— O to mi chodziło właśnie. Więc trzeba tak zrobić...

Tu ojciec Barnaba zadumał się na długą chwilę, a obaj rybacy
czekali w skupieniu, aż namyśli się, co poradzić.

Ojciec Barnaba był to starzec wysoki, chudy, siwobrody, łysy jak
kolano, odziany w długą samodziałową opończę. Na pomarszczonym
jego obliczu rysowały się powaga i dobroć.

Wszyscy trzej siedzieli przed budką pustelnika, na ławie uczynio-
nej z dwóch pieńków, na których położono z gruba obciosaną deskę.

Było to lipcowe popołudnie i cudnie było w boru, pachnącym żywicą i kwiatami. Ptaki śpiewały radośnie, pszczoły wesoło brzęczały, a zielony dzięcioł w czerwonym kapturku stukał dziobkiem, jak młotkiem, w korę rozłożystego dębu i wydłubywał robaki.

A ojciec Barnaba namyślał się, namyślał, aż rzecze:

— Więc trzeba tak zrobić: w pełnię miesiąca wybierzemy się we trzech do źródła; na odzienia nasze naczepić należy gałęzi świeżo zerwanych, najlepiej lipowych, kwiatem okrytych, żeby syrena człowieka nie poczuła, bo się nie pokaże; zaczaimy się przy samym źródle, a gdy wynijdzie i śpiewać zacznie, wtedy zarzucimy na nią sznur, spleciony z cienkich witek wierzbowych, święconą wodą skropiony, ile że takiego się żaden czar nie ima; zwiążemy i miłościwemu księciu na Czersku zawieziemy w darze. Niech ją na zamku trzyma i niech mu wyśpiewuje.

Ale uszy woskiem musimy sobie zatkać, żeby jej narzekań i lamentów nie słyszeć, bo inaczej serce w nas tak zemdleje, że nie będziemy mieli mocy wziąć jej w niewolę. Srodze jest żałośliwe syrenie śpiewanie.

— Tak jest, jak mówicie, ojcze Barnabo; wiem ci ja o tym, bom te piosenki słyszał. Żaden miód, by najprzedniejszy, tak człowieka nie upoi, jako on głos syreni. Więc tedy do pełni miesięcznej?

— Tak jest, do pełni.

I rozeszli się w swoje strony. Rybacy nad Wisłę do zarzuconych sieci, a ojciec Barnaba na modlitwę.

3

Tam gdzie dziś nad samym prawie wybrzeżem Wisły, poniżej starożytnych kamienic Starego Miasta, rozciąga się ulica, Bugaj zwana, przed wielu, wielu laty szumiał las zielony, odwieczny.

W lesie tym, z pagórka wznoszącego się nad rzeką, tryskało źródło i rozlewało się w głęboki, bystro płynący potok.

Nad potokiem rosły białokore brzozy, wierzby pokrzywione maczały w nim długie gałęzie, kwitnęły polne róże i niezapominajki haftowały niebieskimi kwiatkami zielony traw kobierzec.

W tym to potoku mieszkała właśnie syrena.

Była piękna, pogodna noc miesięczna. Srebrzysta pełnia żeglowała przez błękitne, usiane gwiazdami niebo i przyglądała się ziemi uśpionej, lasowi i źródłu.

Ale w lesie nie wszyscy spali.

Zza brzóz i wierzb, stojących nad potokiem, widać było trzy skulone postacie. Przycupnęły one wśród krzaków gęstych i ciekawymi oczyma spozierały w wodę potoku, mieniącą się srebrzyście od blasków tarczy miesięcznej. Byli to dwaj rybacy, Szymon i Mateusz, i pustelnik, ojciec Barnaba.

Nagle z wody wynurzyła się przecudna postać. Była to dziewczica nadziemskiej urody; w świetle miesięcznym widać ją było doskonale. Miała długie, kruczoczarne włosy, pierścieniami spływające na białą, jak z marmuru wyrzeźbioną szyję; szafirowe jej oczy, wzniesione ku pełni, patrzyły dziwnie przejmująco i smutno, a ozdobiona lekkim rumieńcem twarzyczka takim tchnęła czarodziejskim urokiem, że przyglądającym się jej rybakom aż serca zamarły ze wzruszenia.

Syrena chwilę trwała w milczeniu, zapatrzona w niebo i w gwiazdy — i oto w ciszy tej czarownej nocy zadźwięczał śpiew tak piękny, tak kryształowo czysty, że zdawało się, iż i księżyc, i gwiazd miliony, i ziemia, i niebo zasłuchały się w niego do niepamięci.

Wtem z krzaku, cicho, bez szelestu, wyskoczyły owe trzy postacie — i nie tak szybko rzuca się ryś drapieżny na przebiegającą łanię, jak oni rzucili się na syrenę, skrępowali ją powrósem, z witek wierzbowych splecionym, i wyciągnęli z wody na murawę.

Próżno się szamotała nieszczęsna, próżno ich ludzkim a cudnym zaklinała głosem. Głos ten wzruszyć ich nie mógł, gdyż, wedle rady ojca Barnaby, uszy mieli woskiem szczelnie zatkane.

— Co teraz począć? Co z nią począć? — jeśli się pytać obaj rybacy zdyszczanym gorączkowym głosem.

— Co począć? — rzeknie pustelnik. — Poczekajcie, zaraz wam powiem.

Nim ją do Jego Miłości księcia na Czersku zawieziem, a wieźć przecież nie będziemy po nocy, zamkniemy syrenę w oborze, a pilnować jej będzie Staszek, pastuch gromadzkiego bydła. Skoro świt

zaś, wóz drabiniasty sianem wymościm i jazda do Czerska! Dobrze mówię?

— Dobrze mówicie, ojczy Barnabo, mądrze mówicie!

Miesiąc świecił tuż nad polanką, gdzie rybacy złożyli skrzepowaną syrenę, i widać ją było wybornie. Do pasa była to, jak się już rzekło, panna nad podziw urodziwa, od pasa zaś ryba srebrzystą łuską błyszcząca. Leżała biedna bez ruchu, z zawartymi cudnymi oczami, ręce wzdłuż ciała opuściwszy, i tylko rybi ogon, długi a giętki, uderzał kiedy niekiedy o ziemię, zupełnie jak u wyjętego z wody karpia lub szczupaka.

— Czas nam w drogę — przemówił pustelnik — bierzcie ją! Szymon i Mateusz dźwignęli syrenę i ponieśli ją w stronę wioski.

4

— Otwieraj, Staszku!

— Otwieraj no co prędzej! Cóż to? Zarżnęli cię zbóje, że się nie ruszasz?

— Nie gramol się, gamoniu! Skorzej! Skorzej!

I rozległy się głośnie uderzenia krzepkich pięści Szymona i Mateusza we wrota obory, oni to bowiem, wraz z pustelnikiem Barnabą, dobijali się uporczywie do wielkiego, drewnianego budynku, w którego ścianach, przez wyrzeżane otwory, widać było rogatę łby i mokre pyski licznych krów.

— A co tam? Kto tam? Toć idę już, idę! A któż to tam tak łomocze po nocy? Pali się czy co takiego?

Zaszurgał ktoś bosymi nogami, odezwało się szerokie ziewnięcie, w ciemnościach niepewna ręka szukała zawory, znalazła ją, otwarła, skrzypnęły wrota — i z mroku wynurzyła się gibka, młodzieńcza postać pastucha Staszka.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A czego to chceta, ojczy Barnabo, i wy, Szymonie i Mateuszu?

— Cichaj! Syrena! O, widzisz? Syrena! Złapaliśmy ją! Niechaj tu przeleży do rana! O świcie do Czerska ją zawieziem, do księcia!

— Syrena? Jezusie, Maryjo! Prawda! Jakaż ona śliczna!

— **Nie** prawilbyś byle czego! Śliczna! Czarownica, wiadomo! Taka ci najcudniejszą postać przybierze, aby tym łatwiej otumanić chrześcijańską duszę.

— **Boże** miły! Prawdę mówicie? To ona chrześcijańskie dusze tumani? I cóż ja mam z nią zrobić?

— **Pilnować** do zorzy! Ale pilnuj bez ustanku. Nie zdrzemnij się. Uważaj, żeby postronków nie zerwała, bo ucieknie.

— **Ha!** Każecie pilnować, to będę pilnował! A kiedyż po nią przyjdziecie?

— **Mówilim.** Skoro świt. Teraz ją położym w oborze, niech leży.

— **A ty, Staszku,** pamiętaj: oka z niej nie spuszcza! Patrz i patrz! Na twoją głowę ją zdajem.

— **Już** wy się nie bójta! Umiałem sobie dać rady z graniastym byczkiem, choć beskurcyja zły jak sam diabeł, to i z syreną poradzę.

— **No,** to bywaj zdrowy! Będziem tu z powrotem, ino patrzeć!

5

Staszek został sam na sam z syreną. Leżała ona pod ścianą obory, na wprost jednego z otworów okiennych, w przeciwległej ścianie wyciętych, a Staszek siadł naprzeciwko i tak, jak mu rozkazali, patrzył w nią bacznie i oczu z dziwowiska nie spuszczał.

Miesiąc świecił w ten otwór ścienny mocnym blaskiem i osrebrzał cudną twarzyczkę syreny, w której to twarzyczce jaśniały, jak gwiazdy modre, wilgotne od łez, przesmutne oczy.

I nie cniło się Staszкови spojrzeć tak nieustannie na syrenę, bo nigdy, nigdy, jako żywo, nie widział podobnie urodziwego lica i źrenic równie głębokich, przepastnych i czaru zaziemskiego pełnych.

I nagle — syrena spojrzała na Staszka swymi czarodziejskimi oczami, uniosła przepiękną, opierścienioną zwojami czarnych włosów główkę, otworzyła koralowe usteczka i zaśpiewała.

Zaśpiewała jakąś piosenkę bez słów, piosenkę tak cudną, że drzewa za oborą przestały szumieć, a krowy łby ciężkie od żłobów zwróciły w jej stronę, żuć przestały i zasłuchały się w oszołamiającą pieśń syreny.

Staszek był na wpół przytomny. Jak żyje nie słyszał nic podobnego. Śpiew syreny grał na jego sercu tak, jak gra wiosna na sercu każdego człowieka. Uczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, że jest jakiś lepszy, jakiś mądrzejszy, że otwierają się przed nim światy, o których nigdy dotychczas nie pomyślał, światy pełne aniołów i cudów.

A syrena nagle spojrzała wprost w oczy Staszka i rzekła:

— Rozwiąż mnie!

Nie zawahał się ani na chwilę. Podszedł ku syrenie i kozikiem rozciął krępujące ją postronki.

A dziwowisko ślicznymi rączkami objęło go za szyję i szepnęło:

— Otwórz wrota i chodź za mną.

Ustuchał. Otworzył wrota na ścieżaj i czekał, co się stanie.

Nie czekał długo. Syrena uniosła się ze słomy, na której leżała, i skacząc na swoim rybim ogonie, przeszła przez wrota i skierowała się w stronę Wisły.

Szła i śpiewała. Krowy wyciągnęły za nią łby i poczęły ryczeć żałośnie, drzewa szumiały do wtóru piosence syreniej, a szumiały tak smutnie, aż niebo drobnymi łzami sypać jęło i zachmurzyło się ponuro.

A Staszek, jak urzeczony, szedł za nią, szedł za nią, bez woli, bez myśli.

Ustał deszcz, wyblysnęło słońce; z chałup wychodzili ludzie i ze zdumieniem patrzyli na widok tak nadzwyczajny. A syrena szła i śpiewała.

A gdy już była tuż, tuż nad brzegiem Wisły, odwróciła się, spojrziała ku wiosce i zawołała na głos cały:

— Kochałam cię, ty brzegu wiślany, kochałam was, ludzie prości i serca dobrego, byłam waszą pieśnią, waszym czarem życia!

Czemuż wzięliście mnie w niewolę, czemuż chcieliście, abym w pętach, w więzieniu, na rozkaz książęcy śpiewała?

Śpiewałam wam, ludzie prości, ludzie serca cichego i dobrego, ale na rozkaz śpiewać nie chcę i nie będę.

Wolę skryć się na wieki w fale wiślane, wolę zniknąć sprzed waszych oczu i tylko szumem rzeki do was przemawiać.

A gdy przyjdą czasy ciężkie i twarde, czasy, o których nie śni się ani wam, ani dzieciom i wnukom dzieci waszych śnić się jeszcze nie będzie, wtedy, w lata krzywdy i klęski, szum fal wiślanych śpiewać będzie potomkom waszym o nadziei, o sile, o zwycięstwie.

A tu tymczasem pędem od wioski lecą ku brzegowi obaj rybacy i pustelnik stary i krzyczą:

— Łapaj, trzymaj, nie puszczaj!

Ale! Nie puszczaj!

Już ci syrena chlup! do wody, a za nią w te pędy Staszek.

Skoczył, wychynął z rzeki, rozejrzał się dokoła, zawołał:

— Bóg z wami!

I zniknął.

Minęły lata i wieki. Na miejscu wioski — miasto powstało, ludne, bogate, warowne.

A miasto owo, później stolica, na pamiątkę dziwnej przygody z syreną wzięło ją za godło swoje i godło to po dzień dzisiejszy widnieje na ratuszu Warszawy.

ARTUR OPPMAN (OR—OT)

OBJAŚNIENIA

PODANIE O LECHU
C. Niewiadomska

(Przypis autora)

Gród — tak nazywano wówczas miejsce zabezpieczone, gdzie można się było bronić przed napaścią nieprzyjaciela. Były to najczęściej drewniane domy, otoczone ostrokołem, to jest jakby parkanem z ostro zakończonych kołów, a niekiedy rowem i wodą.

PIAST
C. Niewiadomska

jawór — jawor
kołodziej — wyrabiający wozy

PIEŚŃ SŁOWANA
J. I. Kraszewski

obiata — ślubowanie, obietnica; tu: ofiara
pożyć — zmóc, pokonać
rubież — granica, kraniec, kresy
stołb — wieża obronna w dawnych grodach
tryzna — stypa pogrzebowa połączona z igrzyskami i zapasami
żmij — wąż, gad; tu: smok

TWARDOWSKI
K. Wł. Wójcicki

(Przypisy autora)

giermek — tu: sługa, pacholek
harcap — warkocz przy peruce, noszony przez mężczyznę w późniejszym okresie (w wieku XVIII)
kantyczka — pieśń nabożna
Twardowski... szlachcic po mieczu i kądzieli — słynny czarnoksiężnik polski, Twardowski, który żył w wieku XVI, był szlachcicem zarówno z linii męskiej (po ojcu), jak i żeńskiej (po matce)
verbum nobile debet esse stabile (łac.) — słowo szlacheckie winno być dotrzymywane

JAK MAGIK Z KRAKOWA NABRAŁ ŚLĄSKIEGO ZBÓJNIKA
S. Wasylewski

margiel — gatunek skały
onaczyć — robić po swojemu w niezwykły sposób, cudaczyć
oprawić — obdrzeć ze skóry; tu: obrabować

LEGENDA O PODHALU
Wł. Orkan

żleb — skalisty parów między dwiema ścianami górskimi

MORSKIE OKO
J. Kasprówic

do znaku — tu: ogromnie
drzewiej — dawniej
hyrny — twardy, nieugięty, dumny
Kieżmark — miasto na Spiszu (Czechosłowacja)
piargi — usypiska głazów
siklawica, siklawia — wodospad; tu: nazwa wodospadu w Dolinie Pięciu Stawów
w Tatrach
w Budzinie — w Budapeszcie

JANOSIK
Z. Urbanowska

kiermasz — jarmark

JAK SOBANEK PLANETNIKA GOŚCIL
M. Krüger

bretnal — gwóźdź z dużym łebkiem
hala — pastwisko w górach
kierpce — płytkie obuwie z jednego kawałka skóry, ściągane rzemykiem; używane
w Tatrach i na Podhalu

O ŚPIĄCYCH RYCERZACH W TATRACH
J. Kasprówic

alabaster — minerał śnieżnobiały, odmiana gipsu
turni — stromy szczyt skalisty
upłaz — porośla trawą pochyłość góry

O PANU JEZUSIE I ZBÓJNIKACH
K. Przerwa-Tetmajer

nie rzecz — niesłusznie
odkazać — zawiadomić

HISTORIA O PANU PIOTRZE WYDZDZE I O GÓRACH ŻŁOTA
Z. Bukowiecka

Długosz Jan (1415—1480) — historyk polski. Autor kroniki polskiej od pradziejów do roku 1480. Wychowanek Akademii Krakowskiej, kanonik krakowski, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka
dymarka — pierwotny piec hutniczy do wytapiania żelaza
Habdank — starożytny herb polski

ŻABI PACHOŁ
K. Dobkiewiczowa

(Przypisy autorki)

chodnik — korytarz w kopalni przebijany w pokładzie węgla
ciepać — rzucać (gwarowe)
fedrunek — wydobywanie (gwarowe)
gadżina — zwierzę, stworzenie
kamrat — towarzysz, kolega (gwarowe)
karbidka — karbidowa lampa górnicza
ocios — boczne ściany wyrobiska, czyli miejsca, z którego wydobyto węgiel
odstrzelić, odstrzał — rozsadzanie materiałem wybuchowym ściany węglowej
pieron, pieron — wyraz używany między górnikiem jako wyzwisko (gwarowe)
przodek — tutaj miejsce w kopalni, w którym w danej chwili prowadzi się roboty górnicze
przykludzić — przyprowadzić (gwarowe)
spąg — skała pod warstwą węgla, tu: dolna powierzchnia wyrobiska
starzyk — staruszek, dziadek (gwarowe)
sypie węgiel — tak mówią górnicy wtedy, kiedy uda im się dużo urobić węgla
szturmierz — zabijaka, awanturnik
sztymar — pracownik sprawujący dozór techniczny i po części administracyjny nad określonym działem pracy w kopalni
urobek — węgiel lub w ogóle materiał uzyskany robotą górniczą
wargować — wygadywać
żymła — bułka (gwarowe)

MIEDZIANA LAMPA
K. Dobkiewiczowa

(Przypisy autorki)

blenda — dawniej nazwa lampy górniczej. Szczególnie okazałą lampę nosił nadsztymar i w ten sposób podkreślał swe wysokie stanowisko wśród braci górniczej. Podobnie nosił bardzo piękne i szykowne buty
ciarach — wyraz używany jako wyzwisko u ludu
maszynka — lokomotywka przystosowana do pracy w kopalni
nadsztymar — pracownik techniczny, starszy stopniem od sztygara
szychta — zmiana załogi w kopalni

KSIĄŻĘ Z RACIBORZA ZWYCIĘZCĄ RUBEZAHLA

S. Wasylewski

(Przypisy autora)

Bononia — łac. nazwa miast: 1) Bolonia (Włochy), 2) Boulogne-sur-Mer (Francja)
bonończyk — bonoński piesek, rodzaj pieska pokojowego (od miasta Bononii)
buton — kolczyk z dużym brylantem
etola — długi i szeroki kołnierz futrzany
gizd — człowiek nieporządny, niedobry, poczwara
Rübezahl (niem.) — Liczyrzepa

ZATOPIONA WIOSKA

Cz. Kędziński

Jezioro Święte — dziś: Jezioro Berzyńskie

KLECHDA DOMOWA

W. Kubacki

bat — łódź żaglowa
fuga — utwór muzyczny dwu-, trzy- lub czterogłosowy
sadz — skrzynia z otworami do trzymania żywych ryb w wodzie
szypszyna — krzew pospolity na całym obszarze Polski, znany również pod nazwą
dzikiej róży
unisono — współbrzmienie kilku dźwięków, śpiew jednogłosowy
widełki stroikowe — to samo co kamerton; pręt metalowy, podający ton, według
którego stroi się instrumenty

TORUŃSKIE PIERNIKI

M. Krüger

pasamonik — rzemieślnik wyrabiający pasy, frędzle i wszelkiego rodzaju taśmy
do ozdoby sukien

O STOLEMACH

Z. Rabska

hecza — kaszubska nazwa chaty
smętek — kaszubska nazwa diabła
wik — zatoka

KRÓLOWA BAŁTYKU

L. Siemieński

Jura — tu: baśń
Perkun — najwyższy bóg u dawnych Słowian władający piorunami

O MĄDRYM RYBAKU I GŁUPIM DIABLE

F. Fenikowski

strąd (niem. Strand — brzeg) — wybrzeże morskie

KTO PIERWSZY ZAPALIŁ OGIEŃ NA ROZEWIU?

F. Fenikowski

Kalmar — miasto portowe w Szwecji
reja — żerdź w poprzek masztu, służąca do rozpinania żagla
wręga — jeden z balów, stanowiących żebra statku

PRZEMIENIENI W BUKI

F. Fenikowski

kolet (włoskie coletto) — kurtka skórzana
rajtar (niem. Reiter — jeździec) — żołnierz na koniu, uzbrojony w muszkiet

ZEGAR Z MARIACKIEGO KOŚCIOŁA

F. Fenikowski

ceklarz — pacholek miejski
kaper — tu: żeglarz w służbie królewskiej broniący wybrzeża
ludwisarz — rzemieślnik odlewający dzwony, działa, rusznice
mieszkarz — robotnik wyładowujący ze statków miechy ze zbożem
nawigowanie — prowadzenie okrętu za pomocą map, kompasu, obserwacji
snycerz — rzeźbiarz
Zwierzyniec, Zodiak — pas dwunastu gwiazdozbiorów przeważnie noszących nazwy zwierząt (stąd nazwa Zwierzyniec)

O RUDYM JASTRZĘBIU I GDAŃSKIEJ JASKÓLCE

F. Fenikowski

portal — monumentalne wejście do budowli

LWY Z GDAŃSKIEGO RATUSZA

F. Fenikowski

kapitel — górna część kolumny
szkuta, komięga — niewielki statek rzeczny do spławiania zboża
trojak — dawna moneta polska

BORUTA I

K. Wł. Wójcicki

pemeszka albo damascenka — szabla wyrabiana ze stali damasceńskiej (od Damaszku, stolicy Syrii)
karbować — tu: nacinać, nasiekiwać

BORUTA II
K. Wł. Wójcicki

chmiel — tu: pieśń o chmielu, śpiewana na wiejskich weselach polskich

JAS GRAJEK I KRÓLOWA BONA
R. Zmorski

czmerać — gmerać, przewracać. „Czmera mu w czuprynie czy w głowie“ — ma
zawrót głowy
nadra — schować za nadrę, schować w zanadrze, za pazuchę

BAZYLISZEK
A. Oppman (Or—Ot)

bułat — szabla turecka z szeroką rękojeścią
dominus (łac.) — pan
foliant, foliań — księga wielkiego formatu

WYKAZ ŹRÓDEŁ

- Cecylia Niewiedzińska* — **PODANIE O LECHU. PODANIE O POPIELU. PIAST**
Legende Polski w obrazkach i legendach i podaniach. Warszawa [b.r.]. Gebethner i Wolff)
- Józef Ignacy Krauze* — **PIEŚŃ SŁOWANA**
Baśni. Warszawa 1953. Czytelnik)
- Władysław Łzyński* — **WIANO ŚWIĘTEJ KINGI**
Legende Polski w czterech obrazkach. Warszawa 1914. Gebethner i Wolff)
- Cecylia Niewiedzińska* — **KAZIMIERZ WIELKI KUMEM**
Legende Polski w obrazkach i legendach i podaniach. Warszawa [b.r.]. Gebethner i Wolff)
- Stefania M. Fiedzińska* — **STOPKA KRÓLOWEJ JADWIGI**
Legende i obrazki dla małych dzieci. Poznań 1926. Księgarnia Św. Wojciecha)
- Seweryn Udziało* — **WIEŻE KOŚCIOŁA MARIACKIEGO W KRAKOWIE. KRZYSZTOFORY**
Krajków w podaniach i legendach. Kraków 1933. Orbis)
- Kazimierz Władysław Wójcicki* — **TWARDOWSKI**
Klechdy, starożytność podania i powieści ludu polskiego. Warszawa 1851)
- Stanisław Wasylewski* — **JAK MAGIK Z KRAKOWA NABRAŁ ŚLĄSKIEGO ZBÓJNIKA**
Legende i baśnie. Opracował Stanisław Wasylewski. Katowice 1947. Ognisko)
- Wg Oskara Kshbergera* **DIABELSKI MOST**
Świat czarów. Zbiór baśni i legend. Ułożyły Wł. Weychert-Szymanowska i Wanda Bruner. Wyd. II. Warszawa [b.r.]. W. Wende i Spółka)
- Maria Krüger* — **SKARBY W TĘCZYNIE**
Piomyczek nr 4, 1956)
- Adam Wislicki* — **KONIUSZA GÓRA**
Przyjaciel Dzieci nr 164, 1864)
- Władysław Orkan* — **LEGENDA O PODHALU**
Porazińska, St. Rossowski, Pierwsza czytanka dla szkół powszechnych. Cz. III dla oddz. IV. Wyd. II. Lwów 1929)
- Maria Krüger* — **JAK POWSTAŁY KARPATY**
Piomyczek nr 17, 1957)
- Jan Kasprowicz* — **MORSKIE OKO**
Bajki, klechdy i baśnie. Opracował Jan Kasprowicz. Lwów [b.r.]. Oświata)
- Zofia Urbanowska* (wg A. Stopki) — **JANOSIK**
Róża bez koloców. Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej. Warszawa 1903. Księgarnia K. Grendyszyńskiego)
- Kazimierz Przerwa-Tetmajer* — **PRZEZ CO SIĘ ŚWIECI DOSTALI NA KEPE**
Na skalnym Podhalu. Opracowane podług oryginału dla młodzieży. Warszawa 1920. M. Arct)
- Maria Krüger* — **JAK SOBANEK PLANETNIKA GOŚCIŁ**
Piomyczek nr 24, 1957)
- Jan Kasprowicz* — **O ŚPIĄCYCH RYCERZACH W TATRACH**
Polskie baśnie ludowe. Wyboru dokonał i opracował Tomasz Jodelka. Warszawa 1956. PIW)
- Kazimierz Przerwa-Tetmajer* — **O PANU JEZUSIE I ZBÓJNIKACH**
Na skalnym Podhalu. Opracowane podług oryginału dla młodzieży. Warszawa 1920. M. Arct)

- Seweryn Udziela* — GRZYBY
(Sto baśni ludowych. Opracowali Helena Kapeliś i Julian Krzyżanowski. Warszawa 1957. PIW)
- Maria Krüger* — JAK DUNAJEC POPLYNAŁ
(Piomyceczek nr 15, 1957)
- Zofia Bukowiecka* — HISTORIA O PANU PIOTRZE WYDZDZE I O GÓRACH ZŁOTA
(Historia o Janku Górniku. Wyd. II przejrane. Warszawa 1907. Gebethner i Wolff)
- Wierzchowski* — CZERWONY KIJASZEK
(Klechydy ludu polskiego. Zestawił i opracował Stanisław Czernik. Warszawa 1957. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza)
- Marian Kucz* — JEJ ŁZA
(Legenda i baśń. Zebrał i opracował J. Staros. Łódź 1929. Wyd. Księg. L. Fiszera)
- Jadwiga Chrzęszczewska, Jadwiga Warnkówna* — PODANIE O WIŚLE
(Z biegiem Wisły. Obrazki o kraju. Warszawa 1901. Gebethner i Wolff)
- Stanisław Pagaczewski* — BAŚŃ O GROCIĘ LODOWEJ
(Piomyceczek nr 15, 1957)
- Lucjan Malinowski* — ILE BABIA GÓRA MA WIERZCHOŁKÓW
(Powieści ludu na Śląsku. Kraków 1953. Wyd. Literackie)
- Kazimierz Zalejski* — STUDNIA TRZECH BRACI
(Świerszczyk)
- Kornelia Dobkiewiczowa* — ŻABI PACHOŁ
(Miedziana lampa. Warszawa 1958. Nasza Księgarnia)
- Jadwiga Chrzęszczewska, Jadwiga Warnkówna* — PODANIE O SKARBNIKU
(Z biegiem Wisły. Obrazki o kraju. Warszawa 1901. Gebethner i Wolff)
- Kornelia Dobkiewiczowa* — MIEDZIANA LAMPA
(Miedziana lampa. Warszawa 1958. Nasza Księgarnia)
- Stanisław Wasylewski* — KSIĄŻĘ Z RACIBORZA ZWYCIĘZCĄ RUBEZAHŁA
(Legends i baśnie śląskie. Opracował Stanisław Wasylewski. Katowice 1947. Ognisko)
- Henryk Kodź* — LEGENDA O ZŁEJ KSIĘŻNICZCE
Zygmunt Rutkowski, Irena Solińska — O GUBIŃSKICH KARZEŁKACH. O SKARBNIKU ZE SREBRNEJ GÓRY.
O DZIKIM RYCERZU ZNAD NYSY
(I wydanie)
- Czesław Kędziński* — ZATOPIONA WIOSKA
(Bajki polskie wujka Czesia. Poznań [b.r.]. Wydawnictwo Polskie R. Wegner)
- Maria Krüger* — KAMIEŃ POD WOLSZTYNEM
(Piomyceczek nr 5, 1956)
- Czesław Kędziński* — TRĘBACZ RATUSZOWY I KRÓL KRUKÓW. O ŻARŁOCZNYM POTWORZE W GOPLE.
DZIELNA KASZTELANKA
(Bajki polskie wujka Czesia. Poznań [b.r.]. Wydawnictwo Polskie R. Wegner)
- Roman Zmorski* — PRZEKŁĘTE JEZIORO
(Podania i baśnie ludu. Warszawa 1955. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza)
- Wacław Kubacki* — KLECHDA DOMOWA
(Kartki na wietrze. Toruń 1946)
- Maria Krüger* — TORUŃSKIE PIERNIKI
(I wydanie)
- Zuzanna Rabska* — O STOLEMACH
(Baśnie kaszubskie. Warszawa 1925. M. Arct)
- Maria Krüger* — WĘGORZ NA ŁAŃCUCHU
(Piomyceczek nr 20, 1957)
- Lucjan Siemiński* — KRÓLOWA BAŁTYKU
(Polskie baśnie ludowe. Wyboru dokonał i opracował Tomasz Jodełka. Warszawa 1956. PIW)
- Franciszek Fenikowski* — LEGENDY ROZEWSKIE: O MĄDRYM RYBAKU I GŁUPIM DIABŁE. KTO PIERWSZY
ZAPALIŁ OGIEŃ NA ROZEWIU? PRZEMIENIENI W BUKI
(Piomyceczek nr 22, 1957)

- Ewa Szelburg-Zarembina* — JAK BOCHEN CHLEBA W KAMIEN SIĘ ZAMIENIŁ
(E. Zarembina, H. Januszewska, J. Porazińska, Było i będzie. Warszawa 1945. Czytelnik)
- Zuzanna Rabska* — O FLĄDRZE BAŁTYCKIEJ
(Baśnie kaszubskie. Warszawa 1925. M. Arct)
- Franciszek Fenikowski* — ZEGAR Z MARIACKIEGO KOŚCIOŁA. O RUDYM JASTRĘBIU I GDAŃSKIEJ JASKÓLCE. LWY Z GDAŃSKIEGO RATUSZA
(Okręt w herbie. Legendy gdańskie. Warszawa 1955. Nasza Księgarnia)
- Franciszek Jankowski* — KRASNOLUDKI W SIEMIANACH
(Kiermasz bajek. Warszawa 1957. Czytelnik)
- Maria Zientara-Malewska* — JAK POWSTAŁA WYSPA LALKA NA JEZIORZE ŁAŃSKIM
(Kiermasz bajek. Warszawa 1957. Czytelnik)
- Zygmunt Kornowski* — KAMIEN Z OSTRÓDY
(Kiermasz bajek. Warszawa 1957. Czytelnik)
- Maria Zientara-Malewska* — ZAKŁĘTY ZAMEK W LESIE OLSZTYŃSKIM
(Legendy dwóch rzek. Warszawa 1955. PAX)
- Teofil Ruczyński* — DOBRA PANI Z DZIAŁDOWSKIEGO ZAMKU
(Kiermasz bajek. Warszawa 1957. Czytelnik)
- Jadwiga Chrzyszczewska, Jadwiga Warnkówna* — SIEJA W JEZIORZE WIGRY
(Z biegiem Wisły. Obrazki o kraju. Warszawa 1901. Gebethner i Wolff)
- Kazimierz Władysław Wójcicki* — BORUTA I. BORUTA II
(Klechdy, starożytne podania i powieści ludu polskiego. Warszawa 1851)
- Roman Zmorski* — JAŚ GRAJEK I KRÓLOWA BONA
(Podania i baśnie ludu. Warszawa 1955. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza)
- Ewa Szelburg-Zarembina* — WARSZAWA, STOLICA POLSKI
(E. Zarembina, H. Januszewska, J. Porazińska, Było i będzie. Warszawa 1945. Czytelnik)
- Jadwiga Chrzyszczewska, Jadwiga Warnkówna* — PLAC TRZECH KRZYŻY W WARSZAWIE
(Z biegiem Wisły. Obrazki o kraju. Warszawa 1901. Gebethner i Wolff)
- Artur Oppman (Or-Ot)* — ZŁOTA KACZKA. BAZYLISZEK. SYRENA
(Legendy warszawskie. Poznań [b.r.]. Księgarnia Św. Wojciecha)

SPIS TREŚCI

* * *	3
<i>Cecylia Niewiadomska</i> — PODANIE O LECHU	5
<i>Cecylia Niewiadomska</i> — PODANIE O POPIELU	6
<i>Cecylia Niewiadomska</i> — PIAST	7
<i>Józef Ignacy Kraszewski</i> — PIEŚŃ SŁOWANA	11
<i>Władysław Ludwik Anczyc</i> — WIANO ŚWIĘTEJ KINGI	15
<i>Cecylia Niewiadomska</i> — KAZIMIERZ WIELKI KUMEM	17
<i>Stefania M. Posadzowa</i> — STOPKA KRÓLOWEJ JADWIGI	19
<i>Seweryn Udziela</i> — WIEŻE KOŚCIOŁA MARIACKIEGO W KRAKOWIE	21
<i>Seweryn Udziela</i> — KRZYSZTOFORY	25
<i>Kazimierz Władysław Wójcicki</i> — TWARDOWSKI	27
<i>Stanisław Wasylewski</i> — JAK MAGIK Z KRAKOWA NABRAŁ ŚLĄSKIEGO ZBÓJNIKA	33
wg <i>Oskara Kolberga</i> — DIABELSKI MOST	38
<i>Maria Krüger</i> — SKARBY W TĘCZYNIE	40
<i>Adam Wiślicki</i> — KONIUSZA GÓRA	42
<i>Władysław Orkan</i> — LEGENDA O PODHALU	46
<i>Maria Krüger</i> — JAK POWSTAŁY KARPATY	49
<i>Jan Kasprowicz</i> — MORSKIE OKO	51
<i>Zofia Urbanowska wg A. Stopki</i> — JANOSIK	55
<i>Kazimierz Przerwa-Tetmajer</i> — PRZEZ CO SIĘ ŚWIĘCI DOSTALI NA KEPE	64
<i>Maria Krüger</i> — JAK SOBANEK PLANETNIKA GOŚCIŁ	66
<i>Jan Kasprowicz</i> — O ŚPIĄCYCH RYCERZACH W TATRACH	69
<i>Kazimierz Przerwa-Tetmajer</i> — O PANU JEZUSIE I ZBÓJNIKACH	75
<i>Seweryn Udziela</i> — GRZYBY	80
<i>Maria Krüger</i> — JAK DUNAJEC POPLYNAŁ	82
<i>Zofia Bukowiecka</i> — HISTORIA O PANU PIOTRZE WYDŹDZE I O GÓRACH ZŁOTA	86
<i>Wierzchowski</i> — CZERWONY KIJASZEK	92
<i>Marian Kucz</i> — JEJ ŁZA	94
<i>Jadwiga Chrzęszczewska, Jadwiga Warnkówna</i> — PODANIE O WIŚLE	98
<i>Stanisław Pagaczewski</i> — BAŚŃ O GROCIIE LODOWEJ	100

<i>Lucjan Malinowski</i> — ILE BABIA GÓRA MA WIERZCHOŁKÓW	105
<i>Kazimierz Zalejski</i> — STUDNIA TRZECH BRACI	107
<i>Kornelia Dobkiewiczowa</i> — ŻABI PACHOŁ	109
<i>Jadwiga Chrzęszczewska, Jadwiga Warnkówna</i> — PODANIE O SKARB- NIKU	116
<i>Kornelia Dobkiewiczowa</i> — MIEDZIANA LAMPA	118
<i>Stanisław Wasylewski</i> — KSIĄŻĘ Z RACIBORZA ZWYCIĘZCĄ RŪBEZAHLA	124
<i>Henryk Kodź</i> — LEGENDA O ZŁEJ KSIĘŻNICZCE	133
<i>Zygmunt Rutkowski, Irena Solińska</i> — O GUBIŃSKICH KARZEŁ- KACH	136
<i>Zygmunt Rutkowski, Irena Solińska</i> — O SKARBNIKU ZE SREBRNEJ GÓRY	138
<i>Zygmunt Rutkowski, Irena Solińska</i> — O DZIKIM RYCERZU ZNAD NYSY	140
<i>Czesław Kędzierski</i> — ZATOPIONA WIOSKA	142
<i>Maria Krüger</i> — KAMIEŃ POD WOLSZTYNEM	146
<i>Czesław Kędzierski</i> — TRĘBACZ RATUSZOWY I KRÓL KRUKÓW	148
<i>Czesław Kędzierski</i> — O ŻARŁOCZNYM POTWORZE W GOPLE	156
<i>Czesław Kędzierski</i> — DZIELNA KASZTELANKA	159
<i>Roman Zmorski</i> — PRZEKŁĘTE JEZIORO	164
<i>Wacław Kubacki</i> — KLECHDA DOMOWA	173
<i>Maria Krüger</i> — TORUŃSKIE PIERNIKI	177
<i>Zuzanna Rabska</i> — O STOLEMACH	182
<i>Maria Krüger</i> — WĘGORZ NA ŁAŃCUCHU	190
<i>Lucjan Siemieński</i> — KRÓLOWA BAŁTYKU	193
<i>Franciszek Fenikowski</i> — LEGENDY ROZEWSKIE:	
O MĄDRYM RYBAKU I GŁUPIM DIABLE	196
KTO PIERWSZY ZAPALIŁ OGIEŃ NA ROZEWIU	198
PRZEMIENIENI W BUKI	202
<i>Zuzanna Rabska</i> — O FLĄDRZE BAŁTYCKIEJ	208
<i>Ewa Szelburg-Zarembina</i> — JAK BOCHEN CHLEBA W KAMIEŃ SIĘ ZAMIENIŁ	211
<i>Franciszek Fenikowski</i> — ZEGAR Z MARIACKIEGO KOŚCIOŁA	213
<i>Franciszek Fenikowski</i> — O RUDYM JASTRZĘBIU I GDAŃSKIEJ JASKÓLCE	229
<i>Franciszek Fenikowski</i> — LWY Z GDAŃSKIEGO RATUSZA	238
<i>Franciszek Jankowski</i> — KRASNOLUDKI W SIEMIANACH	244
<i>Maria Zientara-Malewska</i> — JAK POWSTAŁA WYSPA LALKA NA JEZIORZE ŁAŃSKIM	247
<i>Zygmunt Kornowski</i> — KAMIEŃ Z OSTRÓDY	255

<i>Maria Zientara-Malewska</i> — ZAKŁĘTY ZAMEK W LESIE OL-SZTYŃSKIM	261
<i>Teofil Ruczyński</i> — DOBRA PANI Z DZIAŁDOWSKIEGO ZAMKU	266
<i>Jadwiga Chrzęszczewska, Jadwiga Warnkówna</i> — SIEJA W JEZIORZE WIGRY	273
<i>Kazimierz Władysław Wójcicki</i> — BORUTA I	278
<i>Kazimierz Władysław Wójcicki</i> — BORUTA II	281
<i>Roman Zmorski</i> — JAŚ GRAJEK I KRÓLOWA BONA	285
<i>Ewa Szelburg-Zarembina</i> — WARSZAWA, STOLICA POLSKI . . .	295
<i>Jadwiga Chrzęszczewska, Jadwiga Warnkówna</i> — PLAC TRZECH KRZYŻY W WARSZAWIE	297
<i>Artur Oppman (Or-Ot)</i> — ŻŁOTA KACZKA	298
<i>Artur Oppman (Or-Ot)</i> — BAZYLISZEK	303
<i>Artur Oppman (Or-Ot)</i> — SYRENA	316
<i>Objaśnienia</i>	325
<i>Wykaz źródeł</i>	331

Redaktor Hanna Dobrowolska
Redaktor techniczny Emilia Adamczyk

ISBN 83-10-08163-4

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1986 r. Wydanie IX.
 Nakład 99700 + 300 egz. Ark. wyd. 17,3. Ark. druk. A1-42,0.
 Druk z gotowych diapozytywów wykonano w ZSRR. T-88



ISBN 83-10-08163-4

lesiojot